



SWEET CHEEKS

ZAPACH NAMIĘTNOŚCI

K. BROMBERG

BESTSELLEROWY PISÁRZ NEW YORK TIMESA

K. Bromberg

Sweet Cheeks

Zapach namiętności

Prolog

Saylor

To musi być żart.

Nie potrafię powstrzymać tej myśli, gdy patrzę na kwadratowe zaproszenie w dłoniach i dostrzegam kolejne niesłychane podobieństwa.

Czcionka Champagne. Jest.

Ornamenty z zawijasami. Są.

Kremowy lniany papier. Jest.

Dobór słów, ich rozmieszczenie na kartce i wszelkie inne zauważalne szczegóły. Tak, tak, tak.

Jak to możliwe, że zaproszenie w moich dłoniach wygląda dokładnie tak samo jak moje własne zaproszenie, nad którym spędziłam niezliczone godziny na dobieraniu poszczególnych elementów?

Pocieram palcami kosztowny papier, jakbym chciała się upewnić, że jest prawdziwy. Jest, więc jeszcze raz przeglądam wszystkie detale.

Wygląda dokładnie tak samo jak moje. Ten sam narzeczony — Mitch Layton. Ta sama godzina rozpoczęcia ceremonii. To samo miejsce: tropikalny raj na wyspach Turks i Caicos.

Wszystko jest identyczne oprócz panny młodej i daty. Bo w tym zaproszeniu panną młodą jest *Sarah Taylor*.

A to nie ja.

Moje nazwisko — Saylor Rodgers — widnieje tylko na kopercie, którą rzuciłam na biurko. Dla pewności sprawdzam jeszcze raz adres. Tak, ten list został wysłany do mnie. Celowo.

Jestem *zaproszona? Serio?*

To niemożliwe, żeby facet, którego zostawiłam tydzień przed *naszym* ślubem, zaprosił mnie na swój ślub — z *inną kobietą* — zaledwie sześć miesięcy po mojej ucieczce.

Ale na kopercie jest moje nazwisko i adres.

Sweet Cheeks CupCakery

Saylor Rodgers

1313 State Street

Santa Barbara. CA 93101

Nie ma mowy o pomyłce, bo to ja i mój adres. Wie, że mnie pod nim znajdzie.

Ironia. Minęło sześć miesięcy, a Mitch ani razu nie próbował się ze mną skontaktować, żeby zapytać o bardziej szczegółowe wyjaśnienie przyczyn mojego odejścia niż „bo ja po prostu nie mogę tego zrobić”.

I tak wygląda jego pierwsza próba nawiązania kontaktu? Zaproszenie na swój ślub, prawdopodobnie w celu zademonstrowania mi, jak łatwo mnie zastąpić? Żebym poczuła

się gorsza, a on mógł podratować swoje posiniaczone ego?

Klasyczne zagranie Mitcha Laytona: pasywna agresja w najlepszym wydaniu.

Zalewa mnie krew, ale nie rozumiem, dlaczego jestem wściekła. To nie ma dla mnie znaczenia. *On nie ma dla mnie znaczenia.* Jeśli jednak tak jest, dlaczego na widok tego zaproszenia czuję ściskanie w żołądku?

Co gorsza, dlaczego kładę na biurku kartkę z odpowiedzią, wyciągam pióro i wybieram filet mignon zamiast halibuta z orzeszkami macadamia na przystawkę, skoro nie mam zamiaru iść na ten ślub?

Wcale.

Ani trochę.

Dokonywanie wyboru jest po prostu niedorzeczne.

Jeszcze dziwniejsze jest to, że zaznaczam X w polu „z osobą towarzyszącą”, skoro nie mam aktualnie w życiu żadnej „osoby towarzyszącej”.

Patrząc na kartę z odpowiedzią, na której wpisałam swoje imię i nazwisko, myślę o wszystkim, nad czym głowiłam się przez ostatnie sześć miesięcy, i wiem, jak brzmi odpowiedź. *Bo poprawia mi to samopoczucie.* Świadomość, że Mitch nie ma już na mnie wpływu. Chciał wytrącić mnie tym zaproszeniem z równowagi i owszem, przez minutę to właśnie poczułam: wściekłość i ból. Chyba każdy by się tak poczuł na wieść, że były narzeczony tak szybko znalazł sobie inną. Koniec końców jednak nie udało mu się wzbudzić we mnie nic prócz zadowolenia, że to nie ja go poślubię. Uznaję, że to po prostu typowy Mitch. Egoistyczny, arogancki i dziecinny.

Pieprzyć go.

Wpycham więc kartę z odpowiedzią do małej, zaadresowanej koperty zwrotnej ze znaczkiem.

Mając przez cały czas przed oczami wyraz twarzy Mitcha, gdy ją otworzy i przeczyta moje nazwisko.

Przeciągam językiem po kleju na kopercie.

Wyobrażając sobie jego zaskoczenie, gdy zobaczy, że przyjdę z sympatią. Nie tylko ty znalazłeś kogoś, kto cię uszczęśliwia, Mitch.

Zamykam kopertę i przyciskam, żeby klej chwycił. *Ciekawe, jak zareaguje Sarah Pocieszycielka, gdy Mitch przekaże jej moją kartę i powie, żeby dopisała dwie osoby do listy gości. Czy uśmiechnie się szyderczo? Zaczną się klócić? Może będą z tego kpić, a gdy ochłoną, zaczną się zastanawiać, czy naprawdę zamierzam przyjść?*

Co wzbudzi w nich niepokój, że może jednak przyjdę.

Chociaż jestem jedyną osobą, która zna odpowiedź na tę ostatnią wątpliwość, trzymanie w dłoniach zaklejonej koperty przynosi mi swego rodzaju terapeutyczną ulgę. Bo wiem, że jego plan obrócił się przeciwko niemu.

Boże, jestem żalсна.

Przewracam oczami i rzucam zaklejoną kopertę na biurko z postanowieniem, że więcej o niej nie pomyślę. Nie powinnam w ogóle jej wypełniać, bo *w ogóle mnie to nie obchodzi.* Ani trochę. Ani on, ani to, jak wygląda przyszła pani Layton, ani jego dziecinna potrzeba wypowiedzenia ostatniego słowa na temat naszego związku poprzez wysłanie mi zaproszenia.

Tak naprawdę odejście od niego było najlepszą decyzją w moim życiu.
Jestem teraz szczęśliwsza.

Bez wątpienia.

Zdecydowanie szczęśliwsza.

Tak mi się przynajmniej wydaje.

Rozdział 1

Saylor

— Saylor.

Chyba dziesiąty raz w ciągu tyluż minut słyszę swoje imię wypowiedane mrukliwym tonem przez mojego brata. Ignoruję go i skupiam się na doskonaleniu skomplikowanego wzoru, który tworzę na stojącej przede mną babeczce.

Wolę schować głowę w piasek, niż słuchać wykładu, którym zamierza mnie uraczyć. O tym, że wydatków jest więcej niż wpływów. *Czy wiesz, że nawet przy tak małym kredycie dla przedsiębiorców, jaki otrzymałaś, utoniesz w długach, jeśli nie wymyślisz, jak rozwinąć swoją działalność? Albo: Musisz opracować jakiś inny plan marketingowy, niż mają wszyscy, żeby przyciągnąć kolejnych klientów.*

A potem zacznie się wykład. Że powinnam bardziej udzielać się w mediach społecznościowych. Że dzisiaj zamówienia z internetu stanowią lwią część rynku i mogą zapewnić cukierni przetrwanie i sukces. Wystarczy zdobyć odpowiednio dużo klientów w internecie, zwiększyć zapotrzebowanie na moje produkty w sąsiednich miastach i sprzedać franczyzę, aby zaspokoić to zapotrzebowanie, żeby móc sobie spokojnie usiąść i czerpać zyski.

Czy on nie widzi, że robię wszystko, co w mojej mocy? Że od rozstania z Mitchem wkładam w to całe serce i całą swoją energię? Bo chcę udowodnić nie tylko sobie, lecz także wszystkim innym ludziom, że ta decyzja była słuszna. Że potrafię dać sobie radę. Bez niego, bez jego nazwiska i wypełnionych po brzegi pieniędzmi kont bankowych jego rodziny. Że żadna z tych rzeczy nie definiuje mojego prawdziwego ja.

Dlatego nie podnoszę głowy i pieczołowicie ozdabiam perłową masą brzeg babeczki (oczywiście na przyjęcie weselne) i od czasu do czasu zerkam na ruch pieszych na zewnątrz z nadzieją, że ktoś wejdzie i się skusi na jedną.

Albo na kilkadziesiąt.

Bo jego narzekania tylko się nasilają, gdy zagłębi się w bałagan, jaki zrobiłam w arkuszach kalkulacyjnych, które jego matematycznemu umysłowi wydają się banalnie proste. Ale wszystkie te jego kolumny, rządki i pełne symboli wzory nic mi nie mówią. Mam ważniejsze rzeczy na głowie niż pamiętanie o wpisywaniu cyferek.

Na przykład pilnowanie wszystkich aspektów prowadzenia działalności, na którą w tej chwili — zasłużenie — narzeka.

— Saylor?

Zmiana w jego głosie każe mi podnieść głowę i spojrzeć w stronę wejścia, w którym stoi, przyglądając mi się bacznie. Jego jasnoniebieskie oczy emanują dezorientowaniem i czymś, co uznaję za gniew. Trzyma coś w dłoniach, ale nie widzę, co to jest.

Cholera. *Co ja znowu narobiłam?*

— Czy ten bałwan serio miał czelność zaprosić cię na swój ślub?

Powoli odkładam strzykawkę z lukrem i opieram się dłońmi o blat stojącego przede

mną stołu masarskiego, przygotowując się na gen nadopiekuńczego starszego brata, którego z pewnością za chwilę doświadczę. I na gniew w moim imieniu, chociaż tak naprawdę Ryder powinien wściekać się raczej na to, co rodzina Mitcha zrobiła mu z mojego powodu. I na moją głupotę, bo nie podarłam tego zaproszenia od razu po jego otrzymaniu.

Kompletnie o nim zapomniałam.

A przynajmniej tak sobie wmawiam, gdy dostrzegam szampański brystol w jego dłoni i przypominam sobie kartkę z odpowiedzią, którą pochopnie wypełniłam w zeszłym miesiącu. Bardziej w geście mówiącym „pieprz się” niż z realnym zamiarem. Przypomina mi się groza, jaką poczułam, gdy moja asystentka DeeDee powiedziała, że wysłała kopertę, którą zostawiłam na biurku. Kopertę, która miała trafić do kosza, ale rozproszył mnie klient i zupełnie o niej zapomniałam.

Uśmiecham się sztywno, udając, że otrzymanie zaproszenia w ogóle mnie nie obeszło. Bo łatwiej udawać, niż dopuścić do siebie palące łyzy poczucia winy w związku z nieprzyjemnymi konsekwencjami, które dosięgły także jego. Mój słodki, mrukliwy i nadopiekuńczy brat pożyczył mi pieniądze na założenie tej firmy, po czym okazało się, że jego największy klient i najważniejsze źródło stabilnego przychodu w ostatnich ośmiu latach — Layton Industries — wycofał się ze współpracy z nim.

Widzę piętno stresu na jego twarzy. Wiem, że stara się mi pomóc, jak tylko może, a jednocześnie próbuje znaleźć nowych klientów, żeby utrzymać się ze swoją firmą konsultingową na powierzchni. Jest dla mnie matką, ojcem i starszym bratem w jednej osobie. Nie cierpi jednak, gdy mu za to dziękuję, postanawiam się więc skupić na udzieleniu odpowiedzi na jego pytanie. Chociaż wyraził się bardzo układnie, wychwyciłam, że chodziło mu raczej o: *Czy ten skurwiel Mitch naprawdę cię zaprosił?*

— Na to wygląda — mruczę, skubiąc zębami dolną wargę, i próbuję zmienić temat. — Zrobiłam duży bałagan w dokumentach?

— Pieprzyć dokumenty, Say. Czy ten palant naprawdę sądzi, że...?

— To ja go zostawiłam, Ryder — przerywam mu ledwie słyszalnym głosem, na którego krawędziach tańczy nuta niepewności. — A nie on mnie.

— I nie bez powodu. — Krzywi się, gdy dociera do niego, że powiedział to ostrzejszym tonem niż zamierzał, pozwalając, by na powierzchnię przebiła się jego osobista wściekłość na Mitcha. — Słuchaj. Wiem, że nie było ci łatwo. Musiałaś praktycznie zacząć od zera. Nowe mieszkanie, przyjaciółki trzymające jego stronę i traktujący cię jak powietrze, praca w cukierni od rana do wieczora, samotność... wszystko. Ale dajesz radę. Zaczęłaś nowe życie. Masz firmę, która wciąż działa i...

— Ledwo co — mruczę pod nosem, pocierając twarz, jakbym chciała zetrzeć z niej frustrację, przez co prawdopodobnie usmarowuję sobie policzek lukrem.

— To znacznie więcej, niż osiągnęłoby większość ludzi w siedem miesięcy po zerwaniu poważnego związku.

Wzdycham głęboko i potakuję, bo wiem, że sporo w tym racji. To moja sprawa. *Mój wybór*. Odeszłam, chociaż mogłam zostać. Uświadomiłam sobie, że chociaż byliśmy z Mitchem sześć lat, nie czułam żadnego iskrzenia. Owszem, związek to coś więcej niż pragnienie, *by przyprzeć faceta do ściany, gdy tylko wejdzie do domu i uprawiać z nim*

dziki, nieskrepowany seks, ale między nami tak naprawdę nigdy nie było tego typu chemii.

Dorastanie z rodzicami, którzy mimo niezwykle silnej miłości nieustannie wspominali o licznych celach, marzeniach i pragnieniach, z jakich musieli zrezygnować po pojawieniu się mnie i Rydera, kazało mi się zastanowić nad tym, z czego rezygnuję, wznosząc się w rodzinę Mitcha. Bo pójdzie na kompromis zawsze dotyczyło tylko mnie. Nigdy niego.

Niezależnie od moich motywacji, nikt z zewnątrz nie miał pojęcia, dlaczego postanowiłam odejść. To był przecież Mitch Layton, ideał pod każdym względem — grzeczny, cieszący się powodzeniem facet w typie *Ralph* *Laurena* — lecz mimo tej perfekcyjności doskonale pamiętam, jak patrzyłam w lustro kilka tygodni przed ślubem i dręczyła mnie myśl, że owszem, jest to *fajne*, ale nie chcę do końca życia zastanawiać się nad tym, czy *fajne mi wystarcza*.

Wyrwam się z zamyślenia i wracam spojrzeniem do mojego brata. Przypatruję się zawiłym kolorowym tatuażom na jego przedramionach. Są one zazwyczaj ukryte głęboko pod wykrochmalonymi koszulami, jakie zakłada do pracy, ale zwracam na nie uwagę, gdy podnosi dłoń z zaproszeniem, żeby po raz kolejny je przeczytać.

— Przepraszam, że to na ciebie wpłynęło. Że moje zerwanie z nim...

— Mówiłem ci, żebyś więcej o tym nie wspominała. To nie była twoja wina.

— Oto słowa prawdziwego przyjaciela — chichoczę i podnoszę ze stołu strzykawkę z lukrem. Powinnam raczej powiedzieć „jedyne” — co jest smutne, zważywszy na to, że jest moim bratem, więc nie ma innego wyjścia — bo wszyscy przyjaciele z czasów związku z Mitchem po rozstaniu wydawali się brać jego stronę. Cotygodniowe wyjścia na lunch przestały dochodzić do skutku, bo dostawałam SMS-y typu: „Zadzwoń, gdy będę miała wolną chwilę”, a comiesięczne dziewczynskie pogaduchy przy kolacji nagle się skończyły. Nawet manicurzystce, która robiła paznokcie matce Mitcha, nieoczekiwanie wypadły wszystkie od dawna umówione ze mną terminy.

— Czy on naprawdę myśli, że przyjdiesz?

— Przecież mnie zaprosił, prawda? A może to sprawka jego przyszłej żony? Kto wie? I kogo to obchodzi?

— Znasz ją?

— Nigdy o niej nie słyszałam.

— Ktokolwiek to zrobił, prawdopodobnie chciał ci tylko utrzeć nosa. Mitch jest wystarczająco zarozumiały. Uważa się za najlepszego faceta na świecie. Dlaczego więc nie miałby chcieć wzbudzić w tobie niepokoju? Żebyś zaczęła się zastanawiać, czy odejście od niego było dobrą decyzją, skoro twoje miejsce tak szybko zajął ktoś inny? Co za głupi kawał.

Uśmiecham się w duszy, gdy słyszę, że Ryder tak samo jak ja rozszyfrował pobudki Mitcha. Jednocześnie nienawidzę się za to, że od otrzymania tego zaproszenia kwestionuję zasadność odwołania mojego ślubu bardziej, niż powinnam.

Nie chcę przyznać, że ma to jakikolwiek związek z Mitchem lub z zaproszeniem.

Wątpliwości są czymś całkowicie naturalnym. Takie w rodzaju *wpatrywania się w sufit w środku bezsennej nocy i zastanawiania się nad tym, czy trawa po drugiej stronie jest bardziej zielona*. Żadna poważna decyzja życiowa nie jest od nich wolna.

A odejście od mężczyzny, którego kochałaś i z którym byłaś przez większość dorosłego życia, kwalifikuje się do miana poważnej decyzji, nic dziwnego więc, że mam pewne wątpliwości.

— Też tak myślę — szepczę w zamyśleniu, nakładając rząderek lukrowych kropli na kolejną babeczkę. — Ale czy nie czułybyś się podobnie, gdyby ktoś zrobił ci coś takiego? — Mój brat patrzy na mnie bez słowa, lecz zacięta twarz zdradza emanujący z oczu spokój. — Rozumiem twoją wściekłość na niego i ja też jestem na niego zła za to, co ci zrobił, ale jeśli chodzi o mnie, miał powody do złości. To ja odwołałam wszystko bez ostrzeżenia.

— O, doskonale to pamiętam — rzuca przez ramię, podchodząc do kontuaru. Wiem, że pamięta. Jak mógłby zapomnieć, skoro użyczał mi ramienia, gdy szlochałam po uświadomieniu sobie, że nie mogę wyjść za Mitcha? Był moim głosem rozsądku w momentach największej hysterii, ściągał mnie z krawędzi i namawiał, bym posłuchała głosu serca. A potem trzymał mnie za rękę, gdy wzięłam telefon, żeby powiedzieć Mitchowi, że musimy porozmawiać. — Chcesz wiedzieć, co tak naprawdę najbardziej mnie wkurzyło? Zakończyłaś niemal siedmioletni związek, a on ani razu się nie wściekł i nie zjawił pod twoimi drzwiami, żeby błagać cię o powrót. Nie walczył o ciebie, a jesteś tego warta. Zamiast tego zachowuje się jak pasywno-agresywny palant, wysyłając ci zaproszenie na ten swój nowy ślub.

Wzruszam ramionami, chociaż podoba mi się, że uważa, iż warto o mnie walczyć, a jednocześnie zdaję sobie sprawę z tego, że brak walki ze strony Mitcha jest sam w sobie odpowiedzią.

— Co byś zrobił, gdybyś był na jego miejscu?

— Ja? — Rzuca mi zmieszany uśmiech, który sugeruje, że to, co mi powie, mogło się już kiedyś zdarzyć. — Gdyby dziewczyna nie chciała ze mną rozmawiać, spiłbym się jak świnia. To nie byłoby piękne. Potem przypuszczalnie łomotałbym przez całą noc w jej drzwi, aż miałyby tego tak serdecznie dość, że musiałyby ze mną pogadać. A gdyby jednak nie chciała, a ja chciałbym jakoś odzyskać szacunek do siebie, podejrzewam, że poszedłbym w miasto, upił się jeszcze bardziej, a potem przespał się z pierwszą lepszą, bo... cóż, bo nie prosiłbym kogoś o rękę, gdybym tego nie pragnął z całego serca. I gdyby okazało się, że zmarnowałem sześć lat życia, wkurzyłbym się jak diabli i chciałbym zrobić coś, żeby poczuć się lepiej z samym sobą. Więc, hm... nie byłoby to może zbyt przyzwoite, ale tak właśnie bym się zachował.

Parskam.

— Brzmi całkiem przekonująco, a jednak o ile mi wiadomo, Mitch nic takiego nie zrobił. Chodzi mi o wyjście w miasto i przespanie z pierwszą lepszą, która się nadarzy.

Pustą cukiernię wypełnia jego sarkastyczny śmiech.

— Nie chcę cię rozczarować, siostrzyczko, ale najwyraźniej to właśnie zrobił, bo w przeciwnym razie nie szedłby do ołtarza tak szybko.

Nie potrafię ukryć bólu wywołanego tą uwagą. Ale przynajmniej mogę mieć pewność, że albo miał podobne wątpliwości co do naszego związku, albo zakochał się w *Sarah Pocieszycielce*, bo zraniłam jego ego, a dzięki niej znowu poczuł się dobrze.

— Może chce udowodnić, że nic już do mnie nie czuje, mimo że słyszałam, że ona

jest podobna do mnie jak dwie krople wody. — Kątem oka dostrzegam, że moje słowa zatrzymały go na chwilę w drodze do biura. Uderzyło go to, że Mitch zamierza poślubić inną wysoką blondynkę o niebieskich oczach i oliwkowej skórze.

Parska śmiechem, w którym wyraźnie pobrzmiewa sarkazm, a potem z pomieszczenia z tyłu dobiega do mnie odgłos przesuwania papierów na moim zabałaganionym biurku.

— Gdzie jest karta z odpowiedzią? Wyślę mu ją z dopiskiem, że bardzo mądrze zrobiłaś, każąc mu spadać. Pretensjonalny palant.

Na szczęście Ryder mnie teraz nie widzi, bo mój zmarszczony nos i załamanie w linii lukrowych perełek z pewnością zdradziłoby mu, co zrobiłam.

— Saylor?

— Hm? — Obojętność.

W mojej reakcji musiało być coś, co nie zabrzmiało obojętnie.

— Tylko mi nie mów, że zamierzasz się tam wybrać.

— Nie. Jasne, że nie zamierzam. — Wbijam wzrok w następną babeczkę. Wyciskam kolejny sznur lukrowych kropli wokół brzegu. Przeszczępnę z nogi na nogę, żeby złagodzić ciężar jego badawczego spojrzenia.

— To gdzie jest karta z odpowiedzią?

— Musiałam ją zgubić. Albo wyrzucić. — Unik. Uchylić się. Zignorować. — O, a może spadła i jest pod biurkiem...

— Zawsze byłaś beznadziejna w kłamaniu. — W jego głosie niedowierzenie miesza się z dezorientacją, gdy podchodzi kilka kroków w moją stronę. Natychmiast puszczam kosmyk włosów, który owijałam wokół palca. *To zawsze mnie zdradza.* — Pytanie brzmi: co tak naprawdę próbujesz ukryć?

— Nic. Odczep się.

— Odesłałaś tę kartę, Saylor?

— Tak. Nie. To nie tak, jak myślisz... — Wzdycham z frustracją, a on patrzy na mnie w milczeniu i czeka na dokończenie. Czuję się jak dziecko, które zaraz dostanie reprimendę za zrobienie czegoś głupiego. — Ze złości wypełniłam kartę z odpowiedzią. Nie miałam zamiaru jej wysłać... ale DeeDee przypadkiem ją znalazła i wysłała i... cóż, teraz oni myślą, że przyjdę. Na dodatek z osobą towarzyszącą.

— Typowe. — Śmieje się, szybko jednak poważnieje i patrzy na mnie badawczo. — Chwileczkę. Wypełniłaś kartę ze złości. Jestem w stanie to pojąć. Ale jeśli w ogóle nie miałaś zamiaru iść, to po co włożyłaś ją do koperty? Oznacza to, że *taka* myśl musiała pojawić się w twojej głowie.

— Nie wiem. — Wzruszam ramionami i zastanawiam się, do czego zmierza. — Po prostu to zrobiłam. Nie miałam żadnych ukrytych intencji, Ryder. — Zaczyna mnie wkurzać. Przesadnie to analizuje i doszukuje się czegoś, czego w tym nie ma. Wolałabym, żeby sobie poszedł i pozwolił mi w spokoju dekorować babeczki.

Ale on tego nie robi. Stoi przede mną i patrzy na mnie, jakbym zrobiła coś złego.

— Zdajesz sobie sprawę, że Mitch wysłał to zaproszenie dla żartu? I że ani on, ani ona nie chcą cię widzieć na tym weselu?

Przewracam oczami i wzdycham.

— Nie jestem dzieckiem. Ani idiotką. Wiem, że mnie tam nie chcą i zapewniam cię, że ja też nie chcę tam być.

— Na pewno?

Podrywam głowę i trafiam na jego pytające spojrzenie.

— Na pewno co? — rzucam nieco zagniewana. *Dlaczego on mi nie wierzy?*

— Zastanawiam się po prostu, czy nie dopadły cię wątpliwości.

Prycham.

— I tak byłoby już za późno, zważywszy na to, że on się żeni.

— Uhm. — W jego głosie pobrzmiwa protekcyjna nuta, od której chce mi się zgrzytać zębami.

— Co ma niby oznaczać to „uhm”? — pytam z dłońmi na biodrach, coraz bardziej wkurzona.

— Zastanawiające, że ani słowem nie wspomniałaś mi o tym zaproszeniu. Wynika z tego, że obeszło cię to bardziej niż jesteś skłonna przyznać. Gdyby cię to nie męczyło i gdybyś nie miała wątpliwości, powiedziałaś mi o tym.

— Nie powiedziałam ci, bo to nic ważnego.

— Uhm.

Znowu ta reakcja.

— Po prostu powiedz, co masz do powiedzenia, Ryd. Nie jestem w nastroju na tę psychologiczną grę, którą tu prowadzisz.

— Byłoby zupełnie normalne, gdybyś miała wątpliwości, wiesz?

— Wiem, ale co tu mają do rzeczy wątpliwości? — Wskazuję na zaproszenie leżące na stoliku między nami.

— Upewniam się tylko, że nie planujesz zrobić niczego głupiego, czego byś później żałowała i tyle.

— Że co?

— Czegoś głupiego w rodzaju pojawienia się na weselu. — Unosi brwi przy ostatnich słowach, co pozbawia mnie resztek samokontroli.

— Dlaczego tak się na to uwzięłaś? Przestań się mnie czepiać, dobrze? Myślisz, że potajemnie planuję wymknąć się na to wesele? Wykorzystać voucher od ośrodka, który dostałam za swoje odwołane przyjęcie, i pojawić się tam, bo nieoczekiwanie zaczęłam się martwić, że popełniłam poważny błąd? Jak sobie to wyobrażasz? Że podczas ceremonii będę chyłkiem wyglądać zza żywopłotu, żeby zaspokoić swoją patologiczną ciekawość i zobaczyć, jak wygląda przyszła pani Layton, dziękując w duszy Bogu za to, że to nie ja idę z nim do ołtarza?

— Say, w ogóle nie o to mi chodziło, gdy...

— Albo lepiej: myślę, że powinnam pójść. — Jestem tak wściekła, że nie byłabym w stanie pohamować potoku słów, nawet gdybym próbowała. — I wynajęłam jakiegoś nieziemsko przystojnego faceta z agencji, żeby ze mną poszedł. Bo przecież zaznaczyłam *z osobą towarzyszącą*. Żeby od razu, gdy pojawię się na przyjęciu, było oczywiste, że jest we mnie szaleńczo zakochany, i żeby zobaczyli nas ci wszyscy ludzie, których uważałam kiedyś za przyjaciół, lecz nie było ich przy mnie, gdy najbardziej ich potrzebowałam. Dlaczego nie, co? Jeśli przyjdę zakochana po uszy w jakimś ciachu, to wszyscy zobaczą

na własne oczy, że wcale nie siedzę w domu, liżąc rany po uświadomieniu sobie, jak wielki błąd popełniłam, a tak zapewne teraz myślą. — W końcu milknę, dysząc z zaciśniętymi pięściami, a w przestrzeni między nami robi się ciężko od mojej wściekłości o te wszystkie jego pytania. Ryder nie przerywa kontaktu wzrokowego, ale nic nie mówi. — Jeśli więc to miałeś na myśli, mówiąc o czymś głupim, to nie martw się, mam to pod kontrolą. Dzięki za okazane zaufanie.

Akcentuję ostatnie słowa, uderzając w blat strzykawką, z której wystrzela potężna kropla lukru w kolorze morskim i ląduje na stole masarskim. Patrzę na nią przez chwilę i chce mi się jednocześnie śmiać i płakać. Przez Rydera, który myśli, że chcę wrócić do Mitcha, i przez siebie — za to, że pozwoliłam sobie na wybuch gniewu i wyładowałam się na bracie.

To nie jego wina. *Tylko moja*. To przez te nagromadzone emocje, które dusiłam w sobie od zerwania z Mitchem. Wiem, że wszystko, co przed chwilą udawałam, że wymyślałam na poczekaniu — chęć zobaczenia Sarah Pocieszycielki i Mitcha, by poczuć ulgę, że odeszłam, oraz chęć udowodnienia dawnym przyjaciółkom, że jest mi teraz lepiej — tak naprawdę chodziło mi po głowie przez ostatnie kilka tygodni. Te wszystkie uzasadnienia, których nie potrzebuję, a które mimo to ukradkiem zatruwały moje myśli.

— Say. — Jego głos jest czystą empatią, ale nie potrafię na niego spojrzeć. Nie mogę się posypać, skoro tyle wysiłku włożyłam w zapanowanie nad swoim życiem i emocjami i zachowanie zdrowego rozsądku, żeby udowodnić wszystkim, włącznie z nim, że podjęłam najlepszą decyzję.

Potrzebuję chwili, żeby się pozbierać, więc zwieszam głowę, biorę głęboki wdech i powtarzam sobie, że mam prawo czuć się trochę niepewnie. Zrezygnowałam z życia, które wiodłam, po to, żeby praktycznie zacząć wszystko od zera. Każdego doprowadziłoby to do szaleństwa.

— Nie. Nic mi nie jest. — Chrząkam i skupiam się na zdrapywaniu lukru z blatu, żeby Rider nie zobaczył wzbierających w moich oczach łez. Czekam na dalszy ciąg. Wiem, że chce jeszcze coś powiedzieć, ale zamiast tego w powietrzu między nami robi się ciężko od ciszy, więc podnoszę głowę.

Patrzy na mnie z przechyloną głową, a jego oczy nie wyrażają nic prócz współczucia.

— Nie to miałem na myśli, Say. Chodziło mi o to, że wątpliwości i ciekawość to coś zupełnie normalnego. Masz do tego pełne prawo i nie chciałem, żebyś czuła, że musisz się z tym przede mną ukrywać.

Wrywa mi się nerwowy chichot, bo wolałabym o tym nie rozmawiać.

— Dzięki, przepraszam. Domyślałam się, że zapuściłam się za daleko w tym wszystkim.

— To bardzo zabawny obrazek: ty z liśćmi we włosach, wychylająca się zza jakichś krzaków.

Patrzę na niego gniewnie.

— Bardzo śmieszne.

Jego twarz łagodnieje, ale spojrzenie pozostaje intensywne.

— Pamiętaj, że odejście od Mitcha nie było błędem. A przynajmniej ja się żadnego

w tym nie dopatruję. — Doceniam ten jego akt solidarności. Że wspiera mnie w mojej decyzji.

Łzy, które udało mi się opanować, znowu wzbierają w moich oczach.

— Dziękuję. Naprawdę potrzebowałam to usłyszeć. Możemy o tym po prostu zapomnieć? Nie planuję iść na to wesele. I nie planowałam. Wysłanie tej karty z odpowiedzią było po prostu nieszczęśliwym wypadkiem.

— Dobrze, niech będzie. Muszę jednak przyznać, że to dość przyjemna świadomość, że on będzie się teraz martwił tym, czy faktycznie przyjdiesz. Dobrze mu tak za to, że wysłał ci to zaproszenie.

— Teraz naprawdę powinnam wrócić do pracy. Zegar tyka, a te babeczki wymagają polukrowania. — Nie patrząc na niego, podnoszę strzykawkę, rzucam spojrzeniem na pozostałą setkę babeczek do udekorowania i cieszę się z tego, że muszę skupić się na ich dokończeniu i dostarczeniu, a nie na Mitchu i jego skopiowanym weselu.

Moim weselu.

Na szczęście Ryder mnie zostawia i wraca do małej wnęki przy kuchni. Co kilka minut dobiega stamtąd ciężkie westchnienie, gdy trafia na kolejną rzecz, którą musiałam spaprać w przygotowanym przez niego dla mnie niewielkim arkuszu. Cóż, nie bez powodu on z naszej dwójki jest człowiekiem od cyferek, a ja żyję z wypieków.

Dekoruję w rytm muzyki. Odrobina Maroon 5, żeby rozjaśnić nastrój. Ozdabiam babeczkę za babeczką, zatrzymując się na oko co dziesięć sztuk, żeby rozluźnić ręce i rozciągnąć drętwiejące palce. Myśli wracają do Mitcha. Nie potrafię tego powstrzymać. Mam wrażenie, że ludziom łatwiej byłoby zrozumieć, gdyby nasz związek zakończyła jakaś jatka, ale nic takiego nie miało miejsca.

Mitch był pod każdym względem idealny. Grzeczny. Odnoszący sukcesy. Uprzejmy. Miał chyba każdą cechę, jakiej kobieta mogłaby oczekiwać od kandydata na męża.

Ale przesadna doskonałość nie zawsze jest pożądana. Szczególnie gdy sama jestem daleka od doskonałości. Jakim cudem mogłam się w ogóle łudzić, że go poślubię i sprostam niedorzecznie wyśrubowanym w jego rodzinie wymaganiom dotyczącym roli żony i jej zachowania?

To był klasyczny przypadek typu *to nie przez ciebie, tylko przeze mnie*. I to ja noszę wielką, lśniącą koronę odpowiedzialności, zupełnie jakby miało nie być jutra.

Mimo tej doskonałości Mitcha brakowało mi u niego namiętności. Nie chodziło tylko o to, że byliśmy już ze sobą kilka lat, lecz raczej o to, że nigdy jej między nami nie było. Zlekceważyłam to od pierwszego dnia naszej znajomości, bo jeśli facet traktuje Cię tak dobrze, jak Mitch mnie, a przy tym jest tak świetną partią, że przyjaciółki nieustannie Ci o tym przypominają z zazdrością w oczach, to chyba nie powinnaś czepiać się takiego drobiazgu, prawda?

Ale chodziło nie tylko o to. Mitch nigdy nie rozumiał, dlaczego wolę wyrabiać ciasto w specjalnej kadzi i mieć włosy usmarowane różowym lukrem, niż celebrować rozpoczęcie wiosny w Małej Lidze na jakiegoś rodzaju imprezie towarzyskiej, która była raczej pretekstem do kupienia sobie nowej sukienki i butów na czerwonych podszewkach. Albo dlaczego herbata z jego matką — podczas której gadała jak najęta, poruszając

wyłącznie płytkie tematy — nudziła mnie na śmierć, natomiast kilka godzin wolontariatu w lokalnym schronisku, czyszczenie psich legowisk i opiekowanie się samotnymi kudłatymi maleństwami uważałam za dobrze spędzone popołudnie.

Bo nie było szans, żebyśmy mogli mieć własnego psa. Dla Mitcha psy to sierść, a sierść to brud, a ja byłam już dla niego wystarczająco brudna od lukru i posypek.

Nie chodziło o różnice w wychowaniu, bo przeciwieństwa często się przyciągają. To była raczej kwestia codziennych potrzeb i pragnień.

On chciał, żebym siedziała w domu i nie pracowała, nie przyjmując do wiadomości mojej potrzeby wychodzenia do ludzi i tworzenia czegoś dla własnej satysfakcji. Cotygodniowa dawka zaplanowanego seksu była w porządku, ale nigdy nie spełniła mojej wewnętrznej potrzeby przeżycia wstrząsającego ziemią orgazmu, jakim chwaliły się niektóre przyjaciółki. A jego wiadomości w środku dnia nie wywoływały we mnie automatycznego uśmiechu. Raczej kuliłam się w sobie na myśl, że znowu coś pochrzaniłam.

Potrząsam głową i przypominam sobie dzień, w którym nieoczekiwanie to wszystko do mnie dotarło. Zbyt dużo czasu spędziłam na obsesyjnym dopracowywaniu każdego szczegółu naszego ślubu, dążąc do tego, by wszystko było idealne, bo przecież jeśli ślub będzie idealny, to małżeństwo też powinno takie być, prawda?

Nie byłam jednak ślepa na własne ściemy. Tak bardzo skupiałam się na wyborze przysiąg, ozdób na stoliki i przekąsek do wyboru, że gdy w końcu zdarzył mi się wolny dzień, a Mitch miał klubowy weekend z kolegami, uderzyło mnie to jak tona cegieł.

— Jakaś część mnie, której w tej chwili nie cierpię, uważa, że jesteś *genialna*.

Słowa Rydera wyrrywają mnie z natłoku myśli, które od sześciu miesięcy nie pozwalają o sobie zapomnieć. Podnoszę głowę i po raz pierwszy od godziny swobodnie się uśmiecham.

— Zajęło ci to, hm, ile? Prawie dwadzieścia osiem lat potrzebowałeś na zrozumienie czegoś, co dla mnie od początku było oczywiste — że to ja jestem bystrzejsza z naszej dwójki?

— Śnij dalej. — Przewraca oczami.

— To o co ci chodzi?

— Muszę zaznaczyć, że nadal uważam twój pomysł za beznadziejny, ale całkiem prawdopodobne, że byłaś blisko czegoś dobrego.

— Mój pomysł? O czym ty mówisz?

— Od jak dawna prowadzisz własną działalność? Od dziesięciu miesięcy?

— Licząc od momentu otworzenia tego sklepu, raczej osiem. Dlaczego? Co mi umyka? — Odkładałam strzykawkę i opieram się pośladkami o blat.

— Przez cały ten czas ani razu nie przyszło ci do głowy, że ta machina, jaką jest rodzina Laytona, może mieć wpływ na twoją sprzedaż? — Parskam śmiechem w odpowiedzi, odruchowo dyskredytując jego teorię. — Nie, serio, Say. Wiem, że to duże miasto i tylko jedna rodzina, ale są tu dobrze znani. Wujek Mitcha jest kongresmenem, a jego ojciec ma w rękach pół miasta. Myślę, że całkiem sensownie można założyć, że...

— Wątpię, żeby Laytonowie mieli miejsce w swoich wypełnionych harmonogramach na sabotowanie cukierni Sweet Cheeks. Mają na głowie własne państwo

w państwie czy coś.

— Nie to chciałem zasugerować.

— No to mów wprost. — Cierpliwość. Skończyła się.

— Rzecz w tym, że gdy dochodzi do rozstania, ludzie odsuwają się od osoby, którą uważają za winną, prawda? Zazwyczaj trzymają stronę osoby, która w ich odczuciu została pokrzywdzona.

Zerkam na niego podejrzliwie.

— Mam zakładać, że to mnie uznajesz za osobę winną? — Krzyżuję ręce na piersiach, nie cierpiąc się za to, że jego słowa mnie kłują.

— Tak. I nie. — Podchodzi krok bliżej, zanurza palec w jedną z pustych strzykawek i zlizuje wyciągniętą odrobinę lukru. — Znajomi Mitcha pokazali już, że są płytcy i mają o tobie złe zdanie. Dowodem jest to, że praktycznie wyrzucili cię ze swojego życia po twoim odejściu od Mitcha. Co więc powiesz na to, żebyśmy odwrócili karty?

— Jesteś kochany, bracie i na pewno masz coś ważnego do przekazania. Ale serio, nie nadążam za twoim rozumowaniem i mam jeszcze z milion babeczek do polukrowania. Czy mógłbyś więc łaskawie wyjawić, do czego właściwie zmierzasz, żebym mogła wrócić do pracy?

— Wszystko jest kwestią percepcji.

Prycham i przewracam oczami.

— I jak niby ten mój ponoć genialny pomysł miałby zapewnić nagły sukces mojej firmie poprzez zmianę percepcji przez moje byłe przyjaciółki? Po tym, jak zostałam potraktowana, i tak nie miałabym zamiaru odnawiać tych znajomości.

— Twój wybuch podsunął mi pewien pomysł.

Co?

— Ja żartowałam, Ryder. — Czuję na plecach niepokojące mrowienie.

— Proszę, po prostu mnie wysłuchaj. — Wykonuje dłońmi gest otwartych ramion, a jego twarz mówi: *wyluzuj, Saylor*. — Załóżmy, że pojawisz się na weselu z kimś, kto będzie przystojniejszy, bardziej wpływowy czy w *jakikolwiek sposób lepszy* w ich oczach od ich najlepszego przyjaciela Mitcha. Moim zdaniem na pewno zaczęliby patrzeć na ciebie w innym świetle.

— To niedorzeczne — wypluвам z siebie i natychmiast ganię się w myślach za to, że automatycznie bronię ludzi, którzy mnie skrzywdzili.

— Dla nas, owszem. My wiemy, że w wyborze przyjaciół nie należy kierować się wielkością konta bankowego, ale sądząc po tym, jak się zachowali, oni najwyraźniej tego nie wiedzą.

— Jasne. Zgadzam się. Jeśli tak jest, to całkiem słusznie już się z nimi nie przyjaźnię — stwierdzam i wracam do babeczek, bo nie chcę marnować czasu na myślenie o nich lub o tym, do czego zmierza Ryder.

— Kompletnie nie rozumiesz, co próbuję ci powiedzieć.

— No to to powiedz.

— Myślę, że powinnaś iść na to wesele. I zrobić dokładnie to, co powiedziałaś w żartach — mówi i uderza dłonią w stół masarski dla podkreślenia swoich słów. — Wejść z wysoko podniesioną głową i zachowywać się, jakby odejście od Mitcha było najlepszą

decyzją w twoim życiu, nawet jeśli jego widok sprawia, że czujesz się, jakbyś dostała pięścią w brzuch. To, że pokonasz tysiące mil i będziesz miała jaja, żeby się tam pojawić, samo w sobie będzie bardzo wymowne, zanim jeszcze się odezwiesz.

Oszalał. Kompletnie oszalał.

— Zapominasz o jednym drobiazgu. Nie mam jaj. — Próbuję rozluźnić atmosferę. I zmienić temat.

— Ha, ha, ha. Weź przestań, mówię poważnie.

— Ja też. — Jakim cudem przeszedł od wysłuchiwania mojego wybuchu do uznania go za dobry pomysł? Wzdycham. — I co? Myślisz, że gdy pokażę im swoją pewność siebie, to w jakiś sposób wesprą moją działalność? Przecież pieczenie babeczek nie rozwiąże problemu głodu na świecie czy czegokolwiek innego. To bardzo naciągane.

— Może. A może nie. Skoro jednak rzuciłaś złotego chłopca i nie ucierpiałaś na tym, a do tego masz odwagę pokazać się na weselu, to oni siłą rzeczy będą się zastanawiać nad tym, co takiego wiesz, czego oni nie wiedzą.

— Nadal uważam, że oszalałeś, Ryd, i cieszę się, że nie patrzę na świat przez ich snobistyczne okulary.

Błyska tym samym zawadiackim uśmiechem, który ma od dzieciństwa.

— Pomyśl o tym w ten sposób: gdy byłe przyjaciółki zobaczą w tobie tę nieznaną wcześniej pewność, uznają, że kosisz nieprzyzwoity szmal na swojej cukierni — wyjaśnia, unosząc brwi, a ja przewracam oczami. — A ponieważ są płytkie, wyczuwają w powietrzu ten szmal i pomyślą, że muszą odwiedzić twój sklep i przekonać się na własne oczy, co się w *tobie* zmieniło.

Stoimy naprzeciw siebie po dwóch stronach stołu, a Ryder taksuje mnie spojrzeniem, próbując wybać, czy się z nim zgadzam. Przyznaję, że ma trochę racji. Pamiętam, że gdy jeszcze się z nimi przyjaźniłam, często wysłuchiwałam plotek przy lunchu, że tym i tym na pewno się powodzi. Takie dyskusje często kończyły się wnioskiem, że może powinniśmy to sprawdzić na własne oczy.

Trudno mi uwierzyć w to, że ta myśl sprawia mi przyjemność, czy w to, że seria zbiegów okoliczności doprowadziła do takiej rozmowy. Wszystko zaczęło się od niewinnego wyobrażania sobie paniki Mitcha. Potem okazało się, że odpowiedź została wysłana. A teraz to? Ryder uważający, że powinnam pójść na wesele, żeby ocalić cukiernię?

Nie wierzę w to, że dostrzegam pewien sens w jego słowach.

— Być może — mruczę w końcu, po czym odrywam od niego wzrok i zaczynam kolejną serię identycznych babeczek. Denerwuję się na niego, że mówi całkiem do rzeczy, i na siebie, że w ogóle znajduję przyjemność w tej konwersacji. Nagle uświadamiam sobie, jak ją zakończyć raz na zawsze. — Zapominasz o jeszcze jednej kwestii, Ryder. Musiałabym mieć przystojnego faceta, który jest we mnie szaleńczo zakochany. Czy nie to właśnie powinny zobaczyć moje *przyjaciółki*, żebym w ogóle mogła liczyć na powodzenie tego przedsięwzięcia? Wiesz, jak wyglądają ostatnio moje randki. Netflix i nutella dostarczają mi największych wrażeń. A wynajmowanie mężczyzny do towarzystwa, który poleciałby ze mną za granicę, absolutnie odpada. Tak mi przykro.

Podnoszę wzrok. Nie potrafię odszyfrować błędzącego na jego ustach uśmiešku,

jest w nim jednak coś, co każe mi się wyprostować. Patrzymy sobie w oczy, a on potakuje nieznacznie, pocierając dłonią szczękę.

— Przychodzi mi do głowy kilka możliwości.

— Przestań — odszczekuję. — Jesteś stuknięty. Ta rozmowa jest skończona. —
Odwracam się do babeczek, żeby definitywnie uciąć temat.

Ale Ryder się nie porusza. Stoi i nadal mnie obserwuje. Nienawidzę każdej sekundy tej sytuacji, ale nie podnoszę wzroku i nie wypowiadam ani słowa.

Ta rozmowa jest skończona.

Rozdział 2

Hayes

— Wiesz, jak bardzo cię pragnę? — pytam. Obejmuję ją dłońmi, jej twarde sutki przywierają do mojej klatki piersiowej. Zimny jedwab pościeli muska moje pośladki, gdy ocieram się o jej gorące uda.

— Pokaż mi. — Tessa z trzepotem rzęs zamyka oczy i przywiera ustami do moich ust. Mój członek twardnieje. Nie sposób wyrzucić z głowy wspomnień wczorajszej nocy — jej pocałunków, jęków, paznokci — gdy robiliśmy *to* naprawdę. Skóra na skórze. Bez peruki łonowej i symulującego pot sprayu glicerynowego. Bez gorąca promieniującego z reflektorów scenicznych i obserwujących nas oczu członków ekipy. A raczej obserwujących *ją*, bo jej ciało to istny wizualny orgazm.

Chodzi o Saylor. Ona potrzebuje twojej pomocy.

Zapominam, co miałem powiedzieć. Wykute na blachę słowa wypadają mi z głowy, gdy po raz kolejny przychodzi mi na myśl otrzymana wcześniej wiadomość. Ciało Tessy sztywnieje, jej twarz wykrzywia się z irytacją i wiem, że już nie mam szans wybrnąć z tego, że umknęła mi moja kwestia.

— *Cholera*. Sorry. — Siadam na piętach i zaczynam pocierać twarz, szybko jednak przerywam, żeby nie rozmazać efektu kilkugodzinnej pracy charakteryzatorki, czyli podbitego oka i blizny ze szwami na policzku. Zamiast tego drapię się po nosie i spoglądam na Tessę. Piękną, seksowną Tessę, która patrzy na mnie spod długich rzęs, a jej pokryta grubą warstwą makijażu twarz jest wykrzywiona w szyderym uśmiechu. Wkurzyła się, bo nie potrafię się dziś pozbierać do kupy, gdyż ciągle coś mnie rozprasza.

To nie tak, że nie znam swoich kwestii. Reżyser na pewno myśli, że imprezowałem do późna i nie przerobiłem scenopisu na dzisiejszy piętnastogodzinny maraton zdjęciowy. To ostatnie, czego mi potrzeba — wkurzyć go, zmusić do robienia milionów powtórek i doprowadzić do jednego z tych słynnych, starannie upublicznianych gwiazdorskich wybuchów Tessy.

Zasłużyłem sobie na krytykę. Ale na wybuch nie.

Jak na ironię, Tessa dokładnie wie, gdzie byłem poprzedniej nocy. Na niej. Pod nią. *W niej*. Przez całą noc.

Jeśli jednak wybuchnie, to to, co zaszło między nami wczorajszej nocy, w jakiś sposób wypłynie. Nie potrafi trzymać języka za zębami, gdy jest wściekła, a to nie wróży najlepiej moim staraniom, by nie rzucać się w oczy. Bo chociaż jest to zamknięty plan zdjęciowy, ludzie będą gadać. Gadanie przecieknie do tabloidów. Te zaczną węszyć, a w mojej aktualnej sytuacji węszenie oznacza katastrofę.

Owszem, przyjmuję odpowiedzialność za pozostałe wpadki i godzę się z podejrzeniami brukowców o zdradę, ale wolałbym, żeby nadal były to tylko podejrzenia, a nie zweryfikowane fakty.

Poza tym schrzaniłem. Nie miałem zamiaru wikłać się w relację z Tessą.

Ćwiczyliśmy kwestie na dzisiaj. Tę scenę seksu... i jakoś samo się tak potoczyło.

Nie żebym narzekał, bo Tessa Gravestone to dla większości mężczyzn idealny materiał na prywatne sesje masturbacyjne.

Ale gdy patrzę, jak leży na łóżku, demonstrując swoje idealne piersi — zgodnie z wyznawaną przez nią teorią, że skoro za nie zapłaciła, to ludzie powinni je oglądać — wzdycham tylko i potrząsam głową, a z moich ust wydobywają się kolejne przeprosiny.

Najgorzej, że chociaż próbuję sobie wmówić, że było wczoraj świetnie i że to przez pragnienie powtórzenia tego doświadczenia zapominam swoich kwestii jak jakiś początkujący aktor świeżo po wstąpieniu do związku zawodowego, *to wcale tak nie jest*.

Przyczyną mojego rozkojarzenia nie jest też napięcie związane z chęcią zapanowania nad tym, do czego doszło z Tessą, ani nad tym, co tabloidy wypisują o Jennie, czy czymkolwiek innym.

Wszystko przez pieprzonego Rydera. Nie widziałem się z nim od ośmiu miesięcy i nagle, ni stąd, ni zowąd, kontaktowaliśmy się dwukrotnie w ciągu jednego tygodnia. Owszem, planujemy się spotkać, gdy w końcu wrócę do domu po raz pierwszy od nie wiadomo jakiego czasu, ale nie dlatego zapominam swoich kwestii. Wszystko przez jego cholerną wiadomość.

Zwykłą prośbę. Wzmiankę o jedynej o sobie, o jakiej zgodnie z niepisaną umową mieliśmy nigdy nie wspominać: o *Saylor*.

Ale i tak nie mam zamiaru przyznać, że to przez zobaczenie jej imienia nie umiem się skoncentrować.

— Hayes? — To głos reżysera.

— Tak? — Podnoszę wzrok, odrywając się od wspomnień długich, opalonych nóg zwieszonych z pomostu, ciepłych letnich wieczorów, gdy całowaliśmy się w domku na drzewie, z którego dawno wyrosliśmy, i mojego imienia na plecach mojej kurtki, gdy szła w niej chodnikiem w stronę drzwi do swojego domu.

Wszyscy ludzie na planie filmowym patrzą na mnie. Czas to pieniądz. A ja go marnuję na rozmyślenia o przeszłości. O innym życiu, od którego uciekłem, lecz mam wrażenie, jakbym nagle został z powrotem w nie wciągnięty.

Wszystko przez jedno zwykłe imię.

— Przepraszam, rozproszyłem się.

Tessa wypycha piersi — różowe sutki aż kłują w oczy — myśląc, że to ona jest przyczyną mojego rozproszenia. Tłumię pokusę przewrócenia oczami. Gryzę się w język, bo mam ochotę powiedzieć jej, że wcale nie jest taka świetna, chociażby po to, żeby trochę przygasić jej ego, które z każdym dniem staje się coraz większe.

— Czy jesteś już *nierozproszony*? — pyta reżyser. W pomieszczeniu rozlegają się chichoty, oświetleniowcy i kamerzysta zakładają, że to mój penis mnie rozprasza. *Zrozumiałe*. Założę się, że na widok Tessy część z nich postawiła namiocik.

Tessa uśmiecha się z zadowoleniem z siebie, gdy wstaję z niej i wracam na swoją pozycję startową w tej scenie.

— Tak. Zacznijmy od nowa. Tym razem się nie rozproszę.

Dzięki tej uwadze przynajmniej trochę się pośmieją.

Godziny zlewają się w jeden ciąg. Ujęcie za ujęciem. Kwestia za kwestią. Wszystko

powtarzamy, aż zostanie uznane za idealne przez cenionego reżysera, Andy'ego Westina. Mój główny powód, dla którego zrobiłem wszystko, by dostać tę rolę. Żeby mieć niepowtarzalną szansę na pracę z nim. I uczenie się od niego.

Wkładam wszystko w swoją postać. Każę sobie odrzucić wszystkie zakłócenia. *Zignorować wszelkie myśli o Saylor*. Jakoś brnę przez tę pierwszą część dnia i na szczęście dla mnie udaje nam się wyprzedzić grafik.

Gdy o szesnastej robimy przerwę na lunch, zjadam coś na szybko w kantynie i wracam do swojej przyczepy, żeby trochę ochłonąć.

Przy wejściu wita mnie komórka zostawiona w kąciku jadalnym. *Ta* wiadomość wciąż krąży mi po głowie. Tak samo jak kobieta, której dotyczy.

Kładę się na kanapie z zamiarem zdrzemnięcia się do końca dziewięćdziesięciminutowej przerwy. Opieram nogi na jednym oparciu, a głowę na drugim. Przywołuję w pamięci następną scenę. Wszystkie kwestie mam w małym palcu. Tym razem nie mogę niczego spieprzyć.

...Saylor...

Emocje, które przekażę, i intonacja, z jaką wypowiem poszczególne słowa skryptu.

...siedemnastoletnia dziewczyna, którą zostawiłem...

Wyrazy twarzy, które muszę przybrać, żeby wyrazić rozterki wewnętrzne mojej postaci.

...słodkie uśmiechy, miękkie usta, mój nastoletni świat...

Działania i zachowania, którymi pokażę jego rozdarcie, gdy uprawia seks z kobietą, którą podejrzewa o przyczynienie się do zamordowania swojego ojca, lecz mimo to nie potrafi jej nie kochać.

...jedyna rzecz, jakiej żałuję...

— Niech to szlag. — Pocieram twarz z frustracji. Muszę się skupić. Skoncentrować. Ale nie na Saylor. Nie na dziewczynie, z którą nawet się nie pożegnałem. Nie na niedotrzymanych obietnicach. Nie na drzwiach, które zamknąłem z trzaskiem, żeby nie czuć się jak egoistyczny palant, jakim byłem, goniąc za swoimi marzeniami i ignorując ją.

Cholera. Zdumiewające, jak jasne światła dużego miasta potrafią przyćmić wszelkie wspomnienia. Rozmazać je. Utwierdzić w podjętej decyzji sukcesem, jaki mi przyniosły.

Wystarczyła jednak jedna wiadomość od mojego najdawniejszego przyjaciela, który nigdy mnie o nic nie prosił, żeby wszystko wróciło.

Chodzi o Saylor. Potrzebuje Twojej pomocy, a Ty miałeś u mnie dług. Zadzwoń, gdy będziesz mógł.

Do licha. Próby wyrzucenia jej z pamięci są jak próby przypomnienia sobie kogoś, kogo nigdy nie widziałem. *To po prostu niemożliwe*. Niezależnie, jak bardzo staram się nie myśleć o wiadomości Rydera, ona wciąż tam jest.

I to bardzo wyraźna.

Bo nic tak nie poprawia pamięci jak chęć zapomnienia.

Rozdział 3

Saylor

— Pasuje ci ten kolor.

Odrywam wzrok od babeczek i odwracam się do DeeDee.

— Bardzo śmieszne — odpowiadam.

— Niech zgadnę: byłaś ty kontra lukier i lukier wygrał?

— Aż tak źle? — Unoszę dłoń, żeby poprawić włosy, ale powstrzymuję tę naturalną reakcję, bo dłonie także mam całe w lukrze.

DeeDee uśmiecha się szerzej, gdy ogląda przykre skutki prób zrobienia zbyt wielu rzeczy naraz. Na przykład sięgania po telefon z włączonym mikserem. Oczywiście łopatki się wynurzyły i rozbryzgały niebieski lukier po całym pomieszczeniu.

Chociaż powinnam raczej powiedzieć: na mnie. Jeśli fartuch można traktować jako wyznacznik mojego wyglądu, to prawdopodobnie moje włosy wyglądają, jakby ktoś wysypał na mnie spore pudło confetti.

— Nie. Raczej *typowo*.

Śmieję się i przychodzi mi do głowy, że to jedna z cech, które wzbudzały u Mitcha niebotyczną irytację. Zawsze potrafiłam tak zatracić się w pracy, że nie przejmowałam się tym, iż cała jestem w składnikach. Zdarzało się, że wsiadałam do jego samochodu i przez przypadek brudziłam robione na zamówienie skórzane fotele jego cennego Mercedesa ciastem, lukrem lub — Boże uchronaj — posypką.

— Domyślam się, że to wyjaśnia, dlaczego w kwestii randek mam ostatnio takie powodzenie, co?

— Ja też jestem podobnie rozchwytywana — odpowiada, odrywając oczy od komputera i unosząc brwi. — Sprawdzam dla ciebie media społecznościowe.

— Na pewno na prośbę Rydera.

Wybucha szczerym śmiechem, bez słowa udzielając mi odpowiedzi.

— Matka panny młodej z zeszłego tygodnia wrzuciła tweeta, że babeczki były wspaniałe i że pragnie ci podziękować. Napisałam do niej z pytaniem, czy chciałyby nas polecać. Zgodziła się i zaproponowała, że zarekomenduje Sweet Cheeks menedżerce cateringu, z którą współpracuje w centrum konferencyjnym.

— Naprawdę? — Mimo dziewięciu godzin pracy, jakie mam za sobą, uśmiecham się na myśl o dostaniu się na tak obleganą liczbę dostawców.

— Tak. Trzymamy kciuki, żeby dotzymała słowa. Widzisz? To jest potęga mediów społecznościowych. — *Ktoś tu ostatnio zbyt często rozmawia z Ryderem.* Potrząsam głową na tę myśl, a DeeDee wstaje i podchodzi do mojego stolika.

— Wow, wyglądają świetnie. To zamówienie od rodziny Rosemont, które dostaliśmy wczoraj? — Podchodzi bliżej, żeby przyjrzeć się stu dwudziestu babeczkom, które właśnie kończę ozdabiać. Wszystkie są udekorowane na wzór niebieskiego munduru marines, włącznie z odpowiednimi belkami i oznaczeniami.

Przechylałam głowę, oceniając swoją pracę i zadowolona z jej efektu przytakuje.

— Tak. Są na stypę. On był emerytowanym żołnierzem marines.

— I z tego, co widzę, dostał wiele odznaczeń.

— Na to wygląda.

— Chcesz, żebym je dostarczyła?

— Nie trzeba, sami po nie przyjadą po piątej. — Zerkam na zegar na ścianie i wzdrygam się. Zostało mi tylko czterdzieści minut na dokończenie pracy.

Dzwonek przy drzwiach obwieszcza wejście klienta i DeeDee się uśmiecha.

— Mecz się chyba skończył. Zajmę miejsce za ladą — stwierdza i wychodzi do przodu, żeby przywitać klientów. Dzięki Bogu za ten mecz, a raczej serię baseballowych rozgrywek w mistrzostwach stanowych, które odbywały się w szkole średniej przy tej samej ulicy. W tym tygodniu pojawiło się mnóstwo nowych twarzy skuszonych ulotką z hasłem *kup trzy, dostaniesz jedną za free*, którą rozpowszechniliśmy w całej szkole, czego efektem było zwiększenie sprzedaży.

W tej chwili cieszę się z każdego, nawet najmniejszego triumfu.

Powtarzający się co jakiś czas odgłos dzwonka przy drzwiach poprawia mi humor. Dokańczam kilkanaście ostatnich umundurowanych babeczek, po czym pakuję wszystkie do pudeł i zabieram w miejsce za ladą na skompletowane zamówienia. Wiem, że Ryder będzie zadowolony z paragonów z tego tygodnia, a to bardziej niż cokolwiek innego daje mi nadzieję na utrzymanie mojego marzenia przy życiu.

Niebo zaczyna już nieco blaknąć, gdy po wyjściu z zaplecza przyjmuję kilka zamówień telefonicznych. Mam ogromną ochotę pójść na górę do mieszkania i wziąć szybki prysznic, uznaję jednak, że jeśli poczekam do zamknięcia, wynagrodzę to sobie gorącą kąpielą z lampką wina.

Dzwonek dzwoni po raz kolejny.

— Dobry wieczór — mówi męski głos. Coś w nim każe mi się zatrzymać. Czekam na tyle długo, żeby zauważyć, że DeeDee nic nie odpowiedziała.

— Dee? — wołam, ruszając w stronę drzwi do sali sprzedaży. Dostrzegam ją, jak stoi z szeroko otwartymi oczami i ustami, patrząc prosto przed siebie. Odruchowo chcę przeprosić klienta za jej niegrzeczność, ale słowa — tak jak i serce — zatrzymują się nagle, gdy w moim polu widzenia pojawia się stojący przed ladą człowiek.

Trafiam wzrokiem w jego czekoladowe łączówki i mam wrażenie, jakby każda cząstka mnie zatoczyła się do tyłu, mimo że stoję jak wmurowana. Na ustach mężczyzny powoli wykwita zadziorny, lecz ostrożny uśmiech.

Te usta. Usta, które szeptały mi czule słówka. Kłamstwa. Mówił, że zostanie na zawsze. Lecz mimo to odszedł bez słowa.

Czuję się, jakby z pomieszczenia wyssano całe powietrze. Z trudem biorę długi wdech, gdy patrzymy na siebie, jakby zatrzymał się czas.

Bo to on.

Hayes Whitley.

Dojrzała wersja chłopca, który odszedł dawno temu. Bez słowa rzucił mnie i to, co między nami było. Swój odejściem złamał mi serce w każdy możliwy sposób i skradł coś więcej niż tylko moją niewinność.

Mijają sekundy. Są jak te pierwsze tygodnie po jego odejściu — długie, pełne zagubienia i bolesne. Myślałam, że już dawno mi przeszło, ale poczucie zranienia wróciło i uderzyło mnie z podwójną mocą.

Ale nie ma mowy, żebym dała coś po sobie poznać.

— Ships Ahoy. — Jego głos... jedwab przeciągnięty przez żwir. Jak to możliwe, że mimo tych wszystkich zdarzeń wciąż wywołuje ciarki na moich plecach? Jakim cudem to głupie przezwisko, którego nie słyszałam od niemal dziesięciu lat, sprawia, że przechodzą mnie ciarki, a w mojej głowie pojawiają się wspomnienia, jakie dawno z niej wyrzuciłam? Dlaczego skłania mnie to do wypowiedzenia imienia, którego obiecałam sobie już nigdy nie mówić?

— Hayes. — Mój głos jest spokojny. Równy. W mistrzowski sposób maskuje łomoczący puls i nagły napływ wszelkich możliwych emocji.

— Kopę lat, Saylor. — Już się nie uśmiecha, patrzy tylko na mnie intensywnie ze ściągniętymi ustami i swobodnie zwieszonymi po bokach dłońmi.

— Całe życie. — Odrywam od niego wzrok, rozglądam się po rozwijającej się cukierni i nagle czuję się gorsza. Przytulny, mały sklepik w porównaniu z jego wyjątkowo głośną karierą. Wycieram w fartuch spocone dłonie i czuję przy tym zapach lukru, ale jestem zbyt przytłoczona tym ponownym spotkaniem, żeby przejmować się drobiazgami. Podchodzę kilka kroków. Nagle czuję się strasznie nerwowo. Całe szczęście, że dzieli nas kontuar. Jakaś bariera. Dystans. *Cokolwiek*, co zakłóci czar roztaczany nade mną przez te jego oczy.

Zerkam na DeeDee. Nie mam siły zastanawiać się nad szokiem wymalowanym na jej twarzy przez to, że słynny łamacz serc i hollywoodzki gwiazdor Hayes Whitley stoi przed ladą w Sweet Cheeks, lub przez to, że najwyraźniej skądś mnie zna.

Zapada niezręczna cisza, zintensyfikowana przez całe lata niewyjaśnionych kwestii. DeeDee zerka to na mnie, to na Hayesa, w końcu kiwa głową, jakby domyśliła się, że potrzebujemy chwili dla siebie. Rzuca jeszcze ostatnie spojrzenie na Hayesa, po czym zostawia nas samych.

Odwracam się za nią i patrzę, jak wychodzi do strefy kuchennej, bo chcę zyskać kilka sekund na pozbieranie się z szoku, jakim jest to ponowne spotkanie. W końcu jednak znika w drzwiach, więc nie mam wyboru, muszę się z nim zmierzyć. Nie wiem, co powiedzieć, więc komentuję cokolwiek, byle zignorować słonia w pokoju.

— Gratuluję tych wszystkich sukcesów.

— Dzięki. — Jego głos jest łagodny, niemal przepraszaający, i skłania mnie do przyjrzenia się bliżej niewypowiedzianym pytaniom, które dostrzegam w jego oczach. Otwiera usta, by coś powiedzieć, ale przerywa. Waha się. Spogląda na babeczki w pudle obok mnie, po czym wraca spojrzeniem do mnie. — Wyglądasz świetnie, Saylor.

Jego nieoczekiwane słowa zupełnie mnie zaskakują. Denerwuje mnie ten prosty komplement. Jakaś mała część mnie wiwatuje, że pochwalił mój wygląd, ale dobrze wiem, że kłamie. Nikt nie wygląda ładnie upstrzony niebieskimi kropkami.

Ale to dobrze, że przypomniał mi, jaki potrafi być uprzejmy, bo łatwiej mi będzie okiełznać tę mieszaninę zalewających mnie emocji. Poufałość wynikająca ze spotkania dawnego znajomego i gorzyc bycia porzuconą przez swoją pierwszą miłość.

Wolałabym trzymać się goryczy i gniewu, niż przyjąć do wiadomości tę ulotną iskierkę nadziei, którą moja nastoletnia dusza najwyraźniej gdzieś zachowała. *Może któregoś dnia Hayes do ciebie wróci.*

Nawet tak nie myśl, Saylor. To nie dlatego tu przyszedł. Poza tym wrócił dziesięć lat za późno.

— Dziękuję. Ty też. — Chrząkam. Chaotycznie błędę wzrokiem. Próbuje się skupić na tym, by przez najbliższe kilka chwil nie wyrzucić z siebie tych wszystkich pytań na temat jego odejścia, które przez lata sobie zadawałam. Mówię sobie, że powinnam odpuścić. Bo przecież już próbowałam. Pisałam wiadomości, dzwoniłam, ale bez żadnego odzewu z jego strony. Gdyby chciał mi coś wyjaśnić, coś by odpowiedział.

Ale tego nie zrobił.

Koniec kropka.

Ale cisza się przeciąga, więc w końcu wracam spojrzeniem do niego.

Obserwuję go.

Czas był dla niego bardzo łaskawy. Ma na sobie ciemną koszulę i designerskie jeansy, które wyglądają na znoszone, ale z pewnością kosztowały więcej niż nowa witryna, którą chciałabym kupić. Wciąż jest tak surowo przystojny jak kiedyś i wciąż ma w sobie tę tajemniczą nutę, która przyciągała mnie do niego, gdy byłam nastolatką, lecz teraz jego twarz nabrała charakteru. Ma więcej linii i zmarszczek, które dodają mu dojrzałości i skłaniają do refleksji nad tym, co widziały jego oczy. Jego ciało jest większe, szersze i pełniejsze w porównaniu z nastolatkiem, którego znałam, ale to jego oczy najbardziej mnie absorbują. Mają ten sam ciepły odcień brązu, te same ciemne rzęsy, lecz nieznaną mi wcześniej intensywność. Sposób, w jaki na mnie patrzy — intensywnie i dogłębnie — sprawia, że wszelkie słowa gasną na moim języku bez dźwięku.

— Rozmawiałem z Ryderem w zeszłym tygodniu. Powiedział mi o cukierni, więc pomyślałem, że zajrzę, gdy będę w okolicy.

Patrzę na niego i gorączkowo zastanawiam się nad tym, dlaczego mój brat miałby mówić Hayesowi cokolwiek na mój temat. Lata temu poważnie się pokłóciliśmy, gdy się zorientowałam, że on i Hayes od czasu do czasu się spotykają. Byłam wściekła i czułam się zdradzona przez obu. Hayes nie mógł odebrać mojego telefonu i ze mną pogadać, więc dlaczego rozmowa z Ryderem nie stanowiła dla niego problemu? I dlaczego Ryder nie miał nic przeciwko przyjaźni z Hayesem po tym, jak zostałam przez niego skrzywdzona? Jedynym rozwiązaniem, jakie potrafiliśmy wtedy wymyślić, była polityka typu *nie pytać, nie wspominać*. Nie pytałam, czy Ryder rozmawia z Hayesem, a on nie mówił mi, gdy to robił. A do tego kazałam mu przysiąc, że nigdy nie będzie tematem ich rozmów.

Więc albo Ryder okłamywał mnie przez cały ten czas, albo zaszło coś, co kazało mu złamać tę ostatnią część naszej umowy.

Przychodzi mi do głowy kilka możliwości.

Słowa Rydera odzywają się w mojej głowie, wszystkie elementy nagle składają się w całość i wywołują trzepot paniki głęboko w moim wnętrzu. Porozumiewawcze spojrzenie, które rzucił, gdy to mówił. Nagłe pojawienie się mężczyzny, który z całą pewnością cieszy się większym powodzeniem niż Mitch czy jakikolwiek inny Layton. A przy tym jest sławny.

Jasny gwint.

Wbrew temu, co myślałam, mój brat wcale nie zarzucił tej niedorzecznej dyskusji o tym, dlaczego powinnam pójść na wesele Mitcha. Minęło kilka tygodni. *Tygodni!* I nagle ni stąd, ni zowąd pojawia się Hayes Whitley?

W ułamku sekundy dociera do mnie powód jego obecności w tym miejscu. I to, co zrobił Ryder. Powoli zalewa mnie fala upokorzenia, wypłukując doszczętnie wszelką godność.

W jej miejsce pojawia się furia: na Rydera, za skontaktowanie się z jedyną osobą na ziemi poza nim, której opinią się przejmuję; na Hayesa, za to, że przyszedł, co potencjalnie mnie rozbije i wskrzesi dawne uczucia, emocje i wspomnienia, jakich wolałabym nie przywoływać. Chcę być na niego wściekła, bo mnie zostawił, nie odezwał się więcej, a teraz pojawia się z rozbajającym uśmiechem i porozumiewawczym spojrzeniem, sugerującym, że w mgnieniu oka mógłby mnie odzyskać.

Cóż, to mu się nie uda.

— Nie potrzebuję twojej pomocy. — Przelewam całą swoją dumę w to stwierdzenie. W zdemaskowanie przyczyny jego obecności w tym miejscu. Nie chcę, żeby myślał, że wyglądam dobrze, źle czy jakkolwiek inaczej. — Ani twoich komplementów. — Tłumię emocje, które próbują znaleźć ujście w moim głosie. I nagromadzoną przez cały ten czas gorycz.

— Czyżby coś mi umknęło w tej sytuacji? — pyta powoli, a ja patrzę na niego z rękami na biodrach, z pretensjami do całego świata.

— Zabiję go — mruczę pod nosem, postanawiając zogniskować swój gniew na bracie, bo to łatwiejsze, niż pogodzić się z zażenowaniem, jakie odczuwam.

Jego chichot wypełnia pustą cukiernię. Drapie mnie w duszę i otwiera dawno zasklepione rany.

— Dobrze, że powiedziałaś „go”, bo przynajmniej mogę zakładać, że masz na myśli kogoś innego.

— Nie jesteś zbyt daleko za Ryderem na mojej liście ofiar.

— Zawsze łatwo cię było rozdrażnić. — Błysk uśmiechu. Potrząśnięcie głową. Nieugięte spojrzenie.

Nienawidzę tego, że go to bawi. Czuję się jak pośmiewisko. Jakby ze mną pogrywano. Każdy aspekt tej sytuacji jest jak gwałt na mojej wrażliwości. Żywa reakcja mojego ciała na jego obecność — niezaprzeczalne przyciąganie, które wciąż pulsuje pod warstwami żalu — ściera się z zawziętym oporem duszy, by pogodzić się z jego obecnością.

— Prawo do tego, by cokolwiek o mnie wiedzieć, straciłeś dziesięć lat temu.

— To prawda. — Ściąga usta, przytakuje i wsuwa dłonie głęboko do kieszeni, unosząc ramiona, jakby rozumiał moje stanowisko. Nie chcę, żeby mnie rozumiał. Wolałabym, żeby był zarozumiałym dupkiem, bo nie mam ochoty poddać się temu urokowi chłopca z sąsiedztwa, który potrafi włączyć, jakby miał w sobie taki przełącznik.

Wzorcowe upokorzenie. Brat dzwoniący do faceta, który złamał mi serce i proszący go o to, by towarzyszył mi na weselu byłego narzeczonego. Brzmi jak idealny temat dla kiepskiego talk-show.

— Mogłam się domyślić — mruczę do siebie i zastanawiam się, dlaczego uznałam, że sprawa została wyjaśniona. Od tamtej rozmowy Ryder nie wspominał więcej ani o zaproszeniu, ani o weselu Mitcha i cały temat został zapomniany.

Zabiję go.

Powtarzanie tego w myślach poprawia mi nastrój. Cóż, nie do końca, ale łatwiej skupić się na tym niż na czymkolwiek związanym z facetem, którego mam przed sobą.

Zaciskam pięści. Ściągam usta.

Hayes chichocze, lecz ja słyszę w tym protekcjonalność. Drwinę.

— Mogłabyś wyjaśnić mi, dlaczego jesteś...?

— Cokolwiek powiedział ci Ryder, nie potrzebuję już żadnej pomocy... Jestem dużą dziewczynką. Dorosłą kobietą, która potrafi poradzić sobie z własnym życiem, więc dziękuję, ale nie skorzystam. Chciałabym powiedzieć, że świetnie cię widzieć, Hayes, ale tak nie jest. Doceniam twój gest, bo nie jestem aż taką jędzą, ale świadomość przyczyny twojej obecności w tym miejscu jest dla mnie po prostu niekomfortowa. Na pewno bawi cię zjawienie się tu po tym, jak mój brat poprosił cię o zagranie roli partnera, żeby pomóc dziewczynie, którą kiedyś rzuciłeś. — Przerywam na chwilę, żeby zaczerpnąć oddech. Ten potok słów jest niemal jak oczyszczenie. Hayes patrzy na mnie badawczo ze zmarszczonym czołem i potrząsa głową, jakby nie rozumiał do końca, o co mi chodzi. Ciągnę więc dalej, bo odwaga zwycięża z bólem i zażenowaniem, a mój głos zostaje zdominowany przez wrogość. — Słuchaj, minęło sporo czasu, ale nic się nie zmieniło. Nadal jesteś Panem Ideałem, a mi do tego daleko, i ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuję, jest to, że jesteś tu i myślisz, że w czymś pomagasz, lecz koniec końców wszystko się tylko pogorszy. Doceniam więc twój gest, Hayes... naprawdę. To bardzo miłe z twojej strony, ale mam za sobą ciężki dzień, jestem zmęczona, więc zamknę nieco wcześniej i oszczędzę sobie kolejnych krępujących sytuacji. Okej?

Wzdycham głęboko i patrzę na niego z rękami splecionymi na piersiach i zaciśniętymi zębami. Niecierpliwość spływa ze mnie falami, gdy on przetrawia moje słowa. Malujący się na jego twarzy szok z pewnością wynika z tego, że prawdopodobnie nikt mu jeszcze niczego nie odmówił, od kiedy został jednym z najpiękniejszych ludzi magazynu „People”. W tej chwili jednak nie mam siły, żeby w ogóle się tym przejmować.

Do momentu, gdy się odzywa.

— Chyba nie doceniałem twojej umiejętności chowania urazy, Saylor. Ale rozumiem twój gniew. Miałem wtedy swoje powody, ale nie jestem już teraz chłopcem, którym kiedyś byłem. Wiem, że to, co zrobiłem, było tchórzstwem. — Nie podoba mi się ten przeblask emocji w jego oczach, którego nie potrafię odszyfrować. Minęła cała wieczność i nie wiem już nic o mężczyźnie, którym się stał, więc nie mogę nawet snuć domysłów na ten temat. Wiem tylko tyle, że żal w jego głosie trafia do mnie i splata się z moim gniewem, nie umniejsza jednak upokorzenia, jakie czuję w związku z tym, że to mój brat sprowadził tu Hayesa. *Jak on ma teraz nie uznać mnie za desperatkę?*

— Hayes. — Jego imię jest jak prośba, żeby przestał. Błaganie, by odwrócił się i bez słowa wyszedł. Ostrzeżenie, żeby dał mi spokój i zapomniał o tym, co usłyszał od Rydera. Cokolwiek, byle moja wewnętrzna nastolatka uczepiona swej pierwszej miłości nie przebiła się przez fasadę silnej kobiety, jaką się stałam. Przeprosiny to tylko słowa, a

gdy słyszy się je z ust aktora, nie można wierzyć w ich szczerą bardziej niż we własne pragnienie, by im nie ulec.

— W porządku. Rozumiem — mówi, unosząc dłonie w geście poddania. — Odbiorę tylko swoje zamówienie i wyjdę.

— *Zamówienie?* — Mój głos się łamie. To jedno słowo każe mi się wyprostować, gdy na obrzeżach wściekłości pojawia się groza.

Gorączkowo zastanawiam się nad tym, czy miałam jakieś zamówienie na nazwisko Whitley. Żadnego zamówienia dla jego matki. Ani dla żadnej osoby, która mogłaby być powiązana z jego rodziną.

— Tak. Na nazwisko Rosemont.

O mój Boże.

— To nazwisko panieńskie mojej matki.

Krew odpływa mi z twarzy.

— Przyjechałem na pogrzeb wujecznego dziadka.

Nie zjawił się z powodu Rydera. *Ani mnie.* Ani żadnego zawilego planu bycia moim partnerem, żeby mnie uratować.

Cholera. Cholera. Po trzykroć cholera.

— Zaoferowałem się, że je odbiorę, żeby... sam nie wiem. — Wzrusza ramionami, a jego głos jest napięty. — Słyszałem, że to twój lokal, i chciałem zobaczyć, jak ci się wiedzie.

Zrób coś. Powiedz coś. Ale nie robię nic, tylko patrzę na Hayesa jak jeleń w świetle reflektorów. Upokorzenie sięga nowego zenitu, tym razem z zupełnie innego powodu.

— Wujecznego dziadka? — wykrztuszam piskliwym głosem, a on potakuje, nie odrywając ode mnie wzroku. — O mój Boże, Hayes, strasznie mi przykro. Za to, co powiedziałam. Nie wiedziałam, że te babeczki są dla twojego wujecznego dziadka. Ani że zmarł. Ja, ech, ale ze mnie idiotka. — Mamrocze przeprosiny w drodze do chłodzonej witryny i zaczynam się krzątać tak, jakby szybsze przekazanie babeczek mogło w jakiś sposób naprawić mój nieuzasadniony wybuch gniewu. Wyciągam kolejno wszystkie pięć kartonów najszybciej, jak potrafię, z nadzieją, że zajęcie czymś rąk i unikanie w tym czasie kontaktu wzrokowego pozwoli mi odzyskać resztki godności.

— Proszę bardzo — mówię, kładąc na ladzie ostatnie pudło. — Sto dwadzieścia babeczek, zapłacone z góry. Mam nadzieję, że uznasz... to znaczy rodzina twojego wujecznego dziadka uzna, że są godnym odzwierciedleniem jego służby. — Nie odrywam wzroku od pudeł. Mój głos emanuje wymuszonym entuzjazmem, zupełnie jakbym przed chwilą wcale nie zrobiła z siebie kompletnej idiotki.

W moim polu widzenia pojawiają się dłonie Hayesa, które zdejmują z najwyższego pudła pokrywę w różowe i białe paski. Skupiam się na nich. Zawsze miałam słabość do jego dłoni. Zalewają mnie wspomnienia. *Jak leżeliśmy na wełnianym kocu na pace jego półciężarówki. Kołyszące się nad nami gałęzie drzew. Jego ciepło obok mnie. Moje palce wodzące wzdłuż konturów jego dłoni. Rozmowy o przyszłości. O nadziejach. O marzeniach.*

— Saylor?

Jego głos jest jak *déjà vu*, ale otrząsa mnie z myśli, których nie powinnam mieć.

Podnoszę wzrok, żeby spojrzeć mu w oczy i natychmiast wracam do rzeczywistości. Do nerwowości. Do niespodziewanego ułkucia wywołanego przez te wspomnienia.

— Tak?

— Są niewiarygodne. Dziękuję. Mama na pewno będzie zachwycona.

Odruchowo uśmiecham się, gdy myślę o jego mamie.

— Przekaż jej, proszę, moje kondolencje. Gdybym wiedziała, że to o nią chodzi, na pewno bym zadzwoniła. Albo wysłała kartkę. Cokolwiek. — Wzdycham. Niezręczność tej sytuacji nie ma końca. Ciekawość w jego oczach dotycząca powodów mojego wybuchu nie przekłada się na słowa, a ja nie mam ochoty się tłumaczyć. Zerkam na nerwowe palce, po czym wracam spojrzeniem do niego. — Możemy zapomnieć o wszystkim, co powiedziałam? Myślałam... niewłaściwie coś zrozumiałam i... możemy po prostu zachowywać się, jakby ta sytuacja nigdy się nie zdarzyła?

Pięknie proszę... Błagam go wzrokiem, chociaż całe ciało pozostaje sztywne.

— Jasne. — Tylko tyle mówi. Patrzy na mnie ostrożnie, nie zdradzając w żaden sposób, czy uważa mnie za stukniętą. Na jego miejscu wkurzyłabym się, gdyby ktoś mnie tak potraktował i podszedł do mnie z takimi uprzedzeniami, ma więc pełne prawo wyjść stąd i nie chceć mnie więcej widzieć. — Przekażę mamie twoje kondolencje.

Bierze z góry pierwsze trzy pudła babeczek, a ja próbuję wygramolić się z za lady.

— Pozwól, że ci pomogę.

— Nie, nie trzeba — mówi, ruszając w stronę drzwi. — Ja też nie potrzebuję twojej pomocy.

Staję jak wryta, a on otwiera drzwi biodrem i znika na zewnątrz. Duma każe mi próbować ocalić twarz. Nieznane emocje w moim wnętrzu wzbudzają we mnie pragnienie, by jakoś to naprawić, żeby jego ostatnim wspomnieniem mnie nie była ta schizofreniczna kobieta.

Biorę pozostałe dwa pudła i wychodzę z nimi z cukierni. Hayes pakuje je do bagażnika nedorzecznie seksownego i opływowego sportowego samochodu. Gdy się wyprostowuje i spogląda mi w oczy, ma na czole zabłąkany kosmyk włosów, a ja natychmiast przypominam sobie, jak to było, gdy byliśmy razem. Bez słowa bierze ode mnie pozostałe pudła, wkłada je do środka i zamyka bagażnik. Z oczami wbitymi w kluczyki rusza dookoła w stronę drzwi kierowcy.

Powinnam mu powiedzieć tak wiele o tym, co stało się przed dziesięcioma minutami i przed ponad dziesięciu laty, ale wydaje mi się, że i tak już przesadziłam z gadaniem.

Hayes opiera ręce na dachu samochodu i patrzy na kluczyki, które obraca w palcach.

— Zawsze byłaś drażliwa, Say. I pakowałaś się przez to w kłopoty. Wygląda na to, że wciąż taka jesteś. — Podnosi głowę, ale jego oczy są ukryte pod okularami przeciwsłonecznymi. — Dziękuję za babeczki. Do zobaczenia.

Po tych słowach wsiada do samochodu. Włącza silnik, którego pomruk wzbudza wibracje w mojej klatce piersiowej, po czym rusza z parkingu, a ja obserwuję, jak się mnie opuszcza.

Różnica jest taka, że tym razem o tym wiem.

I wiem też, dlaczego odjeżdża.

Czy dawno temu także odszedł przede mną? Z powodu mojej niecierpliwości? Stronniczości? Czy wtedy też nie potrafiłam go odczytać tak, jak teraz? Nie podobają mi się te nierozwiązane kwestie, które błądzą w moich myślach i nic sobie nie robią z przytłaczających mnie wątpliwości. Bo niezależnie od tego, ile razy dyskredytowałam je w przeszłości, wciąż mnie męczą.

Wciąż mnie prześladowają.

Nie wiem, jak długo stoję na ulicy i patrzę w dal, mam jednak świadomość, że DeeDee czeka, by mnie dogłębnie prześwietlić, gdy tylko wejdem do środka. W końcu popycham drzwi i widzę, że stoi ze skrzyżowanymi rękami, tupiąc stopą, i ma tak szeroki uśmiech, jakby za chwilę miały pęknąć jej policzki, co potwierdza moje domysły.

— Nie...moż...li...we. — Mam wrażenie, że oczy wypadną jej z orbit, gdy wchodzę do środka. — To było... to był... o mój Boże, znasz Hayesa Whitleya. I to tak naprawdę znasz.

Słyszę jej słowa, jej paplaninę, lecz mijam ją i bez słowa wracam do kuchni. Potrzebuję kilku minut, żeby ogarnąć to wszystko, co właśnie zaszło. Swoje uprzedzenia. I swoje rozdrażnienie.

Kiedy Hayes odjechał, razem z nim odjechała iskierka nostalgicznej nadziei, że wrócił po mnie. A to samo w sobie wzbudza moją irytację.

Minęło dziesięć lat. Nie jestem już tą dziewczyną, którą znał. Przeżyłam swoje i wyciągnęłam wnioski ze swoich błędów. Z których największym było zakochanie się w nim.

— Saylor.

— Nie teraz, Dee. — Hamuję ją uniesieniem dłoni. Serce łomocze mi jak oszalałe, a w głowie mam istny mętlik.

— Nie. Tym razem nie dam się zignorować, Saylor. Jakim cudem nie wiedziałam, że go znasz? To znaczy, wiedziałam, że dorastał w tej okolicy, ale do licha, właśnie zrobiłam z siebie kompletną idiotkę przed nim.

Prycham.

— Ja też. — Kieruję się prosto do pomieszczenia na zapleczu i otwieram drzwi prowadzące do mojego mieszkania. — Daj mi trochę czasu.

Zamykam za sobą drzwi, chociaż DeeDee wciąż trąkocze. Wciąż tłumaczy, że będzie tak długo mnie męczyć, aż odpowiem. Lecz wchodząc do mieszkania, myślę sobie, że moje odpowiedzi nie mają znaczenia. Hayes Whitley był moją przeszłością. *Jest* moją przeszłością. A jeśli spotkanie z nim rozbudza na nowo emocje, z którymi rozprawiłam się dawno temu, to lepiej, żeby pozostał tam, gdzie jest.

W przeszłości.

Bo tym, że nigdy nie obejrzał się za siebie, dał mi jasno do zrozumienia, że nie chce mieć nic wspólnego z moją przyszłością.

Rozdział 4

Saylor

— *Jesteś tam, Ships Ahoy?*

Splatam ręce na klatce piersiowej, przewracam oczami i wzdycham. Czy on w końcu przestanie tytułować mnie tym głupim przezwiskiem?

Odgłosy jego kroków na szczeblach drabiny do starego domku na drzewie podsycają moją frustrację, bo wiem, że jak zwykle nie da mi spokoju. Jest taki wkurzający. Typowy facet. Ugh.

Wpatruję się w dziurę w dachu mojego ulubionego miejsca na ziemi. Wolę obserwować gwiazdy na nocnym niebie i śledzić wzrokiem ich konstelacje, niż obejrzeć się w stronę prowizorycznych drzwi, które skrzypnięciem obwieszczają przybycie gościa.

— *Cześć, dzieciaku.*

Zgrzytam zębami. Nie cierpię tego, że mój żołądek wykonuje salto w reakcji na ten głos. I to głupie przywitanie, po którym czuję, jakby uważał mnie za dziecko, chociaż wcale nim nie jestem. Mam tylko o dwa lata mniej niż on.

Chłopcy są tacy denerwujący. I głupi. I obrzydliwi.

Ale to Hayes Whitley. Śliczny i wysoki, o jasnobrązowych włosach i ciemnobrązowych oczach. Jest zabawny, flirciarski i podobno całuje lepiej niż jakikolwiek inny chłopak w szkole. A przynajmniej tak twierdzą starsze dziewczyny, gdy chichocząc, wymieniają się plotkami po drugiej stronie szatni przed gimnastyką.

Ja się jeszcze nigdy nie całowałam z chłopakiem.

Ale nie wierzę im. To tylko Hayes Whitley. Najlepszy przyjaciel mojego brata. Chłopak, który na moim ostatnim przyjęciu piżamowym pomógł Ryderowi w upstrzeniu twarzy moich znajomych musztardą, a potem łaskotał ich po policzkach, żeby ją sobie roztarli. Chłopak, który po lekcjach zabrał mi ciastka z ręki bez jakiegokolwiek podziękowania, po czym poszedł do pokoju mojego brata i z trzaskiem zamknął za sobą drzwi, żeby robić tam z nim Bóg wie co, zanim wyjdą na podwórko i zajmą się czymś, czym planowali się zająć tego dnia. Ten sam chłopak, który za każdym razem, gdy mamy wolną chatę i Ryder robi imprezę, wchodzi po drabinie do mojego domku na drzewie, chociaż za każdym razem mówię mu, że nie mam ochoty schodzić i zajmować się tym, czym zajmują się na dole wszystkie wyluzowane dzieciaki.

Lubię to, a jednocześnie tego nie cierpię, i nie rozumiem, dlaczego tak się czuję.

— *Nie jestem już dzieckiem, więc nie nazywaj mnie tak. Idź sobie.*

Oczywiście jest upartym nastolatkiem i nie pójdzie. Odgłosy jego kroków mówią mi, że zamiast tego postanowił naruszyć moją niewielką przestrzeń. Moje miejsce ucieczki przed irytującymi chichotami mających wzięcie starszych dziewczyn na dole, które próbują zrobić wrażenie na chłopcach.

Czuję pod sobą uginające się pod jego ciężarem deski podłogowe. Przestrzeń wypełnia ledwie wyczuwalny zapach szamponu i piwa. Słyszę odgłos przemieszczania się,

ściągania butów, przesuwania się dzinsu po drewnie, chrząknięcia, gdy kładzie się obok mnie. Przysuwa się bliżej i czuję ciepło jego ramienia na swoim.

— Na co patrzysz? O, strasznie dużo dziś gwiazd — mówi, spoglądając na usiane gwiazdami nocne niebo.

— Uhm. — Z jakiegoś powodu nie potrafię wykrztusić nic więcej. Czuję się strasznie rozdygotana w jego obecności.

Wkurzona.

Sfrustrowana.

Ten chłopak przez większość dni jest jak trzecie dziecko w naszym domu. Albo drugi denerwujący brat.

A mimo to jestem przy nim niezrozumiale rozdygotana.

Skupiam się na niebie. Próbuję kreślić w wyobraźni linie od gwiazdy do gwiazdy i tworzyć takie kształty, jakich zapragnę. Wolę to, niż zastanawiać się nad tym śmiesznym szumem krwi w uszach. Lub dreszczami, które czuję na odsłoniętej skórze, mimo że noc jest ciepła.

— Widziałaś?

Jego pytanie wrywa mnie z zamyślenia. Zmusza do zastanowienia. Wycieram spocone dłonie o szorty i przetykam słowa, które uwięzły w gardle.

— Widziałam co? — odpowiadam ledwie słyszalnym szeptem. Ciekawe, czy w ogóle mnie słyszał, skoro w dole jest tak głośno od muzyki i śmiechów.

Odwracam się do niego i krew zastyga mi w żyłach, bo okazuje się, że jego twarz też jest zwrócona w moją stronę i praktycznie stykamy się nosami. Ciepło jego oddechu uderza w moje usta. Mam wrażenie, jakby moje serce wykonało salto w piersi i wylądowało gdzieś w dole brzucha. Trafiam w ciemny brąz jego źrenic i natychmiast odwracam wzrok, bo czuję się zbyt niekomfortowo, chociaż jednocześnie chciałabym znowu na nie spojrzeć.

Czeka. W tej małej przestrzeni wydaje się to wiecznością, ale wiem, że to tylko sekundy. Sekundy, w trakcie których nie oddycham. Zapominam o myśleniu. I dopiero gdy wracam spojrzeniem do niego, nagle przychodzi mi do głowy, że mogę mieć jakąś kozę w nosie lub liście we włosach, lecz on odpowiada:

— Widziałaś już spadającą gwiazdę?

Wzdycham krótko, gdy przesuwa rękę i grzbietem dłoni muska moją dłoń.

Czy tak to wygląda próba chwycenia dziewczyny za rękę?

Nie chcę, żeby to zrobił.

Chcę, żeby to zrobił.

To jest Hayes. Tylko Hayes. Nie bądź głupia. Nie zamierza trzymać cię za rękę.

Pytanie. Odpowiedz na pytanie.

Chrząkam i próbuję zmusić do pracy swój język, który sprawia wrażenie, jakby trzykrotnie zwiększył swój rozmiar.

— Uhm.

Nie widzę jego ust, ale wiem, że się uśmiechnął, po uniesionych kącikach oczu. Na czoło opadają mu kosmyki mokrych od pływania włosów.

— Jakie miałaś życzenie?

Żebyś mnie pocałował.

Otwieram oczy, a znajome cienie na suficie sypialni w żaden sposób nie uspokajają szalonego bicia mojego serca. Sen był tak realny, że mam wrażenie, jakby to się stało wczoraj, a jednocześnie jakby minęła już cała wieczność.

Wtedy po raz pierwszy zapragnęłam, by pocałował mnie chłopak. Zapach lata wokół nas i pierwsze chwile w moim nastoletnim życiu, gdy Hayes Whitley stawał się kimś więcej niż tylko najlepszym przyjacielem brata.

Był obiektem mojego pierwszego zadurzenia.

I moją pierwszą miłością.

A potem moim pierwszym zawodem miłosnym.

Wzdycham i zatapiam się na powrót w kołdrę na moim wielkim, pustym łóżku. Nie podoba mi się to, że spotkanie z Hayesem obudziło we mnie zapomniane wspomnienia. Na przykład o tych pierwszych motylkach w brzuchu, które poczułam tamtej nocy w domku na drzewie, gdy coś się między nami zmieniło. Co za kontrast wobec poczucia winy, które trawi mnie od momentu wyciągnięcia wniosków. *Moja drażliwość*. Ten ból we wnętrzu, który poczułam, kiedy odjechał, nie pozwalając mi wyjaśnić moich działań. Ale przecież i tak nic bym mu nie była w stanie wyjaśnić, nie pakując się w jeszcze bardziej żalosne położenie.

Niech cię diabli, Hayes Whitley.

Niech go diabli za to, że co chwilę w jakiś sposób pojawia się w moim życiu. Zwiastun filmu z nim w trakcie przerwy na reklamy, wpadnięcie na jego mamę w sklepie spożywczym, siedzenie w kawiarni i zobaczenie go z daleka, gdyż akurat teraz musiał postanowić odwiedzić dom. Wszystkie te sytuacje wzbudzają we mnie na nowo ból i poczucie odrzucenia, niwecząc usilne próby zapomnienia o nim.

Było tak *nawet* w okresie narzeczeństwa z Mitchem. Ta iskra, której mi brakowało... to przez Hayesa Whitleya. Dlaczego nie potrafię się od niego uwolnić? Minęło dziesięć lat. Miałam poślubić innego mężczyznę, na litość boską. *Cholera*. Nie chcę tego. Nie mam czasu na te burzliwe wspomnienia. Nie chcę czuć tego niepokoju.

Hayesa i tak w ogóle to nie obchodzi. Prawdopodobnie to, co było między nami, uznał za szczeniackie zadurzenie w młodszej siostrze najlepszego przyjaciela. Drobne zdarzenie przed tym, jak pochłonęły go flesze aparatów, które nieustannie dokumentują każdy jego ruch. Dlaczego miałabym zakładać, że kiedykolwiek o mnie myśli, skoro jestem jak wyblakłe wspomnienie z jego zamierzchłej przeszłości?

Ale w sumie ja też zbyt wiele o nim nie myślałam. Poznałam Mitcha, który cierpliwie zdobywał moje zaufanie. Zaufanie, którym nie obdarzyłam nikogo po tym, co zrobił mi Hayes. Bo owszem, chociaż przyznaję, że prawdopodobnie łączyło nas tylko szczeniackie zadurzenie, to przeżyłam wtedy swój pierwszy zawód miłosny. Obu tych doświadczeń tak łatwo się zapomina.

Jeśli jednak było to szczeniackie zadurzenie, dlaczego wczorajsze spotkanie tak mnie obeszło?

Co za ironia. Leżę w łóżku i rozmyślam o Hayesie po tych wszystkich latach i nie zastanawiam się, dlaczego nie rozmyślam o Mitchu.

Minęło zaledwie osiem miesięcy. A nie dziesięć lat. Mimo to Hayes zdecydowanie

bardziej ovladnął moimi myślami.

Mitch był delikatnym i cierpliwym mężczyzną, którego zamierzałam poślubić. Hayes był bezczelnym i asertywnym facetem, który zostawił mnie ze złamanym i posiniaczonym sercem.

Może to dlatego, że nie mogłam go mieć. Może zawsze tak się czuje w takich sytuacjach, i bez znaczenia jest to, że byłam wtedy młoda i nie wiedziałam nic o życiu i miłości. Teraz to i tak już nieistotne.

Nie będę widywać Hayesa w żaden inny sposób niż na olbrzymich billboardach. Albo na okupujących półki przy kasach okładkach magazynów, w których padają oskarżenia o zdradzanie Jenny Dixon, czyli jego dziewczyny lub byłej dziewczyny. W sumie to nie wiadomo, kim ona dla niego jest, bo to przecież tabloidy. Albo gdy nie zdążę zmienić kanału po trafieniu na jego wizytę u Ellen lub Jimmy'ego Fallona. Wszystko przez to, że spieprzyłam sytuację. Założyłam, że Hayes odwiedził mnie dlatego, że Ryder do niego zadzwonił. Założyłam, że prawdopodobnie poczuł się źle z tym, co zaszło dawno temu, uznał, że jestem żalosna, zrobiło mu się mnie żal po tej sytuacji z Mitchem, więc przyjechał mnie pocieszyć. Lub się ze mnie pośmiać. W obu przypadkach poczułabym się tak samo.

Ale on wcale nie miał takiego zamiaru.

Nawet w najmniejszym stopniu. W ogóle nie wiedział, o czym mówię, ale ja tak się zapędziłam w swoim wybuchu wściekłości, że plotłam bez namysłu. A Hayes chciał tylko odebrać zamówienie na stypę swojego wujecznego dziadka. Mitch zawsze żartował, że powinien nosić przy sobie taśmę izolacyjną, żeby zakleić mi usta, gdybym straciła panowanie nad sobą, i tym samym nie dopuścić do zrobienia sceny i nadszarpnięcia nieskalanej reputacji Laytonów. *Teraz już wiem, dlaczego tak mówił.*

Ale ze mnie idiotka przez duże „I”.

Jeszcze gorsze jest to, że mimo tych wszystkich wyciągniętych w łóżku wniosków każda cząstka mnie pragnie znaleźć jakiś sposób na przeproszenie Hayesa. Chcę mu to wyjaśnić, chociaż wiem, że jeśli powiem mu, że uciekłam sprzed ołtarza, poczuję się jeszcze większą idiotką. Bo pomyliłam dzwony weselne z sygnałem alarmowym, który kazał mi się ratować i brać nogi za pas. Jak mam ocalić twarz i przekonać go, że nie jestem stuknięta, mówiąc mu o czymś takim? Że przez sześć lat byłam w idealnym związku, lecz gdy przyszło co do czego, nie byłam w stanie zdecydować się na ostateczny krok?

Nie mogę niczego tłumaczyć. Muszę zachować to dla siebie i unikać miejsc, w których zwykle można go spotkać, gdy tu wraca. W tej sytuacji jest to przypuszczalnie najlepsza strategia.

Po tym postanowieniu czuję się nieco spokojniej i zaczynam powoli odpływać w sen.

Mój umysł wraca do tego pierwszego pocałunku.

Do ostatniego pocałunku.

Do tego, jak serce uwięzło mi w gardle, a każda kobieca część mnie żywo zareagowała na jego obecność w cukierni.

Na obecność mężczyzny, o którym nie powinnam myśleć, ale którego nie potrafię wyrzucić ze swojej głowy.

Rozdział 5

Saylor

Powinnam pracować.

Powinnam dotrzymywać tego, co sobie obiecałam.

Powinnam robić mnóstwo rzeczy, a mimo to przymierzam się do zrobienia jedynej, której nie powinnam.

Było tu bardzo głośno, gdy przyszłam. Głośniki pulsowały głębokim basem, a ja potrzebowałam chwili, by przyzwycząić się do panujących tu — w klubie Blue Devil — ciemności.

To wszystko wina Rydera. I jego porad w stylu *musisz wyjść na miasto i trochę się zabawić*. Powiedział, że umówił się z grupą znajomych na kilka drinków, żeby zrelaksować się po długim tygodniu. Stwierdził, że się wypalę, jeśli będę tak ciężko pracować, a do tego miałam ostatnio wiele przeżyć, więc nic się nie stanie, gdy na jedną noc zniknę.

Może czułam, że jestem mu to dłużna po tym, jak tydzień po tygodniu odrzucałam jego zaproszenia, podczas gdy on starał się być dobrym bratem i się o mnie zatroszczyć. A może miałam poczucie winy, bo automatycznie założyłam, że kontaktował się z Hayesem, i zagroziłam, że go zabiję. *Tylko w myślach, rzecz jasna.*

W każdym razie jestem w tym wielkim klubie pełnym napakowanych bicepsów i napompowanych cycków i czuję się kompletnie nie na miejscu. Patrzą na otaczające mnie kobiety w ledwie zakrywających uda krótkich spódniczkach i ciasnych bluzeczkach, które więcej odkrywają, niż osłaniają, i dochodzę do wniosku, że moje czarne eleganckie spodnie i jasnoróżowy top są jak z innej bajki.

Nie chodzi o to, że jestem na bakier z modą — przynajmniej pozbyłam się lukru, który wczoraj dekorował moje włosy — ale to miejsce jest zupełnie inne niż kluby dla nadzianych, do których chodziłam z Mitchem. Niby bardziej odpowiednie dla mnie pod względem wieku niż country club[*], ale czuję się tu strasznie niekomfortowo, co jest dziwne, bo jako dwudziestosiedmiolatka powinnam idealnie tu pasować.

Zdumiewające, że pozwoliłam się zdominować Mitchowi i moja dzikość i nieokiełznane powoli przekształciły się w wyrafinowanie i powściągliwość. Żywiołowe barwy przekształciły się w stonowane beże. Dzisiaj bardziej rozumiem złożoność mody i to, że czasem mniej znaczy więcej, lecz jakaś częśćka mnie każe mi pamiętać o dorzucaniu paru kolorów, żeby obudzić w sobie duszę dziewczyny, jaką kiedyś byłam.

Dziewczyny, która podobała się Hayesowi.

I na jakiej widok Mitch się krzywił.

Podnoszę wzrok na Rydera, który stawia przede mną kolejnego drinka i potrząsam głową, wdzięczna za napój i wytrącenie z tych myśli.

— Próbujesz mnie upić? — pytam i wymyka mi się chichot, co brzmi dziwnie, bo ja nie chichoczę. Nigdy.

— Nie moja wina, że jesteś zawodnikiem wagi piórkowej. — Uśmiecha się i nachyla bliżej mojego ucha, żebym lepiej słyszała, co mówi. — Zaslługujesz na noc oderwania od wszystkiego. Doceniam to, że ciężko pracujesz, żebyśmy utrzymali się na powierzchni, ale wypalisz się, jeśli nie zrobisz sobie przerwy. Poza tym jesteś młoda. Nie byłaś jeszcze na takim wypadzie od czasu, gdy znowu stałaś się singielką. Użyj życia, siostrzyczko. *Bądź taką, jaką Mitch nigdy nie pozwoliłby ci być.* A ja dopilnuję, żebyś nie wpakowała się w zbyt duże kłopoty.

Puszcza mi oczko i odsuwa się z chłopięcym uśmiechem na ustach, który zupełnie się zmienia, gdy podchodzi do nas ładna brunetka. Ryder kładzie dłoń na jej kibici i śmieje się nieco głośniej, zaabsorbowany nią. Patrzę jak zahipnotyzowana, zastanawiając się nad tym, kiedy ostatnio czułam się tak, jak on teraz wygląda: swobodnie, młodo, pewna siebie. Ciekawe też, kiedy ostatnio czułam się jak kobieta, która zdobyła uwagę mężczyzny. Atrakcyjnie. Kuszaco. Seksownie. *Czy ja w ogóle kiedykolwiek taka byłam?*

Bądź taką, jaką Mitch nigdy nie pozwoliłby ci być.

Trafiają do mnie te słowa Rydera. Nie wiem, czy jestem gotowa zastosować się do tej rady, ale nie mogę przestać o niej myśleć, gdy obserwuję pozostałych gości z naszego miejsca w tylnym rogu klubu. Patrzę na pary, które przyszły razem, żeby zabawić się po tygodniu ciężkiej pracy. Na stojące na obrzeżach grupki kobiet, które udają, że nie są zainteresowane podrywem przez mężczyzn, ale nieustannie taksują spojrzeniami kawalerów w klubie i nagle tracą śmiałość, gdy któryś z nich w końcu podchodzi. Na polujących mężczyzn: pewny siebie chód z napojem w dłoni i wypatrywanie kogoś, do kogo można by się podłączyć. Patrzę, popijam drinka i rozmawiam o niczym ze znajomymi i przyjaciółmi mojego brata. Dobrze się bawię, chociaż nadal czuję się trochę nie na miejscu w otoczeniu, którego częścią przestałam być sześć lat temu.

Zabawne jest to, że większość ludzi chciałaby się wyszaleć. I być może ja też się na to zdecyduję, ale na razie próbuję ustabilizować grunt, który nieustannie usuwa mi się spod nóg.

Mija czas. Muzyka gra coraz głośniej. Płyne alkohol. Z każdym łykiem, z każdym drinkiem i z każdym uśmiechem faceta z drugiego końca klubu topnieją kolejne zahamowania, a radość staje się intensywniejsza.

Śmieję się do rozpuku, gdy Frankie, znajomy Rydera, próbuje wykonać pewien popularny taniec. „Próbuje” jest tu najbardziej znaczącym słowem. Odrzucam głowę w tył, zamykam oczy i przyciskam dłoń do brzucha, który aż boli ze śmiechu. Ale gdy je otwieram, milknę nagle, bo naprzeciw mnie siedzi Hayes i w przyciemnionym świetle klubu obrzuca mnie intensywnym, zaciekawionym spojrzeniem.

Wciąż gra muzyka. Nie mogę oderwać wzroku od jego oczu, mimo że ma bardzo nisko opuszczony daszek baseballówki. Przez głowę przebiegają mi różne słowa, przeprosiny i wyjaśnienia mojego wczorajszego zachowania, ale żadne z nich nie wyraża tego, co chciałabym powiedzieć.

Dlaczego w ogóle się tym przejmuję? To Hayes. Facet, który — jak wiem z doświadczenia — pojawia się w mieście i chwilę później znika bez słowa.

Ale się przejmuję. I wcale mi się to nie podoba.

— Hayes. Dotarłeś, brachu. To w twoim stylu, wkraść się po cichu i bez słowa

pojawić się na miejscu.

Nasz kontakt wzrokowy się urywa. Hayes marszczy na chwilę brwi, po czym wyciąga dłoń do mojego brata i wyraz jego twarzy łagodnieje, uśmiech się poszerza, a kąciaki oczu unoszą nieco w górę. Obserwuję transformację mowy jego ciała, gdy wpadają z bratem w sobie tylko znany rytm. Jakim cudem może być tak zrelaksowany, skoro moje ciało po jednym jego spojrzeniu wręcz pulsuje od szalejącej adrenaliny i nieokreślonych emocji.

Postanawiam zignorować uczucia, których nie rozumiem. To na pewno efekt wypitego przeze mnie alkoholu, który każe mi doszukiwać się czegoś, co nie istnieje. Muszę poradzić sobie z przytłaczającą obecnością Hayesa w jedyny sposób, jaki potrafię, czyli zamawiając kolejnego drinka. Miejmy nadzieję, że alkohol przytępi moje myśli. Szczególnie to uporczywe zastanawianie się nad tym, co Hayes o mnie myśli, i jednocześnie powtarzanie sobie, że w ogóle mnie to nie obchodzi.

Nie cierpię tego, że marnuję czas na domniemywanie, czy on *w ogóle* o mnie myśli. *Nie powinno mieć to dla mnie znaczenia. Odszedł daleko poza moją orbitę.* Mimo to za każdym razem, gdy odrywam wzrok od osoby, z którą rozmawiam, odruchowo spoglądam na niego.

Nienawidzę tego.

Jeszcze większy mętlik w mojej głowie wywołuje to, że on także na mnie patrzy.

Uwielbiam to.

Sprawia wrażenie, jakby w ogóle nie przejmował się tym, że go przyłapałam. Deprymuje mnie to. Sprawia, że czuję się niepewnie. A po kilku razach budzi we mnie nieposłuszeństwo, które od tak dawna pozostawało w uśpieniu. Oddaję mu spojrzenie za spojrzenie. Unoszę brwi. Wzruszam ramionami w geście *nie masz pojęcia, kim teraz jestem i co przeszłam, więc nie waż się mnie osądzać.*

Nie wiem, dlaczego zastanawiam się, czy informacje z tabloidów są prawdziwe. Te wszystkie pojawiające się od kilku miesięcy doniesienia o tym, że zdradza swoją hollywoodzką partnerkę, Jennę Dixon. Hayes, zgodnie ze swoją strategią typu „przyciśnij mnie za bardzo, to kompletnie cię oleję”, którą pamiętam ze wspólnego dorastania, ani razu nie skomentował tych rewelacji. Żadnego potwierdzenia. Żadnego zaprzeczenia. Żadnego „bez komentarzy”. Po prostu zero reakcji.

Gardzę sobą za to, że to wiem. Że śledziłam informacje o nim na tyle, żeby znać plotki. Jeszcze gorsze jest to, że gdy podnoszę wzrok i znowu trafiam na jego oczy, nie chcę, żeby były prawdziwe. Bo jeśli są, to Hayes Whitley nie jest już Hayesem, którego znam. Jest Hayesem zmienionym przez Hollywood, a ta myśl wywołuje u mnie ból żołądka.

Moje próby trzymania się daleko od niego spełzły na niczym. Ludzie w klubie już wiedzą, że pochodzący stąd gwiazdor Hayes Whitley jest tutaj. Na szczęście dla niego ochrona otoczyła nasze miejsce i nie dopuszcza do tego, by rzucił się na niego tłum wielbicielk, co mogłoby doprowadzić do wybuchu zamieszek. Stłumione światło i odosobnione miejsce w strefie dla VIP-ów niedaleko tylnego wejścia zapewniają mu pewną dozę prywatności, bo utrudniają użycie wszechobecnych aparatów w telefonach. Na nieszczęście dla mnie oznacza to, że gdziekolwiek się obejrzę, trafię na niego.

Muszę się stąd wydostać.

Ale nie podejmuję żadnego działania w tym kierunku. Moje stopy z jakiegoś powodu buntują się przeciwko marszowi w stronę wyjścia. Postanawiam go więc zignorować. Po jakimś czasie uświadamiam sobie jednak, że to niemożliwe, bo moją uwagę przykuwa każdy związany z nim drobiazg. Materiał koszulki rozciągający się na bicepsie, gdy podnosi do ust butelkę piwa. Jego charakterystyczny śmiech. Spodnie opinające kształtne pośladki, gdy nachyla się do siedzącego na sofie Rydera, żeby coś mu powiedzieć. Zapach jego szamponu, który niewiele się zmienił po tym całym czasie. Jego oczy, które bez przerwy mnie obserwują z milczącym osądem.

Jest wszędzie, chociaż chciałabym, żeby nie było go nigdzie.

Ale czy nie po to tu dzisiaj przyszłam? Mogę sobie wmawiać do śmierci, że zgodziłam się na wyjście z Ryderem i jego znajomymi, bo czułam się winna, że spławiałam ich w przeszłości, ale po co mam się okłamywać. Szczególnie że byłoby to kłamstwo szyte wyjątkowo grubymi nićmi.

Gdy po raz kolejny trafiam na spojrzenie Hayesa w naszej małej przestrzeni, wiem, że to *on* jest powodem mojej obecności w tym miejscu. Prawdopodobieństwo, że pojawi się, by zobaczyć się z Ryderem, swoim najdawniejszym przyjacielem, skłoniło mnie do włożenia większego wysiłku w swój wygląd, niż ostatnio wkładałam. Na przykład do poszukania w szafie czegoś, co nie jest ubiorem roboczym do cukierni, zmycia lukru z włosów i odważniejszego wykorzystania szminki i tuszu do rzęs.

Wkurza mnie to, że przez niego zaczynam wątpić w siebie. Szalę goryczy przepelnia to, że w ciągu ostatnich dziewięćdziesięciu minut więcej czasu spędziłam na zastanawianiu się nad reakcją Hayesa na to, co zobaczy, niż nad tym, by się dobrze bawić.

Pieprzyć go. Mam gdzieś jego opinie, myśli i krytyczne spojrzenie, które po raz kolejny skierował na mnie. To on odszedł. To on zrezygnował z czegoś wartościowego bez walki i jeśli nadal będzie się tak na mnie gapił, pokażę mu, co stracił.

Pociągam kolejny łyk, w pełni świadoma, że moja odwaga wynika ze spożytych płynów, ale w ogóle się tym nie przejmuję.

Bo wciąż mam swoją dumę.

Mój śmiech staje się nieco głośniejszy. Nieco wyraźniej kołyszę biodrami do rytmu. Gdy po raz kolejny zerkam w jego stronę, patrzy na mnie nieco intensywniej, a mięsień jego szczęki pulsuje. W odpowiedzi rzucam mu jedynie pogardliwy uśmiezek.

Kolejny łyk. Jeden ze znajomych Rydera obraca mnie w tańcu tak, że po zakończeniu obrotu przyciskam się do jego torsu. Brakuje mi tchu z wysiłku i mocno kręci mi się w głowie, całkiem więc możliwe, że pozostaję w tej pozycji nieco dłużej niż trzeba. Albo po prostu doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że Hayes oparł te swoje kuszące pośladki o oparcie krzesła barowego i obserwuje nas z odległości kilku kroków.

Noc się rozwija. Z każdym wypitym drinkiem, z każdą kolejną pogawędką i każdym wybuchem śmiechu coraz mniej przejmuję się tym, co Hayes o mnie myśli i czy w ogóle o mnie myśli.

Ryder wyczuwa, że coś się dzieje. Dostrzega ten niewypowiedziany taniec między mną a Hayesem i wibrującą między nami niewidzialną barierę wspólnej przeszłości. Kilka razy łapie moje spojrzenie, pytając bezgłośnie, czy wszystko w porządku, a ja

odpowiadam mu uśmiechem.

Powiedział, że powinnam odzyskać swoją pewność siebie. Nie wie tylko, że wybrałam na to właśnie tę noc.

Śmieję się z czegoś banalnego, skupiona na żarcie jednego z chłopaków, gdy nagle czuję czyjaś dłoń na karku. Z jakiegoś powodu doskonale wiem, czyja to dłoń.

Ciepło. Tylko to czuję. Na nim skupia się cała moja uwaga. Na ciepłe płynącym z dotyku jego skóry na mojej skórze. Z nieoczekiwanej obecności jego ciała za mną, jego ust przy moim uchu, jego oddechu na skórze. Z nagłego uderzenia gorąca między udami.

— Wolę śmiech niż rozdrażnienie — mówi niemal szeptem, lecz mimo łomoczącej muzyki doskonale słyszę każde słowo.

Zmuszam się do przełknięcia śliny i przytakuję. Muszę trzymać się swojej pewności siebie i nie stracić gruntu pod nogami, bo jego bliskość z jakiegoś powodu wytrąca mnie z równowagi.

— To może nie powinieneś mnie denerwować. — Odwracam głowę w jego stronę i unoszę brwi, dumna ze swojej riposty do momentu, gdy orientuję się, że jesteśmy tak blisko siebie, iż oddychamy tym samym powietrzem. Gwałtownie się wycofuję. Jego bliskość jest niepokojąca, bo nagle docierają do mnie wszystkie związane z nim szczegóły. Jego woda kolońska. Jego palce na mojej szyi. Zapach mięty i piwa w jego oddechu.

To na pewno przez alkohol. Nie ma innego wyjaśnienia mojej żywej i bardzo cielesnej reakcji na tego mężczyznę, którego nie powinnam nawet lubić. Dziesięć lat osłabiłoby każde pożądanie.

Ale nie osłabiło.

Hayes błyska rozbajającym uśmiechem.

— Wygląda na to, że na denerwowaniu ciebie znam się aż za dobrze.

Prycham. Nie potrafię zdobyć się na żadną inną reakcję, bo przypadkowe otarcia o jego ciało i buzujący w głowie alkohol odbierają mi zdolność dobierania słów. Chciałabym go nienawidzić po tych wszystkich latach ukrywanego bólu, a jednocześnie mam ochotę przytulić się do niego i przypomnieć sobie uczucia, które kiedyś czułam. Na które on nie zasługuje.

Głupi alkohol. Głupie uczucia.

Nie porzucam oporu, ale znacznie trudniej przy nim wytrwać, gdy te czekoladowe oczy wpatrują się we mnie z tak bliska, a ja pamiętam, że małe plamki na tęczęwkach mają niemal złotą barwę.

Ale oprę ci się. Bo przegapiłeś swoją szansę, Hayes. Nie chciałeś mnie.

Pamiętam też, że te usta — teraz nieco rozchylone i oddalone o zaledwie kilka centymetrów od moich — całowały do utraty tchu. I to gdy był nastolatkiem. Teraz ma za sobą lata praktyki. Założę się, że poprawił się z wiekiem.

Nie lubię cię. Ciebie, tych twoich doprowadzających do omdlenia oczu i idealnych pocałunków.

Pamiętam też jakie miał ciało. Jestem zmęczona. Bolą mnie stopy. Założę się, że gdybym oparła się o niego, jego ciało byłoby tak muskularne, na jakie wygląda. Bo oczywiście nie oglądałam jego filmów. Nigdy. Nigdy nie widziałam ani scen seksu, ani

tej sceny, gdy wchodzi pod prysznic, a kamera pokazuje jego pośladki. Nigdy też nie przewijałam tych scen, żeby obejrzeć je jeszcze raz. Co to, to nie. Cóż, a przynajmniej tak właśnie mu powiem.

Chichoczę, gdy przymruża oczy. Nie chcę już więcej myśleć o tych ustach, na których teraz pojawia się nieznaczny uśmiech.

Odwraca się do mojego brata i kiwa głową. Przewracam oczami. Znowu to samo. Widzą się po raz pierwszy od nie wiadomo kiedy i od razu wracają do swojego sposobu porozumiewania się bez słów. Frustruje mnie to, bo wiem, że cokolwiek sobie komunikują, dotyczy to mnie.

Tak jak wtedy, gdy byliśmy dziećmi.

Tym razem jednak nie może chodzić o mnie, bo kazałam Ryderowi przysiąc, że nigdy więcej nie będzie rozmawiał z Hayesem o mnie. Że nawet nie wspomni mojego imienia. Bo to przez niego poznałam Hayesa, a Hayes mnie skrzywdził. Na cokolwiek więc się teraz zgodzili, nie ma to nic wspólnego ze mną.

— Za chwilę zamkną, Ships.

— Ale nie mogą, bo ja jeszcze nie zdążyłam się porządnie napić.

Wybuchą głośnym, charakterystycznym śmiechem. Nie cierpię tego, że sama także nie potrafię się powstrzymać.

— Jesteś strasznie pijana. Chodź. Odwiozę cię do domu.

— Nie. — *Nigdzie z tobą nie idę.*

Czuję, jak obejmuję mnie ramieniem. Ma twarde biceps. I ten seksowny zapach wody kolońskiej. Wszystko w nim działa na mnie silniej niż wypity dziś alkohol.

Przecież powiedziałam „nie”. A może tylko to pomyślałam, a nie powiedziałam?

— Tak.

— Jestem drażliwa. Pamiętasz?

Znowu ten śmiech.

— Jasne, że pamiętam. Nigdy mnie to nie odstraszało i zapewniam cię, że teraz też mnie nie odstraszy.

[*] Country club — klub, najczęściej golfowy, w którym opłaty członkowskie sięgają niebotycznych kwot i do którego przynależy się dlatego, że ma się tyle pieniędzy, że można sobie na to pozwolić; takie kluby można spotkać także w Polsce — *przyp. tłum.*

Rozdział 6

Hayes

— Żartujesz? — pyta Saylor z szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami. Wrywa się jej chichot. Przynajmniej udało mi się ją rozbawić po tym, jak przez całą drogę w samochodzie dąsała się jak pięciolatka. Raz mnie nienawidziła, żeby chwilę później mnie lubić. W jednej chwili patrzyła na mnie gniewnie bez słowa, a w następnej śmiała się ze mną jak za starych dobrych czasów. — Po co tu przyszliśmy?

— Chciałem sprawdzić, czy to wciąż tu jest.

— Oczywiście, że jest — mówi i chwiejnym krokiem rusza udeptaną ścieżką. Pewność w jej głosie wywołuje mój uśmiech. Odwraca się do mnie, ma zarumienione od alkoholu i chłodnego nocnego powietrza policzki i przez chwilę dostrzegam w niej dziewczynę, którą kiedyś znałem. To zabawne, że chociaż próbuje grać twardą sztukę i trzymać urazę (na co sobie zasłużyłem), przez tę fasadę przebija się jej prawdziwe oblicze. — Myślałeś, że moi rodzice zrównają go z ziemią dlatego, że już dorośliśmy?

Głos jej się łamie na ostatnich słowach, przez co czuję się jak bezduszny palant. Przyprowadziłem ją, bo taki miałem kaprys. Nie uwzględniłem jej uczuć.

— Nie wiedziałem, co się z nim stało — wyjaśniam cicho, bo gdy docieramy do drzewa na brzegu działki jej rodziców, nagle nie wiem, co powiedzieć. Spoglądam w stronę ich starego domu na wzgórzu po lewej.

Wszystkie światła są zgaszone.

— Przepraszam, Saylor. Nie myślałem. Nie powinienem cię tu przyprowadzać.

Spogląda na mnie z gorzkim uśmiechem.

— To dobre miejsce. Z dobrymi wspomnieniami. Teraz mieszka tu Ryder, więc to miejsce nie budzi już we mnie smutku. — Patrzy przez chwilę w stronę domu. A potem kiwa głową, jakby próbowała się pogodzić z własnymi słowami.

— Chciałem zadzwonić, gdy się dowiedziałem, i przyjechać na pogrzeb, ale byłem wtedy na lokacji w Indonezji... — milknę. Moje usprawiedliwienie brzmi beznadziejnie. *Straciła obu rodziców — swój cały świat — a ja nie potrafiłem znaleźć czasu, żeby przyjechać?* — I nie wiedziałem, co miałbym ci powiedzieć. — *Tak jak nie wiem teraz.*

— W porządku. Naprawdę. — Pociąga lekko nosem i ściska dłońią moje ramię, jakbym to ja potrzebował dodania otuchy. — Zasadniczo nie ma w tej sytuacji zbyt wiele do powiedzenia.

— Mogłem być wtedy przy tobie.

Jej spojrzenie — lód pływający w oceanie bólu — każe mi zamilknąć. Ma rację. Nie mam prawa oferować jej pociechy, lecz jednocześnie jakaś częśćka mnie ubolewa nad tym, że nawet nie spróbowałem.

— Od lat nie byłem na górze — mówi, przerywając nasz kontakt wzrokowy, spogląda na domek nad nami, po czym wraca spojrzeniem do mnie. Wiem, że desperacko próbuje zmienić temat. Smutek z jej oczu zostaje wypchnięty przez zawadiackość, którą

swego czasu uwielbiałem tam widzieć, co daje mi wyobrazenie o silnej dziewczynie, ukrywającej się gdzieś w jej wnętrzu.

Zastanawiam się po raz kolejny co tutaj robię. Z nią. W środku nocy. Co mnie napadło, żeby zatrzymać się w tym miejscu pełnym wspomnień, zamiast po prostu odwiedzić ją do domu? Miałem ją tylko podzucić, a potem oddzwonić do Tessy.

— Chodź — mówi szeptem, w którym pobrzmiwa chichot. Brzmi wymuszenie, ale to lepsze niż ten wcześniejszy wyraz jej oczu, więc porzucam temat. Wykorzystuję chwilę na to, by mogła przesunąć wskazówkę na skali „czy lubię Hayesa?” nieco dalej od nienawiści, w stronę lubienia. Zanim jednak cokolwiek odpowiem, jej stopy w szpilkach są już na pierwszych szczeblach. Odwraca się i obdarza mnie w pełni rozwiniętym uśmiechem — ciężkie tematy zostały zupełnie wyparte przez nostalgię — co wzbudza we mnie myśli o tej dzikiej dziewczynie, która zawładnęła moim sercem.

Nie będę kłamać i nie powiem, że nie cieszy mnie widok jej tyłka, gdy wspina się w górę. Niech mnie, kręciła nim całą noc dla wszystkich, tylko nie dla mnie. Miałem wręcz wrażenie, że próbuje zrobić mi na złość. W końcu mogę go podziwiać bez ludzi obserwujących każdy mój ruch. I bez ludzi obserwujących każdy *jej* ruch.

Wpatruję się więc bez żadnego innego powodu poza tym, że Saylor zawsze miała naprawdę fajny tyłek. I teraz też zdecydowanie ma. Wstydem byłoby go nie podziwiać. Szczebel po szczeblu, w obcisłych czarnych spodniach, idealnie opinających jej krągłości, i w butach, które nie nadają się do wspinaczki, przez co cała scena jest jeszcze bardziej urocza.

Ruszam po szczeblach za nią, wmawiając sobie, że robię to tylko dlatego, że jest mocno pijana i mam obowiązek sprawdzić, czy po tylu latach stara budowla jest bezpieczna. Absolutnie nie ma to nic wspólnego z tym, że gdy ona jest blisko mnie — szczególnie na tym podwórku, na którym spędziliśmy razem niezliczone godziny — poszedłbym za nią wszędzie.

Wspinam się więc po drabinie, ścigając o drugiej nad ranem wspomnienie swojej pierwszej miłości. *Powiniem* trzymać się z dala od wszystkiego, co wzbudza we mnie jej widok: od komplikacji, nostalgii, ciekawości, podniecenia i rozbawienia.

Słyszę znajome skrzypnięcie otwieranych drzwi i Saylor znika w ciemnościach. Gdy kilkanaście sekund później wchodzę za nią, siedzi na tym swoim kształtnym tyłeczku, opierając się plecami o pień drzewa, który stanowi środek całej konstrukcji.

Przysięgam, że gdy widzę, jak z naiwnym uśmiechem rozgląda się po wyblakłych ścianach, jakby czuła nieskończoną dumę z tego, że udało się jej wejść po drabinie w szpilkach, mam wrażenie, że cofnąłem się w czasie do naszej młodości. Do tych ukradkowych pocałunków i niewinnych nadziei. Do wykradania się w letnie noce i uprawiania seksu nad jeziorem na pacy mojej półciężarówki.

Po raz drugi zastanawiam się, dlaczego tu, do cholery, jestem. Jak to się stało, że Saylor siedzi naprzeciw mnie z dzikim spojrzeniem, rumieńcami na policzkach i kilkoma liśćmi we włosach, którymi w ogóle się nie przejmuje? Dlaczego doszło do tego, że ta dziewczyna — teraz zdecydowanie kobieta — która była kiedyś całym moim światem, sprawia, że zaczynam kwestionować wszystko w swoim aktualnym życiu: ludzi, ich szczerłość, chaos?

Odpowiedź jest prosta: bo miałem olbrzymi dług u Rydera.

Nie spodziewałem się jednak, że gdy ruszę na pomoc Saylor, doświadczę tak potężnego ukłucia w środku, kiedy zobaczę ją w jej cukierni. Myślałem, że mój dawny obiekt westchnień nadal będzie tak samo płaską chłopczycą, a tu tymczasem... Z całą pewnością nie spodziewałem się tak kształtnych krągłości i diabelnie seksownego ciała.

— Masz jakiś problem? — Wraca spojrzeniem do mnie, a radość przekształca się w ironiczny uśmiezek. Jej pytanie odrywa mnie od myśli, których nie powinienem mieć. Ściąga mnie do terażniejszości. Do moich kwestii, których powinienem się uczyć w hotelu, i do tego, co powinienem zrobić, żeby pomóc jutro mamie. Do życia, do którego muszę wrócić. Ale gdy patrzę na Saylor, potrafię myśleć tylko o chwili obecnej. *I o niej.*

— Kto powiedział, że mam jakiś problem?

Przymruża powieki i obserwuje mnie w świetle księżyca, a ja zastanawiam się, jak długo potrwa ten stan, gdy się na mnie nie wścieka. Tamtego dnia w cukierni zaczęła od wybuchu gniewu, a skończyła na przeproszaniu, a dzisiaj... Nie mam pojęcia, co próbuje osiągnąć. Wiem jednak, że Saylor nie podejmuje się czegoś, jeśli nie ma w tym jakiegoś celu.

Pytanie, jaki jest jej cel? Niezależnie od tego spłacenie długu wobec Rydera będzie dziesięciokrotnie trudniejsze, jeśli nie uda mi się jej szybko do siebie przekonać.

— Jeśli coś cię ciekawi, Hayes, po prostu spytaj. Siedzenie i gapienie się na kogoś nie jest uprzejme. Ani fajne.

Aj. Znowu przebłysk tego ognistego, piekielnego temperamentu.

— Nie gapiłem się na ciebie.

— Kłamca — prycha. — Gapiłeś się na mnie w klubie i teraz też się na mnie gapisz. Większość ludzi uznałoby to za dość obleśne.

Śmieję się. Nie mogę się powstrzymać, a ona przewraca oczami i splata ręce na klatce piersiowej, która za sprawą tego ruchu zostaje wypchnięta w górę. Na szczęście jest tak ciemno, że zbłądzenie wzrokiem na rowek między jej piersiami uchodzi mi płazem.

— Obleśne. Zapamiętam sobie.

— Powinieneś. Dobry w tym jesteś. Może kiedyś dzięki temu dostaniesz rolę.

— Może. Będę miał wtedy u ciebie dług wdzięczności. Uwzględnię cię w swojej mowie na ceremonii odebrania Oscara.

— Nie mogę się doczekać. Ale skoro się nie gapiłeś, to co robiłeś?

Zderzamy się spojrzeniami w tej małej przestrzeni, a ja zastanawiam się, co odpowiedzieć. Mógłbym ściemniać, co prawdopodobnie byłoby pożądane, ale z jakiegoś powodu nie chcę. Może to przez poczucie winy za grzechy przeszłości, a może dlatego, że czuję, iż powinienem okazać jej nieco szczerości.

— Próbowałem zobaczyć, ile pozostało w tobie tej dawnej dziewczyny, którą znałem.

Potrząsa nieznacznie głową, jakby nie była pewna, czy moja szczerść przypadła jej do gustu. Zwleka chwilę z odpowiedzią. Oboje ostrożnie lawirujemy między rafami nierozwiązanych spraw.

— Nic.

— Nie zgadzam się. Widzę jej w tobie bardzo wiele. — *I jeszcze trochę.*

Ściąga usta i ciasniej obejmuje się ramionami. Znany mi temperament zaczyna się rozpalać. To dobrze. Jako nastolatek bałem się tej jej piekielnej strony. Jako dojrzały mężczyzna jestem nią zaintrygowany. Dobrze wiedzieć, że potrafi o siebie zadbać.

— Dlaczego w ogóle cię to obchodzi? — Jej pytanie mnie rozbija. A tym bardziej defensywny ton głosu.

— Nie wiem. Może przebywanie z tobą sprawia, że czuję się, jak dawny ja. Przypomina mi kim byłem, zanim... — Wzruszam ramionami i milknę, bo uświadamiam sobie, że właśnie nadepnałem na swego rodzaju minę. Wspomnienie swojego wcześniejszego życia jest równoznaczne ze wspomnieniem tego, jak odszedłem bez oglądania się za siebie. Wtedy moje życie było prostsze, bez wszechobecnej presji ze strony paparazzich i fanów. Gdy mogłem kupić sobie pizzę bez błyskających fleszy i spotykać się z kobietą, która naprawdę mnie lubiła. Gdy nie towarzyszyło mi tyle plotek, które muszę ignorować, bo byłem dobrym facetem i zbieram cięgi za chronienie swojej przyszłości.

— Zanim odszedłeś bez słowa i zostawiłeś mnie dezorientowaną i ze złamanym sercem? *Chodzi ci o to „zanim”*? — Jej głos staje się z każdym słowem wyższy. W spojrzeniu pojawia się przebłysk bólu, jasny jak dzień mimo ciemnej nocy.

To ja jej to zrobiłem.

Nie mogę na to patrzeć. Może dlatego, że byłem zbyt tchórzliwy, żeby wtedy się z tym zmierzyć. A może dlatego, że bałem się, iż chociaż wykorzystałem życiową szansę, podążyłem za nią, odniosłem oszałamiający sukces, to wystarczy jedno spojrzenie na Saylor, żeby się z powrotem w to wciągnąć.

Miałem rację. Nie sposób zaprzeczyć temu ukłuciu w sercu na jej widok. Nie sposób zaprzeczyć, że wróciły uczucia, które uważałem za dawno wymarłe.

Cholera. Byłem wtedy młody i niedoświadczony. Pozwoliłem, by urok Hollywood zawładnął moimi myślami i skradł moje serce.

Moje serce wciąż tam jest. Rzecz w tym, że już nie jestem młody i niedoświadczony. Czy mężczyzna, jakim się stałem, jest w stanie poradzić sobie jednocześnie z nią i z Hollywood?

Jezu Chryste, Whitley. Co ty sobie w ogóle myślisz? Nie widziałeś bólu w jej oczach? Jej obronnej postury? To przez ciebie taka jest.

Poczucie winy wraca z podwójną siłą. Przynajmniej udzielę szczerzej odpowiedzi.

— *Dokładnie.* Chodzi o to „zanim” — mówię niezachwianym tonem, nie odrywając od niej wzroku.

— Uhm.

— Uhm? — *Co ja mam niby zrobić z taką odpowiedzią?*

— Tak. *Uhm.*

— Mogłabyś to rozwinąć? — Chichoczę z napięciem, próbując rozgryźć, o co jej chodzi z tym odgłosem. A raczej próbuję ją rozgryźć.

— Nie. Próbuję po prostu ocenić, jak duże musisz mieć ego, skoro doszedłeś do wniosku, że mam ochotę cię jeszcze zobaczyć.

— Najwyraźniej niezbyt duże, skoro zmieściłem się w drzwiach tego domku —

odpowiadam. Saylor walczy z uśmiechem, ale przegrywa, więc wraca spojrzeniem do gwiazd, żeby nie pokazać mi, że do niej trafiłem. Że przebiłem się przez fasadę twardej dziewczyny, w czym wydatny udział miała jej dzisiejsza zdolność do osuszania drinków.

— Jesteś dupkiem, wiesz o tym?

— Widzisz? To ona. Dlatego lubię, gdy jesteś dawną sobą. Nie boisz się mnie wyzwąć. Wszyscy inni chcą tylko całować mnie w tyłek.

— Mam jeszcze kilka wyzwisk w zanadrzu, jeśli tak ci na tym zależy.

— Zawsze byłaś kreatywna — mówię. Zerka mi w oczy, po czym opuszcza wzrok na palce, którymi oskubuje farbę z podłogi.

— Jest ich całe mnóstwo — dodaje.

Kompletnie ignoruje moją odpowiedź, więc zmieniam taktykę.

— To dawaj, pijana dziewczyno.

— Nie jestem pijana. — Spogląda mi w oczy z wyдутymi ustami i zmarszczonym czołem. — Sugerujesz, że dziewczynie nie wolno zaszaleć i że zawsze musi za to oberwać?

Prycha znowu. To cholernie urocze. Przygryzam wargę, żeby powstrzymać się od uśmiechu, bo coś mi mówi, że to ostatnie, na czym mogłoby jej teraz zależeć. Chce bronić swojego zdania i udowodnić mi, że niczego ode mnie nie chce. Trudno się jednak pohamować, gdy po prychnięciu pociera nos wierzchem dłoni.

Bo w tej chwili wygląda jak ta natrętna dawna Saylor — młodsza siostra Rydera, która irytowała nas, gdy graliśmy w gry wideo. Cienki głosik i chude kolana. Przewracanie oczami, kiedy nazywałem ją Ships Ahoy, żeby ją wkurzyć. Brakuje tylko piegów rozsianych rządkiem wzdłuż nosa.

Patrzę na nią i budzą się we mnie wspomnienia. Uciekaliśmy z Ryderem, a ona nas gonila. Robiliśmy ją w konia i czasem pozwalaliśmy jej bawić się z nami. Bo czasem była fajna. *Jak na dziewczynę.*

— Znowu tak na mnie patrzysz — mówi ostrzegawczym tonem.

— Nie zmieniałaś się zbyt, co? Wciąż się rządysz. — Prowokuję ją. Jeśli uda mi się ją rozdrażnić i zacznie na mnie krzyczeć, może się dowiem, co, u licha, próbowała osiągnąć dzisiaj w klubie. Przesadne kręcenie biodrami i drwiący uśmieszek musiały mieć jakiś powód.

— Ty też. Wciąż wywołujesz kłopoty wszędzie, gdzie się pojawisz. Jak widać, Hollywood wcale cię z tego nie wyleczyło, a mimo to brukowiec „National Enquirer” najwyraźniej cię uwielbia.

Przyjmuję ten przytyk. Rozumiem, że stara się mi dopiec w każdy drobny sposób, w jaki potrafi. Cóż, ma ku temu pełne prawo. Moje ego cieszy się skrycie, że mnie obserwowała, lecz moja duma ubolewa nad tym, że Saylor zwróciła uwagę na złą prasę, która zawsze nieproporcjonalnie wszystko wyolbrzymia.

Thumię chęć odgryzienia się. Zwalczam potrzebę wyjaśnienia jej, że wcale taki nie jestem, i wyznania ukrytej pod ściemnianymi plotkami prawdy. Nie mogę tego zrobić. Dobrze się bawię i próbuję jej pomóc, ale jest moją przeszłością, a plotki mają chronić moją przyszłość.

— Nie wierz we wszystko, co o mnie przeczytasz.

— Bez obaw. Nie czytam niczego o tobie. — Odrobina bólu z nutką jadu.

— Zasłużyłem sobie na taki los. — *Ona kłamie*. Poznają to po tym, że okręca włosy wokół palca przy szyi. Tłumię uśmiech, gdy uświadamiam sobie, że nadal w tak prosty sposób się zdradza.

— Nie, nie zasługujesz na nic z mojej strony. — *O, znowu ten temperament*.

— W takim razie dobrze, że niczego od ciebie nie chcę. — Dlaczego czuję się, jakbym kłamał?

— To dlaczego tu jesteś, Hayes? Dlaczego? Nie chodzi mi o kwestię „przyjechałem na pogrzeb”, ale o dzisiejszą noc. Po co przyszedłeś do klubu? I co my tu teraz robimy? Jeśli niczego ode mnie nie chcesz, dlaczego przywiozłeś mnie do domku na drzewie?

Co ja mam, do cholery, powiedzieć, skoro sam nie znam odpowiedzi?

— Przyszedłem do klubu na zaproszenie Rydera, chciałem z nim pogadać. Nie spodziewałem się tam ciebie. Myślałem, że będziesz gdzieś ze swoim narzeczoną. Jak mu było? Mitch jakiś tam? — *Layton*. Dobrze znam jego nazwisko. Pamiętam, że był nadętym bufonem, gdy w szkole średniej grałem z nim w baseball.

Sprawdźmy jednak, czy Saylor połknie przynętę. Jeśli dokończy za mnie, otworzy mi drzwi do konwersacji, jaką powinniśmy odbyć.

— Mhm. — To jej jedyna odpowiedź.

Obserwuję uważnie jej reakcję. Ma ściągnięte usta. Znowu owija włosy wokół palca. Nieoczekiwanie porusza nogami, jakby nie mogła usiedzieć na miejscu.

Mógłbym ją teraz przycisnąć. Wykorzystać jej czułe punkty. Ale pod powierzchnią dostrzegam coś, czego nie potrafię tak do końca uchwycić. Postanawiam więc odpowiedzieć na jej pytanie. Spróbuję odzyskać jej zaufanie, żeby przestała mnie nienawidzić.

— A jesteśmy tu... jesteśmy tu, bo w pewnym sensie tak należy. Po tamtym dniu w cukierni i dzisiejszym wieczorze w klubie, nie wiem... Chciałem cię przeprosić. Wyjaśnić, dlaczego... — Wzdycham ciężko i przeczesuję dłonią włosy, bo sam już nie wiem, co chciałem powiedzieć. — To tu zawsze przychodziliśmy, gdy musieliśmy pogadać.

— To przeszłość — szepcze z oczami wbitymi w niebo. Zamiast pogardy w jej głosie słyszę tłumiony ból.

To nie przeszłość. Nie dla niej. Co za beznadziejna sprawa, prawda? Znać kogoś tak dobrze i od tak dawna, że mimo upływu czasu nadal wiesz, co się w nim dzieje. Potrafisz czytać mowę ciała tej osoby i wnioskować z tonu jej głosu, więc nie masz możliwości ucieczki przed konsekwencjami swoich działań.

— Nie jesteś mi niczego winien. Żadnych przeprosin, niczego. I tak nic by to nie zmieniło — odpowiada i odrywa wzrok od nieba, żeby spojrzeć mi w oczy. Jej opór ściera się z moim poczuciem winy. — Jest już na to stanowczo za późno.

Potakuję wyrozumiale. Błyskawiczna decyzja, jaką musiałem wtedy podjąć, wydawała mi się prosta, ale teraz nie jestem już tego taki pewien, gdy patrzę na Saylor w świetle księżycy w tym starym domku.

— Saylor. — Jej imię jest częściowo westchnieniem, a częściowo przeprosinami.

— Nie. Daruj sobie. — Odsuwa się gwałtownie i kładzie na podłodze, skutecznie

ucinając temat.

Cokolwiek, byle nie patrzeć mi w oczy.

Cóż, jak widać, nie ma zamiaru mi tego ułatwić.

Patrzę na nią. Rozsypane na podłodze włosy, oczy wbite w niebo, zirytowana mną jak diabli. Przypomina mi się ta noc, gdy wszystko się między nami zaczęło.

Czego się spodziewałem, przyprawdzając ją tutaj? Że wspomnienia ją rozmiękczą, lecz *nie wpłyną* na mnie?

Mogłem ją odwieźć do domu. A potem wykręcić numer Rydera, przeprosić go i powiedzieć, że tym razem nie jestem w stanie mu się odwdziaczyć. Skłamać, że zadzwonili z wytwórni i kazali wrócić na dokrętki paru scen przed zmianą lokacji. Uciec stąd, zanim wszystko się skomplikuje. Bo patrzeć na nią i przypomnianie sobie tego, co było *zanim*, wznieca we mnie znacznie silniejsze emocje, niż myślałem. I budzi we mnie coś, czego nie potrzebuję w moim wystarczająco pogmatwanym życiu. Coś, czego nie mogę rozpocząć, bo skończy się odejściem i powtórzeniem historii, której nie chcę powtarzać. I nie mogę.

Nie jestem aż takim palantem.

Pieprzone wspomnienia. Mącą mi w głowie.

Wzdycham i postanawiam zrobić jedyną rzecz, jaką mogę — spróbować to naprawić. Przesuwam się na kolanach w jej stronę, po czym wyprostowuję nogi i kładę się obok, tak jak tamtej nocy. Jej ciało zastyga bez ruchu i słyszę, jak przy zetknięciu naszych ramion wstrzymuje oddech, ale nie odsuwa się ode mnie.

Leżymy tak przez jakiś czas i patrzymy w gwiazdy, które jaśnieją na niebie mimo pełni. Nie pada ani jedno słowo, słyhać tylko cykanie świerszczy.

Sekundy zmieniają się w minuty. Czuję zapach jej perfum. Moje myśli zostają owładnięte naszą historią. Przychodzą mi do głowy rzeczy, których powinienem się wystrzegać. *Łapy przy sobie, Whitley*. Łatwiej powiedzieć, trudniej wykonać, gdy leżę w ciemnościach obok przepięknej kobiety.

Bo ona taka właśnie jest, *przepiękna*. I w pełni kobieca. Mimo upływu tylu lat ta sytuacja wydaje mi się normalna. Bycie tu z nią. Wrażenie, że ona nadal zna mnie lepiej niż ktokolwiek inny, chociaż przecież to niemożliwe.

Ale wtedy mnie znała. Potrafiła dokończyć moje zdania. Kochała mnie bezwarunkową miłością. Zachęcała mnie do podążania za marzeniami wbrew dręczącym mnie wątpliwościom.

Aż w końcu pozwoliłem, by marzenia mnie wchłonęły. By nas rozdzieliły. Zrezygnowałem z niej.

Zrezygnowałem z nas.

— Patrz! — wykrzykuje, ocalając mnie przed moimi myślami, i wskazuje na spadającą gwiazdę, która przecina nocne niebo.

— Pomyśl życzenie — mówimy jednocześnie i wybuchamy śmiechem. Jakbyśmy cofnęli się do innej nocy, innego czasu. Jej ciało spina się w chwili, gdy wypowiada te słowa. Jakby uświadomiła sobie, że przez przypadek pozwoliła sobie na opuszczenie gardy. Ta drobna chwila w wystarczającym stopniu przełamuje panujące między nami napięcie i pozwala mi się zbliżyć.

— Ja pomyślałam — szepcze po kilku sekundach, a ja natychmiast zaczynam się zastanawiać, jakie miała życzenie. Dziesięć lat temu odpowiedź na to pytanie była dla mnie oczywista. Ale teraz już nie. Nie z tą dojrzałą kobietą, tak inną, chociaż jednocześnie pod wieloma względami taką samą, obok mnie.

— Ja też — stwierdzam w końcu, ale wiem, że moje marzenia już się spełniły. Jestem szczęściarzem, więc poświęcam swoje życzenie na nią. Wykorzystuję chwilowe opuszczenie gardy dla swoich celów. — Widzisz tę konstelację? O tam? — Wskazuję w niebo na trzy gwiazdy, z których stworzyłem własny układ.

— Już ci wierzę, że znasz się na astronomii — rzuca drwiąco, pamiętając, jak bardzo nudził mnie ten temat w szkole.

— Nie, serio. Znam się. Musiałem się nauczyć do jednej z ról.

— Naprawdę? — W jej głosie znowu odzywa się ten poirytowany ton. Cieszę się, że go słyszę, bo znacznie lepiej radzę sobie z irytacją niż ze smutkiem. — Skoro tak, to co to za gwiazdozbiór? — pyta. Patrę za jej palcem w miejsce, które wygląda, jakby ktoś rozsypał solniczką brokat na niebie... po prostu kupka małych, błyszczących kropek.

Uśmiecham się szeroko, bo dobrze wiem, co teraz zrobić. Wskazuję palcem niebo i mówię:

— To jest konstelacja „przepraszam cię”.

Saylor wzdycha ciężko.

— Weź przestań.

— Nie, czekaj. Pomyliłem konstelację „jestem dupkiem” z konstelacją „przepraszam cię”. Daj mi chwilę. Jednak nie, miałem rację. To definitywnie „przepraszam cię”.

— Bardzo wygodne.

— Pierwsza reguła aktorstwa: nauczyć się improwizować — stwierdzam, na co Saylor wybucha śmiechem. Całkiem możliwe, że udało mi się wsunąć stopę w drzwi.

— Jak widać tę część masz doskonale opanowaną.

— Mówię poważnie, Saylor. Przepraszam cię. — Wszystkie wyjaśnienia, jakich zamierzałem udzielić, gasną mi na końcu języka, bo nagle mam wrażenie, że zabrzmiałyby jak ściemniane wykręty. Teraz to wiem, więc zostawię to tak, jak jest. Mam nadzieję, że usłyszała moją szczerłość i wie, że naprawdę tak myślę.

Ona jednak milczy. Patrzy w gwiazdy, a ja myślę gorączkowo nad tym, co zrobić dalej. W sumie jest mi zupełnie wygodnie na tej drewnianej podłodze z nogami zwiniętymi jak precel, żeby zmieścić się w ograniczonej przestrzeni obok niej.

— Mitch ma na nazwisko Layton — stwierdza Saylor, zupełnie mnie zaskakując.

— Chyba go pamiętam. — *Jak mógłbym nie pamiętać?* Napompowany sztywniak, egoistyczne dziecko funduszy trustowych. Już w szkole średniej uważał, że jest lepszy od wszystkich. Nie wyobrażam sobie, jaki musi być teraz. Ostrożnie ciągnę temat. — Co u niego? — Symuluję zainteresowanie. Udaję, że mnie to ciekawi.

Śmieje się, ale nie brzmi, jakby było jej wesoło.

— Żeni się. — Nie odpowiadam, bo nie przemyślałem tego aż tak daleko, i nie wiem, czy powinienem grać, jakbym to wiedział, czy jakbym tego nie wiedział. — *Ale nie ze mną.*

— Oj. — Moja odpowiedź jest w równym stopniu odegraną rolą, co wyrazem szoku, że Saylor to wyznała. Postanawiam się nie odzywać. Pozwolę jej poprowadzić tę rozmowę tam, gdzie będzie chciała, bo nie mogę znieść poczucia winy, że znowu ją okłamuję.

— Tak. — Jej śmiech znowu nie ma w sobie radości. — Nie byłam w stanie tego zrobić. Nie mogłam za niego wyjść. Ponad sześć lat, Hayes. Zmarnowałam ponad sześć lat tylko dlatego, że spjrzałam na niego i... sama nie wiem.

— Spjrzałaś na niego i co? — Nie mogę się powstrzymać. Muszę spytać. Muszę wścibić nos w nie swoje sprawy. Muszę się dowiedzieć, dlaczego sprawia wrażenie, jakby nadal kochała tego palanta, chociaż to ona wszystko odwołała.

Tyle wiem od Rydera. Sprawiał wrażenie niestłuchanie dumnego z niej, gdy powiedział mi, że rzuciła go w diabły.

Saylor odwraca głowę w moją stronę. Czuję na policzku ciepło jej oddechu, ale uparcie patrzę w gwiazdy, bo nie wierzę, że nie wykorzystałbym teraz sytuacji, w której w ogóle nie powinienem się znaleźć.

— Spjrzałam na niego i uświadomiłam sobie, że nie wzbudzał we mnie takich emocji, jak... nic. Nieważne. Po prostu tego nie czułam. — Znowu ten śmiech. Na jego krawędziach tańczy zdenerwowanie. — Uwierzysz, że miał czelność zaprosić mnie na wesele? Na *moje* wesele?

— Twoje wesele? — Chyba nie jest aż tak pijana, żeby mieszało się jej w głowie?

— *Tak.* Moje wesele. Wszystko, co zaplanowałam. Wszystkie pieprzone szczegóły, które pieczołowicie dopracowywałam. Zmienił tylko datę i nazwisko panny młodej. *Kto robi coś takiego?*

— Chwileczkę. Oni skopiowali twoje plany?

— Tak. Jak dotąd, wszystko na to wskazuje. To samo miejsce na rajskiej wyspie. Ta sama godzina ceremonii. Nawet cholerne zaproszenia. Jaka kobieta wychodzi za mąż i wykorzystuje wszystkie pomysły i ustalenia byłej swojego przyszłego męża? Cóż, dobrze, że ma takie same inicjały, bo nie zmarnują całego tego monogramowanego badziewia, które kupiła jego matka.

Parskam śmiechem. Nie mogę się powstrzymać. Ryder nie wspomniał mi o tym aspekcie.

— Może jego matka ją do tego przekonała.

Saylor znowu prychnął.

— *Sztwna Urszula.*

Znowu się śmieję, bo Saylor brzmi jak ta dawna piegowata dziewczynka.

— Tak się nazywa?

— Nie. Ja ją tak nazwałam. Przypuszczalnie masz rację, że to ona przekonała do tego nową dziewczynę swego syna. Była naprawdę władczą jędzą. I pomyśleć, że miała być moją teściową.

Czuję, jak drży z udawanym obrzydzeniem. Może jednak go już nie kocha.

— Czy oni naprawdę liczą na to, że wskoczysz do samolotu i tam polecisz? — *Cholera.* Miejmy nadzieję, że wypiła wystarczająco dużo i nie zauważy, że wiedziałem, iż można się tam dostać samolotem.

— Na tym polega... Hola! — mówi, niespodziewanie siada i opiera się dłonią na moim udzie, żeby nie stracić równowagi.

— W porządku? — pytam, a ona chichocze.

— Już dawno nie byłam na mieście i tyle nie wypięłam... wow, to całkiem zabawne uczucie. — Brzmi, jakby była zażenowana.

Chrząkam. Próbuję się skoncentrować na rozmowie i zignorować jej dłoń, która spoczywa niebezpiecznie blisko mojego członka. Na czymkolwiek, byle nie na tym.

— W porządku? — powtarzam.

Odwraca głowę w moją stronę. Ma rozchylone usta, szeroko otwarte oczy, a wyraz jej twarzy — niewinny, skomplikowany, typowy dla niej — podsuwa mi z powrotem myśli o jej palcach na moim udzie.

— Tak. — Przetyka i potakuje. — W porządku. Zaskoczył mnie ten stan.

— Okej. — Postanawiam się podnieść. To chyba najlepszy sposób na pozbycie się jej dłoni z mojego uda. Staram się być grzecznym chłopcem. Gdy tylko się ruszam, ona natychmiast zabiera dłoń, jakby dopiero się zorientowała, gdzie ją położyła. Dobra wiadomość: już jej nie trzyma na moim udzie. Zła wiadomość? Jej usta są teraz o kilka centymetrów od moich.

Czuję jej perfumy. Widzę światło księżyca w jej włosach. Słyszę, jak bierze oddech. Do licha, potrzebuję pilnie jakiegoś rozproszenia, żeby nie przekroczyć granicy, której nie mogę przekroczyć.

Myszę o tym, jak kołysała biodrami w klubie.

Jak śmiała się, gdy wchodziła tu po szczeblach.

Jak w ułamku sekundy przechodzi od furii do urokliwości.

Wycofaj się, Whitley. I to jak najdalej.

— Mówiłaś coś o zaproszeniu, Saylor? — *Rozproszenie*. Powrót do tematu. Oderwanie od myśli o jej ustach.

— Uhm. Tak. — Potrząsa głową, jakby chciała ją oczyścić z tej chwili, którą właśnie przeżyliśmy, po czym sięga do przodu po cokolwiek, żeby mieć powód do odsunięcia się ode mnie. — Ryder oszalał.

— To coś nowego?

Uzyskuję uśmiech, który pragnę wywołać, ale tym razem jest bardziej nieśmiały niż pewny siebie. Saylor skubie palcami nogawki spodni. Czekam.

— Oboje zgodziliśmy się co do tego, że Mitch wysłał zaproszenie jako swoiste „pieprz się, Saylor”, ale Ryder sądzi, że powinnam pokonać tego palanta jego własną bronią. Powinnam zaakceptować zaproszenie i pojawić się na weselu. Jego zdaniem to Laytonowie obmawiają cukiernię i dlatego interes nie kwitnie. Mają wystarczająco duży wpływ na ludzi w tym mieście, przez co stałam się swego rodzaju pariasem. Nie wiem. — Wzrusza ramionami i przygryza wnętrze policzka. Widzę, że boli ją to, iż domniemania jej brata mogą być prawdą. Dziewczyna, która jest kompletnie pozbawiona zawiści. — Ryder uważa, że jeśli pojawię się na weselu, z którego zrezygnowałam, i będę emanowała taką pewnością siebie, jakbym była przekonana, że niepoślubienie Mitcha to moja najlepsza decyzja w życiu, wszyscy to zauważą. Przy założeniu, że spora część gości usłyszała o mnie okropne rzeczy, pokazanie im, że w ogóle mnie to nie obeszło, wzbudzi

ich zainteresowanie. Zaczną się zastanawiać, co takiego wiem o Mitchu, czego oni nie wiedzą, a ciekawość skłoni ich do odwiedzenia cukierni i...

— I prawdopodobnie zwiększą sprzedaż.

Patrzy na mnie z zaskoczeniem, że doszedłem do tego samego wniosku co Ryder, a ja wzdrygam się ze strachu, że wyjawilem zbyt wiele.

— Myślisz, że ma rację?

— Myślę, że jest w tym trochę prawdy — odpowiadam w zadumie.

— To znaczy?

Myślę o Jennie. O problemach związanych z odgrywaniem podobnej fabuły z powodu wizerunku. Robię to dla niej, chociaż wiem, jak może to wpłynąć na moją karierę, więc tym bardziej pomogę Saylor, jeśli poprosi. Muszę ją tylko do tego przekonać.

— To znaczy, że widzę to każdego dnia. Na przykład aktorka zrywa z jakimś supergwiazdorem. Krążą plotki na temat przyczyn, ale nikt nie zna prawdy, a sami zainteresowani odmawiają komentarzy. I nagle aktorka traci zainteresowanie prasy. Przestaje dostawać role. Nikt nie zaprasza jej na przyjęcia. Czasem nawet ignorują ją dawni przyjaciele, jeśli poruszają się w tych samych kręgach. To beznadziejne, ale ludzie nie chcą wkurzyć tego, kto miał władzę w związku.

— Też mi sprawiedliwość. Ech.

— Wiem, ale to ona śmiała się ostatnia. Jakimś cudem udało się jej wsunąć gdzieś stopę w drzwi. Wyglądała sto razy lepiej niż przedtem i pokazała się z jakimś gwiazdorem, reżyserem czy szycią o wiele potężniejszą niż jej eks. Zdumiewające, jak nagle ludzie, którzy nie chcieli z nią wcześniej rozmawiać, zaczęli pukać do jej drzwi i oferować swoją przyjaźń.

— Płytcy idioci — mruczy pod nosem. Jestem pewien, że ma w tej chwili w głowie kilka nazwisk, do których pasuje to określenie.

— Bardzo. Ale takie jest życie.

— Może w twojej hollywoodzkiej bańce. Ale w mojej nie — mówi ze skargą w głosie, jakby po raz pierwszy zobaczyła to w takim świetle i nie chciała się z tym pogodzić.

— To absolutnie nie moja bańka. — Śmieję się, potrząsając głową. Chcę, żeby wiedziała, że wcale taki nie jestem. Patrzy na mnie gniewnie, nie wiem dlaczego. Czyżby dodawała dwa do dwóch?

— No więc co? Mam polecieć na to wesele? Pozbijać baki, demonstrując pewność siebie, i tyle? Fala się odwróci?

— Nie.

— Nie? A, tak, zapomniałam. Żebym wyszła na pewną siebie, muszę mieć postawną i potężną grubą rybę u boku, bo tylko w taki sposób kobieta może być pewna siebie, prawda? — Gorycz.

Nie mogę powiedzieć, że bym ją za to winił.

— Nie w moich oczach, ale w ich? Prawdopodobnie tak. — Moje słowa zawisają w przestrzeni między nami. Saylor porusza nerwowo ramionami. Jedyna fizyczna oznaka trawiącej ją wściekłości.

— Czyli mam powiedzieć: hej, Hayes, masz może ochotę wypiąć się na swój grafik

filmowy i porzucić życie na czerwonym dywanie, żeby wybrać się na niedorzeczną wycieczkę na mój ślub, który nie jest już moim ślubem? — Nie cierpię tej części mnie, która cieszy się, że to o mnie pomyślała, rozpatrując ewentualnych partnerów. — Już widzę, jak lecisz ze mną na jakąś wyspę, żebyśmy pokazali mojemu byłemu narzeczonemu oraz jego rodzinie i spiętym znajomym, że lepiej mi bez niego, gdyż „na niby” spotykam się z tobą. Czyli z facetem potężniejszym, lepszym, odnoszącym większe sukcesy i przystojniejszym niż on. To się na pewno nie zdarzy.

— A dlaczegoż by nie? — To pytanie zatrzymuje jej potok słów i odbiera sarkazm jej ostatnim słowem.

Gwałtownie podrywa głowę i spogląda mi w oczy. Zatrzymuje dłoń w połowie drogi do włosów i śmieje się z niedowierzaniem.

— Naprawdę byś poszedł?

Wzruszam ramionami.

— Tak. Dlaczego nie? Przydałoby mi się trochę wolnego z kimś, kogo znam i kto niczego ode mnie nie oczekuje. — W jej oczach przez chwilę przebłyskuje coś, czego nie potrafię odczytać. — Poza tym przypomniałem sobie tego Mitcha. W szkole średniej był strasznym dupkiem i przyznam, że miałbym chorą satysfakcję, pokazując mu, co traci, nie będąc z tobą.

— Co za ironia — szepcze w odpowiedzi, a jej słowa są jak uderzenie w brzuch. Tuż za bólem pojawia się ukłucie żalu.

— Saylor...

— Nie. Nieważne. To było słabe — mówi, lecz prawda błyszczy w jej oczach. Podnosi dłoń i kładzie ją na mojej. — Dziękuję ci. Bardzo mi miło, że się zaoferowałaś. Twoje intencje jeszcze bardziej mi się podobają. Ale nawet gdybym chciała to zrobić, nie ma szans, żebym temu podolała.

— Zapomniałaś, czym zarabiam na życie? — Śmieję się głośniej, niż powinienem. Przypomina mi się Oscar na półce w moim domu. Nieoczekiwanie czuję większą potrzebę przekonania jej do tego planu, niż gdy zadzwonił Ryder. I większą niż wtedy, gdy zobaczyłem ją dzisiejszego wieczoru. — Zaręczam ci, że dalibyśmy radę.

— Powinniśmy już iść. — Podnosi się na kolana i rusza w stronę drzwi. Nie mogę znieść bólu w jej głosie. Nie mogę znieść tego, że czuje go nie tylko przez Mitcha.

Że czuje go także przeze mnie.

— Saylor.

— Nie. Jestem zmęczona. Muszę wrócić do domu.

— Okej. Pójdę pierwszy na wypadek, gdybyś potrzebowała pomocy.

Rzuca mi zagniewane spojrzenie, mówiące, że potrafi dać sobie radę, ale mimo to przeciskam się obok niej — nasze ciała ocierają się przy tym — i schodzę pierwszy.

Wystawiam nogi za drzwi i odwracam się do niej.

— Moim zdaniem, Saylor, powinnaś pójść. Rzuciłbym wszystko, żeby być tam dla ciebie. Przynajmniej tyle mogę dla ciebie zrobić.

Nie odpowiada, więc ruszam dalej w dół. Widzę jeszcze, jak kiwa głową, po czym znika mi z oczu.

Kilka sekund później jestem na dole. Bardzo cicha Saylor schodzi chwilę później.

Na ostatnim szczeblu obsuwa jej się stopa. Robię krok do przodu i sięgam do jej biodra, żeby ją złapać, a ona się obraca.

Spada na mnie całym ciężarem, opierając dłonie na moim torsie. Ma wystraszony wyraz twarzy, lecz nie odrywa wzroku od moich oczu i wyraźnie słyszę jej krótkie westchnienie.

Niech mnie licho, jeśli stanie tak z nią nie wzbudza we mnie chęci, by nachylić się i ją pocałować. Nagle wszystko wraca: jej smak, ciche gardłowe westchnienia, blizna z tyłu głowy od upadku z ceglanego muru, którą wyczuwałem, gdy chwytałem ją, żeby zmienić kąt pocałunku. Wszystko.

To pokusa, jakiej od dawna nie czułem.

— Hayes?

— Tak? — Odrywam oczy od jej oczu, żeby zerknąć na jej usta, ale od razu wracam. Chcę wiedzieć, co mówi jej wzrok.

— Nic. Nieważne. — Potrząsa głową i odsuwa się ode mnie.

Zaciskam zęby i pięści. Pozwól jej odejść, mówię sobie. Nie zauważaj, że wciąż ma piegi na nosie. Te, z których śmiałeś się jako dziecko, a potem uwielbiałeś się w nie wpatrywać, gdy zasypiała na przyczepie twojej półciężarówki.

Te myśli przypominają mi znacznie więcej rzeczy, które w niej uwielbiałem. Przypominają mi naszą bliskość. I to, pod jak wieloma względami nasze istnienia spletały się ze sobą, jakbyśmy byli jednym.

Mój Boże. Wiem, że byliśmy młodzi. Wiem, że postąpiłem właściwie, ruszając w pogoń za marzeniami, skoro ona miała tylko siedemnaście lat, a ja dziewiętnaście. Jak mogłem jednak odejść bez wyjaśnienia i pożegnania?

Dupek. *Z całą pewnością zachowałeś się jak dupek, Whitley.*

W pełni zasługuję na jej ostrożność oraz każdy przejaw jej gniewu i niechęci.

Ruszam za nią po wydeptanej ścieżce w stronę samochodu. Wykorzystuję widok jej kołyszących się bioder, żeby oderwać się od zalewających mnie wspomnień.

Poprzednie myśli zostają wyparte przez refleksję nad tym, jakie to wszystko miało być proste. Wyobrażałem sobie, że wrócę, przekonam ją do wybrania się na to wesele i odegram swoją rolę w pokazie dla Mitcha. Spłacę dług i będę mógł odejść. *Znowu.*

Ale od razu, gdy zobaczyłem Saylor tamtego dnia, wiedziałem, że to wcale nie będzie proste. Delikatna cera i urok dziewczyny z sąsiedztwa, którą zostawiłem, a do tego ból i temperament, jaki teraz obserwuję, zmuszają mnie do zastanawiania się nad tym *co by było, gdyby.* Co by było, gdybym nie oszedł? W jaki sposób moje odejście wpłynęło na jej ścieżkę życia?

Pieprz to, Whitley. Zrobiłeś to, co musiałeś zrobić. Dostałeś życiową szansę i z całą pewnością dobrze ją wykorzystałeś.

Ale gdy patrzę na nią i przypominam sobie ból w jej oczach, wiem, że będzie to trudniejsze, niż oczekiwałem.

Dobrze, że odrzuciła ofertę.

Mam plan. Mam mój świat. Mój idealny, chaotyczny, surrealistyczny i cholernie cudowny świat, w którym nie ma miejsca na błędy. Ona do niego nie pasuje. Tak sobie powtarzałem, gdy odchodziłem. I to samo twierdzą teraz.

Jestem tu po to, by spłacić dług wobec Rydera.
I złagodzić poczucie winy w związku z tym, co jej zrobiłem.
Dlaczego więc zastanawiam się, kiedy znowu ją zobaczę?

Rozdział 7

Saylor

Chciałam, żeby mnie pocałował.

Moja pierwsza myśl po przebudzeniu. Stał ze mną pod domkiem na drzewie w miejscu, w którym bawiliśmy się jako dzieci, trzymał dłonie na moich biodrach, jego włosy lśniły blaskiem księżycy, a ja chciałam, by mnie pocałował. Nachylił się i zakosztował mych ust. Wyplukał ze mnie wszelkie wątpliwości związane z odejściem od Mitcha. Pokazał, dlaczego ponowne spotkanie wyzwala we mnie pragnienia, których nie powinnam czuć.

Próbuję się poruszyć, ale odzywa się łomotanie w głowie. Mam suchość w ustach i skołtunione włosy. I ubrania z wczoraj na sobie.

Chcę umrzeć. Umrzeć w stylu spuśćcie mi głowę w ubikacji, żebym zwymiotowała mózg, bo może wtedy przestanę czuć to przewracanie w żołądku, zawroty głowy i uderzenia gorąca.

Ale wiem, że nie umrę. Najwyraźniej ciało chce mnie ukarać za to, że byłam wczoraj taką idiotką. Za to, że sądziłam, iż wystarczy pokręcić biodrami i poflirtować ze znajomymi Rydera, żeby uświadomić Hayesowi, co stracił.

Głupi, amatorski błąd. Tak jakby Hayes nie widział tego milion razy u miliona kobiet, które zrobiłyby wszystko, żeby je zaliczył.

I teraz ponoszę przykre konsekwencje, leżąc w łóżku i odtwarzając w głowie resztę nocy — a raczej to, co z niej pamiętam. Teraz nie byłabym w stanie zwymiotować nawet żółcią, lecz wczoraj bez skrępowania wyrzuciłam z siebie wszystkie szczegóły dotyczące Mitcha. Opowiedziałam Hayesowi o porzuceniu idealnego związku i wymarzonego ślubu. I o tym, że Mitch zaprosił mnie na swój ślub ze zwycięską i bez wątpienia *lepiej dobraną do niego* kandydatką. I że obwiniam Rydera o całkowicie pokręconą interpretację tego zaproszenia, zgodnie z którą powinnam pójść na wesele, bo moja obecność może pomóc mi w interesach. Wyśpiewałam wszystko, łącznie z tym, dlaczego odeszłam.

Spojrzałam na niego i uświadomiłam sobie, że nie wzbudzał we mnie takich emocji, jak ty, Hayes.

Cień tej myśli w mojej głowie sprawia, że gwałtownie siadam. Sekundę później nienawidzę się za to, że cały pokój się kręci. Co gorsza, nie pamiętam, czy panowałam wczoraj nad sobą w wystarczającym stopniu, by przerwać to zdanie.

Cholera. Cholera. Po trzykroć cholera.

Powtarzam sobie w głowie ten refren, aż w końcu przypominam sobie, jak było. Opanowałam się tuż przed popełnieniem najgorszej z możliwych pomyłek.

Bo nie dlatego nie wyszłam za Mitcha. Nie porównywałam go z dawnym Hayesem. Ani z aktualnym.

Ale gdy kładę się z powrotem i próbuję opanować łomotanie skroni, przypomina

mi się pierwsza myśl tego ranka: *chciałam, żeby mnie pocałował.*

Czyżbym jednak dlatego odeszła od Mitcha? Czyżbym podświadomie porównała wzbudzone przez nich emocje i wyciągnęła wniosek na podstawie tego, co sobie wczoraj przypominałam? Bo spotkanie z Hayesem przypomniało mi o pulsującej fali gorąca w dole brzucha, którą czułam za każdym razem, gdy chociażby na mnie spojrzał?

Nonsens. Kompletne bzdury. W moim życiu nie ma miejsca na nic, co związane z Hayesem.

Na przykład na jego brązowe oczy lub grube rzęsy.

To na pewno alkohol wzbudził we mnie takie myśli.

Ani na jego hollywoodzkie życie i wystawne przyjęcia.

To przez domek na drzewie, za sprawą którego cofnęliśmy się do czasów, gdy życie było proste, a nasze istnienia nieodłącznie splecione ze sobą.

Ani na jego ofertę pomocy po tym, jak wcześniej ode mnie odszedł.

To tęsknota. *Déjà vu.* Chwilowe złudzenie. Głupia myśl, którą dla własnego dobra powinnam wyrzucić z głowy.

Na pewno nie powinnam zastanawiać się nad jego spojrzeniem, gdy odprowadzał mnie do drzwi, żeby mieć pewność, że trafię bezpiecznie do domu. Patrzył na mnie tak intensywnie, że miałam ochotę pogłaskać go po pulsującym mięśniu szczęki.

Przestań, Saylor. On po prostu był miły. Zaoferował pomoc, bo wygadałaś się o tym zaproszeniu. Zrobiło mu się przykro, więc zaproponował, że pójdzie z tobą.

To musiała być potężna przykrość, skoro zaoferował, że *poleci na egzotyczną wyspę, żeby ci pomóc.*

Ale nie ma mowy, żebym poszła na wesele Mitcha. Nie jestem desperatką. Nie muszę niczego udowadniać, a nawet gdybym musiała, to na pewno nie Laytonom i ich bezbarwnym i płytkim gościom.

Tak. Jestem w pełni pogodzona ze swoją decyzją o odejściu. I z tym, że muszę podziękować Hayesowi za jego ofertę, bo nie skorzystam. Koniec kropka.

Poza tym prawdopodobnie i tak już więcej się z nim nie zobaczę.

#

— Dziękuję. Miłego dnia — mówię za uroczą panią McMann, która wychodzi z cukierni.

— Ta partia wypieków jest trochę przyrumieniona przy brzegach, ale wyszła zdecydowanie lepiej po naprawie — stwierdza DeeDee, wychodząc z zaplecza i wycierając dłonie w fartuch.

Wzdycham i w myślach dziękuję wszechświatowi, że pozwolił piekarnikowi działać kolejny dzień i nie zrujnować kolejnej serii babeczek.

— Dzięki Bogu. Trzymajmy kciuki, żeby ta naprawa wystarczyła, bo kupno nowego pieca nie wchodzi w grę. — Wzdrygam się na myśl o tym, ile by to kosztowało.

— Na razie działa na tyle... — zaczyna DeeDee, ale przerywa jej dzwonek przy drzwiach. Na jej twarzy pojawia się szeroki, głupkowaty uśmiech. Nawet nie muszę się odwracać, żeby wiedzieć, kto wszedł do środka.

Nie będę też sobie wmawiała, że mój żołądek nie wykonał salta na samą myśl o

tym.

Odwracam się. W ułamku sekundy przetacza się przeze mnie fala pożądania pomieszanego z zaskoczeniem, gdy dostrzegam jego ciemnobrązowe oczy, leniwy uśmiech, szorty i podkoszulek bez rękawów, demonstrujący bicepsy, które aż proszą się o bliższe oględziny.

I tak, jak w przypadku poprzednich dwóch spotkań w ostatnim tygodniu, silna reakcja mojego ciała budzi moją wrodzoną zdolność do robienia z siebie przed nim kompletnej idiotki. Jak to możliwe, że facet, który kiedyś znał mnie na wylot i jest częścią niemal każdego mojego wspomnienia z dzieciństwa, sprawia, że staję się poirytowana i tracę zdolność mówienia?

Bo jestem ćwokiem. To moja jedyna myśl, gdy jego oczy trafiają w moje. *Łup.* Nie powinnam się czuć jak po zastrzyku adrenaliny w serce, ale tak się czuję.

— Hej. Nie spodziewałam się, że wpadniesz. — Staram się brzmieć obojętnie i cieszę się, że udaje mi się uniknąć głosu piskliwej hieny, jaki z pewnością ma przy nim większość kobiet.

— No, wpadłbym wcześniej, ale pomagałem mamie w porządkowaniu rzeczy wujecznego dziadka.

Zawiesza okulary na górze koszulki, a ja wsuwam dłonie do tylnych kieszeni dzinsów i kołyszę się na piętach. Nie wiem, co powiedzieć i zapomniałam, jak się łączy ze sobą słowa, bo Hayes patrzy na mnie w taki sposób, że trudno mi zrobić cokolwiek poza staniem.

Zawsze tak na mnie patrzył, czy tylko teraz?

— Ja, ech, chciałam ci podziękować, że dopilnowałeś, żebym trafiła cało do domu. Byłam w dość nietypowym dla mnie stanie. — Wzruszam ramionami i czuję gorąco na policzkach. — Przepraszam, jeśli wygadywałam jakieś głupoty.

Hayes chichocze i podchodzi do kontuaru.

— Głupie? Nie. Urocze? Owszem.

Głęboki wdech. Zerknięcie w dół i z powrotem w jego oczy.

— Nie byłam tak urocza, gdy obudziłam się rano z bolącą głową.

— Niewątpliwie, ale czasem trzeba się zresetować. Żaden wstyd.

— Co mogę dla ciebie zrobić? — Ciekawość nie pozwala mi czekać.

— Wyjeżdżam. Muszę wracać ze względu na grafik filmowy. To ostatnie dwa tygodnie zdjęć. — Nie podoba mi się to, że jakaś część mnie czuje, jakby uszło z niej powietrze po tych jego słowach. Jeszcze bardziej nie podoba mi się to, że chciałabym, żeby został chociaż jeden dzień, mimo że wytrąca mnie z równowagi w każdy możliwy sposób wbrew moim staraniom, by na niego nie reagować. Chciałabym spotkać się z nim jeszcze raz.

Bo wiem, że gdy wyjdzie przez te drzwi, prawdopodobnie znowu nie zobaczę go przez najbliższe dziesięć lat.

— *Och.*

— Ale chciałem wziąć trochę babeczek dla mojej asystentki. Przepada za słodkościami i zasługuje na prezent za to, że znosi dzielnie chaos mojego życia. — Wzrusza ramionami z nieśmiałym uśmiechem, a ja natychmiast czuję się zirytowana tą

babą. — No i chciałem jeszcze z tobą pogadać.

Irytacja wyparowuje, a mój uśmiech się poszerza.

— O czym? — pytam, a Hayes rzuca znaczące spojrzenie na DeeDee, która udaje, że robi coś przy ladzie chłodniczej za mną. Wiem, że zamierza poruszyć temat Mitcha, wesela i swojej oferty. Nie mam zamiaru z niej skorzystać, ale tak czy siak są to kolejne informacje, którymi wolałabym nie dzielić się z DeeDee.

I tak już krąży na mój temat wystarczająco dużo plotek w tym mieście.

— W porządku — mówię, żeby odwieść go od tematu. — Nie warto o tym rozmawiać.

— Jesteś frustrująca. — Podchodzi bliżej z wąskim uśmiechem i znowu zerka za moje ramię na DeeDee. — Na czym polega problem? Jeśli nie pójdziesz, do końca życia będziesz się zastanawiać, co by było, gdyby, a jeśli pójdziesz, będziesz znała odpowiedź.

— Nie potrzebuję znać odpowiedzi. Jest mi dobrze tak, jak jest.

Hayes unosi brwi i rzuca mi spojrzenie, sugerujące, że rozmawiał z Ryderem i wie o moich trudnościach z rozkręceniem firmy.

— No przestań, Say, sprawdziłem już swój terminarz i dam radę wygospodarować czas.

Przymrużam podejrzliwie powieki.

— Skąd znasz datę?

— Spytałem Rydera. — Wzrusza ramionami i patrzy na mnie bez przepraszania.

— To aroganckie z twojej strony zakładać, że na pewno się zgodzę. Nie przejmuję się tym, co sądzą o mnie ludzie. Nigdy się nie przejmowałam. I nigdy nie będę.

— Co jak co, ale tę twoją cechę doskonale pamiętam. — Jego uśmiech łagodnieje, lecz spojrzenie jest nieugięte. — Zawsze to w tobie uwielbiałem.

Jego słowa wyzwalają we mnie bardzo niepożądany rezonans. *Uwielbiał. Uwielbiał to we mnie. Czas przeszły, Saylor. Czas przeszły.* Mimo to natychmiast wracają wspomnienia czasów, gdy byłam beztróskim dzieckiem, a on obserwował mnie z tym swoim uśmieszkiem i pozwalał mi robić to, co robiłam, nie komentując tego ani słowem. Nie przewracał oczami. Nie okazywał zażenowania. Po prostu to akceptował.

Bądź taką, jaką Mitch nigdy nie pozwoliłby ci być.

Jak na ironię Hayes pozwalał mi być sobą.

— Cóż... pewne rzeczy się nie zmieniają. — Wzruszam ramionami, trochę zakłopotana tą pochwałą. Muszę jakoś zmienić temat. — Jakiego rodzaju babeczek sobie życzysz?

Przez chwilę nic nie mówi. Patrzy na mnie pytająco ze ściągniętymi ustami. Czuję, że chciałby coś powiedzieć, ale się powstrzymuje. W końcu zerka na witrynę i odpowiada:

— Dwanaście twoich ulubionych.

— Zaraz przyniosę — wtrąca DeeDee i podchodzi do witryny z pudełkiem w różowe i białe pasy w dłoni.

— Okej, dzięki. — Trochę mnie to przeraża, bo liczyłam, że zajmę czymś ręce, a teraz muszę patrzeć na Hayesa.

Który się uśmiecha.

— Któregoś dnia, Saylor, usiądziemy razem i pogadamy na poważnie, a ja wyjaśnię

ci, co się stało. Dlaczego odszedłem. Wtedy będziesz mogła zdecydować, czy przyjmiesz moje przeprosiny, czy nie. Na pewno będzie ci znacznie łatwiej, gdy poznasz powód, bo ten twój taniec typu *raz mnie wkurzasz, a raz się do ciebie uśmiecham* musi być wyczerpujący.

No i proszę, tak po prostu wzbudził mój gniew, jak przełącznikiem.

— Mówiłam ci już, że jesteś aroganckim dupkiem.

— Być może. Nawet jeśli jednak tak jest, wolałbym, żebyś знаła moje powody...

— To było dziesięć lat temu, Hayes. Wyjaśnienia przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie. — Zaciskam pięści. Przeszuję z nogi na nogę. Temat naszej rozmowy zaczyna mnie irytować.

— Powód zawsze ma znaczenie. *Zawsze* — podkreśla i sięga po portfel do tylnej kieszeni. Stoimy w napiętej ciszy, bo chociaż nie chcę przyznać mu racji, wiem, że ją ma. Zarówno w tym, że wszystkich trzech naszych spotkaniach po jego powrocie przejawiałam sprzeczne postawy, jak i w tym, że znajomość przyczyn mogłaby pomóc mi zamknąć coś, co miałam już mieć za sobą, ale najwyraźniej wciąż się z tym nie pogodziłam.

— Proszę bardzo. — DeeDee przerywa tę chwilę między nami, kładąc pudło na kontuarze przede mną.

— Dziękuję, DeeDee, że się tym zajęłaś — odpowiada Hayes, patrząc na jej plakietkę z imieniem, a potem obdarzając ją swoim promiennym uśmiechem. DeeDee stoi jak wmurowana i szczerzy się tak szeroko, że na pewno bołą ją policzki. — Ile się należy?

— Na koszt firmy — mówię.

— Nie żartuj sobie. Nie chcę, żebyś robiła mi łas...

— Odprowadzę cię, Hayes. — Wychodzę z za kontuaru, skutecznie kończąc sprzeczkę, którą chyba celowo wywołałam za to, że wypomniał mi moje schizofreniczne zachowanie.

— Z kobietami się nie dyskutuje — mruczy do DeeDee, ale słyszę rozbawienie w jego głosie i wiem, że prawdopodobnie obdarzył ją kolejnym promiennym uśmiechem, gdy zabierał pudło z kontuaru.

Czekam na zewnątrz. Dziwne, że jest tak chłodno mimo bezchmurnego nieba. Zaplatam ręce na piersi, żeby się nieco ogrzać. Dzwonek za moimi plecami obwieszcza wyjście Hayes'a.

— Wiesz, wciąż jesteś urocza, gdy się na mnie wściekasz.

— Jesteś taki frustrujący — odpowiadam po cichu i nie cierpię się za to, że jakaś część mnie rozplywa się, słysząc, że on wciąż to zauważa. I że pamięta.

— Saylor, nie było mnie naprawdę długo. Masz prawo chować urazę... chciałbym jednak myśleć, że uda nam się kiedyś znowu zostać przyjaciółmi.

— Przyjaciółmi? Tego ode mnie chcesz? — Splatam ramiona ciaśniej, już nie z powodu zimna, ale po to, by ochronić serce, bo Hayes Whitley ma w sobie coś, co po prostu do mnie trafia. Do miejsc, które chciałabym przed nim zamknąć, ale on i tak potrafi się do nich dostać, chociaż wcale nie stara się tego zrobić.

Dlatego powinnam trzymać się swojej drażliwości. Wykorzystać gniew jako tarczę przed tym czarującym mężczyzną, który stanowi idealne połączenie nieokrzesańca i

chłopięcego uroku. Mężczyzną, który z doświadczenia doskonale wie, jak mnie sprowokować.

Bo relacja z nim zwiastuje kłopoty, szczególnie dla mojego serca. Wiem, że nie zostanie, gdyż jest Hayesem.

— Pamiętasz tę noc na posiadłości Todda Schillinga?

Zmiana tematu kompletnie mnie zaskakuje. Mam na końcu języka słowo *którą*, bo spędziliśmy mnóstwo nocy na tej działce jego rodziny. Niezliczone godziny, które można by uznać za marnotrawienie młodości, chociaż w rzeczywistości nie robiliśmy nic nietypowego. Nie muszę go jednak dopytywać, bo mimo tak wielu wspomnień doskonale wiem, o którą noc mu chodzi.

Jak mogłabym zapomnieć?

— Tak — potwierdzam cicho i patrzę na niego dociekliwie.

— Pamiętasz, co powiedziałem po wszystkim?

Potakuję.

Chronię tych, których kocham.

Emocje związane z tą nocą są niezwykle silne, ale poczucie bezpieczeństwa, jakie mi wtedy dał, jest jeszcze silniejsze.

Nie cierpię się za to, że tym jednym wspomnieniem, jednym stwierdzeniem z głupia frant kompletnie mnie rozmiękczył. Zmusił do przywołania tych słów i tej obietnicy, gdy ja staram się trzymać go na dystans.

— Mówiłem to wtedy całkowicie poważnie i nadal się tym kieruję. Zrobiłem ci parę nieładnych rzeczy i nie zasługuję na twoje wybaczenie, chociaż o nie prosiłem, ale koniec końców, Saylor, jesteś częścią mojej rodziny. Ryder też. Nie potrafię przywołać żadnego wspomnienia sprzed dwudziestych urodzin, w którym w ten czy inny sposób byście nie uczestniczyli. Laytonowie także zrobili ci sporo nieładnych rzeczy, niezależnie od tego, czy było to specjalnie, czy nie. A ja nie chcę niczego więcej, jak tylko pomóc ci w potrzebie. Okej?

Całe paliwo napędzające mój temperament wypaliło się do zera pod wpływem jego nieugiętego spojrzenia i szczerości jego słów. W moim wnętrzu duma ściera się z emocjami z przeszłości. I z chęcią przebaczenia i pójścia dalej.

Nie chcę mieć żadnych uczuć do tego mężczyzny. Chcę pamiętać o bólu po jego odejściu, który przypomina mi o tym, dlaczego nie powinnam nic do niego czuć. Ale jak mam to zrobić, skoro on mówi coś takiego?

— Dzięki. Doceniam to. Ale nie trzeba. Podejrzewam, że najlepiej będzie zostawić Mitcha w przeszłości i poszukać nowej i innej przyszłości.

Tak jak zrobiłam po twoim odejściu.

Hayes łączy moje słowa z tym, co wyraża spojrzenie. Wie, że nie pasuje już do tego świata zwykłych ludzi i State Street.

— Następnym razem, gdy się zobaczymy, Saylor, zamierzam odzyskać szansę na bycie twoim przyjacielem. — Mięsień jego szczęki pulsuje. Zwilża językiem dolną wargę.

Ale przyjaciele także mogą złamać ci serce.

— Na razie, Hayes. Naprawdę miło było cię znowu zobaczyć.

Walczę z każdą cząstką mnie, która wołałaby zaczekać na jego odpowiedź i

uwierzyć w jego deklaracje, ale koniec końców została mi tylko duma. Mogę jedynie brnąć naprzód. Z tą myślą uśmiecham się nieznacznie i odwracam od mężczyzny, w którym kiedyś widziałam swoją przyszłość.

Bo muszę wrócić do swojej rzeczywistości.

Popycham drzwi i wita mnie słodki zapach cukierni i pokrzepiający dźwięk dzwonka. DeeDee uśmiecha się do mnie szeroko, patrząc za moim ramieniem na zewnątrz, gdzie Hayes prawdopodobnie wsiada teraz do samochodu. Nie mam ochoty na jej milion pytań. Nie chcę się czuć, jakbym znowu zerwała z Hayesem, skoro za pierwszym razem w zasadzie wcale nie zerwaliśmy.

On po prostu odszedł.

Muszę o tym pamiętać. Nie mogę dać się zaślepić wywołanym przez niego emocjom, bo jestem teraz bardziej wrażliwa z powodu wesela Mitcha. Wciąż odbudowuję swoje życie i do pewnego stopnia także *siebie*.

— Hm, dlaczego mam wrażenie, że Hayes Whitley był kimś więcej niż przyjacielem z dzieciństwa, do czego przekonywałaś mnie wcześniej? — pyta DeeDee za moimi plecami, gdy myję dłonie, próbując się skupić. Łomoczące serce mówi mi jednak, że dojście do siebie zajmie mi co najmniej kilka minut.

Wzruszam ramionami w odpowiedzi i biorę ręcznik, żeby wytrzeć dłonie.

— Byliśmy parą przez jakiś czas. A potem on wyjechał do Los Angeles i więcej się nie odezwał. — Dlaczego tak trudno to przyznać? Odwracam się, a DeeDee stoi z oczami jak spodki i otwiera i zamyka usta, jakby miała jeszcze sto pytań, ale nie wie, na ile powinna wściubiać nos w przeszłość swojej szefowej. *Mądra dziewczyna*.

— To by wyjaśniało to seksualne napięcie między wami. Atmosfera była tak gęsta, że można by ją kroić nożem.

— Oj, Dee — śmieję się. Prawdopodobnie mocniej, niż powinnam, bo nie mam pojęcia, skąd ona to wzięła. — Zabawne. Jemu na pewno nic nie brakuje, jeśli chodzi o seksapil, ale ty powinnaś wyleczyć się z uzależnienia od romansów. Życie to nie książka. Napięcia seksualnego nie da się kroić. Ludzie nie spotykają swoich drugich połówek w szkole średniej. I zaręczam ci, że bohaterka nie ma orgazmu za każdym razem, gdy uprawia seks z bohaterem. Okej?

— Ale bohater czasem płaci za babeczki, mimo że powiedziano mu, iż są na koszt firmy, a potem zostawia na ladzie tajemniczy bilet na samolot i mówi asystantce, żeby poczekała i dała to szefowej, gdy on już pojedzie.

Przymrużam podejrzliwie oczy, próbując rozgryźć, o co jej chodzi, a ona powoli wyciąga zza pleców niebieską kopertę i wręcza mi ją.

— Myślę, że on wciąż cię lubi, Saylor.

— Nie, wcale nie. — *Chronię tych, których kocham*. Dlaczego te słowa musiały mi się przypomnieć akurat w *tym* momencie? — Oboje macie nie po kolei w głowach. — Wzdycham i odwracam kopertę z niedowierzaniem, coraz bardziej zirytowana na to, że najwyraźniej nikt nie liczy się z moim zdaniem.

Biorę głęboki wdech, nastawiam się na nadchodzący gniew i otwieram kopertę. W środku znajduję bilet American Airlines na wyspę Turks i Caicos. A dodatkowo opłacona z góry rezerwacja w ośrodku Seven Stars Resort and Spa na moje nazwisko.

Puls łomocze mi w uszach. Dłonie drżą. W głębi gardła czuję palące łyzy. Kotłuje się we mnie tak wiele emocji — niedowierzenie, gniew, wdzięczność, irytacja, wszystko — na widok tych rezerwacji i na myśl o sumie, jaką Hayes musiał zapłacić za ulepszone warunki.

Odsuwam na bok potwierdzenie rezerwacji w ośrodku i odkrywam żółtą karteczkę wypisaną dobrze mi znanym charakterem pisma.

Na wypadek, gdybyś chciała uciec ze mną do raju na kilka dni. Nie musisz im niczego udowadniać, ale powinnaś coś udowodnić sobie. Jesteś lepsza od nich, Ships. Z przyjemnością chciałbym ci pomóc w to uwierzyć.

— Hayes

Wpatruję się w liścik przez kilka chwil i próbuję określić, jak się z tym czuję. Jestem nieskończenie wdzięczna Hayesowi za to, że był skłonny wygospodarować czas w swoim napiętym grafiku i pochlebia mi to, że ma o mnie tak wysokie mniemanie *mimo* tych ostatnich dni.

Zastanawiam się, jak wiele pamięta na mój temat. Zwłaszcza czy pamięta o tym, jak bardzo nie znoszę, gdy się mnie do czegoś zmusza. W takich przypadkach robię dokładnie na odwrót, żeby udowodnić, że nie da się mnie przekonać.

I tak się mniej więcej teraz czuję.

Patrzę na bilety w dłoniach. Wiem, że nie polecę. Nie mogę. Przeszłość lepiej zostawić w przeszłości. Cukiernia jakoś przetrwa. Muszę tylko wymyślić, jak załatwić mu zwrot pieniędzy. I jak mu podziękować, nie przyjmując jego propozycji.

Nie mogę jednak zaprzeczyć uczuciom wzbudzonym przez te skrawki papieru. Zalewa mnie ciepło na myśl, że w ogóle przyszło mu to do głowy, niedowierzenie, że tak bardzo we mnie wierzy mimo tego, jak traktowałam go w tym tygodniu, i spokój, bo w końcu mam możliwość podjąć decyzję.

Podnoszę wzrok. DeeDee czeka cierpliwie i obserwuje moją reakcję. Uśmiecha się niepewnie, lecz jej oczy emanują nadzieją, że wybiorę romantyczne zakończenie rodem z powieści, w których się zaczytuje.

Ale wszyscy dobrze wiemy, że powieści to fikcja.

Romans w powieściach to stek bzdur.

Czasem na końcu bohater odchodzi.

A bohaterka zostaje sama i musi na nowo się pozbierać.

Rozdział 8

Saylor

Dłonie.

Jego dłonie są wszędzie, gdzie nie chcę ich czuć. Na moich ustach. Na klatce piersiowej.

Kłucie żwiru w plecy. Nacisk jego kolan między moimi udami. Jego podniecony śmiech, gdy szarpnięciem próbuję uwolnić usta. Żeby móc krzyczeć. I gryźć.

Smak strachu. Wypełnia mi usta. Opanowuje zmysły.

Cyknie świerszczy. Wydaje się tak donośne. Jakby krzyczały na niego, skoro ja nie mogę.

Żdźbła trawy muskające moje nogi. Zimne. Gorzkie. Mylące. Ukrywają między sobą kamienie, które wbijają mi się w skórę.

Tak jak on.

Zapach piwa. W jego oddechu. Piwo sączy się na ziemię obok nas, przewrócone naszą szamotaniną.

Odgłos odrywanego ramiączka mojej nowej letniej sukienki. Kilka tygodni oszczędzałam, żeby ją kupić. A teraz jest zniszczona.

Nie wiem, dlaczego się na tym skupiłam. Na rozrywanym materiale.

Bo lepiej myśleć o tym niż o tym, co nastąpi za chwilę.

O Boże.

Ma takie silne dłonie. Przygważdżają mnie do ziemi. Nie pozwalają uciec.

Szamoczę się. Kopię. Walczę. Ale coraz mniej rzeczy ma dla mnie wyraziste barwy. Mój umysł odpływa. Nie chce wiedzieć, co stanie się dalej. Nie może.

— Saylor? Saylor? — Ktoś krzyczy moje imię. Hayes. To Hayes.

Jestem tutaj. Proszę. Proszę, znajdź mnie.

Uczucie ciepła, gdy łzy wymykają się z oczu i spływają w dół, do uszu.

Zimne powietrze na brzuchu, gdy on zadziera mi sukienkę.

Jakiś wrzask. Chyba. Nie wiem. Nie chcę już myśleć. Ale słyszę go ponownie i nagle nie czuję już ciężaru napastnika. Zniknął.

Uczucie pustki.

Próbuję się podnieść. Przesuwam się na czworakach, a kamienie ranią moje nagie kolana, żeby oddalić się stąd najszybciej jak potrafię.

Chrzęst.

Mnóstwo krzyków.

Odgłos puff, jakby ktoś dostał pięścią w brzuch.

Słowa zabiję cię wycedzone przez zaciśnięte zęby.

Odgłosy uderzeń pięści o ciało.

— Idź po pomoc, Ryder. JUŻ.

Kolejny chrzęst kości o kość.

Dzwoni mi w uszach. Zimno mi. Nie mogę przestać się trząść. I płakać. Kołyszę się do przodu i do tyłu, przyciskając kolana do piersi.

Chcę zniknąć. Stąd. W myślach.

Żeby móc udawać. Zapomnieć.

— Saylor. Saylor.

Wzdrygam się, gdy czuję dotyk dłoni. Próbuję z nim walczyć.

— To ja.

Odpycham go.

— To ja.

Przestaję walczyć.

Bezpieczne dłonie gładzą mnie po ramionach, plecach i policzkach. Kierują moją twarz, bym spojrzała mu w oczy. Ma krew na wierzchach dłoni. Czerwony ślad na policzku. Strużka potu spływa mu po skroni.

Obawa. Strach. Furia. Niepewność. Niedowierzenie. Ma to wszystko w oczach, które mówią, że jest tak samo przerażony, jak ja.

Ale jego głos jest spokojny i kojący.

— Jestem tu, Say. Przy tobie.

Jego dłonie mną kierują. Podnoszą mnie z ziemi, żebym usiadła na jego kolanach. Obejmuje mnie i przyciska do swojej piersi. Do siebie.

Chowam nos w zagłębieniu szyi. Jego zapach przebija się przez strach. Pachnie bezpieczeństwem.

Jego ciepło na mojej skórze. W moim wnętrzu wciąż panuje chłód.

— Już dobrze. Jestem przy tobie. Jestem przy tobie. Nic ci nie grozi. Obiecuję, że nic ci nie grozi.

Tuli mnie w ciemnościach. Jedna dłoń gładzi mnie po włosach. Druga dłoń wzdłuż kręgosłupa. Czuję ciepło jego oddechu na głowie. Wibracje jego klatki piersiowej, gdy mówi. I drżenie dłoni, gdy próbuje mnie uspokoić.

Słowami. I dotykiem.

Odgłos syren w oddali.

Jestem już bezpieczna. W ramionach Hayesa.

— Nic ci nie grozi, Saylor. Nigdy. Jestem przy tobie. Chronię tych, których kocham.

Rozdział 9

Saylor

Ziewam chyba już po raz setny. Boli mnie głowa. Czuję się wycieńczona i jestem strzępkim nerwów. Wciąż mam w pamięci dzisiejszy sen.

Kawa parzy mnie w język. Odwracam się i rozglądam się po Starbucksie. Siedzę plecami do większości stolików, ale mam dobry widok na przyływy i odpływy ludzi do kontuaru, przy którym zamawiają upragniony napój, zanim rozpoczną rozpaczliwe poszukiwania wolnego miejsca w tej zawsze zatłoczonej kawiarni.

Staram się z całych sił skupić na obserwowaniu klientów, ale myśli wciąż zbaczają w stronę koszmaru, którego już dawno nie miałam. To na pewno przez słowa Hayesa w poprzednim tygodniu, gdy powtórzył złożoną dawno temu obietnicę, a potem w liściku potwierdził jej obowiązywanie.

Skąd pomysł, że trzeba mnie chronić? Czy on uważa, że ja naprawdę potrzebuję pomocy?

Typowy facet. Nadjeżdża z odsieczą, chociaż dama wcale nie jest w opałach. Ani nie jest jego damą.

Co gorsza, posprzeczałam się z Ryderem o to, skąd Hayes znał szczegóły przyjęcia weselnego Mitcha. Mój własny brat przyszedł któregoś ranka do cukierni, gdy ja pojechałam po zapasy, i wyszukał na komputerze detale dotyczące vouchera za *moje* odwołane wesele. A potem przekazał te informacje Hayesowi, żeby ten mógł zorganizować podróż. *Naszą podróż.*

Albo raczej żeby jego asystentka mogła to zorganizować. Ta, która dostała babeczki.

Nie muszę więc mówić, że trafił na moją czarną listę. Ja z kolei prawdopodobnie trafiłam na czarną listę Hayesa, bo poprosiłam Rydera o jego numer telefonu, zadzwoniłam do niego i grzecznie odmówiłam przyjęcia biletów, na co ten odpowiedział, że oferta nadal obowiązuje. Niekoniecznie takiej reakcji się spodziewałam.

To oznacza, że propozycja jest wciąż otwarta.

Mimo że wołałabym, żeby wygasła.

Zbyt dużo zamętu. Zbyt dużo wspomnień wyciągniętych w tak krótkim czasie. *Nic dziwnego, że boli mnie głowa.*

Pociągam łyk. Zapisuję kilka pomysłów na cukiernię: nowe smaki, promocje, zmianę opakowań. Cokolwiek, żeby jakoś zwiększyć sprzedaż. Odrywam wzrok od kartki i automatycznie się uśmiecham, bo kobieta siedząca przy jedynym stoliku przed moim otwiera charakterystyczne różowo-białe pudełko z logo Sweet Cheeks w widocznym miejscu na pokrywce i wyciąga z niego jedną z moich babeczek Chocolate Goodness.

Mam niedorzeczną satysfakcję z tego, że ktoś preferuje moje babeczki, a nie ciastka oferowane w Starbucksie. Chcę zobaczyć wyraz jej twarzy po ugryzieniu kawałka, żeby ocenić, czy jej smakuje, ale nie mogę się tak na nią gapić, więc zmuszam się do skupienia

się na swoich notatkach. Rozmyślenia nad następnym punktem przerywa wypowiedź zza moich pleców.

— Tak. To są babeczki z *jej* cukierni.

— Phi. Niech się nimi rozkoszuje, póki może, bo ta cukiernia na pewno padnie. Bez dwóch zdań.

Zamieram po tym zdaniu, wygłoszonym nosowym głosem przez dziewczynę za mną. Mrugam kilka razy, jakbym nie wierzyła w to, co widzę, chociaż przecież słów i tak nie da się zobaczyć.

— Jak miałyby nie paść z taką nazwą?

— Sweet Cheeks. Słodkie policzki. Błę. Co za odpust. Budzi skojarzenia z... niesmacznymi rzeczami. — W nosowym głosie dziewczyny pobrzmiewa obrzydzenie. Nie mogę w to uwierzyć. Denerwuje mnie to. Nie wiem, co o tym myśleć. Mam ochotę wstać, odpychając gwałtownie krzesło w tył i odwrócić się do nich, żeby zobaczyły moją twarz, rozpoznały mnie i poznały moją szczegółową opinię na *ich* temat.

Inna część mnie każe mi jednak zatopić się głębiej w krzesle. *Chcę* usłyszeć więcej tego, co mówi się za moimi plecami, chociaż jednocześnie wolałabym tego nie słyszeć. Cała sytuacja sprawia wrażenie ukartowanej. Jakby gdzieś była ukryta kamera, filmująca moją reakcję, żeby ze mnie zakpić.

— Cóż, chyba jej smakuje — komentuje wyższy, bardziej piskliwy głos. Domniemywam, że chodzi jej o kobietę przede mną, która właśnie odgryzła potężny kęs czekoladowego nieba.

Nosowa *psyczy*.

— Niedawno na comiesięcznym lunchu pani Layton powiedziała, że te babeczki były suche, kruche i... i mało oryginalne. Próbowwała ich przed tą całą... *sytuacją*. — Ostatnie słowo wypowiada ciszej, jakby wspominała o jakimś wielkim skandalu. — Wiesz... *biedny Mitch*. Tyle musiał przejść przez tą *Saylor*.

Oniemiała nieznacznie kręcąc głową i próbując zrozumieć ten zbieg okoliczności. Że siadłam akurat tutaj i słyszę tę rozmowę.

To musi być żart. To trik Rydera, żeby skłonić mnie do pójścia na wesele, bo mam wrażenie, jakby te kobiety odgrywały napisane przez niego role.

Czy dlatego siedzę, kuląc się z niedowierzaniem, zamiast wstać i kazać im iść do diabła?

Nie podoba mi się to, że nie potrafię odpowiedzieć.

— Na pewno jest mu lepiej bez niej — stwierdza piskliwa. Mogłabym przysiąc, że słyszę odgłos przewracania oczami.

— *Co nie?* W ogóle do siebie nie pasowali. Najśmieszniejsze jest to, że tacy ludzie jak ona byliby gotowi zabić za poziom życia zapewniany przez Mitcha.

Tacy ludzie jak ona? Krew się we mnie gotuje i całe ciało zaczyna wibrować po tej obeldze, z której tak naprawdę jestem dumna. Nie chcę mieć z nimi nic wspólnego, jeśli miałabym stać się taką osobą.

— Co za głupota z jej strony. Musi mieć nie po kolei. Bo przecież nie ma szans, że znowu uda jej się złapać kogoś na tym poziomie.

— To prawda. Wyobrażasz sobie, jakie to musiało być zenujące dla Mitcha i jego

rodziny? Że zostali odrzuceni przez *śmięcia*? Krzyżyk na drogę — mówi nosowa, przeciągając ostatnie słowa.

Zaciskam dłoń na piórze. Kobieta z babeczką przede mną najwyraźniej nie jest świadoma krytyki mojego charakteru i jakości okruchów, które zlizuje z palców.

— Nie wspominając już o pieniądzach, jakie jego rodzina prawdopodobnie wyłożyła na tę imprezę, bo wiesz, ona miała to gdzieś. Pochodziła z *gorszej części* hrabstwa, więc wiadomo, że jej rodzina nie dała ani centa.

Odpowiada jej prychnięcie, nielicujące ze zrzędliwym i przemądrzałym tonem.

— Wiadomo.

— Dobrze, że dostanie za to kopa w tyłek od karmy.

Punkt dla nosowej, bo właśnie przeżyłam nieoczekiwany szok.

— Chwileczkę! Co rozumiesz przez karmę? Czy ty coś przede mną ukrywasz, Tish? — dopytuje piskliwa, nadając nosowej imię, które skądś znam, ale nie potrafię przypisać mu konkretnej twarzy.

— Niekoniecznie. Przypadkiem słyszałam rozmowę kobiet w Klubie. Podobno Saylor założyła cukiernię, bo liczyła na to, że pani Layton zachęci swoje przyjaciółki do zamawiania cateringu deserowego na swoje niezliczone przyjęcia. — Dosłownie widzę, jak ich usta układają się w przemądrzałe uśmiešky.

Serio? Tak brzmi ściema wciskana ludziom przez Sztywną Urszulę?

— Aha, więc skoro odeszła od Mitcha i odwołała ślub...

— Dzięki Bogu — przerywa jej piskliwa.

— Totalnie. Pomyśl tylko, jakiego problemu uniknął. Prawie ożenił się z kimś spoza środowiska. Co on sobie myślał? Ale wróćmy do tematu. Jeden z dostawców, którego ojciec zna osobę pracującą w domu Laytonów, mówił podobno, że jej biznes znacząco podupadł. Do tego stopnia, że jest na granicy wypłacalności.

— Oj, biedactwo. — Rozmówczyni wybucha pompatycznym śmiechem, a ja mrugam gwałtownie, zastanawiając się, skąd one biorą takie brednie. *Ja jestem dostawcą*. Ja i moje cotygodniowe wyprawy do Costco. — Wracaj tam, gdzie żyje druga połowa, złotko.

— O tak, nie pchaj się do klasy wyższej, dziewczynko.

— W każdym razie jestem pewna, że będzie musiała zamknąć biznes po tak negatywnych opiniach pani Layton.

— Krzyżyk na drogę.

— Jasne. Idziemy?

— Oczywiście. Saks Fifth Avenue[*] wzywa!

Głosy powoli cichną, gdy kobiety wychodzą, a ja siedzę bez ruchu. Oniemiała. Osłabiona. Wściekła.

Ta konwersacja nie była ustawiona. Ryder nie posunąłby się tak daleko. Ale wolałabym się mylić. Nie wierzę, że tak nieciekawe i krótkowzroczne osoby w ogóle mogą istnieć.

Ale istnieją.

Właśnie je spotkałam.

Ręce mi drżą. Łzy palą mnie w oczach, bo jestem zła na siebie, że nie kazałam im

iść do diabła. Że im się nie postawiłam i nie zrobiłam sceny, żeby udowodnić im, jak bardzo są płytkie. Sęk w tym, że jestem tak roztrzęsiona i sfrustrowana, że prawdopodobnie wykrztusiłabym z siebie tylko jakiś niezrozumiały bełkot, czym tylko potwierdziłabym ich niepochlebne osądy. Pali mnie wstyd, bo nie udało mi się znaleźć w sobie siły, żeby się postawić.

Wciąż słyszę w myślach ich puste komentarze. *Ich* podejrzania. *Ich* osądy. *Ich* wszystko.

Z temperamentem stojącym w płomieniach i oślepiona jego dymem decyduję się na jedyny krok, który mogę w tej chwili wykonać. Sięgam do torebki i szukam telefonu. Kilka razy trafiam w niewłaściwe przyciski, bo tak drżą mi dłonie, i wybieram kontakt, który niedawno wybierałam, lecz zarzekałam się, że nigdy więcej go nie wybiorę.

Słyszę sygnał. Ciało drży ze wstydu, którego nie powinnam czuć, z powodu w pełni uzasadnionego gniewu i dlatego, że w swojej naiwności sądziłam, iż założenia Rydera są błędne.

— Ships Ahoy? — Wydaje się równie zdziwiony moim telefonem, co ja tym, że właśnie dzwonię.

— Potrzebuję twojej pomocy, Hayes. Przyjmuję ofertę.

[*] Saks Fifth Avenue — luksusowy sklep odzieżowy w USA — *przyp. tłum.*

Rozdział 10

Saylor

Co ja robię?

W samolocie wpadłam w przerażenie w związku ze swoją decyzją. W głowie słyszałam wciąż słowa Hayesa o moim temperamencie i kłopotach, w jakie się przez to pakuję. Dlatego zmusiłam się do snu. Przypomniałam sobie złośliwe komentarze kobiet w Starbucksie. Trzymałam się tego, że chcę ocalić swoją firmę. Swoją pasję. *Swoją godność.*

Firmę, która powstała dzięki finansowej pomocy Rydera.

Czy gra naprawdę jest warta świeczki?

Zwątlenie rosło z każdym krokiem, gdy szłam odebrać bagaż, a w głowie roily mi się same najgorsze scenariusze. Na przykład, że tracę opanowanie w trakcie ceremonii na powietrzu, rzucam się do ucieczki tuż przed przejściem Sarah Poczyszycielki wzdłuż szpaleru gości i całym ciałem wpadam na Mitcha. Zderzamy się z głośnym plaśnięciem i przewracamy, ląduję na nim, sukienka zadziera mi się do góry i wszyscy goście mogą podziwiać moją pupę upchniętą w bieliźnie korekcyjnej. Albo przychodzę na przyjęcie, potykam się i wpadam głową w tort. Wszyscy goście odwracają się, żeby mnie zobaczyć, a ja jestem cała w lukrze.

Cóż za ironia! Dziewczyna w lukrze, najgorszy koszmar Mitcha. Ale przynajmniej byłabym nierozpoznawalna.

A co, jeśli Hayes się nie zjawi?

Ta myśl prześladowuje mnie, gdy jadę taksówką wzdłuż długiej alei z rzędami palm po bokach, która prowadzi do hotelu. Czuję na twarzy tropikalne ciepło i rozglądam się po otoczeniu.

Wyspa jest absolutnie przepiękna. Malownicze plaże. Kolorowa główna ulica. O tej porze życie w tym miejscu dopiero budzi się ze snu.

Powtarzam sobie to, co obiecałam sobie, gdy wczesnym rankiem wysiadałam z samolotu: jestem tu po to, by ocalić firmę, a przy okazji odesłać w przeszłość dwóch mężczyzn, których kiedyś kochałam.

Ocalenie firmy to najważniejszy cel. Chcę pokazać Laytonom i ich znajomym, że wbrew ich założeniom jestem pewna siebie i szczęśliwa.

To prowadzi do kolejnej obietnicy. Żeby wykorzystać ten czas do pozbycia się wszelkich szczątkowych wątpliwości dotyczących Mitcha. I żeby utwierdzić się w przekonaniu, że odejście było właściwą decyzją i że nie czuję do niego nic prócz obojętności.

A oprócz tego chcę udowodnić jego płytkim, zadowolonym z siebie gościom, że nie potrzebuję ich ani ich stylu życia, bo doskonale radzę sobie sama.

To oczywiście prowadzi do ostatniego postanowienia. Hayes Whitley i wszystko, co z nim związane. Powiedziałam sobie, że muszę pogrzebać to, co stało się dziesięć lat

temu. Przebaczę Hayesowi, chociaż nie do końca wiem, co zrobić z bólem, który w sobie ukrywam. Muszę sobie też uświadomić — co może być trudniejsze niż przebaczenie — że nie muszę wiedzieć, dlaczego ode mnie odszedł. Ważniejsze jest to, że wygospodarował sporo czasu w swoim zapchanym kalendarzu osobistym, żeby tu ze mną być. Żeby pomóc mi dowieść swojej racji i odzyskać szanse utracone po odejściu od Mitcha, przede wszystkim szansę na sukces swojego biznesu.

Mam jednak wrażenie, że Hayes ma bardziej rozbudowane plany. Zawsze miał do tego dryg. Wydobywał ze mnie coś, o co siebie nawet nie podejrzewałam. Pokazywał inny sposób patrzenia na świat, prowokował mnie i zmuszał do zobaczenia sytuacji z innej perspektywy. Zauważałam to, mimo że byłam wtedy nastolatką.

Nieodłącznie związana z tym jest świadomość, że jeśli chodzi o Hayesesa, nie wyjdę z tego weekendu bez szwanku. To po prostu niemożliwe.

Pytanie tylko, jaki będzie zakres zniszczeń. Zostanę ze złamanym sercem? Ze zszarganymi wspomnieniami naszego związku? Z posiniaczonym ego?

Coś mi mówi, że to mogą być wszystkie te trzy kwestie.

Trudno będzie się ochronić, gdy to on będzie zadawał ból. Znowu.

Skupiam się więc na krajobrazie. Mali chłopcy z umazanymi pyłem twarzami kopią piłkę w uliczce. Na rogu kobieta sprzedaje ręcznej roboty bransoletki. Ulice z kostki brukowej wypełnione turystami jedzącymi desery z tłuczonego lodu. Pary trzymające się za ręce i wymieniające ukradkowe pocałunki.

Wjeżdżam w inną scenerię. Wciąż otaczają mnie drzewa i wciąż mam przed sobą spektakularne widoki, ale teraz widzę też plażę i hipnotyzującą toń bezkresnej wody. Skręcamy na podjazd obsadzony luksusową roślinnością. Palmy i wielobarwne kwiaty szeleszczą poruszane oceaniczną bryzą.

Taksówka zwalnia, podjeżdżając pod wejście do hotelu, i przez ulotną chwilę zapominam, po co tu przyjechałam. Wsiadam z samochodu i czuję w dole kręgosłupa dreszczyk ekscytacji. Rozglądam się na boki, chłonąc ogrom hotelu, i uśmiecham się bezwiednie, gdy słyszę akcentowaną angielszczyznę, a boy hotelowy zabiera mój bagaż.

Czyli to tak żyje druga połowa? Cóż, ta dziewczyna z gorszej części hrabstwa zamierza w pełni z tego skorzystać w trakcie swojego pobytu w tym miejscu.

Mam już niemal przed oczami obraz tego, jak się relaksuję z drinkiem w dłoni, ze stopami w piasku i grzejącym skórę słońcem. Wchodzę do holu. Jest jeszcze piękniejsze niż na broszurach i zdjęciach w internecie. Ale uderzenie zimnego, klimatyzowanego powietrza sprowadza mnie z powrotem do rzeczywistości. A może to nie powietrze, tylko olbrzymia sztaluga z kunsztownie wykaligrafowanym napisem *Witamy gości weselnych rodzin Laytonów i Taylorów*. Bo to *ten* napis sprawia, że w pełni uświadamiam sobie, na co się porwałam.

Czuję skurcz żołądka. Jestem tu, żeby wziąć udział w weselu Mitcha. Nie moim. Ale w moim wymarzonym miejscu na ślub.

Odwaga zupełnie ze mnie wyparowuje, gdy podchodzę do recepcji. Aby trochę ukoić rozdygotane nerwy, oglądam marmurowe posadzki i luksusową roślinność, która mnie otacza. Nagle jednak uświadamiam sobie, że w każdej chwili mogę wpaść na Mitcha, jego rodziców lub jedną z „przyjaciółek”, więc przestaję się rozglądać i skupiam

wzrok na miłej pani z uprzejmym uśmiechem, która wita mnie w hotelu.

Zabawne jest to, że się na to przygotowywałam. Mówiłam sobie, że będzie łatwo. Cóż, zawsze jest łatwo, dopóki rzeczywistość nie uderzy nas w twarz.

A ja muszę przyznać, że właśnie otrzymałam od niej sążnisty cios.

— Mam nadzieję, że podoba się pani w Seven Stars Resort, panno Taylor. Mam nadzieję, że ten ślub będzie niezapomniany. Co mogę...?

— Przepraszam, musiała mnie pani pomylić z kimś innym. — A konkretnie z Sarah Poczyszycielką. — Nie wychodzę za mąż. Jestem tylko gościem weselnym i chciałabym się zameldować.

Recepcjonistka otwiera ze zdumienia oczy.

— Przepraszam. Myślałam... Wygląda pani jak... naprawdę przepraszam. Koordynatorka wesela pokazywała mi fotografię panny Taylor, żebym mogła ją przywitać, gdy przyjedzie, a pani jest tak podobna. Mogłybyście być siostrami. Przepraszam najmocniej, że...

— Nic się nie stało. — Zmuszam się do uśmiechu, uświadamiając sobie ironię tej całej sytuacji. Bo moje założenia okazały się prawdziwe i Sarah także wygląda jak ja. Nie powinno mnie to dziwić, ale jednak... — Moje nazwisko Saylor Rodgers.

— Tak, proszę pani. Przepraszam za mój błąd. Witam panią w Seven Stars Resort i dziękuję, że postanowiła pani u nas zostać, pani Rodgers. Sprawdźmy... mamy panią... o, ma pani rezerwację w Copa Villa. Bardzo piękne miejsce. — Klika w klawiaturę, a ja marszczę brwi, zastanawiając się nad tym, dlaczego nazwa tej willi brzmi mi tak znajomo. — Wygląda na to, że pani towarzyszy, pan... och... Hayes Whitley — mówi i robi wielkie oczy, gdy rozpoznaje nazwisko — już się zameldował. Rico pokaże pani drogę do waszej willi.

Zaskakuje mnie to, że Hayes już przyjechał, bo w ostatnim SMS-ie pisał, że przyjedzie jutro ze względu na zaplanowane spotkanie. Cieszyłam się, że będę miała dzień dla siebie na zebranie się na odwagę, by przez to wszystko przejść.

Trochę za późno, żeby się wycofać.

Unoszę głowę do góry i z nieco większym zdecydowaniem ruszam za Rico na zewnątrz. Mijamy zdumiewającą roślinność. W końcu widzę na żywo obrazy ze zdjęć z broszur, w które wpatrywałam się, planując wesele. Na swój surrealistyczny sposób gorycz miesza się z radością. Słońce jest wysoko na niebie, gdy jedziemy krętą dróżką, graniczącą z plażą, w stronę najdalszego zakątka na hotelowej działce. Nagle dróżka się kończy i stajemy przed dość dużym bungalowem otoczonym roślinami pnącymi i tak ulokowanym, żeby zapewnić maksimum prywatności.

O mój Boże. Ta *Copa Villa*. Najbardziej odosobnione i kosztowne miejsce w ośrodku. Teraz ją sobie przypominam. Pani Layton nalegała, że to tutaj powinniśmy z Mitchem spędzić naszą pierwszą noc jako małżeństwo. Parsknęłam śmiechem, jak zobaczyłam nedorzeczną stawkę za noc. A gdy przestałam się śmiać, byłam zbyt zakłopotana, by wyznać, że nie ma szans, żebym mogła sobie na to pozwolić. Skłamałam, że zrobiłam już rezerwację na pakiet wakacyjny przez internet i że nie ma możliwości żadnych zmian pakietu. Oczywiście ona od razu mnie przejrzała. Wiedziała, że nie mogę sobie pozwolić na nic więcej, bo moja karta kredytowa jest wykorzystana do

ostateczności, dlatego naciskała, że zapłaci za mnie ten rachunek.

Potrząsam głową na wspomnienie tej kłótni. Powinien to być dla mnie sygnał ostrzegawczy dotyczący jej despotycznej natury. Ale nie ustąpiłam jej. Trzymałam się dzielnie i broniłam swojej godności. Było to dla mnie bardzo ważne, żeby osobiście zapłacić za jakąś część wesela, bo nie chciałam, by Laytonowie wyłożyli całość.

To była jedyna sytuacja przez cały związek z Mitchem, gdy udało mi się wymóc na niej ustępstwo.

Jak na ironię, właśnie w tym miejscu będę teraz z Hayesem.

Hayes.

Jestem na niego taka zła. Jak śmiał zapłacić takie nedorzeczne pieniądze za ten weekend? I tak już wystarczająco dużo dla mnie robi.

Może to ze względu na ryzyko. Czy Hayes musi być odosobniony od pozostałych gości dla swojego bezpieczeństwa? Być może. Próbuję się do tego przekonać, bo nie chcę robić mu nieprzyjemności od razu, gdy go zobaczę.

Nagle coś sobie uświadamiam i nawet nie próbuję opanować parsknięcia, które mi się wrywa. Rico odwraca się do mnie, ale potrząsam głową na znak, że niczego nie potrzebuję. Ciekawe, co pomyślą sobie Piskliwa, Nosowa i pani Layton, gdy dowiedzą się, gdzie jestem zameldowana.

Poza tym, jeśli pani Layton chce dla swojego syna wszystkiego, co najlepsze, to gdzie Mitch i Sarah spędzą swoją noc poślubną, skoro my zajmujemy willę?

Najwyraźniej dziewczyna z gorszej części hrabstwa będzie się śmiała ostatnia.

Rico staje i wręcza mi kartę do drzwi, obiecując, że mój bagaż wkrótce zostanie dostarczony, po czym uśmiecha się, życzy mi miłego dnia i zostawia mnie roztrzęsioną, tym razem z zupełnie innego powodu.

Czuję się jak oszustka, gdy wchodzę do luksusowego bungalowu. Charakteryzują go proste linie i ciepłe barwy. Chłodna bryza oceaniczna w korytarzu porusza kosmyki włosów, które uwolniły się z końskiego ogona i łaskoczą mnie w policzki. Przechodzę przez foyer, a potem korytarzem w stronę dekadentckiego salonu. *Wow. Co za widok.* Zatrzymuję się na chwilę, gdy przed moimi oczami pojawia się tylna część domu i jego przeszklone ściany. Rozsuwane drzwi są otwarte, a wiatr znad oceanu porusza zasłonami w oknach wykuszowych z boku. Za ledwie kilka kroków od zadaszonego tarasu za rozsuwanymi drzwiami jest już biały piasek i przejrzysta woda.

Po prawej mam kuchnię: rozległe granitowe blaty, olbrzymia wyspa z brązowymi wiklinowymi stołkami, urządzenia ze stali nierdzewnej i białe szafki. Skręcam w lewo i znowu zatrzymuję się w pół kroku na widok pokoju konwersacyjnego z luksusowymi skórzanymi kanapami i miękkimi poduszkami.

Na jednej z kanap śpi Hayes. Jedną dłoń podłożył pod głowę, druga zwisa swobodnie, a założone jedna na drugą stopy wspierają się na przeciwległym oparciu. Nie ma na sobie koszuli, a szorty wiszą na jego biodrach niebezpiecznie nisko.

Odruchowo ruszam do przodu i chłonę go wzrokiem — *każdy* aspekt — schodząc kilka stopni w dół do salonu w jego stronę. Jest tak cholernie przystojny, że jego widok zapiera dech w piersi.

Po odjęciu upiększających świateł Hollywood i mojego welonu pogardy nie sposób

zaprzeczyć temu, że Hayes wygląda oszalamiająco. Pod wieloma względami. Obserwuję jego całkowicie zrelaksowaną wersję i nie mogę wyjść z podziwu, że chłopak, którego kochałam, stał się tym mężczyzną.

Bo Hayes *zdecydowanie* jest mężczyzną.

Cały metr dziewięćdziesiąt jego osoby jest teraz bardziej wypełniony i umięśniony. Wodzę wzrokiem po wyraźnie zarysowanych mięśniach klatki piersiowej i brzucha oraz po stonowanych nogach. Przypominam sobie tego chudego chłopca bez dwóch przednich zębów, który pukał do naszych drzwi i pytał, czy Ryder wyjdzie się pobawić.

Uśmiecham się bezwiednie na widok blizny po prawej stronie brzucha — poszarpanej białej linii, której praktycznie nie widać, jeśli nie wiesz, gdzie jej szukać. Pamiętam jak dziś, gdy jako nastolatek z aparatem na zębach wchodził bez pukania do mojego domu.

— *Wyzywam cię, Whitley!*

Tak powiedział do niego któregoś dnia Ryder. Mieli wtedy po dwanaście lat, a Hayes w odpowiedzi chełpił się, że bez trudu przeskoczy ogrodzenie bez rozpędu, z miejsca. Pamiętam jego tryumfalny okrzyk, gdy mu się udało, a potem jęk bólu, bo stracił równowagę i upadł na ostrą skałę po drugiej stronie. Pamiętam też zatroskaną twarz mojej mamy w drodze do szpitala, gdzie założyli mu szwy, po których pozostała ta blizna.

Przyglądam się jego twarzy. Jednodniowy zarost, wachlarze czarnych rzęs na tle policzków, idealne usta.

Pamiętam te usta. *Wszystko*, co z nimi związane. To uczucie, gdy przyciskały się do moich. To, jak wyginały się w górę, przez co jego oczy zdawały się uśmiechać. Obietnice, jakie nimi złożył. Miłość, którą nimi wyznał. *Słowa, których nimi nie powiedział.*

Potrząsam głową i wzdycham, żeby oderwać się od wspomnień, które nieustannie mnie zalewają w jego obecności.

Może po prostu trudno mi się pogodzić z tym, że nastolatek, którego kiedyś znałam, jest teraz tym mężczyzną. Jak to możliwe, że po całym tym czasie nadal boli mnie jego odrzucenie, a jednocześnie od samego patrzenia na niego głęboko w dole brzucha odzywa się we mnie to słodkie uczucie.

Jego nagły ruch wzbudza we mnie ulotną panikę. Otwiera zaspane oczy i spogląda na mnie, a na ustach wykwita leniwy uśmiech. Dostrzegam w nim przeblysłk tego małego chłopca, przez co serce podskakuje mi w piersi.

— Hej, dotarłaś. — Jego głos jest chropowaty. I szczerzy.

— Przed chwilą — szepczę, a on pociera twarz dłońmi. Zmuszam się do odejścia, żeby nabrać trochę dystansu. Odwracam się, żeby popatrzeć przez okno na przepiękny krajobraz, a Hayes przemieszcza się za mną na skórzanej kanapie.

— Dobrze ci się leciało?

— Tak. Dziękuję. To był mój pierwszy raz. — Rumienię się, chociaż on i tak tego nie widzi. Od razu też łajam się w myślach za to, że dałam mu taką okazję do riposty.

— Pierwszy raz leciałaś?

— Nie. Pierwszy raz w pierwszej klasie. — Zaczynam chodzić. Muszę jakoś uśmierzyć niepokój związany z możliwością wpadnięcia na Mitcha lub jedną z byłych

przyjaciółek poza willą i z przebywaniem w tak niewielkim pomieszczeniu z Hayesem.

— Co? Sugerujesz, że Mitch nigdy...?

— Nie. Niewiele podróżowaliśmy. A jeśli już...

— Chwileczkę. Byłaś z tym gościem sześć lat. Z gościem, który nieustannie chełpi się posiadaniem bogactwem. — Odwracam się do niego, bo ciekawi mnie, skąd o tym wie, ale on przewraca oczami i wstaje z kanapy. — Tak, Saylor. Sprawdziłem jego konta na portalach społecznościowych. Wszystkie te jego żalose posty o tym, jakie prowadzi uprzywilejowane życie, i zdjęcia prezentujące, jaki z niego dziany koleś... Więc przepraszam, ale trochę się dziwię, że potrafił wydać bazylion dolarów na weekend z kolegami w Hamptons w San Francisco, lecz z narzeczoną nie latał pierwszą klasą. Nazwij mnie stronniczym. Albo palantem. Ale taka postawa mnie denerwuje. Powinnaś być dla niego ważniejsza niż *koledzy*.

Uderzają mnie słowa Hayesa. Bardzo trafnie ocenił charakter Mitcha na podstawie samych postów z Facebooka, a ja dostrzegłam to dopiero po czasie, gdy oceniałam nasz związek z dystansu.

Nagle czuję się utwierdzona w swoich opiniach. Dziwne, że z wszystkich ludzi przyczynił się do tego właśnie Hayes.

— Dzięki — odpowiadam cicho, wpatrując się w jego oczy, żeby nie przegapić momentu, gdy ich wyraz złagodnieje. Chichoczę na wspomnienie czegoś, co mi przeszkadzało, ale nigdy nie czułam, że mam prawo się o to gniewać, bo przecież wydawał swoje pieniądze. — Nazywałam go Golfowym Chłopcem. Żartowałam, że woli wyjechać z chłopakami, żeby zaliczyć parę dołków, niż spędzić czas ze mną w domu. Nie cierpiał tego przezwiska.

— A ja nie cierpię golfa, więc bez obaw. Na tej wycieczce nie będzie żadnego golfa. Zgoda? — Jego szelmowski uśmiech rozgrzewa mnie w środku, a cała irytacja w związku z wyborem tej willi wyparowuje ze mnie bez śladu.

— Zgoda.

— Przepraszam. Wiem, że to nie moja sprawa. — Przeczesuje dłonią włosy, przez co jego szorty nieco się zsuwają. — Ale im więcej myślę o tej całej sytuacji, tym bardziej jestem wkurzony.

— Dzięki, ale... nie warto. On nie jest tego wart. — Przygryzam wewnątrz policzka i przez chwilę wpatrujemy się w siebie w milczeniu.

— Dlaczego? — Jego oczy dopowiadają pozostałą część trudnego pytania: *dlaczego znosiłam takie zachowanie Mitcha?*

Smutna prawda jest taka, że nie zdawałam sobie nawet z tego sprawy. Wstyd mi przyznać, jak bardzo czułam się nieważna w większość dni. Milczę więc i zapada niezręczna cisza. Mam nadzieję, że Hayes odpuści. Uda, że nie widzi w moich oczach upokorzenia, jakie czuję przez to, że pozwoliłam tak się ponizać.

Oboje wzdrygamy się, gdy odzywa się dzwonek u drzwi, przypuszczalnie obwieszczając przybycie moich bagaży. Wdzięczna za to przerwanie rozmowy bez słowa ruszam do drzwi, ale wiem, że Hayes prędzej czy później będzie chciał usłyszeć odpowiedź.

Mam nadzieję, że znajdę w sobie na tyle odwagi, by powiedzieć mu prawdę, którą

niedawno sobie uświadomiłam.

Bo nie był tobą.

Rozdział 11

Hayes

— Nie dzwoń już do mnie, Jenna. Wykonałem swoją część. Zajmij się swoją.

— Ale Hayes... ja... ja mam teraz problemy i naprawdę cię tu potrzebuję — błaga. *Powiedziała aktorka. Królowa melodramatu. Osoba, która zrobi wszystko dla rozgłosu.*

Zgrzytam zębami, ale tym razem nie poddaję się jej kłamstwu.

— Nie, wcale nie masz. Doskonale sobie radzisz beze mnie.

— Ale Hayes...

— Żadnego *ale Hayes*, Jenna. Przez ostatnie kilka godzin wysłałaś mi co najmniej trzydzieści SMS-ów. Jestem na wakacjach. To mój czas. Nie twój. Ani studia filmowego. Wszelkie problemy, jakie masz, stworzyłaś sobie sama, więc je rozwiąż. Muszę kończyć. Przez resztę tej wycieczki moja komórka będzie wyłączona.

Rozłączam się i zaciskam pięści. Nie cierpię tego koszmaru, w którym tkwię, i jestem naprawdę wdzięczny za możliwość wyjazdu. Za Saylor i chwilę oddechu od mojego zwariowanego życia.

Dlaczego ja w ogóle zgodziłem się na gierki Jenny?

Nie mam zamiaru wyłączać telefonu, ale gdy rozlega się sygnał kolejnego SMS-a — oczywiście od Jenny — włączam tryb „nie przeszkadzać” i wrzucam telefon do kieszeni. Najwyższy czas stąd wyjść i obejrzeć okolicę. Ale zatrzymuję się, gdy przechodzę obok pokoju Saylor. Patrzę, jak się rozpakowuje. Efektywne ruchy i pełne skupienie na składaniu ubrań — ani razu nie odrywa wzroku, żeby spojrzeć przez okno, gdzie oceaniczna bryza marszczy krystalicznie czystą wodę. Czysto biznesowe podejście.

Jest taka w odniesieniu do wszystkiego w tej wyprawie. I wiem od Rydera, że pracuje bez wytchnienia, żeby jej cukiernia odniosła sukces. Zaczynanie od zera po sześćioletnim związku z *palantem* wymaga odwagi. A to, że przyjaciółki uznały wpływy i pieniądze Laytona za bardziej kuszące od jej przyjaźni? To musiało być trudne.

I samotne.

Jak one mogły ją tak po prostu odrzucić? Odciać wszelkie więzy i zapomnieć o łączącej je przyjaźni?

Ja pieprzę. *Przyganiał kociół garnkowi.*

Podobieństwa między Saylor i mną oraz nieprzyjemne konsekwencje związku z Mitchem powoli osiągają niedorzeczny poziom. Każda kolejna zbieżność sprawia, że czuję się jeszcze większym dupkiem.

Ale przecież po to tu jestem. Żeby odkupić swoje winy. I wyleczyć stare rany.

Te wszystkie zbieżności uświadamiają mi, jak trudne musiało być dla niej zadzwonienie do mnie — do faceta, który równie mocno ją skrzywdził — i przyjęcie mojej oferty pomocy.

Zakłada kosmyk włosów za ucho i ściąga mocniej pasek szlafroka. Jej długie nogi

blągają o to, by równie długo je oglądać. *Cholera*. Z całą pewnością są warte drugiego spojrzenia.

To tak, jakbym ją znał i jednocześnie jej nie znał. Popieprzone uczucie dla faceta, który przywykł nie przejmować się takimi rzeczami. Bo nie musiał.

Saylor kontynuuje swoje metodyczne ruchy. Rozpakowuje. Rozwija. Składa na nowo. Umieszcza w szufladzie.

Co się stało z tą jej osobowością złoŃnicy? Z postawą „odwal się”? Z dziewczyną, która nie przejmowała się tym, kto na nią patrzy i co o niej myśli? Czy to przez tego palanta? Layton jej to odebrał? Czy to właśnie komunikowało mi jej milczenie, gdy powiedziała, że nie jest tego wart? Dlaczego miałby blokować jej nieustraszone oblicze, które definiowało to, kim naprawdę była?

Czas uwolnić ją z tych łańcuchów i wydobyć z niej dziewczynę, którą znałem. Tę z szelmowskim uśmiechem i dzikością w spojrzeniu.

Dzwoni jej telefon. Oboje podskakujemy z zaskoczenia, ale ona nadal jest plecami do mnie.

— Dee, co tam? — przerywa, składając T-shirt. — Znowu? Poważnie? Chryste. Zadzwoń do tego samego fachowca, co wcześniej. Sprawdź, czy będzie w stanie ustabilizować temperaturę, żebyś mogła jakoś dać radę do mojego powrotu. A potem coś wymyślimy... Tak. Dzięki. Doceniam twoją troskę o mnie.

Rzuca telefon na łóżko i głośno wzdycha.

— Alarm pięciu minut — mówię.

Odwraca się raptownie po moich słowach. Dłoń automatycznie wędruje do dekoltu szlafroka, a jej oczy — niebieskie i szeroko otwarte — na chwilę zjeżdżają w dół. Każda kobieta uwielbia mięśnie w dole brzucha. Dzięki Bogu większość ról wymagała, żebym miał je wyraźnie zarysowane.

A ona z całą pewnością właśnie zwróciła na to uwagę.

— Alarm pięciu minut?

— Uhm. — *Tutaj mam oczy, Ships. Ale w sumie napatrz się do woli.* — Tyle masz czasu do naszego wyjścia.

Jej usta układają się w zszokowane O, a w mojej głowie pojawiają się obrazy, których nie powinienem sobie wyobrażać. O tym, co mógłbym tam wsunąć. Sytuacji nie poprawia to, że gdy zerkam niżej, zauważam, że cienki materiał szlafroka jest wypychany przez jej twarde sutki.

— Co masz na myśli?

Ona ma oczy wyżej, Whitley.

Wyciągam dłoń w jej stronę.

— Po pierwsze, zabieram twój telefon. A potem ruszamy na zwiad.

— Chcesz mój telefon?

Między innymi. Jeśli szlafrok ma na mnie taki wpływ i prowokuje pragnienia, których nie powinienem mieć, to...

— Tak. Mój dzwonił już chyba ze sto razy i doprowadza mnie do szaleństwa, a sądząc po twojej rozmowie, twój także jest stresujący. Uznałem więc, że powinniśmy wyłączyć telefony i odciąć się na weekend.

— Odciać? Ty mówisz serio, prawda?

Porusza się i przez rozchylenie szlafroka błyskają mi jej nogi.

— Jak najbardziej. — Spoglądam na swoją wyciągniętą rękę, a potem wracam spojrzeniem do oczu Saylor. — Jesteśmy w rajku, Ships. — Jeden kącik jej ust nieznacznie się uniół i wiem, że da się przekonać. — Napisz do Rydera czy kogokolwiek, z kim przed chwilą rozmawiałaś, że wyłączasz komórkę, żeby nikt się nie martwił, że zostałaś porwana przez Sztywną Urszulę. A potem wyłącz telefon i mi go oddaj. Ja zrobię to samo z moim.

Po raz kolejny taksuje mnie wzrokiem.

— Okej. Zgoda.

Przytakuję i oboje wyciągamy telefony, wysyłamy wiadomości, wyłączamy je i Saylor daje mi swój.

— Zadowolony? — Unosi brwi, jakby była zirytowana, ale wiem, że podoba jej się ten pomysł.

— *Bardzo*. Skoro to mamy już załatwione, czas na zwiedzanie. Ruszamy obejrzeć wyspę i trochę się rozerwać. — W jej oczach pojawia się panika. *Cholera*.

— Myślałam, że chcesz się ukryć przed wścibskimi oczami. Że posiedzimy sobie tu w spokoju i ciszy, ciesząc się anonimowością.

Niezła próba, Ships, ale w ten weekend to nie przejdzie.

— Lata temu nauczyłem się, że wścibskich oczu nie da się kontrolować. Jesteśmy na tropikalnej wyspie, Saylor. Na środku oceanu. Czeka tu na nas piasek, woda i mnóstwo zabawy. Poza tym wyjście na zewnątrz to najlepszy sposób na zaanonsowanie naszego przyjazdu. Zapewniam cię, że na tej małej wyspie wieści rozchodzą się szybko.

Przygryza dolną wargę i siada na łóżku. Ona naprawdę myślała, że posiedzimy sobie w willi. Ale nawet jeśli dokładnie to chciałbym teraz robić, nie wchodzi to teraz w rachubę. Plany się zmieniły. A ja jestem zdeterminowany, by wskrzesić Saylor. *Moją dawną Saylor*.

Czas trochę się zabawić i spróbować ją odnaleźć.

Saylor otwiera usta, żeby coś powiedzieć, nie zgodzić się, polemizować, ale ja zerkam na zegarek, a potem patrząc w jej niebieskie oczy, mówię:

— Marnujesz czas. Zegar tyka.

Rozdział 12

Saylor

— Czy twoja nowa miłość nie będzie na ciebie zła, że zostawiłeś ją w domu i poleciałeś na tropikalną wyspę? — Nie odwracam się do Hayesa, chociaż bardzo chciałabym zobaczyć jego reakcję.

Widziałam tabloidy. Wiem, ile uwagi poświęcały mu przez ostatnie kilka miesięcy. Wiem też, że szeroko komentowany związek z Jenną Dixon zakończył się z powodu jego domniemanej zdrady, a Jenna nie pokazuje się publicznie, żeby się z tym uporać. Ich bajka się skończyła.

Prasa wycisnęła z tego tyle, ile się dało. Za każdym razem, gdy pojawiała się jakaś nowa plotka, natychmiast ją publikowano i powielano. Spekulacje dotyczące osoby, z którą dopuścił się zdrady, objęły chyba wszystkie kobiety, z jakimi miał styczność. Hayes jednak ani razu tego nie skomentował.

Czy to oznacza, że prasa rzuci się także na mnie?

Odrzucam tę myśl. Jesteśmy tylko przyjaciółmi. Przyjaciółmi na maleńkiej wyspie na Atlantyku w ośrodku all-inclusive. Nie ma opcji, żeby ktokolwiek się mną zainteresował. W hollywoodzkim świecie nie jestem nikim ważnym.

Nawet w najmniejszym stopniu nie przypominam kobiet, z jakimi miał styczność i jakie brano pod uwagę w spekulacjach. Poza tym zgodnie z najnowszą plotką Hayes spotyka się z Tessą Gravestone — śliczną i bardzo kapryśną (jeśli wierzyć tabloidom) gwiazdą, z którą gra w jednym filmie. Ciekawi mnie, czy to prawda, a jeśli tak, to co ona myśli o jego pobycie w tym miejscu.

Hayes chichocze, ale w jego śmiechu nie ma za grosz rozbawienia.

— Chyba nie czytałaś ostatnio tabloidów, bo wiedziałabyś, że nie mam dziewczyny, Saylor. — Pewny ton. Głos pozbawiony wahania.

Ryzykuję spojrzenie i witają mnie jego uniesione brwi. Siedzimy oparci o opaskę brzegową, z gołymi stopami w piasku, a on patrzy na mnie, jakby mówił, żebym zapytała wprost.

Prycham, gdy widzę tę reakcję. Uśmiecha się na sekundę, a ja potrząsam głową.

— Ale czy czasem nie spotykasz się z tą *jak jej tam*?

— Skoro nie wiesz, jak ma na imię to nie, nie spotykam się z nią.

— Co za wykrętna odpowiedź. — Wiem, jak ma na imię... ale nie chcę pokazać Hayesowi, że śledzę jego życie w krzywym zwierciadle tabloidów.

Obraca się ciałem w moją stronę i spogląda mi w oczy. Patrzy intensywnie z przechyloną głową i wyraźnym poirytowaniem.

— Czyżby? — pyta sucho. — Biorąc pod uwagę piekło, jakie mi zgotowano po sytuacji z Jenną i ilość niepochlebnych opinii o moim charakterze, powiedziałbym, że to, iż nie mam dziewczyny, jest dość logiczne. — Patrzy na mnie poważnie z zaciśniętymi ustami i czeka na moją reakcję. W moim spojrzeniu musi być coś, co go kwestionuje, bo

poprawia się i ściąga usta. Zaczyna mówić, ale przerywa, po czym zaczyna znowu: — No dalej, Saylor, śmiało. Spytaj mnie lub uwierz *im*. Twój wybór.

Chociaż bardzo mnie ciekawi, czy zdradzał swoją dziewczynę, i chciałabym usłyszeć, że tego nie zrobił, milczę. Patrzy na mnie w taki sposób, jakby irytowało go to, że mogłabym uwierzyć w plotki, dlatego postanawiam się pohamować. Bo zadanie pytania oznacza, że dopuszczam taką ewentualność, co z kolei oznacza, że mu nie ufam.

— Nie wierz we wszystko, co widzisz, Saylor — rzuca sucho. Ostrzegawczo. — Nawet sól na pierwszy rzut oka wygląda jak cukier.

Jego odpowiedź każe mi jeszcze raz przemyśleć swoje domniemania i skłania do wycofania się.

— O nic nie pytam, Hayes. — Zwilżam wargi językiem i opuszczam wzrok na palce, którymi nerwowo przebieram, po czym wracam spojrzeniem do niego. Ciekawe, co jest prawdą i kto ma interes w rozsiewaniu takich, a nie innych plotek. — Ale chodziło mi o Tessę. Nie Jennę. — Muszę to uściślić. Faktycznie próbowałam coś z niego wydobyć, ale nie w kwestii Jenny.

— Oj — reaguje i uśmiecha się nieśmiało. — Przepraszam. Jestem trochę przewrażliwiony na punkcie Jenny.

Przytakuję. Rozumiem go. Chciałabym go jeszcze przepytąć, ale powstrzymuję się, bo w tej historii najwyraźniej jest jakieś drugie dno. Ma prawo do emocji w związku z ich rozstaniem, skoro tak długo byli razem.

— Cóż, w takim razie... — dodaje prowokacyjnym tonem i atmosfera nieoczekiwanie znowu się rozluźnia. Na jego usta powraca uśmiech, a w oczach igrają niegrzeczne chochliki.

— Tak, Tessa. — Tylko tyle mówię. Uśmiecham się szeroko mimo zazdrości, która kłuje mnie nieco mocniej, niż byłabym skłonna przyznać.

— Pracujemy razem.

Przewracam oczami.

— Czyli sypiacie ze sobą.

— Owszem, na ekranie — mówi bez skrępowania, ale jakaś część mnie ma wrażenie, że ze mną pogrywa. Że bada moją reakcję.

— I poza ekranem — chichoczę, ale zastanawiam się w duchu, dlaczego mnie to interesuje. *Jezu, Saylor, daj sobie spokój.*

— Masz jakiś powód, że cię to interesuje? — Wykrada to pytanie z mojej głowy i spogląda na mnie badawczo, więc odwracam wzrok w stronę oceanu, bo właśnie o tym teraz myślę.

Tyle że ja znam odpowiedź. Interesuje mnie to z powodu tego ulotnego uczucia wywoływanego przez jego uśmiech i z powodu ciepła, jakie mnie zalało, gdy objął mnie przy wyjściu z małej restauracji, do której weszliśmy na szybką przekąskę. Ale nie chcę się do tego przyznać.

— Nie, nie mam. — Niewygodnie mi pod ciężarem jego spojrzenia, ale pozwalam, by zapadła między nami cisza. Gdzieś w oddali słychać grę na steel drumie[*]. Co chwilę rozlegają się śmiechy turystów lub odgłosy kroków, gdy ktoś spaceruje po tym zaspanym karaibskim miasteczku. Przyglądam się miejscowym dzieciom bawiącym się w wodzie,

niektóre są w kostiumach kąpielowych, inne bez. Ich rodzice obserwują je z brzegu.

— To nic poważnego — mówi nieoczekiwanie Hayes. — W sumie to nie widziałem się z nią od paru tygodni.

— Uhm. — Pozwalam, by ta odpowiedź zawisała między nami, i cieszę się w duchu z tego, że przed przyjazdem na wyspę nie odbył żadnej gorącej sesji pożegnalnej z prześliczną gwiazdą filmową.

— Jesteś okropnie milcząca, Ships.

Uśmiecham się bezwiednie. Już nie przeszkadza mi to przewisko.

— Tak. Po prostu z całych sił staram się dobrze dzisiaj bawić. Nie myśleć o nadchodzących kilku dniach. I...

— Cieszyć się towarzystwem przystojnego mężczyzny.

Wybucham śmiechem. Uwielbiam to, że potrafi go ze mnie wydobyć. Podobnie jak wcześniej w polecanej przez miejscowych knajpce Fresh Catch, gdzie zjedliśmy przystawki i sączyliśmy koktajle. Rozmawialiśmy wtedy o dziecięcych eskapadach i kłótniach, starannie unikając tematów z czasu, gdy byliśmy parą i późniejszych wydarzeń, których do dziś nie rozumiem. *Obiecałam sobie*, że nie podejmę tej kwestii w trakcie pobytu na wyspie.

Przynajmniej tyle mogę dla niego zrobić, zważywszy na to, jest tutaj ze mną i pomaga mi w tej nietypowej sytuacji.

Oglądam się na niego — włosy mierzwiłone przez wiatr i pogłębiające się dołeczki — i myślę sobie, że chodzi nie tylko o jego urodę. Jest ukojeniem i tajemniczą, a jednocześnie znajomą przeszłością. Jest zabawny i jednocześnie zdystansowany.

— Tak. To też.

— A czym się tak denerwujesz?

— Nie denerwuję się — odpowiadam zbyt szybko, czym się demaskuję. Po jego chichocie wiem, że mi nie uwierzył. — Znasz mnie, niezbyt dobrze sobie radzę z nieprzewidywalnością. Trudno mi się rozluźnić, gdy wiem, że wszyscy będą na mnie patrzeć.

Patrzy na mnie z deprymującą intensywnością. Jakby szukał odpowiedzi, której nie mogę mu udzielić.

— Dziewczyna, którą kiedyś znałem, nie przejmowała się tym, kto na nią patrzy — mówi cicho. Nie podoba mi się to, że czuję odruchową potrzebę zaprzeczenia. Obronienia się. Szczególnie, że sama ostatnio się nad tym zastanawiałam. Zdystansowanie się od Mitcha pokazało mi, jak bardzo związek z nim mnie zmienił. Jak bardzo stonował moją osobowość.

Wzruszam ramionami. Niemal jakbym chciała go przeprosić, chociaż tak naprawdę powinnam przeprosić siebie.

— Może wszystko zależy od tego, kto patrzy.

Zwilża wargi i kiwa głową, jakby rozumiał, ale ucieczka wzrokiem i ruch jego ramion mówią mi coś innego. Po chwili podnosi głowę, żeby na mnie spojrzeć.

— Cóż, w takim razie powinienem cię ostrzec, że jesteś ze mną, więc bez obaw. Gdy ludzie patrzą, to patrzą na mnie. — Początkowo wydaje mi się, że mówi poważnie, ale gdy na jego ustach pojawia się uśmiech, domyślam się, że próbuje mnie rozluźnić.

— A, rozumiem. Na sławnego hollywoodzkiego aktora — żartuję sobie, ale wiem, że ma rację. Ukradkowe spojrzenia przy kolacji. Prośby od przechodniów o wspólne zdjęcie. Naprawdę doceniam jego starania, by zmniejszyć mój niepokój.

Chucha na kostki i udaje, że poleruje je o tors, po czym puszcza mi oczko.

— Dlatego pamiętaj, że za każdym razem, gdy wydaje ci się, że ludzie na ciebie patrzą...

— To w rzeczywistości patrzą na ciebie — dokańczam.

— Dokładnie. — Kiwa głową dla podkreślenia. — Muszę też dodać, że mam bardzo szczegółowy harmonogram na najbliższe kilka dni, jeśli to ukoji twoją potrzebę przewidywalności.

W odpowiedzi podrywam głowę.

— Jest jakiś harmonogram?

— Tak. Dostałem go, gdy się meldowałem. Wszystko jest w nim rozpisane. Jutro golf dla facetów i kosmetyczka dla pań. — Przewraca oczami. — Bez obaw, obiecałem, że nie będzie golfa, więc nie będzie. Nie wybieramy się. Każemy się im pocić z ciekawości. Niech sobie poplotkują o tym, że tu jesteśmy. Wzięłaś zaproszenie, tak jak prosiłem?

— Tak. Dlaczego? — Patrzę na niego podejrzliwie.

— Bo Sztywna Urszula na pewno nie wie, że zostałam zaproszona. Zrobili to, żeby z ciebie zakpić i nie sądzili, że naprawdę się zjawisz. Chcę mieć pewność, że masz zaproszenie, na wypadek gdyby chciała cię wykopać...

— Hayes? — Muszę coś z siebie wyrzucić.

— Tak? — pyta z zakłopotanym spojrzeniem.

— Sporo o tym myślałam i chciałam, żeby było jasne, że nie jestem tu po to, żeby zepsuć im ślub. To nie w moim stylu. Każda dziewczynka marzy o tym dniu, a jakie mam prawo, by sądzić, że Mitch nie jest dla Sarah wymarzonym księciem? To, że nie był moim, nie oznacza, że nie jest jej. — Przekrzywiam usta i opuszczam wzrok na palce, które kreślą na piasku abstrakcyjne figury, a potem wracam spojrzeniem do niego. — Chcę tylko pokazać im, że jest mi z tym dobrze. Że odejście od Mitcha było właściwą decyzją dla nas obojga. *On jest szczęśliwy i bierze ślub z inną kobietą.* Tylko ktoś, kto się wstydzi, ucieka i się ukrywa, a ja taka nie jestem. Chcę, żeby mój biznes kwitł i podjęłam się tego, bo jest szansa, że przyjazd w to miejsce, uśmiechanie się, okazywanie wsparcia i emanowanie pewnością siebie coś im udowodni. Gdybym tu nie przyjechała i Sweet Cheeks by upadło, to zawsze bym się zastanawiała... a mam już dość zastanawiania się.

Milknę, bo głos mi się łamie na ostatnich słowach. Nie podoba mi się, że znowu sprowadziłam rozmowę na temat, którego obiecałam sobie nie poruszać, czyli do refleksji o nas dawno temu i o tym, „co by było, gdyby”. Mam wrażenie, że ostatnio wszystko do tego zmierza.

Studiujemy się w słabnącym świetle i mam wrażenie, jakby z każdą sekundą coraz bardziej wymazywały się te lata, gdy nie byliśmy razem. Brązowe oczy kontra niebieskie. Jego milczenie i moje wyznanie.

— Wiedziałem, że nadal jesteś tą samą dziewczyną, którą kiedyś znałem — stwierdza szeptem. Zerkam na jego usta, które zwilża językiem, po czym wracam

spojrzeniem do jego wzroku. — Znam twoje intencje, Saylor. Jesteś zbyt życzliwa, żeby żądać czegokolwiek innego. Jesteś bezinteresowna. I wyrozumiała.

— Wydawało mi się, że mówiłeś, iż chowam urazy.

— Tylko jeśli chodzi o mnie — uśmiecha się. — Zawsze taka byłaś. Miejmy nadzieję, że w ten weekend będę się grzecznie zachowywał, żebyś nie miała czego chować, gdy się skończy.

— Dobry plan — śmieję się znowu i uświadamiam sobie, że już dawno nie śmiałam się z czegoś tak nieistotnego. Bardzo przyjemne uczucie. — Wracając do planów...

— A, tak... jutro rezygnujemy z kosmetyczki i golfa, bo ty masz już zrobione paznokcie, a golf jest nudny jak diabli. Zajmiemy się więc własnymi sprawami. Ja mam do przerobienia parę kwestii na przesłuchanie do roli, które mam zaplanowane po powrocie z tych wakacji, a potem odbędzie się próba kolacji, na którą są zaproszeni wszyscy goście. Ślub jest następnego dnia. Przyjęcie. Następnie...

— Wystarczy. — Zakrywam uszy ze śmiechem. — Dzięki. Naprawdę. Ulżyło mi, gdy wiem, że masz rozpracowane wszystkie szczegóły harmonogramu. Wygląda to na całkiem normalne elementy wesela. *Które na dodatek bardzo dobrze znam.* Mogę odetchnąć.

Hayes chichocze w odpowiedzi, a ja natychmiast się prostuję.

— To ich harmonogram, Ships. *Nasz jest tajemnicą* — mówi, po czym niespodziewanie wstaje i chwyta mnie za rękę, żeby mnie podnieść. Pod wpływem tego złączenia dłoni moje ciało eksploduje dreszczem, który buzował pod skórą przez cały czas od samego siedzenia obok siebie. Tak jakbym nie potrzebowała dotyku i wystarczała mi sama świadomość bliskości jego ciała. Wiem, że on też to poczuł. Że nie jestem w tym sama. Bo słowa gasną na moment na jego ustach. Jakaś część mnie chciałaby zatrzymać tę chwilę, ale mam świadomość, że to nieudana więź, którą straciliśmy lata temu, wydobywa na powierzchnię takie doznania. To nostalgia. Pamięć mięśnia sercowego. — Chodź. Idziemy.

— *Idziemy?*

— Tak, idziemy. Ułatwisz sobie sprawę, gdy zaczniesz postrzegać tę podróż jako przygodę, a nie jako *ich* wesele.

— I co jeszcze? Że niby ty jesteś moim przewodnikiem?

— Jeśli tak chcesz mnie tytułować, proszę bardzo. Wolałbym jednak, żebyś mówiła „panie kierowniku rejsu”, skoro w pewnym sensie pozostajemy w tematyce morskiej, *Ships*. — Puszczą mi oczko i wyciąga drugą dłoń w moją stronę.

— Chyba żartujesz. — Przewracam oczami.

— *Albo kapitanie.*

— Jesteś stuknięty, wiesz o tym? — Potrząsam głową, a on ciągnie mnie za rękę i pomaga mi wstać.

— Całkiem możliwe, ale w tej chwili liczy się tylko to, że ja mam harmonogram i że musimy już iść. Twoja przygoda czeka.

— Och kapitanie, och kapitanie, a co to za przygoda? — Powłóczę stopami jak dziecko, zaintrygowana jego słowami, ale mimo to się uśmiecham.

— Naprawdę sądzisz, że ci powiem? — Błyska tym swoim nieodpartym

uśmiechem. — Czyżbyś nie wiedziała, że najlepszą przygodą jest spontaniczność?

O cholera.

[*] Steel drum — instrument przypominający kształtem obcięte dno beczki, na którym gra się pałeczkami — *przyp. tłum.*

Rozdział 13

Saylor

— Nie ma mowy. Absolutnie. — Próbuję się wycofać, ale wpadam plecami na nienaruszalną ścianę torsu Hayesa. Ogarnia mnie panika, gdy przyciskamy się do siebie ciałami.

— Pamiętaj, co ci powiedziałem — mówi ciepłym głosem prosto do mojego ucha. *Najlepszą przygodą jest spontaniczność*, he, he, he. Próbowалаm już tego kiedyś. Gdy miałam szesnaście lat i dostałam wyzwanie. Od niego.

Odwracam się, jawnie odrzucając jego pomysł na *spontaniczną zabawę*. Odrzucam scenę, ludzi siedzących wokoło oraz mikrofon i wyświetlane na ekranie słowa.

Niestety, gdy to robię, trafiam prosto na jego wysokie, szczupłe i mocne ciało. Każdy nerw natychmiast reaguje na to połączenie. Czuję dreszcz na karku. Sutki napierają na gładki materiał stanika i są w pełni świadome bliskości jego ciepłego torsu. Bezwiednie napinają mi się wszystkie mięśnie.

Gubię na chwilę oddech, gdy trafiam wzrokiem na jego spojrzenie. Równie szelmowskie, co uśmiech.

— Pamiętasz tamten raz w Wild Irish?

— Jak mogłabym zapomnieć? — Wkradliśmy się tylnymi drzwiami do baru kilka miejscowości dalej i czuliśmy, że jesteśmy niewiarygodnie spoko. Ekscytację potęgował strach przed tym, że ktoś rozpozna, iż jesteśmy niepełnoletni. Hayes rzucił mi wtedy wyzwanie, że wpisze mnie na listę, a ja wejść na scenę i zaśpiewam wybraną przez niego piosenkę.

— Pamiętasz, jak długo się zbierałaś na odwagę? — szepcze. Czuję w jego oddechu zapach piwa Red Stripe.

To niebezpieczne wody.

Ale to pan kapitan mnie na nie prowadzi.

Śmieję się. Przechodzą mnie alarmujące dreszcze. *On się nie odsunął*. Nie przerwał kontaktu naszych ciał. Prawdopodobnie dlatego, że jest dużo ludzi, a on chce, żebym go słyszała. Tak czy inaczej, alarmujące dreszcze pojawiają się za każdym razem, gdy ktoś nas potrąca.

— Pamiętam. Pół nocy świrowałam, a kiedy w końcu zdecydowałam się podejść do sceny...

— Dyrektor Hellman cię uprzedził.

Śmiejemy się z tego wspomnienia. Uciekłam wtedy do najdalszego stolika w najciemniejszym kącie knajpy, a chwilę później zupełnie stamtąd wyszłam.

— Mój Boże, byłam tak przerażona, że on nas zobaczy i trafimy do aresztu czy coś.

Nasze śmiechy cichną. W którymś momencie oddaliśmy się nieco od siebie, bo w sali robi się luźniej.

— To co powiesz, Ships?

— Na co? — Udaję obojętność, ale przygryzam nerwowo dolną wargę.

— Nie wypełniłaś wyzwania. — Wzrusza ramionami. Z prowokującym uśmiechem zerka w stronę sceny i z powrotem na mnie.

— Serio?

— Nigdy przedtem nie zdarzyło ci się stchórzyć — dodaje, nie tracąc uśmiechu.

— Nie jesteśmy już nastolatkami, Hayes. — Kręcę nosem, ale czuję, że powoli daję się przekonać. Ten nieśmiały uśmiech i szelmowski błysk w oczach przypomina mi o nieustraszonej, beztroskiej dziewczynie, jaką kiedyś byłam. Dziewczynie, która nigdy się nie wycofywała z rzucanych przez Rydera lub Hayesa wyzwań.

Hayes nachyla się i szepcze mi prosto do ucha:

— Rzucam ci wyzwanie, Saylor.

Bezwiednie się uśmiecham, ale moja reakcja jest pozbawiona entuzjazmu.

— Dobrze wiesz, że nie umiem śpiewać — przekrzykuję muzykę, która właśnie znowu zaczęła grać. Hayes kładzie dłonie na moich ramionach i kieruje mnie w stronę sceny, śmiejąc się melodyjnie prosto w moje ucho.

— Idealnie. Nic tak nie przyciąga uwagi ludzi jak fałszujący śpiewak karaoke.

Mam ochotę go udusić, ale zamiast tego wybucham śmiechem. Biorę go za rękę. Zawahanie w jego ruchach mówi mi, że go to zaskoczyło.

— Skoro ja mam z siebie zrobić głupka, to ty też.

Ku mojemu zdziwieniu zatrzymuje się na chwilę, ale mówi:

— Zapomniałaś już, że lubię, gdy wszyscy na mnie patrzą?

#

— Nie obchodzi mnie to. Nie dam się przekonać — mówię, starając się zabrzmieć poważnie, chociaż uśmiech nie opuścił moich ust od momentu rozpoczęcia sesji karaoke.

Śmiech Hayesa odbija się echem od betonowych ścian, gdy kluczymy zewnętrznymi przejściami hotelu.

— Potrzebujesz pomocy.

— Powiedział facet, który prowadzącemu karaoke kazał tytułować się *Kapitanem*, mimo że wszyscy wiedzieli, że jest Hayesem Whitleyem. — Chichoczę, a on obejmuje mnie ramieniem i przyciąga do siebie dla wsparcia. Albo na odwrót. Nie wiem i nie interesuje mnie to, bo od niepamiętnych czasów dobrze się bawię, i to dzięki niemu.

— Powiedziała kobieta, która śpiewała: „*Might as well face it you're a dick with a glove[*]*” — mówi z głośnym śmiechem.

— A co w tym jest złe? Sprawdź sobie. Założę się, że... nie wiem, o co się założę — odparowuję nieco bełkotliwie. — Zaręczam ci w każdym razie, że Robert Palmer śpiewa tam dokładnie takie słowa.

— Nie. Tam jest *addicted to love[**]*, Ships. „*Addicted to love*” — obwieszcza, z trudem opanowując śmiech — a nie „*dick with a glove[***]*”.

— Phi. — Próbuję wyduć usta, ale nie udaje mi się. On także ma nieco bełkotliwy głos, a jego ciało jest tak przyjemnie ciepłe. Po ostatnich przejściach czuję się tak lekko i swobodnie, że potrafię się tylko śmiać i nie chcę, żeby ten chodnik się skończył przy naszych drzwiach, do których, jak widzę, nieuchronnie się zbliżamy.

— Czy ty próbujesz wydać usta?

— Nie.

— Owszem, próbujesz, a ja mam na to idealne lekarstwo. — Całkowicie z zaskoczenia bierze mnie za rękę, obraca i przyciąga z powrotem do siebie. Raj kręci się wokół mnie i nie przestaje, gdy ląduję w silnych ramionach Hayes'a.

Nasze uśmiechy gasną i przekształcają się w lekko rozchylone usta. Hayes nadal trzyma dłoń w dole moich pleców i czuję na swoich piersiach ruchy jego torsu. Odchyłam głowę do tyłu, on synchronicznie pochyla swoją, a nasze spojrzenia spotykają się ze sobą. W oczach ma taką głębię, jakiej wcześniej nie widziałam. Dostrzegam w nich także rozbawienie. To dziwne połączenie, jakby widział rzeczy, których wolałabym mu jeszcze nie ujawniać.

Pocałuj mnie.

O mój Boże. Co ja sobie wyobrażam? Nie może mnie pocałować. To beznadziejny pomysł. Mam zbyt wiele powodów, by tego nie robić.

A mimo to chcę, żeby mnie pocałował. *Tylko raz.* Żebyśmy mogli to odhaczyć, zamknąć przeszłość w przeszłości i podążyć dalej. Tylko czy będę w stanie wtedy podążyć dalej?

Już jako siedemnastolatek Hayes całowaniem wprowadził mnie w taki stan, że miałam wrażenie, jakbym otworzyła przed nim całą swoją duszę. Nie wiem, czy poradziłabym sobie teraz z takimi emocjami. Każdy aspekt tej sytuacji sprawia, że czuję się bezbronna i odsłonięta. A ponieważ nie mam pojęcia, jakie emocje wywołałby taki pocałunek w tej chwili, absolutnie nie powinnam tego robić.

Cisza się przedłuża, lecz żadne z nas się nie porusza. Zresztą nie wiem, czy w ogóle tego chcę, gdy widzę, jak jego spojrzenie zsuwa się na moje usta, po czym wraca z powrotem do moich oczu.

Pożądanie ściera się we mnie ze zdrowym rozsądkiem.

Jego ciało jest ciepłe i solidne. To namacalna pokusa, której trudno się oprzeć.

No, pocałuj mnie.

Czekam, aż to zrobi. Chcę, żeby to zrobił.

Nagle uświadamiam sobie, jaka ze mnie idiotka. Przecież on prawdopodobnie myśli sobie teraz, że wyglądam patetycznie, stojąc tak w oczekiwaniu na pocałunek w świetle księżyca, jak jakaś żenująca romantyczka. Zażenowana i zdenerwowana wycofuję się, żeby trochę się od niego zdystansować.

— Przepraszam. — Odwracam się i ruszam w stronę drzwi wejściowych.

— Saylor — woła mnie Hayes, ale ja zmuszam się do tego, by iść dalej. On przecież ma tę sławetną gwiazdkę o imieniu Tessa, z którą się nie spotyka, ale z którą prawdopodobnie sypia. Poza tym żyjemy w zupełnie innych światach — blichtr, czerwone dywany i glamour kontra upačkane lukrem włosy, nutella i Netflix — i pocałunek w żaden sposób nie zasypie tej przepaści.

Ale ze mnie naiwniaczka. Po wykonanym przez niego dla zabawy obrocie w świetle księżyca próbuję doprowadzić do pocałunku, którego nie chcę, i fantazjuję o niemożliwym „żyli długo i szczęśliwie”.

Hayes woła mnie znowu i słyszę za sobą odgłos jego kroków na chodniku. Nie

mam ochoty się z nim konfrontować w tej chwili, ale gdy docieram do drzwi, uświadamiam sobie, że on ma klucz. *Po prostu pięknie*. Parskam autoironicznym śmiechem, w którym pobrzmiwa nuta hysterii i odrobina niedowierzania, że pozwoliłam, aby tak poniosła mnie wyobraźnia.

Ten nieoczekiwany zanik zdrowego rozsądku wyniknął z nałożenia się męczących myśli czynników. Alkohol, przyjemny wieczór, komfort przebywania z kimś, kto kiedyś wszystko o mnie wiedział, otaczający nas niewysłowny raj. Każdy z tych elementów przyczynił się do tego, że *Saylor o mały włos nie zrobiła z siebie idiotki*. Gwarantuję, że *coś takiego* w najbliższym czasie się nie powtórzy.

Hayes jest już tuż za mną. Czuję jego obecność, jeszcze zanim się odzywa.

— Say? *Co się stało?*

Zwieszam głowę. Nie podoba mi się to, że mam na końcu języka tyle myśli. Nie wypowiadam żadnej z nich, bo wszystkie są absolutnie niedorzeczne.

Hayes kładzie mi rękę na ramieniu, próbując mnie skłonić do odwrócenia się w jego stronę. Opieram mu się. Nie chcę, żeby zobaczył palące mnie w oczy zażenowanie lub odczytał niestosowne myśli, których pod żadnym pozorem nie powinnam teraz mieć.

— Nic mi nie jest, Hayes. Zmęczyłam się i tyle.

— Hm — mruczy, a ja marszczę nos, bo wiem, że próbuje odgadnąć, co mi chodzi po głowie.

— Mógłbyś otworzyć drzwi?

— Czego się najbardziej boisz w ten weekend?

Co? Pytanie pojawia się znienacka, a ja w pierwszym momencie bezwiednie zakładam, że dotyczy nas. To są jednak szalone myśli i gdy je kielżnam, wiem, że chodzi mu o Mitcha i Sweet Cheeks.

— Powiedziałam ci przedtem na plaży. To nie tyle strach, ile chęć udowodnienia im wszystkim, że podjęłam właściwą decyzję. Bo jeśli kobiety w Starbucksie mówiły prawdę i przeczucia Rydera i twoje są poprawne, to właśnie to powinnam zrobić, żeby dać mojej firmie szansę, na jaką zasługuje.

— Kochasz go jeszcze?

Jego pytanie jest tak zaskakujące, że podrywam głowę i spoglądam mu w oczy. Natychmiast tego żałuję. Ganek jest dobrze oświetlony i nie mam szans ukryć przed nim prawdy emanującej z moich oczu.

— Nie.

— Hm.

Nie wiem, czy mi wierzy. Zmarszczone brwi i nieugięte spojrzenie sugerują, że nie.

— Sześć lat to sporo czasu na bycie z kimś, rozwijanie miłości, a potem wyłączenie jej jak za pomocą przycisku.

Jak mam mu wyjaśnić, że chociaż nie kocham już Mitcha, kocham niektóre wspólnie spędzone chwile? I że na zawsze zachowam ciepłe wspomnienia, ale czy to oznacza, że kocham Mitcha? Nie. Nie sędzę.

— Chciałabym, żeby moje życie stało się znowu normalne — szepczę z nadzieją, że mnie zrozumie. *Chcę, żeby go to zaspokoilo i żeby dał mi spokój*.

W jego brązowych oczach dostrzegam empatię, na którą nie wiem, czy zasługuje,

zważywszy na to, że te wszystkie zmiany są wynikiem moich decyzji.

— Co rozumiesz przez „normalne”?

— Nie wiem już. — Potrząsam głową, wdzięczna za zmianę tematu i próbuję wyjaśnić. — Od rozstania z Mitchem moje życie to chaos. Wyprowadzenie się i zaczęcie od zera. Niezliczone godziny pracy w cukierni, żeby rozkręcić interes. To wyczerpujące, lecz jednocześnie kocham każdą poświęconą na to minutę, więc tak naprawdę nie wiem, co powinnam odpowiedzieć. — *Chodzi o samotność*. Nie o codzienność, bo jestem szczęśliwa ze swoimi decyzjami, ale o samotność związaną z brakiem osoby, do której można się wieczorem przytulić i opowiedzieć jej o swoim dniu. Nie wspominam o tym Hayesowi.

— Zmieniłabyś cokolwiek, gdybyś mogła?

Na to pytanie potrafię odpowiedzieć bez wahania.

— Nie.

Uśmiecha się nieznacznie, ale jednak. Kiwa głową. Gładzi mnie po plecach, żeby dodać mi otuchy.

— To być może jesteś w trakcie odkrywania swojej nowej normalności.

[*] „Might as... a glove” (ang.) — „Uświadom to sobie, jesteś palantem z rękawiczką” — *przyp. tłum.*

[**] „Addicted to love” (ang.) — „Uzależniony od miłości” — *przyp. tłum.*

[***] „Dick with a glove (ang.) — „Palantem z rękawiczką” — *przyp. tłum.*

Rozdział 14

Saylor

Nie ma to jak obudzić się z powodu słońca i odgłosów fal rozbijających się o brzeg za moim oknem. Pozwalam sobie na rozleniwienie. Zapisuję w notatniku kilka luźnych pomysłów na nowe smaki babeczek.

W którymś momencie słyszę, jak Hayes rozmawia przez telefon w innej części domu. Natychmiast wpadam w irytację, że włączył *swoją* komórkę, podczas gdy zgodziliśmy się na ich wyłączenie. Odkładam notatnik, żeby zwrócić mu uwagę, ale zauważam czerwoną lampkę, która miga na telefonie domowym. Ktoś korzysta z linii. Czyli teoretycznie Hayes nie łamie reguły, bo nie rozmawia przez komórkę.

Przyglądam się przez chwilę tej diodzie. Typowe dla niego — obejść reguły, ale ich nie złamać. Nie zmienił się ani trochę. Ciekawe, dlaczego to, że o tym wiem, wywołuje na moich ustach głupkowaty uśmiech.

Uznaję, że przymknę na to oko. Hayes prawdopodobnie negocjuje jakiś milionowo-dolarowy kontrakt, a kim ja jestem, żeby mu w tym przeszkadzać? W rajach też trzeba dbać o interesy. Biorę więc swój notatnik i zaczynam pisać, ale głos Hayesa przybiera na sile. Brzmi na zirytowanego. Sfrustrowanego. Niewzruszonego. Przez korytarz dobiegają do mnie urywki jego konwersacji. Mówi coś o szkodzie dla swojego wizerunku publicznego i że ma w nosie obowiązującą klauzulę zachowania tajemnicy. I że nie ma zamiaru dalej grać w tę grę.

Początkowo mnie to zaciekawia. Hayesa nigdy nie było łatwo zirytować, ciekawe więc, co go tak rozpałiło. Ale przecież moja wiedza dotyczy nastolatka, którego kiedyś znałam. Może z wiekiem stał się bardziej wybuchowy.

Z poczuciem winy, że podsłuchiwałam, biorę prysznic, a potem maluję sobie paznokcie stóp. Cieszę się spokojem, prywatną przestrzenią i wpadającą przez okno oceaniczną bryzą. Zastanawiam się nawet nad biegiem po plaży... ale paznokcie są jeszcze lepkie, więc bym je zniszczyła. Poza tym jestem na wakacjach, a trening to praca.

Nagle jednak wracam do rzeczywistości. To przecież nie są wakacje. Przyleciałam tu z określonym zadaniem. Prawdopodobnie też zwyczajnie ukrywam się w swoim pokoju, żeby uniknąć spotkania z Hayesem po tym, jak wczoraj wieczorem zrobiłam z siebie kompletną idiotkę. Nie wiem, czy domyślił się, co mi przyszło do głowy, ale wystarczy, że sama o tym wiem, że bym czuła się zażenowana.

Ale czy on nie jest tak samo winny tej sytuacji? Przecież trzymał mnie tak blisko. Patrzył z tak nieugiętą intensywnością w oczach. *Tak.* To zdecydowanie jego wina. Ha. A przynajmniej tak sobie będę powtarzać, żeby uzasadnić swoją przesadną reakcję i obudzone zeszłej nocy dziwne tęsknoty.

Do licha, jeszcze przez trzy dni będę dzieliła z Hayesem przestrzeń. Trzy dni jego towarzystwa i prób opanowania uczucia zagubienia, wzbudzanego przez każde jego spojrzenie. Lub uśmiech. Lub nazwanie mnie Ships Ahoy.

Hayes Whitley bawi się mną jak kostką Rubika. Miał taką zdolność wtedy i wciąż ją ma. Zmienił mnie. Byłam naiwną układanką o jednobarwnych ściankach, a on pobawił się mną i zostawił mnie w rozsypce. W jego towarzystwie przeżywam całą gamę mieszanych emocji i niezależnie od tego, jak bardzo staram się wrócić do ułożonego stanu, w jakim byłam przed związkiem z nim, wiem, że nigdy temu nie podołam.

Odcisnął na mnie swój ślad, naznaczył mnie swoim niewidzialnym tuszem.

A pobyt w tym miejscu jest jak wejście pod lampę ultrafioletową. Wszystkie blizny wychodzą na jaw i stają się widoczne, przez co nie sposób dłużej ich ignorować.

Jestem zmuszona do skonfrontowania się z nimi raz na zawsze.

Nie spieszę się z przygotowaniami. Przez jakiś czas walczę ze zwichrzonymi od wilgoci włosami, aż w końcu daję sobie spokój i po prostu je spinam. Nakładam tusz do rzęs i błyszczycyk do ust i smaruję się kremem z filtrem, bo nie wiem, co *Pan Kapitan* zaplanował dla mnie na dzisiaj.

Znowu wywołał mój uśmiech, mimo że nie ma go przy mnie. Jak za dawnych czasów, gdy budziłam się w wakacje, a on pukał do drzwi i mówił mi i Ryderowi, jakie tego dnia czekają nas przygody.

Jak na zawołanie przez zamknięte drzwi dobiegają jego krzyki. Nie potrafię wychwycić żadnych słów, rozpoznaję tylko jęk frustracji. W końcu ciekawość zwycięża i wychodzę z pokoju, żeby ją zaspokoić.

Jego słowa natychmiast stają się rozpoznawalne. Patrzę w głąb korytarza i dostrzegam go na tarasie. Jest częściowo przesłonięty przez filar i rozmawia z kimś zwrócony do mnie bokiem.

— Naprawdę sądziłaś, że tak łatwo się poddam? Że odejdę bez walki? — Potrząsa głową i parska, ale w jego śmiechu nie ma za grosz radości.

Trzymając się ściany, robię krok do przodu i wyciągam szyję, żeby zobaczyć, do kogo mówi, ale nie widzę i nie słyszę jego rozmówczyń.

— Nie rozumiesz tego, prawda? Zrobiłem wszystko, żeby dostać jeszcze jedną szansę. Żeby jeszcze raz stanąć przed tobą. Naprawić swoje błędy. Żebyś zobaczyła, dlaczego jestem... dlaczego nie mogę... DO DIABŁA! — Słyszę głuchy odgłos uderzenia pięścią w filar. Hayes wzdycha ciężko, wyraźnie sfrustrowany. Robi krok w tył, prezentując mi się w pełnej okazałości. Szorty, bez koszulki, baseballówka nasunięta mocno na czoło, ciemne włosy podkręcające się z tyłu i jakieś niebieskie arkusze w dłoni.

— Hayes? — Ruszam ze swojego miejsca w korytarzu i wchodzę do salonu. Hayes podrywa głowę na dźwięk mojego głosu dobiegającego przez otwarte drzwi tarasowe. Rumieni się, co wprawia mnie w zdumienie, bo nie sądzę, żebym kiedykolwiek w życiu widziała, jak Hayes Whitley się rumieni.

Uspokój się, moje serce! Bo pewny siebie Hayes to jedno, ale nieśmiały? To zupełnie inna stratosfera atrakcyjności. To atrakcyjność typu *mam poważne kłopoty*.

Uświadamiam sobie jednak, że jego zawstydzenie oznacza, że przyłapałam go z kimś lub na czymś. Czuję się jak idiotka. Dobrze mi tak za moją wścibskość.

— Hej. — Opuszcza dłoń z papierami i opiera się ramieniem o filar. Jego uśmiech nieco łagodzi moje zakłopotanie.

— Przepraszam. Nie chciałam ci przeszkadzać i... — Milknę, gdy wchodzę na

taras i orientują się, że nikogo więcej na nim nie ma.

Hayes śmieje się z mojego zdumionego wyrazu twarzy.

— Sorry. Ćwiczyłem kwestie i frustrowałem się, próbując znaleźć dobre podejście do tej sceny.

— Ojej, przepraszam. Nie wiedziałam. Myślałam, że... nieważne. — Przez chwilę zawieszam wzrok na jego kciuku wsuniętym za pas szortów, zahipnotyzowana mięśniami brzucha i zbiegającą od pępka ścieżką włosów, po czym spoglądam mu w oczy.

To, że on jednak musi ćwiczyć się w swoim fachu, w pewien sposób mnie zaskakuje. Zawsze był idealny we wszystkim, czego się chwycił, więc jeśli się do czegoś przygotowuje, to znaczy, że mu na tym zależy. Że traktuje to poważnie. To znaczna zmiana, biorąc pod uwagę jego wcześniejsze, spontaniczne podejście.

Trenować przed testami z baseballu? A skąd. A potem trafił do pierwszego zespołu. Uczyć się przed egzaminami? A po co? A potem zaliczył je z wyróżnieniem.

Patrzę na niego i nagle mnie olśniewa. To ten sam chłopak, którego kiedyś znałam, ale jednocześnie zupełnie inny. Dojrzał. Zmienił się. Ale w pozytywny sposób.

Na szczęście się odzywa, przerywając mój potok myśli.

— Zazwyczaj ćwiczę je z moją osobistą asystentką. Jest początkującą aktorką. — Przewraca oczami, jakby spotykał wyłącznie takie osoby. — Trudno ćwiczyć jednostronnie.

— Mogę ci pomóc? — Jego twarz wyraża ten sam szok, który czuję po zadaniu tego pytania.

Thumi śmiech, ale pozwala by na jego ustach pojawił się zawadiacki uśmiech i przygląda mi się badawczo.

— Chcesz mi pomóc?

— Nie bądź taki zszokowany, Whitley. Wiem, że nie potrafię grać, ale pomogę ci, jeśli tego chcesz. O czym jest ten film? — Podchodzę bliżej, wiatr uderza mnie w twarz, a olśniewający widok zapiera mi na moment dech w piersi, jakbym zapomniała, że jestem w raju.

Jego uśmiech staje się nieco bardziej szelmowski.

— To romans sensacyjny. Ta scena... dotyczy głównych bohaterów, którzy od dawien dawna próbują zwalczyć wzajemne przyciąganie.

— Po co to robią? — pytam bez namysłu, a on reaguje krótkim uniesieniem brwi.

— Dobrze pytanie. — Wzrusza ramionami i patrzy na mnie niezachwianym wzrokiem. — Moim zdaniem czasem zdarza się w życiu coś, co zmusza do odłożenia miłości na bok. Lecz jeśli ktoś jest twoją bratnią duszą, nic was nie powstrzyma i na końcu będziecie razem.

Jego słowa zupełnie zbijają mnie z tropu. Kompletnie nie spodziewałam się tak introspektywnej opinii. Coraz bardziej przekonuję się do tego, że niby go znam, ale tak naprawdę mało o nim wiem. I mam tym większą ochotę na dalsze rozmowy. Chcę zrozumieć, kim się stał. Zobaczyć głębię jego myśli. Poznać dojrzałość jego opinii. *Oczywiście, że go kochałam.* Kochałam tego zabawnego, lojalnego, szczerego i rozrywkowego nastolatka, jakim był, ale ja też się zmieniłam i dojrzałam. Teraz szukam w mężczyźnie nieco innych cech. Przenikliwości. Współczucia. Bezpieczeństwa.

Charakteru. Spójności. Wszystkie te cechy są dla mnie teraz istotne.

Ale im dłużej na niego patrzę i im więcej dowiaduję się o jego niemal trzydziestoletnim wcieleniu, tym bardziej przekonuję się, że jest ucieleśnieniem wszystkich tych cech.

Wciąż mam w głowie jego odpowiedź: *jeśli ktoś jest twoją bratnią duszą, nic was nie powstrzyma i na końcu będziecie razem.*

— To twoje słowa czy słowa postaci z filmu?

— W każdej granej przeze mnie postaci jest jakaś częśćka mnie.

— Niezły unik — śmieję się, zadowolona z takiego obrotu sprawy. — Gdy następnym razem będę musiała coś przenieść, będę pamiętała, że w zeszłym roku grałeś superbohatera z komiksu Marvela.

Hayes parska śmiechem i wręcza mi skrypt.

— Urocze, Ships. Chcesz pomóc czy nie?

— Aha, dobrze się bawimy, dopóki nikt nie śmieje się z tego, że musiałeś biegać w rajstopach — droczę się ze świadomością, że dość szeroko komentowano jego spandeksowe gatki i wyraźnie zarysowane wybrzuszenie w kroczu.

— Wiesz, skoro mi za to płacą... — Jego uśmiech mówi mi, że słyszał już takie docinki i że się nimi nie przejmuje. I nie powinien, zważywszy na plotki o sumie skasowanej za bieganie w tych gatkach. *Jaką powinien dostać każdy facet zmuszony do chodzenia w bardzo obcisłych getrach.* — Gotowa?

Cholera. Lepiej będzie, jeśli się skupię. Ale nie na nim. Ani na jego nagim torsie. I bicepsach. I myślach o wybrzuszeniu w getrach.

— Czy to nie niedorzeczne, że nagle nie umiem opanować nerwów? — pytam z płochliwym chichotem.

— Ani trochę. Jeśli rola, nagroda, czy cokolwiek innego mnie stresuje, wiem, że jest warte kłopotów, jakie mi sprawia.

— Dobrze wiedzieć. — Biorę głęboki wdech i przeglądam skrypt. Ignoruję uwagi inscenizacyjne, które nic mi nie mówią, i szybko przebiegam wzrokiem przez konwersację między dwoma postaciami, Gabby i Noahem. — Okej, chyba możemy zaczynać.

Uśmiecha się zagadkowo w odpowiedzi. Jakby wiedział coś, czego ja nie wiem. Odrzucam tę myśl. Jego uśmiech na pewno wynika z tego, że uznał moją ofertę pomocy za zabawną. Prawdopodobnie też będzie się śmiał z moich nieudolnych prób grania, ale nie obchodzi mnie to. Ile osób może powiedzieć, że miało szansę ćwiczyć kwestie z oscarowym aktorem?

— Zacznijmy od tego miejsca — mówi, nachylając się i wskazując zdanie. — Może usiądziesz na brzegu fotela? Będzie mi łatwiej sobie to wyobrazić.

— Okej. — Nagle ogarnia mnie nerwowość. Głupie w sumie, ale nie potrafię tego opanować. Siadam, wodząc wzrokiem po kwestiach bohaterów. Próbuję rozgryźć kontekst sceny, ale nie udaje mi się to, bo nie znam całej historii. Trudno, będę myślała na bieżąco.

— To bzdura, Gabby, dobrze o tym wiesz. — Hayes w ułamku sekundy zmienia wyraz twarzy, czym zupełnie mnie zaskakuje. Jest wściekły, sfrustrowany i udręczony.

Jego postawa odzwierciedla wszystkie te trzy emocje.

Gorączkowo szukam swojej kwestii ze świadomością, że nie mam szans równie przekonująco wejść w swoją rolę, jak on.

— Nic już nie wiem. — W porównaniu z nim mój głos brzmi płasko, ale kontynuuję: — Wiem tylko tyle, że po wczorajszej nocy... po tym, co zobaczyłam... nieważne. Chyba najlepiej będzie, jeśli sobie pójdziesz.

— Ha. — Potrząsa głową z wyrazem rozczarowania na twarzy i robi dwa kroki w moją stronę. — Tego byś chciała, co?

— Straciłeś prawo do tego, by wiedzieć, czego chcę, a czego nie chcę, gdy odszedłeś. — Głos mi się łamie. Ta sztuka naśladuje życie w sposób, którego się nie spodziewałam, kiedy zaoferowałam swoją pomoc. Przełykam gulę w gardle, bo *znam* ten ból. Otwieram usta, ale je zamykam. — Nie kazałam ci odejść, Noah. Nie wszczełam klótni. Nikogo nie skrzywdziłam. To nie przeze mnie wszystko się zepsuło. A co najważniejsze, nie kazałam ci wymazać mnie ze swojego życia.

— Wcale cię nie wymazałem! — wykrzykuje stanowczo z ożywionym spojrzeniem. Patrzymy na siebie przez chwilę, po czym jego obronna postawa się załamuje. Zwiesza ramiona, opuszcza głowę i dodaje tak cichym głosem, że ledwie go słyszę. — Nie mógłbym cię wymazać, Gabby.

— Nie rób mi tego. Nie wracaj do tego miasta, jakby należało do ciebie i jakbyś miał u stóp cały świat. Podążyłam swoją ścieżką. Mam swoje życie, w którym nie ma miejsca dla ciebie.

Podnosi głowę, rusza z determinacją wzdłuż tarasu, po czym podchodzi do mnie i z impetem kładzie dłonie na oparciach fotela. Wzdrygam się z powodu odgłosu i wstrząsu, poruszona niezaprzeczalną żywiołowością Noaha i Hayesa emanującą z oczu patrzącego na mnie mężczyzny.

— Gdziekolwiek jesteś, jest też tam miejsce dla mnie, Gabriello.

Prycham. Wiem, że Gabby zrobiłaby dokładnie to samo w tej sytuacji, ale zauważam u Hayesa przebłysk zaskoczenia.

— Nie, wcale nie — wykrztuszam z trudem. Nie podoba mi się ukłucie, które czuję, wypowiadając te słowa. *Cholera. Cholera. Po trzykroć cholera. Czy ja właśnie tak się czuję w odniesieniu do Hayesa?*

— Powiedz, że mnie nie kochasz. — Chwyta mnie za podbródek i zmusza do spojrzenia mu w oczy. Patrzy na mnie z taką szczerością i przekonaniem, że przez chwilę zapominam o skrypcie w dłoni. Cisza się przedłuża. Mówię sobie, że powinnam zerknąć na tekst, ale nie potrafię oderwać wzroku od jego oczu, nie wspominając o oddychaniu.

Skrypt, Saylor. Skrypt.

Zmuszam się do spojrzenia w tekst. I przeczytania słów, które powinnam wypowiedzieć. Biorę niepewny oddech, gdy je czytam, po czym wracam spojrzeniem do Hayesa.

— Nie kocham cię, Noah. Poznałam kogoś innego. Innego mężczyznę, który ode mnie nie odejdzie. — Odwracam wzrok i próbuję stłumić kotłujące się we mnie emocje. Zabawne. Myślałam, że będę czuła się głupio w tej roli, a tymczasem wkładałam w swój głos *całą siebie*. — Jak już powiedziałam, *między nami wszystko skończone*. Powinieneś

już pójść.

— Kłamiesz — cedzi przez zacisnięte zęby, uderzając pięścią w oparcie fotela. — *Kłamiesz!* Naprawdę sądziłaś, że tak łatwo się poddam? Że odejdę bez walki?

Jestem jak zahipnotyzowana. Nie potrafię oderwać od niego wzroku.

— Już raz to zrobiłaś — odpowiadam ledwie słyszalnym szeptem. Jestem strzępką emocji w scenie, która nie ma nic wspólnego ze mną.

To Noah i Gabby. Noah i Gabby.

A nie Hayes i Saylor.

— Nie rozumiesz tego, prawda? — W jego głosie słychać irytację. Frustrację. Błaganie. Po raz drugi chwyta mnie za podbródek i unosi moją twarz. Wstrzymuję oddech, gdy powoli się nachyla i zbliża usta do mojego ucha. Czuję rozpoznawalny zapach jego mydła i szamponu, ciepło jego oddechu na skórze, dotyk dłoni. — *Chodzi o ciebie. Zawsze byłaś tylko ty.* Zrobiłem wszystko, żeby dostać jeszcze jedną szansę. Żeby jeszcze raz stanąć przed tobą. Naprawić swoje błędy. Żebyś zobaczyła, dlaczego jestem... dlaczego nie mogę tym razem tak po prostu odejść, jeśli się tego nie dowiem, Gabby.

— Jeśli nie dowiesz się czego? — Cieszę się, że zapamiętałam swoją kwestię, bo gdybym pochyliła się nad skrytem, moja głowa znalazłaby się tuż przed jego torsem, a to nie jest coś, czego w tej chwili potrzebuję. Ta sytuacja, wypowiedane przez nas kwestie i stojący przede mną mężczyzna mają na mnie wystarczająco silny wpływ. Nie chcę dodatkowo mącić sobie w głowie jego fizycznością.

Hayes odchyła się tak, że nasze usta znajdują się kilka centymetrów od siebie.

— Jeśli nie dowiem się, jak smakuje moja wieczność.

Zastygamy bez ruchu. Przystajemy oddychać. Gdy w końcu Hayes się odchyła, na jego ustach wykwita zadowolony uśmiech.

— Dobra jesteś, Say. Muszę ci to przyznać. — Mierzwi sobie dłonią włosy. — Przez cały ranek próbowałem to odegrać i nie umiałem znaleźć właściwej metody. Podchodziłem do tego za ostro, zbyt gniewnie. Twoja obecność znacznie mi to ułatwiła. Zauważyłem, że muszę łagodniej to wszystko mówić. Dziękuję.

Siedzę bez ruchu na fotelu w kompletnym oszołomieniu. Jakim cudem on tak płynnie przeszedł od tej wymiany kwestii do, hm, cóż, bycia sobą? Przypomina mi się jego zagadkowy uśmiech, gdy zaoferowałam swoją pomoc. Ciekawe czy pomyślał, że uznam tę scenę za ironiczną, zważywszy na łączącą nas historię. Cóż, na pewno jest to trochę ironiczne.

Ale też niebezpiecznie bliskie prawdy.

— Cieszę się, że mogłam pomóc — wykrztuszam, gdy odzyskuję głos.

— Możemy ją przerobić jeszcze kilka razy, żebym dopracował sobie parę rzeczy?

A niech to.

I tak robimy. Z każdą próbą moje emocje stają się bardziej widoczne. Bardziej odsłonięte.

Jestem coraz bardziej pobudzona.

Ciągle powtórki tej sceny i intymność kwestii wymienianych przez pragnące siebie postacie jest niemal jak gra wstępna. Emocje w jego głosie i posturze wydają się tak realne i tak namacalne, że za każdym razem zapominam, że gra.

Ale on gra, Saylor. W jego słowach nie ma żadnego ukrytego przekazu na temat jego uczuć do ciebie. A za parę dni będzie ćwiczył tę scenę z inną osobą. Z inną aktorką. Nie z tobą. To dla niego tylko rola. Zwróć uwagę na to, jak łatwo wraca do rzeczywistości po zakończeniu sceny i przestaje być odgrywaną postacią.

Gdy w końcu *on* jest zadowolony ze swojej interpretacji tych kwestii, *ja* muszę odpocząć od jego obecności. Od myśli wzbudzonych przez tę scenę. Od seksualnego napięcia, które pokrywa moją skórę tak grubą warstwą, że niemal ją czuję. Od napięcia w klatce piersiowej, z powodu którego oddychanie sprawia mi ból, mimo że jesteśmy na otwartym powietrzu.

Postanawiam pospacerować po plaży, żeby zdystansować się od niego fizycznie i uciszyć nieoczekiwane emocje tego poranka.

Jak na ironię przez cały spacer rozmyślam o nim.

Rozdział 15

Saylor

— Dokładnie tak sobie wyobrażałam to miejsce — szepczę bardziej do siebie niż do Hayesa.

— Gdy planowałaś swój ślub?

Obruszam się, ale w sumie jego bezpośrednie pytanie jest w pełni uzasadnione, skoro przebywamy w tym samym hotelu, który z taką skrupulatnością wybrałam w swoich planach weselnych. Siedzimy w ogródku hotelowego baru. Drinki są nudne, a jedzenie przesiąknięte zachodnią kulturą, ale fajnie jest wyjść na zewnątrz. Szczególnie, że nie muszę się przejmować tym, że wszyscy na mnie patrzą, bo wszyscy goście weselni są teraz na polu golfowym lub u kosmetyczki. A przynajmniej powinni być zgodnie z podręcznym planem wesela leżącym na blacie kuchennym naszej willi.

— Tak, ale chciałam tu przyjechać nie tylko z powodu wesela. To jedno z miejsc, w które moja mama chciała pojechać na wakacje. Zawsze o tym marzyła, ale nie udało się jej tego zrealizować. Brakowało funduszy. Mieli Rydera i mnie. Trzeba było oszczędzać na studia dla dzieci. Wciąż odkładali tę wycieczkę i mówili, że pojedą na nią na emeryturze... — milknę, bo mimo upływu lat odzywają się we mnie przejmujące wspomnienia.

— Ale nie dożyli do emerytury — kończy Hayes cicho empatycznym głosem. Przykrywa moją dłoń swoją i ściska ją w wyrazie wsparcia. — Byli najlepsi. Zawsze sprawiedliwi. Pełni miłości, a jednocześnie wymagający, gdy była taka potrzeba. Byli wszystkim, czego oczekiwałem od rodziców, lecz tego nie dostałem. Często o nich myślę.

— Ciebie też kochali, wiesz o tym. — To ważne, żeby miał tego świadomość.

Przytakuje, a ja czuję ból w sercu na myśl o nich. Tęsknię za nimi każdego dnia, ale pobyt tutaj z Hayesem — w miejscu, w które zawsze chcieli się wybrać — w jakiś sposób potęguje to uczucie. Myślę o tym, jak bardzo by się ucieszyli, szczególnie że jestem tu z Hayesem. Bo mama często mi powtarzała, że któregoś dnia poślubię *tego chłopca*. Nawet gdy odszedł, a ona koiła moje złamane serce, twierdziła, że wyjechał, żeby dojrzeć, ale któregoś dnia po mnie wróci.

W moim uśmiechu radość przeplata się z goryczą. We wspomnieniu także. Na ten ból nie ma żadnego lekarstwa, ale czuję trochę mniejszą pustkę w sercu, gdy patrzę na Hayesa.

Chrząkam, żeby uwolnić emocje, które uwięzły w gardle.

— Tak wiele poświęcili, odłożyli na później lub mówili, że nie mieli szansy zrobić, gdy pojawiły się dzieci, że ja... do licha, nie wiem, Hayes... Nie chcę znaleźć się w takiej sytuacji i poczuć się jak oni, bo nie spełniłam tego, o czym marzyłam. Nie chcę jechać samochodem do restauracji, zderzyć się z pijanym kierowcą i w momencie śmierci uświadomić sobie, że nigdy nie poznałam tego wszystkiego, co chciałam poznać.

— Rozumiem to. Zresztą chyba każdy to rozumie, Saylor.

Mam wrażenie, że w dzisiejszym dniu jedna emocja goni drugą, a wspomnienie śmierci rodziców dokłada się do tej mieszanki. Nagle wszystko przebiega mi przed oczami niczym pokaz slajdów: policjanci w drzwiach; moje krzyki i szamotanie się w objęciach Rydera, który próbował mnie pocieszyć, chociaż tak naprawdę nie był w stanie nic zrobić; dwie trumny opuszczane jednocześnie w głąb ziemi. *Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz*. Nieskończony strumień nieukozonej rozpacz.

Potem poznanie Mitcha na przyjęciu wspólnego znajomego, siedem miesięcy później. Mitch był miły, interesował się mną i zabierał mnie w miejsca, w których nigdy wcześniej nie byłam. Miejsca, z którymi nie wiązały się żadne wspomnienia rodziców, podczas gdy wszystkie inne były wręcz pomnikami ich pamięci. To oraz wywoływane przez niego pozytywne emocje powoli przesłoniło moją druzgocącą rozpacz.

Czy dlatego właśnie byłam z Mitchem tak długo? Bo zniwelował mój ból — a raczej nieco go uśmierzył — i pomógł mi powoli wypełznąć z oceanu żalu? Czy jakaś część mnie — ta nieracjonalna — boi się, że bez niego ból może powrócić?

Czy on w ogóle poznał moje prawdziwe oblicze? Czy czasem nie było tak, że nasz związek się popsuł, gdy zaczęłam je odzyskiwać i przestałam być tak potulna i zgodna?

Absurdalna myśl, ale niesłychanie uderzająca. Miłość i zobowiązanie to zupełnie inne rzeczy, Saylor. A nie jedno i to samo.

— Zamyśliłaś się? — Głos Hayesego przebija się przez mgłę moich refleksji.

Potrząsam głową i oczyszczam umysł.

— Przepraszam. Po prostu ich wspominałam. Co mówiłaś?

Uśmiecha się z ostrożnym współczuciem i patrzy mi badawczo w oczy, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku.

— Mówiłem, że rozumiem twoją potrzebę podążenia za swoimi marzeniami.

— Nie, nie sądzę, żebyś rozumiał. To nie do wytrzymania. — Nie powinnam tak do niego mówić, ale doceniam to, że nie próbuje polemizować. — Oni byli jeszcze tacy młodzi i mieli przed sobą sporo życia, ale mam wrażenie, że częściowo zrezygnowali ze swoich marzeń i planów, gdy wzięli ślub. Nie chciałam tego powtórzyć. Nie chciałam *taka* się stać. I żałować szans, których nawet nie spróbowałam wykorzystać. — Przypominam sobie wypowiedzi mamy o tym, co mogła zrobić. Marzyła o karierze tancerki na Broadwayu, ale małżeństwo i pojawienie się dzieci kompletnie zmieniły jej życie. Na dobre, ale tak czy inaczej było to zboczenie z kursu. Mój ojciec zrezygnował z naboru do drużyny baseballowej, bo uznał, że najlepsze dla rodziny będzie pozostać w domu i znaleźć stabilną pracę od dziewiątej do piątej.

Stracone szanse. Odłożone marzenia. Absolutnie godne pochwały decyzje z ich strony. Na których skorzystałam. Wedle wszelkich standardów mieli wspaniałe życie i idealne małżeństwo, wciąż jednak powracał refren o tym, co by było gdyby.

— Saylor?

— Co? — Odrywam wzrok od parasolki z owocowego ponczu z rumem, którą się bawię, spoglądam Hayesowi w oczy i uświadamiam sobie, że zadał mi kolejne pytanie. Nie usłyszałam go, bo tak bardzo pochłonęły mnie myśli o rodzicach i o moim nieustannym poczuciu winy związanym z tym, że kochałam ich całym sercem, ale nie chciałam być taka, jak oni.

To w sumie dziwne, że akurat teraz o tym rozmawiamy. Minęło niemal siedem lat, ale dobrze jest pogadać z kimś, kto znał ich tak dobrze, jak ja.

— Pytałem, czy niezrealizowane plany twoich rodziców miały jakiś wpływ na decyzję o rezygnacji z małżeństwa z Mitchem.

Patrzę na niego długo i intensywnie nieprzeniknionym spojrzeniem z burzą myśli w głowie i przygryzam wnętrze policzka. Lecz wcale nie mam nad czym myśleć, bo doskonale znam odpowiedź. Jest dla mnie jasna jak słońce po takim czasie od naszego rozstania.

— Tak — mówię cicho ze wzrokiem wbitym w oszronioną szklanę, po której wolno spływa skroplona woda. Mam wątpliwości, a do tego czuję, jakbym zdradzała Mitcha, rozmawiając o nim z Hayesem, uświadamiam sobie jednak absurdalność tej myśli, zważywszy na naszą sytuację. Muszę przyznać Hayesowi, że jest cierpliwy. Siedzi i w milczeniu czeka, aż znajdę słowa, by wyrazić sprzeczne emocje, które z pewnością malują się na mojej twarzy. — Mitch dobrze mnie traktował. Chodzi jedynie o to, że moim zdaniem jego wyobrażenie o roli żony było zupełnie inne od mojego.

— Mam pewne domysły na ten temat — mówi, unosząc butelkę piwa Red Stripe do ust — ale wolałbym, żebyś to wyjaśniła.

— Cóż, przede wszystkim nie znosił cukierni. Nawet gdy jeszcze nie miałam wynajętego lokalu i oficjalnie założonej firmy, prowadziłam ją jako przydomowy biznes. Doprowadzało go to do szaleństwa. Nie tyle nieład związany z pieczeniem, ile nieład na mnie. Nie podobało mu się, że gdy pochłaniała mnie praca, nie przejmowałam się lukrem we włosach lub na ubraniu. Co nie wynikało z mojego niedbalstwa, lecz z tego, że tak bardzo wciągałam się w proces twórczy, że nie zauważałam bałaganu. Nienawidził dni, gdy rano wpadał mi do głowy pomysł na nowy smak, który musiałam jak najszybciej wypróbować, przez co zapominałam o makijażu.

— Zawsze taka byłaś. Spontaniczna. Sama musiałaś wszystko sprawdzić. Uwielbiałem i podziwiałem to w tobie.

Promienieję pod wpływem tej zwykłej pochwały. Głupio mi z tego powodu, ale nie potrafię się powstrzymać, bo przywykłam do zupełnie innej opinii.

— Cóż, nie wszyscy podzielają twoje zdanie — śmieję się. — Najwyraźniej nie byłam zbyt dobrym materiałem na żonę.

— To największa bzdura na świecie i jeśli choć przez sekundę w nią wierzyłaś, skopię Ryderowi tyłek za to, że ci na to pozwolił. — Ma uniesione brwi, ściągnięte usta i nieugięty wyraz twarzy. A ja nie raz widziałam, jak okładali się pięściami, więc nie mam wątpliwości, że naprawdę by to zrobił.

Tym razem z całą pewnością miałby przewagę.

Mój głośny śmiech przykuwa spojrzenie barmanki, która uśmiecha się do mnie, zerka przelotnie na Hayesa, po czym odwraca się z powrotem do klienta.

— Gdybyśmy się pobrali, na pewno wszystko by się ułożyło. Zadbałabym o to — mówię z większym przekonaniem, niż czuję. Nie wiadomo skąd pojawia się uraza, której przecież nigdy nie czułam.

Hayes prycha, ale nie wiem, co chce przez to przekazać, bo wzrok ma skierowany w stronę grających w oddali w golfa mężczyzn.

— Zadbałabyś o to, poświęcając siebie. To brzmi jak wzorcowe małżeństwo. Takie, które z zasady przetrwa do końca.

Trudno nie zauważyć jego sarkazmu. Patrzę na niego uważnie, bo chcę, żeby spojrział mi w oczy, chociaż jednocześnie tego nie chcę. Muszę mu pokazać, że nie jestem taka. *Ale czy byłam taka wtedy?* Może to kolejny powód, dla którego związek z Mitchem tak długo przetrwał.

— I tak nie ma to już większego znaczenia. Ani to, ani jakikolwiek inny powód, bo nie jesteśmy już razem.

— Hmpf.

— *Hmpf?* Co to ma w ogóle znaczyć? — Prostuję się i przyjmuję defensywną postawę, bo nagle mam wrażenie, że jestem oceniana. A kim on jest, żeby mnie oceniać, skoro to nie on był przy mnie po śmierci rodziców?

— To może mieć wiele różnych znaczeń — mruczy, przykładając butelkę do ust, po czym sygnalizuje prośbę o kolejną. Rozmowę przerywa nam dziewczyna, która podchodzi i prosi Hayesa o autograf. Hayes zawodowo radzi sobie z jej nerwowym trajkodem i odwraca się do mnie. Wbija we mnie nieubłagane spojrzenie, oceniając, na ile swobodne powinny być jego słowa. Zaczyna coś mówić, ale potrząsa głową, zamyka usta i wraca do obserwowania widoków poza hotelem.

— Wyduś to z siebie Hayes. Nie możesz się teraz wycofać.

— Widzę to z zewnątrz tak, że to on był problemem w waszym związku, Saylor, a nie ty, jak zdaje się, zakładasz. Taka pasja, jak twoje pieczenie, po prostu się nam przytrafia. Nie da się nad nią zapanować. To ona daje ci poczucie spełnienia. I uspokaja cię. Ktoś, kto każe ci ją stłumić z powodu swojego widzimisię, w rzeczywistości cię dusi. Próbuje cię przerobić. Zmienić cię w kogoś innego, niż jesteś. *Nie pozwól nikomu odebrać ci twojej pasji.* Jeśli pozwolisz, będziesz miała do tej osoby uraz. A uraz to śmierć każdego związku.

Po raz kolejny od momentu, gdy pojawił się w moim życiu, siedzę i patrzę na niego bez słowa. Zastanawiam się, jak to możliwe, że wszedł w moją głowę i tak dokładnie zna moje uczucia. Najpierw połączył kropki dotyczące rodziców i wywnioskował, że nie chcę przegapić okazji tak jak oni. A teraz to. Domyślił się, że czekałyby mnie niezliczone noce, podczas których dusiłabym się w domu, żeby nie słuchać już narzekań Mitcha, że spędzam w cukierni za dużo czasu. Że czułabym się beznadziejnie, siedząc beczynn timer i patrząc, jak on przegląda „Wall Street Journal” lub „New York Timesa”. Wyglądałoby to tak, jakby zmuszał mnie do bycia przy nim nie dlatego, żeby spędzić ze mną czas, lecz po to, by zaspokoić swoje ego tym, że jestem z nim, a nie w pracy.

Słowa Hayesa tylko utwierdziły mnie w przekonaniu, że decyzja o zerwaniu z Mitchem była słuszna.

— Dziękuję — odpowiadam szeptem z ulgą, że ktoś w końcu w pełni zrozumiał, jak się czułam.

— Nie masz mi za co dziękować. — Wzrusza ramionami, po czym odkłada butelkę i wstaje ze stołka barowego. — Prawda to prawda. Przykro mi, że tej prawdy musiałaś doświadczyć na własnej skórze. Chodź, muszę coś zrobić.

Spoglądam na jego wyciągniętą dłoń, a potem z powrotem w jego brązowe oczy.

— Rób tak dalej, Whitley, a być może znowu zacznę cię lubić.

— Nigdy nie przestałaś mnie lubić — ripostuje i błyska tak pełnym arogancji, rozbawienia i uwielbienia uśmiechem, że budzą się te wszystkie części mnie, które pragną być całowane.

To tylko świeże powietrze i inna perspektywa, Saylor. Weź się w garść.

I tak właśnie robię — biorę się w garść — tyle że tym razem polega to na chwyceniu jego dłoni i ruszeniu za nim bez pytania o cel naszej wędrowki. Spacerujemy wśród luksusowej roślinności i śmiejemy się z zabawnych wspomnień, co do których czasem trudno uwierzyć, że je zapamiętał. Rozmawiamy o Ryderze i tym, dlaczego jeszcze się nie ustatkował. O filmie, który ćwiczyliśmy dziś rano. I o moim ulubionym rodzaju babeczek.

W całej tej wędrowce absorbuje mnie zarówno krajobraz, jak i on w swoich nisko wiszących szortach i z wyrzeźbionym, opalonym torsem. Po co miałabym zwracać uwagę na cokolwiek innego? Dlatego pozwalam mu się prowadzić i zadowolona kluczę za nim, nie mając pojęcia, dokąd mnie prowadzi.

Myślę o rodzicach. O ich miłości. O tym, że chcieli dla mnie tego, co najlepsze. *Na pewno spodobałaby im się moja cukiernia.* I głęboko w środku czuję, że chociaż odejście od Mitcha było dla mnie bolesne, mama przewróciłaby się w grobie, gdybym poślubiła go w jej wymarzonej miejscy.

Bo ona wiedziałaby — *tak jak zawsze wiedziała* — co jest dla mnie najlepsze, nawet gdy sama nie potrafiłam tego dostrzec. Domeną młodości jest często ślepotą na oczywiste prawdy.

A Mitch nie był tym, co dla mnie najlepsze.

Natomiast Hayes... *mama zawsze go lubiła.* Sądzę, że uśmiechnęłaby się, wiedząc, że cieszę się pobytam w jej wymarzonej raju z nim. Że zagrzebujemy przeszłość, żeby zostać przyjaciółmi. I że nawet jeśli złamał mi serce, miała rację: jest dobrym facetem, za jakiego go uważała, bo przyjechał tu ze mną, żeby pomóc mi ocalić twarz.

Z zamyślenia wyrywa mnie pracowniczka ośrodka, która wyłania się z jednej z bocznych ścieżek przed nami. Wymienia spojrzenia z Hayesem, kiwa do niego głową, uśmiecha się do mnie i nie zatrzymując się, wymija nas.

— Cóż, muszę ci coś wyznać — mówi Hayes z namaszczeniem, przez co na sekundę mięknię mi nogi i zaczynam błędzić wzrokiem wszędzie, byle nie spojrzeć na niego.

— Z takiego rozpoczęcia rozmowy nigdy nie wynika nic dobrego. — Ciekawe, dlaczego nagle zrobiłam się taka nerwowa. Dlaczego po tym jednym zdaniu tak przyspieszył mi puls.

Hayes chichocze, ale nie odpowiada, tylko odchodzi kilka kroków, zerka na mnie, po czym znika w tym samym miejscu, z którego wyszła pracowniczka ośrodka. Ruszam za nim i wchodzę do niewielkiej wnęki wyciętej w grubym, tropikalnym listowiu. Chroni nas ono nie tylko przed słońcem, lecz częściowo także przed spojrzeniami innych zwiedzających wyspę gości.

— Usiądź.

Patrzę na niego podejrzliwie, ale ulegam, gdy on też siada. Jestem tak skupiona na

wewnętrznym dysonansie, że nie zauważam pudełka na ławeczce. Zwracam na nie uwagę dopiero wtedy, gdy Hayes je podnosi. To różowe pudełko cukiernicze.

— Hayes?

Zamiast odpowiedzieć otwiera pudełko, prezentując dwanaście wystawnie udekorowanych babeczek. Nie wiem, co o tym myśleć. Co babeczki mają wspólnego z jego wyznaniem?

— Po prostu posłuchaj, okej? — Uśmiech pogłębia jego dołeczki.

— Jasne. — Pocieram dłonie o uda i czekam.

— Gdy przyjechałem tu przed tobą, pomyślałem, że będzie miło, gdy kupię trochę babeczek i zostawię je w willi jako łakocie na twój przyjazd. Z perspektywy czasu pomysł wydaje mi się głupi, bo przecież na co dzień jesteś umorusana po łokcie w cieście i lukrze, więc dlaczego miałabyś chcieć więcej? Ale mój Boże, Ships, one smakowały beznadziejnie. Bez porównania z twoimi.

Śmieję się w głos. Hayes lubi moje babeczki. Moje ego zostało bardzo miło polechtane.

— I to jest to twoje wyznanie? Że babeczki były do niczego?

— W pewnym sensie. — Kiwa głową i zerka na zawartość pudełka. — Ale widzisz, ja wiem, jak długo potrafisz się gniewać, ale chcę już z tym skończyć. Więc na wypadek, gdybyś chowała do mnie jakąś urazę, Saylor Rodgers, kupiłem ci to.

Ku mojemu jeszcze większemu zdumieniu wyciąga pudełko w moją stronę. W moim chichocie pobrzmiwa cała gama emocji.

— Wyjašnjmy to sobie. Nie chcesz, żebym chowała do ciebie urazę, więc kupiłem mi pudełko babeczek, które twoim zdaniem smakują beznadziejnie?

— Dokładnie — uśmiecha się szerzej i obraca się do mnie, kładąc kolano na ławce.

— No dobrze — parskam ogłupiała, ale rozbawiona. — Tylko że ja nie chowam do ciebie żadnej urazy. Obiecałam sobie, że przyjadę tu z czystą kartą. Przeszłość to przeszłość i nie ma się co w niej babrać.

Przetrawia moje słowa ze sceptycznym wyrazem twarzy, jakby zastanawiał się, czy mi wierzyć, po czym wyciąga jedną babeczkę i podaje mi ją. O co tu do diabła chodzi?

— Hayes?

— Weź ją, bo chociaż smakuje beznadziejnie, sądzę, że świetnie sprawdzi się jako rozbijacz urazy.

— Rozbijacz urazy? Co? Nic już z tego nie rozumiem. Co to jest, u licha, rozbijacz urazy?

— To. — Tłumię jęk, gdy bierze kolejną babeczkę i z dramatycznym klaśnięciem miażdży ją w dłoniach. W powietrze wzbijają się tysiące okruchów, jak po wybuchu w cukierni. Ma okruszki na klatce piersiowej, na szortach, we włosach, na otwartych w szerokim uśmiechu ustach i, co oczywiste, na dłoniach.

Prawdopodobnie właśnie tak wyglądam po długim dniu pracy.

— Oszalałeś? — wykrztuszam z trudem przez śmiech piskliwym głosem. Ciepło mi się robi na sercu, gdy mężczyzna, który niezależnie od pory dnia zawsze był idealny, wygląda jak psotny chłopczyk z mojego dzieciństwa.

— Twoja kolej — obwieszcza ze śmiertelną powagą, ale jednocześnie zlizuje

odrobinę lukru z uśmiechniętych warg. Oczywiście waham się, bo nie wiem, czy czasem nie oszalał, ale ten uśmiech na jego twarzy... Nie, nie oszalał.

— Dlaczego? Czy możesz mi wyjaśnić, dlaczego chcesz, żebym zmiażdżyła w dłoniach babeczkę, niezależnie od tego, jak kiepsko smakuje? — pytam z szeroko otwartymi oczami, ale dłonie aż palą się do tego, by to zrobić. Próbuję opanować uśmiech, którego najwyraźniej nie potrafię powstrzymać w towarzystwie Hayes'a.

— Dlatego, że najlepszą przygodą jest spontaniczność — powtarza mantrę z wcześniejszej nocy. — I dlatego, że to rozbijacze urazy. — Wzrusza ramionami, jakby było to najzupełniej logiczne i jakby sam tak sobie powtarzał.

Patrzę na niego uważnie i uświadamiam sobie, że zorganizował to wszystko z pracowniczką ośrodka, która dostarczyła babeczki w to miejsce i wyszła stąd, gdy nas zobaczyła. Postanawiam spróbować, skoro zadał sobie tyle trudu.

Po kilku sekundach moje dłonie są całe w cieście i lukrze, a na Hayesie ląduje przynajmniej tyle samo okruchów, co na mnie. I chociaż nie mam pojęcia, dlaczego właśnie zmiażdżyłam babeczkę, nie skłamałabym mówiąc, że było to cholernie przyjemne. Oczyszczające.

— Może po jeszcze jednej? — pyta Hayes, zerkając na swój tors, z którego próbuje usunąć znaczny kawałek czekoladowego lukru, lecz tylko jeszcze bardziej go rozmazuje.

Mogłabym ci w tym pomóc.

Ustami.

I językiem.

Do licha, muszę się poprawić na tej ławce, żeby jakoś uśmierzyć nieoczekiwaną falę pożądania w dole brzucha.

Jego dłoń zastyga w połowie ruchu, więc podnoszę wzrok i orientuję się, że zauważył moje spojrzenie. W jego oczach pojawia się przeblysłk czegoś mroczniejszego pomieszanego z pożądaniem. Słowa, które miałam na końcu języka, nagle stają się lepkie jak melasa.

Mrugam powiekami i próbuję przypomnieć sobie jego pytanie. *Czy chcę zmiażdżyć kolejną babeczkę?* Tak, z oczywistych przyczyn. I nie, bo on próbuje odwrócić moją uwagę od czegoś.

— Nie, dziękuję.

— Jesteś pewna?

— Dlaczego miałabym chować urazę do ciebie, Hayes? — Odzyskuję zdolność mówienia. Muszę tylko patrzeć mu w oczy. Nie na ciało. I *absolutnie* nie na jego usta.

— Okłamałem cię, Ships.

O, to akurat jest bardzo skuteczny sposób na odciążenie mojej uwagi od jego ciała.

— Okej. — Przeciągam to słowo, zastanawiając się nad tym, co może mieć na myśli.

— Gdy tego pierwszego dnia przyszedłem do cukierni, owszem, odbierałem zamówienie mamy, ale skłamałem, że to jedyny powód moich odwiedzin.

— Hayes. — Jego imię jest ostrzeżeniem, którego wołałabym nie musieć mu udzielać.

— Wysłuchaj mnie. — Unosi usmarowane czekoladą dłonie w geście poddania, a ja patrzę na niego zachmurzona. — Przyszedłem ze szczerym zamiarem powiedzenia ci, że rozmawiałem z Ryderem i wiem, co się stało. Ale gdy cię zobaczyłem... do licha, Say, odjęło mi mowę. Nie widziałem cię całe lata, ale gdy tylko cię zobaczyłem, wszystko, co kiedykolwiek nas łączyło — *nasza przyjaźń, miłość i więź* — wróciło z taką mocą, jakbyśmy rozstali się dzień wcześniej. A potem ty wybuchłaś. Widziałem, jak cię to boli. Jak bardzo Mitch i te niby przyjaciółki zranili twoją dumę. Słyszałem to w twoim głosie. Dobijało mnie to, Say. Pomyślałem o tym, że sam także cię skrzywdziłem i że nie mogę tego więcej zrobić. Ale gdy usłyszałem to, co mówiłaś o Mitchu i o twoim odejściu, uświadomiłem sobie, że tym, czego najbardziej teraz potrzebujesz, jest szczerowość. Wystarczająco dużo musiałaś znieść w samotności i przynajmniej ja powinienem być z tobą szczerzy. Więc owszem, stchórzyłem tego pierwszego dnia, gdy cię zobaczyłem. Uznałem, że jeśli wyznasz mi to sama, to poczuję się z tym lepiej i pomogę ci tylko wtedy, gdy sama mnie poprosisz.

Milknie, a ja nie wiem, jak mam się z tym poczuć. Chciałabym się na niego gniewać. Chciałabym czuć się zażenowana, że przez cały czas o wszystkim wiedział, ale nie potrafię. Bo czy to nie szczęście, że mam przyjaciela, który dostrzega mój ból i nie chce go potęgować?

— Przepraszam — mówi tak ciężko, że wiem, iż ma na myśli znacznie więcej niż tylko to, że to przede mną ukrywał.

— Dzięki — szepczę, a babeczka, którą trzymam w dłoniach prosi się o zmiżdżenie. Na Hayesie.

Hayes kiwa głową, nie odrywając wzroku od moich oczu, lecz ja jestem kompletnie pochłonięta swoim pomysłem.

— Hej — mówię łagodnie i uśmiecham się złowieszczo. — Bez urazy. — Hayes unosi brwi, jakby zdziwiło go, że tak łatwo mu przebaczam, lecz chwilę później z jego ust wydobywa się bezwiedne westchnienie, gdy wymierzam mu pierwszy słodki cios. Pięknie udekorowana czekoladowym ganache[*] babeczka ląduje dokładnie w tym samym miejscu, które przed chwilą chciałam polizać.

W milczeniu opuszcza wzrok na moją dłoń, wciąż przyciśniętą do jego torsu, gdzie jedyną barierą między nami jest czekoladowa polewa. Rozgniatam pocisk i powoli zsuwam dłoń po mięśniach brzucha, a potem zabieram ją i wkładam umorusany czekoladą palec do ust. Hayes odrywa wzrok od skutków mojego ataku i obserwuje, jak otaczam wargami palec i zaczynam ssać pokrywającą go czekoladę.

W jego pociemniałych źrenicach przeblyskują miriady emocji. Głód i pożądanie. Pragnienie i żądza. Te same uczucia, które kotłują się we mnie. Wysuwam palec z ust i zlizuję resztki czekolady z dolnej wargi. Jego szczęka pulsuje. Patrzy jak zahipnotyzowany. Iskrzy między nami od seksualnego napięcia, mimo że nie powinniśmy sobie na to pozwalać.

Przypominam sobie wszystkie powody, dla których jest to zły pomysł. Że on za dwa dni wróci do swojego życia w Hollywood, a ja do miksera, piekarnika i swojej pasji. *Sama.*

Muszę jakoś wrócić na grunt wspólnej zabawy. Do neutralnej strefy.

— Masz rację — mruczę z kpiącym uśmiechem na ustach i marszczę nos. — Za mało śmietany.

Zauważam wyraz twarzy Hayesa: uśmiecha się równie szelmowsko i patrzy na mnie wyzywająco i z niedowierzaniem.

Ułamek sekundy później zwycięża spontaniczność i wyzwalamy w sobie dzieci, którymi kiedyś byliśmy. Z szaleńczym pośpiechem wstajemy z ławeczki i na wyścigi wyciągamy pozostałe babeczki z pudła. Nasze śmiechy unoszą się wokół jak listowie palm kołysanych przez oceaniczny wiatr. Jesteśmy uzbrojeni i gotowi do babeczkowej wojny.

On uderza pierwszy. Udekorowana na różowo babeczka odbija się od mojego ramienia. Mój pisk przebija się przez szum fal dochodzący z pobliskiej plaży. Zaczynam uciekać i słyszę, że ruszył za mną w pościg. Skręcam, żeby stracił mnie z oczu i chowam się w przerwie w żywopłocie. Wyskakuję, gdy Hayes mnie mija, i rozgniatam mu na plecach babeczkę z waniliową polewą.

— Po tylu latach wciąż jesteś tym samym upierdliwym dzieckiem, Ships — wykrztusza ze śmiechem, gdy bez tchu krążymy wokół siebie jak psy, które przymierzają się do ataku.

— Hej, zapomniałeś jaka jestem szybka, Whitley? — Rzucam się w jego stronę, gotowa do wymierzenia ciosu, lecz on odskakuje. Kontynuujemy ten taniec, aż za którymś razem zbliżam się za bardzo i Hayes łapie mnie za ramię, obraca i przyciska do siebie plecami.

— A ty chyba zapomniałaś, jaki jestem silny.

Nie mam nawet czasu się nad tym zastanawiać, bo na moim obojczyku ląduje kolejna babeczka. Przyciśnięta do niego plecami w niewoli jego dłoni zdecydowanie czuję jego siłę. Wykorzystując swoją przewagę, rozsmarowuje babeczkę na mojej skórze i stroju kąpielowym.

— Ty bałwanie! — piszczę ze śmiechem, uwalniając się z jego uścisku i ruszam za nim w pościg wzdłuż ścieżki.

Lecz on drwi sobie ze mnie z oddali. *Ale z ciebie mięczak. Nie złapiesz mnie. I co ty na to?*

— Zabiję cię — wołam za nim, ścigając go to na ścieżce, to poza nią. Rzucam w niego babeczką, która odbija się od jego karku.

— Nieźle, ale bez rewelacji — wykrzykuje, a ja podnoszę babeczkę z ziemi, żeby użyć jej jeszcze raz, i ruszam ścieżką w stronę zakrętu, za którym zniknął.

— Wychodź, nie chowaj się, i tak cię dopadnę — wołam, gdy nie mogę go znaleźć. Z babeczką w jednej dłoni, podwiniętym sarongiem[**] w drugiej i z entuzjastycznym uśmiechem na twarzy sprawdzam kolejne prześwity w listowiu, żeby znaleźć jego kryjówkę.

Wrywa mi się pisk, gdy Hayes nagle obejmuje mnie w pasie od tyłu i odwraca twarzą do siebie.

— Raz, dwa, trzy, wychodź ty — szepcze i wymierza babeczkę w moją twarz.

— Nie! — wykrzykuję częściowo ze śmiechem, a częściowo ostrzegawczo. — Nie zrobiłbyś tego.

— Zrobiłbym.

Siłujemy się na żarty i wpadamy na polanę. Słyszę wokół nas jakieś śmiech. Z pewnością stanowimy niezłe widowisko — dwóch dorosłych ludzi umazanych wielobarwnym lukrem i toczących epicką bitwę — ale w ogóle się tym nie przejmuję. W tej chwili interesuje mnie tylko babeczka w dłoni Hayesa.

Słyszę swoje imię. Albo tak mi się wydaje, co rozprasza mnie na tyle, że Hayes chwyta mnie ciaśniej i przyciąga bliżej, przez co babeczka znajduje się o kilka centymetrów od mojej twarzy.

Przez chwilę wpatrujemy się w siebie w milczeniu z łomoczącymi sercami i prowokacją w oczach. Hayes zerka za moje ramię i wraca spojrzeniem do mnie, a ja przygotowuję się na *cios*.

Który nie nadchodzi.

Hayes odpuszcza i tylko muska mnie lukrem po nosie.

Oddycham z ulgą.

A potem wzdycham z szoku.

Bo jego usta przywierają do moich.

I to nie w przyjacielskim całusie. W żadnym calu. W jego dłoni nie ma już babeczki. Czekolada przegrała z pocałunkiem. Lepkimi od lukru dłońmi ujmuje moje policzki. Nie myślę jednak o tym, że ubrudzi mi twarz lub że będziemy wyglądać naprawdę śmiesznie, gdy wrócimy do willi, bo skupiam się wyłącznie na nim.

Mogłabym sobie wmawiać, że rozchyliłam usta i dałam mu dostęp, bo brakuje mi powietrza i muszę oddychać, *ale to byłoby kłamstwo*. Bo gdy tylko czuję jego język na swoim, moim jedynym pragnieniem jest zatopić się w pocałunku. W tym, co swojskie i nieznane. W tym, co nieoczekiwane. W tym, co kojące. *We wszystkim, co z nim związane*.

Hayes Whitley mnie całuje. Znowu.

Nareszcie.

Jego dłonie są zaborcze — jedna na moim policzku, druga w dole pleców — a ciche westchnienie przekazuje mi to samo, co wyrażają jego usta.

Pochłania mnie jego smak. Czekolada na jego języku. Iskra pożądania. Muśnięcie żądz. Nagły spokój po tym całym emocjonalnym przeładowaniu.

Zsuwam dłonie po jego plecach. Jego skóra jest ciepła od słońca i śliska od lukru. Mięśnie napinają się pod moimi palcami, gdy zmienia kątem pocałunku.

Jego język jest kuszącą udręką. Swoją troskliwą czułością wzbudza we mnie pragnienie czegoś więcej, a potem zmienia rytm i zmusza do dotrzymania tempa. Każe mi ulec i dać się osiąść.

Zalewają mnie emocje. Pragnienia. *Potrzeby*. *Żądza*. *Więcej*. *Zbyt dużo*. *Za mało*. Nie przestawaj. *Co ja robię?*

Powinnam wpaść w panikę, powinnam zastanawiać się nad tym, co to znaczy, i myśleć o tym, że koniec końców na tym ucierpię, ale tego nie robię. Zatracam się w pocałunku. Poddaję się Hayesowi. Goście i pracownicy, których przed chwilą słyszałam, przestają dla mnie istnieć.

Jestem tylko ja.

I Hayes.

I to wzbudzone przez niego niezaprzeczone wrażenie, że wszystko jest na swoim miejscu. Nie zdawałam sobie nawet sprawy, że po jego odejściu brakowało mi tej emocji, ale teraz wiem, że nie będę w stanie bez niej żyć.

[*] Ganache — francuska nazwa na aksamitną mieszankę czekolady i śmietany — *przyp. tłum.*

[**] Sarong — rodzaj letniej tuniki plażowej, wywodzący się z tradycyjnego ubioru noszonego w południowej i południowo-wschodniej Azji, wschodniej Afryce i na wielu wyspach Australii i Oceanii — *przyp. tłum.*

Rozdział 16

Hayes

Do licha.

Miękkie usta. Wprawny język. I ten cichy jęk.

Czy ja naprawdę od tego odszedłem? Od niej? *Dlaczego?*

Do licha, Saylor.

Pocałowałem ją, bo widziałem, że patrzą.

Pocałowałem ją, bo chciałem, żeby nie było wątpliwości, z kim tu przyjechała i jaki jest status naszego *nieistniejącego* związku.

Pocałowałem ją, bo było to zbyt kuszące, a poza tym, dlaczego miałbym tego nie zrobić, skoro nadarzyła się idealna okazja?

A teraz nie chcę wynurzyć się, by zacerpnąć powietrza. Chcę zostać tu z tą kobietą, która wydobywa ze mnie każde możliwe doznanie. Kobietą umazaną lukrem, która zapomniła o bólu i przyciska się teraz do mnie. Której śmiech wciąż pobrzmiwa w tym jej słodkim jęku i której smaku nigdy tak naprawdę nie zapomniałem.

Jak mógłbym?

Czuję jej palce na swoich plecach. I delikatne drapanie paznokci, które uświadamia mi, że to dzieje się naprawdę. To nie film. To nie wspomnienie sprzed dziesięciu lat, gdy w koledzowej kurtce leżałem obok niej na podłodze domku na drzewie. Jesteśmy w rajku, jej skóra pachnie olejkiem do opalania, a wiatr łaskocze mnie jej włosami po twarzy.

Mam rozdwojenie jaźni. Dwa umysły walczą o posłuch w ogniu tego, co płonie w moich żyłach. Jeden błaga, bym zaciągnął ją do willi i sprawdził, co jeszcze jest takie samo oraz co jeszcze się zmieniło po tych wszystkich latach. Chce zanurkować między jej uda i spróbować jej smaku. Poczuć jej wilgoć wokół członka i usłyszeć, jak jęczy moje imię, gdy dochodzi.

Pogłębiam pocałunek. Chwytam ją pewniej i biorę od niej co chcę. W tej chwili poważnie rozpatruję nawet możliwość wzięcia jej tu, na tej trawie.

Drugi, wrażliwszy umysł z tym walczy. Mówi, że to nie powinno mieć miejsca. Saylor to Saylor, ze swoją małą cukiernią i wielkimi marzeniami, a ja jestem palantem, mieszkam w Hollywood i prowadzę życie tak różne od jej życia, że ich połączenie nie miałoby żadnych szans powodzenia. Koniec końców tylko ją skrzywdzę. A ona wystarczająco dużo ostatnio wycierpiała.

Mam ochotę powiedzieć temu umysłowi, żeby przestał smolić farmazony i pozwolił mi myśleć członkiem. Tym, który w tej chwili jest przyciśnięty do ciepłej skóry jej brzucha.

Muszę zakończyć ten pocałunek dla własnego dobra. I dlatego, że na pewno jest jakiś przepis zakazujący uprawiania seksu w miejscach publicznych. Walczę z pragnieniem zagłębienia się w pocałunek, poddania się żądzy i wzięcia tego, czego pragnę.

Bo nie mogę tego zrobić. Absolutnie. Bo tu nie chodzi o mnie.

Tu chodzi o Ships i wyprostowanie tej sytuacji.

Więc smakuję jej ust po raz ostatni. Jeszcze jedno skubnięcie pieprzonego zakazanego owocu, którego pragnę bardziej, niż sądziłem, lecz wiem, że nie mogę go mieć. I koniec.

Ale nie wypuszczam jej jeszcze z rąk. Dobrze wiem, jak trudno było oderwać się od Saylor z dnia na dzień. Pamiętam ten palący ból w trzewiach, który dręczył mnie przez niemal rok. *W trzewiach? Może raczej w sercu.* Zresztą prawdopodobnie przetrwał dłużej, skoro wystarczył jeden pocałunek, by wrócił z podwójną siłą.

Dlatego trzymam ją i kradnę dla siebie jeszcze jedną chwilę. Jeszcze jeden wspólny oddech. Pozwalam sobie na brodzenie we wspomnieniach i cieszę się, że nasze ścieżki znowu się przecięły.

— Teraz wiem, dlaczego porównywałem z tobą każdą kobietę, z którą się całowałem. — Słowa wymykają mi się bez zastanowienia. Wyznanie, na jakie nie powinienem sobie pozwalać, chociaż w tej chwili nie potrafię przestać o nim myśleć.

Jej oddech urywa się na chwilę, a palce zaciskają na mojej skórze. Na szczęście szepty osób w naszym otoczeniu dostarczają mi pretekstu do odstąpienia o krok. Przerwania czaru, jaki nade mną roztacza. I wrócenia do roli, jaką mam tu odegrać.

Ale nawet gdy się od niej odrywam, nadal jestem nią zahipnotyzowany. Wpatruję się w jej pełne usta, rozmazany na policzkach lukier i zagubione spojrzenie. Uderza mnie to idealne połączenie seksowności, uroku i wyjątkowości, zmuszając do refleksji nad tym, jak mogłem być tak głupi, żeby od niej odejść.

Przestań, Whitley. Zachowaj dystans. Koniec sceny.

Każę sobie wziąć oddech i zmuszam się do uśmiešku, zamiast wrócić w jej objęcia. Czas odzyskać animusz i skupić się na rozsianych wokół dwudziestu paru gościach weselnych, którzy nas obserwują. Tych, których zauważyłem w trakcie babeczkowej wojny z Saylor.

Cóż, zdecydowanie udało się zdobyć ich uwagę.

— Chodź, idziemy. — Biorę ją za rękę i wyprowadzam z ostrzału ciekawskich spojrzeń. Snujących domysły. Oceniających. Niech się zastanawiają nad tym, jak to możliwe, że kobieta, która według Rydera przez ostatnie sześć lat była wzorem powściągliwości i umiaru, ma w sobie na tyle szaleństwa, żeby w pozerskim ośrodku ścigać faceta i prowadzić z nim wojnę na ciasta.

I to nie byle jakiego faceta. *Mnie.*

Ale pragnienie powrotu do Willi ma znacznie więcej wspólnego ze mną niż z nią. Muszę oddać się pracy. Praca zawsze pozwalała mi zapomnieć o Saylor, a na Boga, teraz naprawdę potrzebuję o niej zapomnieć. Bo gdy mam ją na wyciągnięcie ręki i wciąż czuję jej smak na swoich ustach i ciepło jej ciała na swojej skórze, nie wiem, czy jestem w stanie dotrzymać obietnicy, którą sobie złożyłem, gdy przystałem na pomysł przyjazdu w to miejsce: by zostawić ją w lepszym stanie, niż ją zastałem.

— Hayes? — Brzmi, jakby była zagubiona. W jej głosie nie ma już wcześniejszego rozbawienia. Dopiero po chwili uświadamiam sobie, że nie wiedziała, iż jesteśmy obserwowani. A ja byłem tak zaabsorbowany sobą i tak rozeźlony na siebie za chęć

zrobienia tego, co należy, że zapomniałem jej o tym powiedzieć.

— Sorry. Mamy towarzystwo. — Zatrzymuję się na ścieżce i odwracam się w jej stronę, żeby mieć pewność, że mnie zrozumiała.

— Co? Co... oj. — W jej oczach pojawia się przebłysk nagłego uświadomienia wraz ze sporą dozą bólu. Pozwalam jej założyć, że powodem pocałunku była obecność publiczności, a nie moje pragnienie, by to zrobić. Chrząka i unosi nieco podbródek w akcie udawanej brawury. — Tak. Wiem. Widziałam ich.

Kłamie. Pragnęła tego pocałunku tak samo jak ja. Zdradza mi to jej palec, wokół którego owija kosmyk włosów, oraz zeszywnienie jej ciała, lecz z jakiegoś powodu nie polemizuję i nie dyskutuję z jej tokiem myślenia.

Zamiast tego stoję przed nią jak palant, a ona zmusza się do uśmiechu, żeby nie okazać zażenowania tym, że uznała ten pocałunek za wyraz wzajemnego pragnienia. I żeby zademonstrować, że oddała się temu pocałunkowi — *i to jeszcze jak się oddała* — wyłącznie po to, by uwiarygodnić nasz udawany związek w oczach gości weselnych.

To komiczne, bo wiadomo, że obaj tego chcieliśmy. Nie sposób temu zaprzeczyć. Ale nie poprawię jej. Nie wyznam, że poprzednia noc w willi, gdy nasze sypialnie dzieliła jedna ściana, była najsłodsza torturą świata. Nie zdradzę, że ćwiczenie rano tamtej sceny sprowokowało mnie do przemyśleń i sprawiło, że zapragnąłem jej w każdy możliwy sposób. A już na pewno nie powiem jej, jak bardzo pragnę przyciągnąć ją teraz do siebie i pocałować znowu.

Nic nie mówię, bo wiem, że jeśli ją teraz dotknę, prawdopodobnie nie skończy się na pocałunku. A nie wiem, czy mądrze jest otwierać te drzwi, skoro nie mam na razie pojęcia, co zrobić, by dotrzymać tej cholernej obietnicy, którą sobie złożyłem.

— Chodź — szepczę i odwracam się, żeby nie widzieć zranionej dumy w jej oczach. Którą sam przed chwilą zraniłem. — Mam coś jeszcze do zrobienia, zanim... zamówiłem ci masaż w spa w budynku obok willi. — Zerkam na zegarek, żeby podkreślić, że mamy mało czasu. Nie cierpię się za to, że spławiam ją, by mieć chwilę na uporządkowanie myśli.

— Nie po... — Słowa gasną na jej ustach, gdy niebieskie oczy pełne niewypowiedzianych pytań trafiają w moje.

— To tędy — wskazuję. — Do zobaczenia niedługo.

Odchodzę ścieżką, jak palant, którym jestem. Każę się sobie nie zatrzymywać i nie odwracać. Nie mogę wziąć jej za rękę i otworzyć drzwi willi, nie mogę zlizać tego lukru z jej piersi i zsunąć się niżej po jej śliskiej skórze.

A dokładnie tak by się stało. Nie mam co do tego żadnych złudzeń.

Ale nie możemy tego zrobić. To nie może się wydarzyć. Jestem tu po to, by zadbać o jej dobro, a wciągnięcie jej w jakikolwiek aspekt mojego szalonego życia nie byłoby dbaniem o jej *dobro*. Dlaczego więc waham się, gdy mam wsunąć kartę w drzwi? Bo minęło dziesięć lat. Bo jestem teraz innym mężczyzną, niż byłem wtedy, a ona jest bez wątpienia inną kobietą. Silniejszą. Niezależną. To Saylor.

Dlaczego miałyby nam nie wyjść?

Do licha. Właśnie nad tym nie powinienem się zastanawiać. Nad jedyną rzeczą, co do której przed przyjazdem obiecałem sobie, że się nie wydarzy. Mieliśmy po prostu

pomieszkać w tej samej willi i powspominać dawne czasy. Miałem odbudować jej pewność siebie, dać nauczkę fankom Laytona, a gdy nasz wspólny czas dobiegnie końca, odejść jako *przyjaciel* — co w dzisiejszych czasach jest dla mnie absolutną rzadkością.

I jak ci idzie realizacja tego planu, Whitley?

Trudno zachować bezstronność, gdy wszędzie, gdzie pójdziemy, trafiamy na gapiących się palantów z wesela. Ona ich nie dostrzega, bo jest zbyt zaaferowana otaczającą nas tropikalną scenerią, ale ja ich widzę. Widziałem stoliki w tylnym rogu baru karaoke pełne bardzo rozgadanych osób z zadartymi nosami. Ale one z kolei zauważyły, z kim pojawiła się Saylor. Potem te nagle urwane rozmowy i odwracanie głów w naszą stronę, gdy przechodziliśmy obok basenu. Widziałem te lekko uniesione runda kapeluszy, żeby poobserwować nas nieco dłużej zza przyciemnianych okularów i krzywić się na tę *dziewczynę z drugiej części miasta*, jak szepnęła jedna z nich. A później oczywiście w barze — wynurzające się zza menu oczy osób gotowych do szeptów, gdy tylko przestanę na nie patrzeć i odwrócę się do Saylor.

Ale to my się będziemy śmiać. Nie jestem głupi i dobrze rozegrałem tę grę w obronie Saylor. Staralem się robić tyle hałasu, żeby wszyscy zauważyli moją obecność w ośrodku. Zachowywałem się jak egoistyczny narcyz, rzucający na lewo i prawo swoim nazwiskiem, podczas gdy zazwyczaj w takich sytuacjach używam pseudonimu, żeby cieszyć się anonimowością, bo wolę to niż przejmowanie się tym, że w każdej chwili ktoś może zrobić mi ukradkowe zdjęcie komórką lub poprosić o autograf.

Tyle że ten weekend jest dla Saylor. Nie dla mnie. To mój sposób na złagodzenie poczucia winy po tych wszystkich latach. Muszę jej pomóc, bo chociaż Saylor jest twardą sztuką, to pod fasadą pewności siebie dostrzegam jej ból. Wygląda na to, że ten skurczybyk Mitch przepuścił ją przez niezłą wyżymaczkę.

Dlatego nie kryłem się ze swoim nazwiskiem. Nie spieszyłem się podczas posiłku w knajpcie na powietrzu. Siedziałem obok niej na basenie, sącząc koktajle. Spacerowałem z nią po najpopularniejszych miejscach w miasteczku, bo dobrze wiedziałem, że będą się tam kręcić wszyscy goście weselni, i chciałem, żeby nie było wątpliwości co do tego, że jesteśmy z Saylor parą.

Skoro jestem sławny, to mogę zrobić z tego dobry użytek.

Poza tym dopilnowałem, żeby moja specjalistka od PR nie próżnowała. Wydała już oświadczenie, że po zakończeniu zdjęć do najnowszego filmu postanowiłem trochę odpocząć i spędzić czas z przyjaciółką z dzieciństwa. Zwykle wyczuwam skierowane w siebie natrętne obiektywy, lecz tym razem tego nie doświadczyłem, co było bardzo wyzwalające.

Publiczny pocałunek z Saylor to głupi błąd z mojej strony, ale kompletnie nie spodziewałem się tego wszystkiego — *emocji, więzi, pragnienia, by całować ją do utraty tchu* — gdy zaoferowałem jej ten wspólny wyjazd. *Ale ona okazała się zbyt kusząca, żebym potrafił się oprzeć.*

Otrząsam się z tych myśli, bo jestem pewien, że ta nasza wspólna bańka w tym luksusowym ośrodku pozostanie nienaruszona. Wiem też, że nasz pocałunek nie zmieni nastawienia gości do Saylor.

Będą ją oceniać i wtykać swoje przemądrzałe nosy w jej sprawy. Dlatego dopilnuję,

żeby zobaczyli jej prawdziwe oblicze, czyli radosną, zabawną i spontaniczną dziewczynę, jaką kiedyś znałem. Żeby zatęsknili za jej przyjaźnią, którą stracili przez swoją arogancję i zamknięcie.

Co za ironia. Uświadamiam sobie, że sam też za tym tęsknię.

Na szczęście jestem aktorem i potrafię grać jak nikt, bo właśnie przekonałem do swojej roli nie tylko obserwujących nas gapiów, lecz także, sądząc po przebiegu bólu w jej oczach, samą Saylor. A może nawet siebie.

Oni myślą, że jej pragnę.

Ona myśli, że jej nie pragnę.

Ja wiem, że jej pragnę.

I wiem, że nie mogę jej pragnąć.

Rozdział 17

Saylor

Teraz wiem, dlaczego porównywałem z tobą każdą kobietę, z którą się całowałem.

Mieszam masło z cukrem. Robię to dłońmi, ignorując stojący na blacie i gotowy do dzieła mikser, bo potrzebuję fizyczności tego aktu. I jego terapeutycznych właściwości.

Wciąż słyszę w głowie te jego słowa i nie wiem, co o nich myśleć. Jeśli pocałunek był na pokaz, to po co to powiedział? Nic z tego nie rozumiem. I nie pomaga mi w tym frustracja seksualna.

Zamówiony przez Hayesa masaż miał być relaksujący. Miał pozwolić mi zapomnieć o wszystkim, co mnie czeka na dzisiejszej próbnej kolacji. Nie było to łatwe zadanie, bo przy każdym ruchu masażystki myślałam o tym, że wołałabym czuć dłonie Hayesa.

Dodać jajko. Ubić ciasto. *Czy on też się tym tak przejmuję?* Rozbijam kolejne jedną dłonią, drugą nie przestaję mieszać. Dodaję je do ciasta. Mieszam. Odrobina wanilii. Mieszam.

Bo ten pocałunek rozbudził moje pożądanie, ale w jeszcze większym stopniu zamieszał mi w sercu.

Muszę sobie nieustannie przypominać, że to było tylko na pokaz.

Dla Mitcha.

Dla jego rodziny.

Dla jego znajomych.

Dla jakiejś kombinacji osób z tych trzech grup stojących przy polu golfowym, przy którym Hayes przyciągnął mnie do siebie i pocałował. *Namiętnie. Dogłębnie. Naturalnie.*

To było tylko na pokaz.

Powtarzam to sobie. Nie mogę czuć się zraniona, bo wiedziałam, że w którymś momencie do tego dojdzie. Zwykły pocałunek, żeby przekonać gości weselnych do tego, że faktycznie coś mnie wiąże z Hayesem.

Przynajmniej mamy to już za sobą. Ale ja wcale nie mam tego za sobą — nawet w najmniejszym stopniu — bo ten pocałunek na pewno nie był zwykły. Raczej oszałamiający, pozbawiony granic i rozpalający do czerwoności.

Dlatego wciąż nie potrafię dojść do siebie mimo upływu kilku godzin.

Przesiewam mąkę z proszkiem do pieczenia. Sprawdzam, czy piekarnik rozgrzał się już do odpowiedniej temperatury. *Czy on też ma teraz takie rozterki? Też chce więcej, ale nie posuwa się dalej, bo wie, że to absolutnie zły pomysł? Szczypta soli. A może dla niego była to zwykła komediowa scena do odegrania?* Podnoszę wzrok i patrzę na krajobraz, ale tak naprawdę go nie widzę, bo gubię się we własnych myślach. Jestem zagubiona we wszystkim, co ma związek z Hayesem.

Myślałam, że pocałunek przeznaczony dla gapiów pomoże mi oczyścić się z duchów z przeszłości. Byłam jednak w błędzie, bo one zamiast zniknąć na dobre, tylko

się rozbudziły.

Mieszam.

On jest aktorem, Saylor. Tym zarabia na życie. Graniem na oczach tłumów.

Mieszam.

On po prostu odegrał swoją rolę. To był pocałunek. Ulotny moment. Który dla niego skończył się, gdy tylko znaleźliście się poza zasięgiem wzroku gapiów. *Tak samo jak wtedy, gdy ćwiczyliśmy skrypt.*

Mieszam.

Za bardzo to analizujesz, Saylor. Ale jeśli to było tylko aktorstwo, dlaczego wyszeptał te słowa na koniec? Dlaczego ociągał się z wypuszczeniem mnie ze swoich ramion?

Jakaś część mnie uważa, że to było coś więcej niż tylko przedstawienie. A raczej ma nadzieję. Nie, raczej nie ma nadziei. *Jezu, ale mam mętlik w głowie.* Ale przecież byłam tam. Czułam pragnienie, z jakim to robił, czułam szczerą jego dotyku i widziałam pożądanie w jego oczach.

Biorę gumową łopatkę i zdrapuję ciasto z boków miski.

Ships,

na wypadek, gdybyś musiała zająć dłonie ciastem.

— Hayes

Po raz kolejny spoglądam na zostawiony przez niego liścik, który leży obok na blacie. Znalazłam go w kuchni na stosie składników, misek i przyborów kuchennych, gdy skończyłam brać prysznic po masażu.

Gdyby miał to gdzieś, nie zrobiłby tego. Nie wiedziałby, że pieczenie pomaga mi, gdy mam mętlik w głowie. Że swojskość tej czynności pomaga mi poukładać myśli.

Nie. Gdyby miał to gdzieś, zachowałby się bardziej jak Mitch i skupiłby się na sobie. Na swoich potrzebach. I pragnieniach. Nawet nie przyszłoby mu do głowy, że potrzebuję wyciszenia.

On nie ma tego gdzieś. Liścik. Składniki. Przybory kuchenne. Sprawdzenie, czy w willi są foremki do babeczek. Zrozumienie, że targają mną rozterki i potrzebuję tego, by się z nimi uporać. Wszystko to mówi mi, że nie było mu to obojętne.

Doprawdy?

Sprawdzam, czy piekarnik ma odpowiednią temperaturę. Dłonie zatrzymują się w trakcie mieszania.

Musiałam się pomylić i błędnie odczytałam jego intencje. Uznałam, że w jego dotyku było coś więcej niż faktycznie było, bo przecież po wszystkim zbył mnie bez zbędnych słów. Wydawał się wręcz zirytowany na mnie, jakbym zrobiła coś złe.

Przygotowana do nakładania ciasta biorę stalową formę na babeczki i rzucam na granitowy blat z nieco większym impetem niż trzeba. Brzęk rozchodzi się echem po całym domu, ale w żadnym stopniu nie uśmierza mojej frustracji. *Ależ to jest popieprzone.*

Układam papierowe foremki w formie. Liczę rzędy. Próbuję wyciszyć obsesyjne myśli.

A co jeśli się mylę? Co jeśli Hayes chciał mnie pocałować? Co jeśli podzielał moją

ciekawość, chciał się przekonać, czy między nami coś jeszcze iskrzy i dlatego wykorzystał chwilę?

Do licha, cóż to była za chwila.

Teraz jednak gubię się we własnych myślach. Jestem skonsternowana. Boję się tego, że pragnę, żeby znowu mnie pocałował, chociaż doskonale wiem, że na końcu tej ścieżki czeka mnie jeszcze więcej bólu. Nie rozumiem, jak jeden pocałunek Hayesa mógł mnie tak mocno nakręcić, podczas gdy Mitch przez sześć lat ani razu nie wzbudził we mnie takich emocji.

Ale Hayes się wycofał. Wymazał emocje z twarzy i odszedł — *po raz kolejny* — jakbym go zirytowała.

Wrzucam łyżką ciasto do foremek. Z nieco większym impetem niż trzeba. Z każdą łyżką ciasta jestem coraz bardziej wściekła. Moje emocje zupełnie wyrwały się spod kontroli.

Kolejna łyżka.

Co? Nie jestem już dla niego odpowiednia? Za mało szpanerska? Niedostatecznie piękna w świetle wyśrubowanych hollywoodzkich kanonów?

I kolejna.

W takim razie idź do diabła, Hayesie Whitleyu. Razem z tą swoją nagrodą Akademii. Najwyraźniej odchodzenie ode mnie to twój nałóg.

I jeszcze jedna.

Forma rozmywa mi się przed oczami przez wzbierające łzy. Odrzucenie pali tak mocno, że tłumi wszelką logikę. Wraca ból, gdy z trudem przyznaję, że dobrze wiedziałam, w co się pakuję, gdy tu przyjechałam.

I kolejna.

Powinłam być zła na siebie, że nie trzymałam emocji w ryzach. Że zapomniałam o druzgocącym wpływie Hayesa na moje serce. I że tak bardzo zirytowałam się złośliwymi komentarzami kobiet w Starbucksie, że zapomniałam o swojej wrażliwości i przyjąłam ofertę Hayesa.

I jeszcze jedna.

Po prostu to odwołaj, Saylor. Powiedz Hayesowi, że pokazaliście już dzisiaj na tej polance, że jesteście nedorzeczenie szczęśliwi ze znacznie bardziej wpływowym mężczyzną niż Mitch, więc możecie złapać samolot i zostawić za sobą ten cały zgiełk. Może wtedy ocalisz to, co zostało z twojego serca *i godności*.

I jeszcze jedna.

Pozbieraj się, Say. Pozwalasz, by jeden pocałunek zupełnie pozbawił cię twojego zdrowego rozsądku i wyciągasz pochopne wnioski.

To wszystko przez niego. Bo obudził wspomnienia, zachowując się jak dawny, kochany przeze mnie Hayes, a potem rozwinął skrzydła i pokazał mi dojrzałego Hayesa, który mnie tu sprowadził. Hayesa, który dokonuje nieoczekiwanych obserwacji, rozbawia mnie tak, że boli mnie brzuch ze śmiechu i nie przejmuje się tym, że jest oblepiony babeczkowym lukrem, jeśli tylko się na niego nie gniewam.

Hayesa, który przyjechał tu, żeby pomóc mi poprawić reputację i dzięki temu być może ocalić cukiernię.

Chwytam się dłońmi brzegu blatu, zwieszam głowę i przypominam sobie, po co właściwie tu przyjechałam. Żeby ocalić cukiernię i polepszyć swoje notowania.

A nie po to, żeby oddawać się rozkosznemu rozproszeniu w postaci Hayesa Whitleya.

Gdy unoszę głowę, rozproszenie stoi przede mną we własnej osobie po drugiej stronie kuchni. Nagi tors. Ciężki oddech. Spodenki do biegania. Wilgotne od potu włosy. Pulsujący mięsień szczęki. Oczy białe w moje.

Wrywa mi się ciche westchnienie. Jest tak piękny. I patrzy na mnie z taką intensywnością. Na sam jego widok wybucha we mnie istne tornado emocji. Każda cząstka mnie staje w pogotowiu, gdy on zaciska zwieszane pięści i napina mięśnie.

Witaj, rozproszenie.

Nienawidzę go i kocham, pragnę go i nie pragnę.

Robi krok w moją stronę. Zatrzymuje się.

Przypominam sobie o konieczności oddychania. Muszę coś powiedzieć, żeby przerwać ten urok, jaki nade mną roztoczył. Muszę zignorować nieoczekiwaną falę emocji w podbrzuszu, która rozlewa się powoli na całe ciało, wywołując gęsią skórę.

— Poszedłem pobiegać — mówi napiętym głosem. Ochryple. Nie do końca rozumiem, dlaczego obwieszcza mi to, co oczywiste.

— Robię babeczki.

Kiwa głową, jakbyśmy prowadzili normalną, codzienną konwersację. Trudno ją jednak za taką uznać, jeśli potraktujemy jako barometr reakcję mojego ciała na wszystko, co z nim związane.

Mam twarde sutki i robi mi się wilgotno w ustach. Patrzę na niego i czuję palące pragnienie w miejscach, które nigdy wcześniej nie były pobudzone. On przeciąga językiem po dolnej wardze. Po jego piersi spływa maleńka strużka potu. Jeden z mięśni brzucha się napina, a ja uświadamiam sobie, że taksuję go spojrzeniem. Podnoszę wzrok i zauważam jego nieznaczny, arogancki uśmiech.

— Wciąż sobie powtarzam, że nie możemy tego zrobić, Saylor.

Jego słowa przecinają napiętą atmosferę między nami. Są jak woda na płonący między nami ogień.

Ale chociaż mówi „nie”, całe jego ciało krzyczy głośno „tak”. Postawa drapieżnika. Błysk w oczach. Naprężone mięśnie. Gdy widzę, jak walczy ze sobą, jakaś cząstka mnie pragnie poddać próbie jego opanowanie. Ciekawe, jak trudno byłoby go sprowokować.

Wiem, że jeśli go sprowokuję, nie uchronię się przed bólem, ale z jakiegoś powodu mam wrażenie, że w przypadku Hayesa Whitleya warto zaryzykować.

Kolejny krok.

Drapieżnika w stronę ofiary.

— Czego nie możemy zrobić? — dopytuję ledwie słyszalnym szeptem, a sutki napierające na cienki materiał góry bikini przekazują to, co pomija mój zachrypnięty głos. *Pragnę cię. Pocałuj mnie. Chcę skupić się tylko na tu. I teraz. I emocjach, jakie we mnie wzbudzasz.*

Chichocze cicho. Nisko. Z napięciem. Jest coraz bliżej. Na odległość ręki. Wyciąga dłoń do dzielącej nas miski na blacie, przeciąga palcem po jej brzegu i podnosi go do ust.

Zwleka chwilę, żebym na pewno zobaczyła, jak zlizuje z niego ciasto. A gdy wyciąga palec z ust, wydaje z siebie jęk, który pobudza we mnie najczulsze struny pożądania.

— Czego nie możemy zrobić, Hayes? — ponawiam pytanie. Muszę. Muszę wiedzieć, czy to, o czym według mnie mówi, pokrywa się z tym, co próbuje mi przekazać.

Kolejny krok.

Opuszcza dłoń, przechyla głowę i patrzy mi w oczy. Czekaj. Ocenia. Niecierpliwi się. Czuję ciepło jego ciała. Słyszę jego stabilny oddech. I jestem bardziej niż gotowa na jego dotyk, gdy wyciąga dłoń i kładzie ją z boku mojej szyi.

— Wszystkiego. — Zwilża wargi i zerka na moje usta, delikatnie pocierając kciukiem mój obojczyk. — I niczego.

— Ach. — Kręci mi się w głowie. W ciele szaleje burza. Każda cząstka mnie jest rozpalona do czerwoności.

— To zły pomysł.

Nachyla się i muska wargami moje wargi. To zaledwie przedsmak pocałunku, ale wystarcza, żeby wypłukać ze mnie resztki rozsądku, *rozognić serce* i wzbudzić nieodparte pożądanie.

— Beznadziejny — mruczę i przejmuję inicjatywę, oddając mu pocałunek. Delikatny dotyk warg. Muśnięcie języków.

— Okropny — szepcze, jeszcze bardziej rozwijając nasze muśnięcia. Drugą dłoń kładzie mi na policzku z kciukiem wzdłuż linii szczęki, żeby mieć kontrolę nad pocałunkiem.

— Paskudny. — Nasze ciała stykają się w tym samym momencie, co języki. Jego ciało jest wciąż gorące od biegu. Napięte. Śliskie od potu.

— Głupi — dopowiada cicho. Błyska cieniem uśmiechu, po czym wraca do smakowania i zawłaszczania. Prowokowania i kuszenia. Żądania i oferowania.

Jęczę. Nie mogę się powstrzymać, bo jego usta są tak dominująco czułe. Wyrozumiale bezwzględne. Rozpaczliwie spokojne. W jego ruchach nie ma nerwowości. Nie spieszy się do następnego punktu.

Każde muśnięcie języków pozbawia mnie kolejnych wątpliwości. Każde skubnięcie dolnej wargi. Każde łagodne żądanie jego ust wobec moich.

Gładzę go dłońmi po bokach i rozkoszuję się jego napinającymi się pod wpływem dotyku mięśniami. Chwyta mnie za włosy i zmienia kąt pocałunku. Wyznacza choreografię następnego kroku w naszym powolnym tańcu pożądania.

— Saylor. — Jego chrapliwy głos drapie mnie w środku. I wyrywa z otumanienia wywołanego przez jego pocałunki, a on odchyła się i spogląda mi w oczy.

Mijają sekundy. Pytania, pragnienia, potrzeby — to wszystko przebłyskuje w jego oczach. *Powinniśmy? Możemy? Dlaczego znowu do tego dochodzi?*

Jego szczeka pulsuje. Czuję na biodrze twardość jego członka. Powoli traci samokontrolę, co wnioskuje z zaciskającej się na moich włosach dłoni.

Rozchyłam usta. *Tak. Tak.*

To przecież my.

Ale nie potrafię tego wykrztusić, bo ogłusza mnie cisza tej chwili i trawiący moje ciało ogień pożądania. Chcę go pragnąć i pragnę się z nim złączyć.

Ogłusza mnie świadomość, że go kocham. *I że prawdopodobnie nigdy nie przestałam.*

— Nigdy nie potrafiłem ci się oprzeć. Ani wtedy. Ani teraz.

Nigdy.

W tej jednej chwili wspólna przeszłość zderza się z terażniejszością. Usta zwierają się ponownie w dzikim uniesieniu, w pragnieniu i żądzy, nienasyceń i głodzie. Dłonie gorączkowo chwytają, głaszczą i zawłaszczają ciało i skórę.

Poruszamy się jak owładnięci szaleństwem. Jakbyśmy chcieli jak najszybciej zasmakować wszystkiego, a jednocześnie zwolnić i cieszyć się tym ponownym zjednoczeniem, na które trzeba było czekać wiele lat.

Czuję jego usta na swojej szyi. Zsuwa mi ramiączka kostiumu kąpielowego i ujmuję piersi w dłonie. Muska kciukami sutki, wysyłając w ciało tsunami doznań.

Łapczywie całuje wrażliwą skórę przy uchu. Szamoczę się z jego szortami, a on ściąga mi dół bikini. Wsuwam dłoń w jego szorty i trafiam na jego w pełni gotową i twardą męskość. Rozchyłam bezwiednie usta, gdy zębami skubie moje sutki. Jego dłonie są wszędzie, ale i tak chcę więcej. W dłoniach mam dowód tego, jak na niego działałam.

Chwyta mnie w pasie i unosi. Czuję zimno granitowego blatu na pośladkach. Coś się przewraca, coś spada. W powietrze wznosi się huragan mąki. Ale Hayes w ogóle na to nie zważa. Staje między moimi udami i przyciąga mnie na brzeg tak, że muszę się opierać na jego ciele, żeby nie spaść. A potem ponownie przywiera do moich ust w pocałunku, który zwiastuje dominację i zawłaszczenie.

Kładę mu dłonie na ramionach. Czuję, jak muska moje wejście, rozchyła je i przejeżdża palcami w dół i w górę. Bezwiednie odchylam głowę. Rozkładam szerzej uda — moje ciało natychmiast i bez wahania daje mu dostęp do wszystkich miejsc.

Jęczę, gdy wsuwa palce do środka. Najpierw tylko kuszące dwa centymetry. Zapowiedź tego, co nadejdzie. Jednocześnie przyciska usta do moich w kolejnym pocałunku. I kiedy jestem już wystarczająco odurzona, wsuwa palce aż do końca i zatacza nimi kręgi, pobudzając wewnętrzne zakończenia nerwowe, a kciukiem ledwie muska moją łechtaczkę.

Szarpię biodrami pod wpływem nawału doznań. Język. Palce. Kciuk. Jego jęk. Moje błaganie o jeszcze. I wszystko od nowa. Powolne narastanie. Niespieszne uwodzenie moich zakończeń nerwowych. Pomruk zadowolenia. Huragan przyjemności.

Orgazm jest dla mnie zaskoczeniem. Wydaje się to głupie, ale odczuwam go zupełnie inaczej niż zwykle. Fala wszechogarniającego gorąca. Napięcie mięśni. Krzyczę jego imię, rozkoszując się przyływami i odpływami nieoczekiwanie silnych doznań, które wciągają mnie w swój nurt i obmywają w wodospadzie pożądania. Moje mięśnie wciąż jeszcze pulsują wokół jego palców, gdy wznawia pieszczoty kciukiem. Wbijam paznokcie w jego bicepsy, a biodra wyginają się w najśłodszej udręce.

W orgazmicznym śnie zwiedzam swoje własne szczyty, gdy Hayes wysuwa palce i dotyka moich rozchylonych ust. Spogląda mi w oczy z niesłychaną intensywnością i pokrywa mi wargi moim własnym podnieceniem. Próbuje zaczerpnąć powietrza, lecz on nachyla się i przeciąga językiem po śladzie zostawionym przez palce. Wydaje przy tym z siebie jęk, który jest ucieleśnieniem seksu.

Nieoczekiwanie podniecający.

Kompletnie absorbujący.

Odurzająco erotyczny.

Czuję jego usta. Muskają mnie. Przeciagam językiem po wargach, błagając o jeszcze, lecz w odpowiedzi słyszę jego rezonujący chichot.

— W moim tempie, Saylor. Nie twoim. Teraz ja rządę. Może i o władnęłaś mną w stopniu, z jakiego nie zdajesz sobie sprawy, ale w tej chwili to ja cię posiadam. Każdy kawałek ciebie.

Na te słowa moja krew zmienia się we wrzącą lawę. Libido wybucha rewoltą, ale milczę oszołomiona. Zszokowana jego wyznaniem. Ukołyszana jego dotykiem.

— Hayes. — Jedno słowo. Błaganie. Pytanie. Westchnienie.

Całuje mnie znowu, ale tym razem bardziej natarczywie. Bardziej chciwie. Język, usta i skubnięcia zębów trafiają w miejsca wciąż wibrujące po niedawnym orgazmie.

Dłonią na karku unieruchamia moją głowę, uwodząc usta i rozniecając tłący się jeszcze ogień. Sięgam dłonią w dół, otaczam dłonią i pieścę jego twardą męskość. Czuję na główce kroplę wilgoci. Rozsmarowuję ją, a potem z rozmysłem odchylam się i zaczynam ssać kciuk.

Zamykam oczy i rozkoszuję się jego smakiem. Jęczę cicho. Gdy otwieram oczy, Hayes patrzy na mnie z nieznanym mi wcześniej pożądaniem.

— Pragnę cię, Say. — Jego głos jest gardłowy. Rozpaczliwy. I dodaje mi pewności.

Pieścę dłońmi swoje piersi i pocieram sutki między kciukami i palcami wskazującymi. Dłonie mam w rozsypanej przez Hayesa mące, przez co doznanie jest nieco inne. Wrywa mi się ciche westchnienie.

Przetyka ślinę i zwilża językiem usta.

— Tu i teraz. — Podchodzi bliżej, przeciąga dłonią po klatce piersiowej i mojej ręce, ściąga ją z piersi i sam zaczyna pieścić moje sutki. Boskie doznanie. Wyginam plecy i odchylam głowę, ale nie na tyle, żeby stracić z nim kontakt wzrokowy.

Już mam zamknąć oczy, gdy nagle on nachyla się i zatacza językiem kręgi na mojej piersi. A potem zaczyna ssać. Mam wrażenie, jakby wszystkie zakończenia nerwowe zostały nagle pobudzone prądem. Są wrażliwe na wszystkie doznania: ciepło jego języka, drapanie zarostu, wibrację jego pomruku na skórze.

— Nikt teraz nie patrzy. — Patrzy na mnie spod ociężałych od pożądania powiek.

— Jesteśmy tylko ty i ja.

Jego słowa są jak afrodyzjak. Stymulant. Wymazują błędne myśli, które dręczyły mnie przed jego powrotem.

Myliliam się. On chciał mnie pocałować.

— To niedorzeczne, jak bardzo cię teraz pragnę.

Mam ochotę przetestować to jego pragnienie, by rządzić. Chwytam go za kark i przyciągam do siebie. Dotyk ust. Niedokończony pocałunek. Skubnięcia wargi. Jego imię jak jęk. Pokazuję mu, że pragnę *go* równie mocno. Przeciagam językiem po szorstkiej krawędzi szczęki w stronę ucha.

— Zawsze cię pragnęłam — wrywa mi się. Szczerzość tej chwili zwycięża i wyznaję coś, czego nie mogę już cofnąć. Do czego nie przyznawałam się nawet sama

przed sobą.

Zawahanie ruchów. Na sekundę patrzymy sobie w oczy bez żadnych ograniczeń i zahamowań, po czym pragnienie zwycięża.

Hayes wydaje z siebie gardłowy pomruk, przejeżdżając dłonią między piersiami w górę; popycha mnie na pokryty mąką granitowy blat. Chwyta mnie za uda i przyciąga do siebie.

Chwila separacji. Przekleństwo, odgłos wyjścia z kuchni i powrotu. Charakterystyczne rozdzieranie opakowania foliowego.

Jestem coraz bardziej zniecierpliwiona. Rozszerza palcami moje wejście i czuję chłód na gorącej skórze. Przykłada główkę członka do mojej wilgoci. Rozszerzam bardziej uda. Zamykam oczy. Rozkoszuję się tym słodkim, wszechogarniającym doznaniem, gdy on powoli się we mnie wsuwa.

O tak. O tak.

Wyginam plecy w łuk i przyciskam dłonie do zimnego blatu. Brakuje mi tchu. Doznania są coraz silniejsze. Cał po całach wchodzi we mnie aż do końca.

— Na litość boską, Saylor — mruczy cicho i wiem, że on też to tak odczuwa.

Pożądliwie zaciska dłonie na moich biodrach. Drżą mi mięśnie. Mam zamknięte oczy i jestem kompletnie zatracona w myślach o tym, że po całym tym czasie tylko jedna osoba wzbudziła we mnie takie uczucia spełnienia i zjednoczenia oraz bycia pożądaną, upragnioną i kochaną.

Hayes zaczyna się poruszać i odciąga mnie od myśli, które niepotrzebnie skomplikowałyby sprawy. Wciągam się w wolny, równomierny rytm, zalewana falami przyjemności. Ciepło jest tak intensywne. Czuję go każdą częścią ciała. *Minęło tyle czasu.*

Wbijają się we mnie do końca i dociska się biodrami, a jego kość łonowa przyjemnie ociera się o moją łechtaczkę. A gdy się wycofuje, główka pobudza zakończenia nerwowe w środku. Wysuwa się niemal zupełnie, zostawiając w środku sam czubek, po czym powoli wraca.

Odurza mnie jego wprawa. I nienasycona finezja.

Otwieram oczy, żeby na niego spojrzeć. Ma napięte mięśnie, przygryza dolną wargę i z przechyloną głową obserwuje miejsce naszego zjednoczenia.

Podnosi wzrok i spogląda mi w oczy. W jego spojrzeniu jest prowokacja i ostrzeżenie. Jakby niewerbalnie kazał mi się mocno trzymać, bo podkręca tempo.

Kuchnię wypełniają charakterystyczne odgłosy zderzających się i rozdzielających ciał. Przesuwam się na rozsypanej na blacie mące — do tyłu przy jego wejściu, a potem do przodu przy wyjściu, gdy przyciąga mnie dłońmi do krawędzi. Wykorzystuje ciężar moich bioder zwisających z blatu, żeby wejść we mnie z większą intensywnością, po czym się wycofuje.

Jego gardłowy pomruk. Bezlitosne tempo. Moje imię na jego ustach. Uścisk jego dłoni na ciele. Surowość granitu pode mną i jego twardość we mnie.

Nasze słowa są równie gorączkowe jak ruchy. Jakbyśmy nie byli w stanie odpowiednio szybko ich przekazać, a jednocześnie chcieli przeciągnąć tę chwilę jak najdłużej.

Tu i teraz.

Jeszcze.

O Boże.

Jak ciasno.

Głębiej.

Jak dobrze.

O Boże.

Saylor.

Czuję jednocześnie dreszcze i falę gorąca. Żądza, jakiej nigdy wcześniej nie doświadczyłam, przetacza się przeze mnie, ocierając się o desperację. Moje jęki stają się bardziej zaborcze. Bez ostrzeżenia spadam w rozkoszną przepaść ekstazy. Mój umysł się wyłącza. Ciało przejmuje władzę. Eksplozja gorąca. Desperackie łapanie powietrza. Wykrzyczenie jego imienia. Zaciskające się wokół niego mięśnie, przez które nawet najdrobniejsze ruchy sprawiają mi niewiarygodnie intensywną przyjemność. Pragnę, żeby jednocześnie przestał i nie przestawał.

Zatapiam się w błogości orgazmu. Zatracam w euforycznym odurzeniu.

Hayes też nie może się już powstrzymać. Wznawia ruchy. Wbija się i wysuwa. Oddaje hołd i zawłaszcza. Dominuje i bierze. Nagle wybucha jękiem mojego imienia zlanym z okrzykiem rozkoszy. Jeszcze kilka ruchów bioder, po czym zapada cisza przerywana jego przyspieszonym oddechem.

Bez słowa wysuwa się, kładzie czoło na mojej klatce piersiowej i zamiera na moment z ustami przy moim brzuchu.

Wplątam palce w jego włosy i rozkoszuję się ciepłem tej chwili. I różnicą między uprawianiem seksu z tym mężczyzną w porównaniu z nastoletnim nieporadnym kłębieniem się w ciemnościach.

Wtedy przypomina mi się kwestia, którą ćwiczyliśmy dziś rano: *Zawsze byłaś tylko ty.*

Rozdział 18

Hayes

Budzę się gwałtownie. W pokoju panuje półmrok. Mam zdrętwiałe ramię w miejscu, gdzie spoczywa głowa Saylor.

Saylor.

Cholerny narkotyk, o którym zapomniałem. Miara, wedle której oceniałem *wszystkie* inne. Jedyna kobieta, która wywoływała we mnie myśli typu *co by było gdyby*.

Cóż, teraz już wiesz, Whitley. Jest dziesięć razy lepiej, niż pamiętałeś. Koncertowy seks. Ale w jaki sposób świadomość tego miałyby nam pomóc?

Nie mam pojęcia, ale ten seks był po prostu niewiarygodny.

Nagle doznaję olśnienia. Czy to przez nią trzymałem się z dala od Tessy kilka tygodni przed przybyciem w to miejsce? Nie byliśmy parą. Powiedziałem nawet o tym Say. Ale te kilka chwil z Saylor i godzina w naszym dawnym ulubionym miejscu — domku na drzewie — najwyraźniej wystarczyła.

Tessa nigdy tak na poważnie mnie nie interesowała. Zabawić się? Jasne. Bez zobowiązań? Owszem. Stworzyć więź emocjonalną? Nie ma mowy.

Tessa w żadnym calu nie dorównuje Saylor Rodgers.

Poprawiam się na szezlongu i odwracam tak, żeby widzieć jej twarz i obserwować ją, jak śpi. Miękkie usta i długie rzęsy. Piegi, z których kiedyś się naśmiewałem, i ten zadziorny podbródek — unosiła go w moją stronę więcej razy, niż jestem w stanie zliczyć.

Wiem, że przecucie mnie nie myli. Tessa — i prawdopodobnie każda inna kobieta — błędnie w porównaniu z Saylor.

Jak w ogóle do tego doszło? I dlaczego, do cholery, mam straszną ochotę nachylić się, zakosztować znowu tych ust i zrobić to jeszcze raz?

Bo to Saylor.

Popołudniowy bieg miał wyleczyć mnie z tego pragnienia. Myślałem, że wysiłek zatamuje nieoczekiwane pragnienie i uspokoi żądzę, która paliła mnie w trzewiach od tamtego spaceru wczoraj wieczorem. Stało się jednak dokładnie na odwrót. Każdy sus stanowił pulsujące przypomnienie o tym, jak bardzo jej pragnę, i potwierdzenie, że ten podniecający pocałunek nie był tylko na pokaz.

Pocałowałem ją, bo tego pragnąłem. Musiałem to zrobić. Musiałem sprawdzić, czy ona wciąż tak samo całuje. I smakuje. I wydaje to osobliwe westchnienie, od którego kiedyś w ułamku sekundy robiłem się twardy (choć trzeba przyznać, że u nastoletniego chłopca taki efekt może wywołać nawet zimny wiatr).

Moje ego egoistycznie pragnęło, by ten dupek Mitch zobaczył, że ona jest ze mną. Może pomyśleć, że było to dziecinne i pozbawione znaczenia, skoro on się żeni i nie walczył o to, by ją zatrzymać, ale ja tak nie uważam. Niech się zastanawia nad tym, co ja mam takiego, czego on nie ma. Większy członek? Większe konto bankowe? Lepszą osobowość?

Tak, na wszystkie trzy pytania.

Więc owszem, na pocałunek złożyły się wszystkie powyższe motywacje, lecz seks? To wyłącznie kwestia osobista. Pragnienie. Żądza. Pożądanie. Przyznaję, zrobiłem to wbrew zdrowemu rozsądkowi. Cóż, w tej sytuacji zdrowy rozsądek nie był w stanie porozumieć się z członkiem.

Teraz mam przerąbane. *Bo pragnę jeszcze.*

Pocieram twarz wolną dłonią, zastanawiając się, jak to możliwe, i wita mnie zapach jej cipki na palcach. Natychmiast robię się twardy. Mam ochotę wziąć ją tu i teraz, z mąką na policzku i we włosach. Z miską wciąż nieupieczonego ciasta na blacie. Na tej udekorowanej mąką podłodze. Podczas gdy palant, który miał się z nią ożenić, będzie brał udział w swojej próbnej kolacji gdzieś w pobliżu.

Muszę ją jakoś naznaczyć. Zawładnąć nią tak samo, jak ona zawładnęła mną w ten czy inny sposób od chwili, gdy po raz pierwszy zapukałem do jej drzwi i powiedziałem, że niedawno się przeprowadziłem, i spytałem, czy jej brat wyjdzie na dwór.

Była słodka, delikatna, płaska i pod każdym względem niewinna. Tak ją zapamiętałem. Tymczasem, gdy wszedłem do jej cukierni, okazała się nadal słodka, lecz znacznie bardziej temperamentna. Niewinność jest równoważona niezachwianą pewnością siebie, a płaskie linie zmieniły się w cudowne krągłości.

Krągłości, które aktualnie przyciskają się do mojego ciała i błagają, by pogłodzić je dłońmi. Walczę z tym pragnieniem. Muszę najpierw przemyśleć, jak się czuję z tym, co powiedziała w trakcie seksu — że *zawsze mnie pragnęła. Nadal wzbudza to we mnie mnóstwo emocji.* Zaborczość, ożywienie, przerażenie, ulgę, opiekuńczość.

Nie powinno się wierzyć w to, co ludzie mówią podczas seksu, bo słowa są wtedy zabarwione przez sam akt. Ale głęboko w środku wiem, że to było szczere.

Porusza się przez sen. Przesuwa kolano wyżej, dotykając nim mojego członka, a zaciśnięte dłonie kładzie mi na sercu.

Czuję ból w piersi, ale postanawiam go zignorować. Im dłużej na nią patrzę, im dłużej obserwuję wznoszenie się i opadanie jej klatki piersiowej, tym bardziej uświadamiam sobie, że ten ból to raczej ukłucie — ukłucie zazdrości. O Mitcha. Bo on miał miliony takich chwil. Zmarnował je. Uznał, że po prostu mu się należą.

Jest jeszcze gniew. Bo nie uważał ją za na tyle ważną, żeby o nią walczyć. Jest warta cholerycznej walki. Szczególnie, gdy pokazuje swój temperament i upór.

Jest też ulga. Że ona sama wiedziała lepiej i od niego odeszła. Że Ryder zadzwonił z prośbą o oddanie przysługi. I że gdy wczoraj wszedłem do willi, patrzyła na mnie tak dziko, przekazując mi wzrokiem znacznie więcej niż słowami.

Dostrzegam oczywiście ironię tej sytuacji. Bo dlaczego wściekam się na Mitcha, skoro powinienem wściekać się na siebie? To przecież ja od niej odszedłem, zostawiając szeroko otwarte drzwi.

Łatwiej mi jednak zrzucić winę na niego. Gardzić nim. Wtedy nie muszę zastanawiać się nad sobą oraz nad tym, co to wszystko oznacza. I co z tego wyniknie. Bo ten weekend się skończy i wrócimy każde do swojego świata.

Co wtedy?

Wrócimy do swoich zajęć ze świadomością, że *to* wciąż między nami jest?

Rozwiązane i nierozwiązane?

Przestań. Żyj chwilą. Ciesz się zabójczym seksem i jej towarzystwem. Seks nie musi być zobowiązujący. Nie musi oznaczać miłości.

Miłości?

Skąd, do diabła, wzięła się ta myśl?

Saylor mruczy coś, czego nie potrafię zrozumieć. Przykuwa moją uwagę, chociaż trzeba przyznać, że miała ją przez cały czas. Znowu się porusza. Nie potrafię się powstrzymać przed uśmiechem, gdy podnosi dłoń do ucha i pociera mażowinę kciukiem i palcem wskazującym.

Przenika mnie fala ciepła — której nie powinienem czuć — gdy widzę, że ona wciąż to robi. Bo wiem, co to oznacza. Znowu czuję to ukłucie w piersi, ale tym razem nie z zazdrości.

Absolutnie.

Saylor znowu coś mamrocze. I wtula się bardziej.

Czy nie jest tak, że w taki czy inny sposób zawsze ją kochałem?

To tylko wspólna historia. Ponowny kontakt z kimś, kto znał mnie w przeszłości. Z osobą, która nadal, po całym tym czasie, potrafi dokończyć moje słowa.

Tak sobie wmawiaj, stary. Może uwierzysz, że to nie o nią chodziło ci przez cały czas.

I znowu coś mówi. Po czym chichocze cicho. A to pieprzone ukłucie wraca z podwójną siłą, bo tym razem wyraźnie rozumiem wypowiedziane przez nią słowo: *Mitch*.

Rozdział 19

Saylor

Powoli się budzę, usatysfakcjonowana po wczoraj i wtulona w ciepłe i silne ciało Hayesa. Zaspana, lecz zadowolona otwieram oczy i trafiam w jego intensywne spojrzenie. Czuję pod karkiem napinające się bicepsy.

Leniwy uśmiech na moich ustach jest równie oczywisty, jak zeszywnienie po seksie, jakie czuję, gdy rozprostowuję nogi.

— Nie próbowałaś właśnie posmarować mi policzków musztardą i drażnić mnie piórkiem, co?

Namaszczony wyraz twarzy znika bez śladu, wyparty przez wybuch śmiechu. Hayes spogląda na mnie ciepło, kładzie dłoń na mojej twarzy i pociera kciukiem dolną wargę, a każda cząstka mojego ciała rozpływa się w zadowoleniu.

— A masz może przy sobie niepotrzebne piórko? — Jego głos jest chropawy, zaspany i cholernie seksowny.

Śmieję się i wtulam w niego jeszcze mocniej. Nie wiem, jak to w ogóle możliwe, skoro praktycznie na nim leżę na tym szezlongu, na którym spoczęliśmy po seksie. W chwili, która powinna być niezręczna, ale nie była.

Dlaczego? Dlaczego czujemy się tak swobodnie w swoim towarzystwie, mimo że praktycznie w ogóle się już nie znamy. Różnią nas doświadczenia i osiągnięcia. On żyje w blasku i chwale, a ja wśród babeczek i lukru.

Bo zawsze był tylko on.

Odpycham tę myśl. Oczyszczam głowę z bzdur, które niepotrzebnie roztrząsałam, zanim przyszedł i zrobił mi tak dobrze, że usiadłam z nim na szezlongu i zasnęłam jak typowy facet. Bo czy mogłam się bardziej mylić? Czy mogłam zinterpretować to jeszcze błędniej?

Cieszę się chwilą. Bliskością jego twardego ciała. Jego dłonią bezmyślnie bawiącą się moimi włosami. Zmysłowym uśmiechem i wyrazem oczu, które mówią mi, że ma ochotę zrobić mi to wszystko jeszcze raz. A ja na pewno bym mu nie odmówiła, bo do licha, trzeba przyznać, że przez te dziesięć lat rozłąki nabył poważnej wprawy.

— Nie. Nie mam ani piór, ani musztardy — odpowiadam z kiwnięciem głową.

— Tylko mąkę i cukier — stwierdza ze śmiertelną powagą, po czym wybucha śmiechem, którego wibrację czuję na swoich piersiach. Jak mogłam zapomnieć o mącznej zamieci i kryształkach cukru na plecach?

— Aż tak źle?

— Powiedzmy, że nadajesz zupełnie nowy wymiar nazwie „Sweet Cheeks[*]”.

Klepie mnie w pośladek dla żartu, ale nie zabiera dłoni. Wbija palce w ciało i przyciąga mnie do siebie, jednocześnie nachylając się w moją stronę. Gdzieś w połowie drogi stykamy się ustami.

Pocałunek jest miękki i łagodny, ale z majaczącym na krawędzi pożądaniem. A

może raczej desperackim pragnieniem? Nie jestem pewna. Pozwalam Hayesowi prowadzić. Niech pokaże mi, co będzie dalej, bo ja nie mam pojęcia, co mogłoby to w naszym przypadku oznaczać.

Chwila obecna natomiast jest dla mnie czystą przyjemnością. Łagodne pieścoty dłoni. Muśnięcia języka. Ciepło oddechu. Uczucie zatapiania się w nim zamiast uciekania jak najdalej. Komfort zamiast paniki.

Może on po prostu odwodzi naszą uwagę od pytań, które prawdopodobnie powinniśmy sobie zadać.

— Mmm — mruczy, kończąc pocałunek. — Sama słodycz.

Przewracam oczami i śmieję się, co nie oznacza, że nie czuję w sobie tłącego się płomienia, który Hayes nieustannie podsyca.

Pięści moje ramiona leniwymi ruchami palców, a ja jestem tak zadowolona i spełniona, że dopiero po kilku minutach coś sobie uświadamiam. Ciemniejące niebo. Pora dnia.

— O mój Boże. Przegapiliśmy próbną kolację. — Próbuję się podnieść, lecz Hayes mi nie pozwala.

— Uhm — mruczy, a ja czuję na czubku głowy ciepło jego oddechu. — Przearanżowałem naszą strategię.

— Że co? — Unoszę głowę, żeby spojrzeć mu w oczy i zmieniam pozycję tak, by oprzeć podbródek na dłoniach, które położyłam na jego torsie. Robię to zupełnie naturalnie i ma to w sobie coś niewiarygodnie intymnego.

— Przeformułowałem naszą strategię — powtarza, akcentując swoje słowa kiwnięciem głowy. — Widzieli nas dzisiaj. Radosnych. Całujących się. Nieprzejmujących się tym, czy ktoś patrzy. Pomyślałem więc, że jeśli się nie pojawimy, pozwolimy im snuć domysły na temat tego, czym się teraz zajmujemy.

— Na przykład pływaniem z żółwiami. — Uwielbiam jego zaskoczone spojrzenie po mojej niewinnej propozycji.

— Myślałem raczej o czymś bardziej satysfakcjonującym. — Wodzi palcami wzdłuż mojego kręgosłupa, od czego przechodzą mi ciarki, chociaż czuję ciepło w środku pod wpływem jego dotyku.

— Bardziej satysfakcjonującym? — Postanawiam pociągnąć tę grę. — Chodzi ci o karaoke?

Parska śmiechem, a potem przygryza dolną wargę, co przykuwa moją uwagę.

— Jak to leciało?

— Chyba „addicted to love[**]”.

— Jasne. To zabawne, jak łatwo zmieniasz śpiewkę. — Potrząsa głową.

— Obojętne, *Kapitanie*. — Walczę z uśmiechem, lecz przegrywam, gdy on ciągnie mnie tak, że prawie całym ciałem leżę na nim. Czuję napieranie jego twardniejącego członka, który rozbudza moje odurzone seksem zmysły.

— Uważaj sobie, Ships. Próbujesz mnie rozproszyć, gdy wyjaśniam ci nowy plan działania.

O tak, jak ja pragnę go teraz rozproszyć.

— Masz rację. Sorry. Na czym skończyliśmy?

— Zastanawialiśmy się nad czymś bardziej satysfakcjonującym niż udział w staroświeckiej próbnej kolacji ślubnej, bo żadne z nas nie bierze ślubu, więc nie mamy po co próbować.

— Racja — mówię, zgadzając się z jego rozumowaniem. Od początku tak uważałam, lecz nie powiedziałam tego na głos, gdy pani Layton naciskała, żeby wszyscy goście wzięli udział w próbnej kolacji. *Oni przebyli długą drogę, żeby cię zobaczyć, Saylor, więc możemy przynajmniej nakarmić ich dwa razy.* Brr. Jej głos nie ma prawa w tej chwili rozbrzmiewać w mojej głowie. Nie, gdy mam pod sobą Hayesa, którego usta są tak diabelnie blisko moich.

— A ty mówiłaś mi, co byłoby znacznie bardziej satysfakcjonujące od siedzenia na formalnym posiłku i zastanawiania się nad tym, którym widelcem zjeść sałatkę, chociaż stokroć bardziej wolałabyś zjeść pizzę pepperoni z papryczkami jalapeño na jednej połowie.

Śmieję się, chociaż w środku rozlewa się fala ciepła na myśl, że on wciąż pamięta moją ulubioną pizzę.

— Racja. Nie zaprzeczę. — Poprawiam się i przymrużam powieki, udając zamyślenie. — Coś przyjemnego. Hm. O, wiem. Moglibyśmy zrobić babeczki. Zawsze uważałam to za *ekstremalnie satysfakcjonujące*. — Ostatnie dwa słowa mruczę, żeby go sprowokować. Sprawdzić. Ciekawi mnie, jak zamierza poprowadzić tę naszą grę.

— Hm — mruczy, a ja czuję wibracje jego głosu w swoim ciele. — Zgadzam się, że twoje ciasto jest uzależniająco słodkie... — mówi i oblizuje wargę z oczywistą aluzją — tak słodkie, że *nie mogę się doczekać, kiedy znowu zanurzę w nim palce i znowu go spróbuję*. Ale nie, myślę, że jest coś przyjemniejszego, co moglibyśmy zrobić, żeby nie było nam szkoda kolacji.

Oddycham nierówno i bezwiednie rozchylam usta, gdy przypominam sobie, jak zlizywał moje podniecenie ze swoich palców.

— Na przykład co? — pytam szeptem. Mój głos jest przesiąknięty żądzą.

Bardzo powoli przeciąga dłoń w dół mojego kręgosłupa i po biodrze. Dociera do kolana, które podciąga mi wyżej, aby znalazło się przy jego torsie.

Patrzymy sobie z takiego bliska w oczy. Mogłabym przysiąc, że czuję, jak jego serce przyspiesza. A może to moje. Nie wiem, bo co prawda biją praktycznie obok siebie, ale trudno mi się na tym skupić, gdy jego dłoń zsuwa się z powrotem wzdłuż uda i chwytą mnie za pośladek.

— Hm, chodzi mi po głowie kilka możliwości. — Głęboki tembr jego głosu jest jak oralna gra wstępna, uzupełniająca dotyk jego rozpostartych na moim pośladku palców, których czubki nieznacznie muskają mnie między nogami. To jak zapowiedź pieszczot. Szept pożądania.

Teraz to on próbuje mnie rozproszyć.

— Czyli...?

Przysuwa głowę i dotyka ustami moich ust.

— Najpierw cię zerznę, Saylor. Tutaj. Na tym szeszlunku. — *Kolejny pocałunek.* Ciepło jego oddechu na moich ustach. Rozmyślne przeciągnięcie palcami po moim uwrażliwionym ciele. Robi to na tyle delikatnie, że bezwiednie zaciskam mięśnie w

bląganiu o więcej. — Posadzę cię na sobie. Wbiję się w ciebie, a potem będę patrzył, jak sprawiam, że dochodzisz.

Szczęka mi opada z zaskoczenia, a policzki zalewa fala gorąca. *Oto brudna gadka. Oto w pełni dojrzały Hayes Whitley.* Moje libido rozpała się, gdy słyszę te dosadne obietnice.

— Och, nie udawaj niewiniątka, Saylor. Nie po tym, jak siedziałaś na tym blacie i odgrywałaś pieprzoną syrenę. Kusiłaś mnie ustami i poddawałaś próbie moją siłę woli. — Nachyla się i całuje mnie po raz kolejny, tym razem z języczkiem i znacznie bardziej zaborczo. Chwyta mnie za włosy i odciąga moją głowę, żebym spojrzała mu w oczy, mimo że mam ochotę odwrócić je z zawstydzienia.

— Taki jestem, Say. Być może ciągle masz w pamięci nastolatka, który poza podstawami nie za bardzo wiedział co robić. Zapewniam cię jednak, że teraz dokładnie wiem, jak zadowolić kobietę. *Wiem, jak zrobić ci dobrze.*

Przełykam gulę pożądania, która nagle uwięzła mi w gardle.

— Myślałam, że właśnie zrobiłeś — szepczę, a jego oczy jeszcze bardziej ciemnieją od pożądania.

— To jeszcze nic, Ships. Absolutnie. Język i dotyk to tylko początek. Uwierz mi, potrafię wymyślić sporo innych sposobów zadawania rozkoszy.

— Och. — Tylko tyle potrafię z siebie wydobyć, gdy czuję na swoim ciele pulsowanie jego twardniejącego członka.

— Zachowaj sobie to „och”, bo będzie ci potrzebne za chwilę, gdy będziesz jęczeć.

Nie czekając na moją odpowiedź, przywiera ustami do moich ust. Przyjmuję go z przyjemnością. Rozkoszuję się zmianą tempa. Nieznany. Tą dosadną dominacją Hayesa, której się po nim nie spodziewałam, lecz teraz nie mogę się jej doczekać.

Przechodzi mnie dreszcz, gdy kieruje mnie dłońmi, bym na nim usiadła. A westchnienia przeradzają się w jęki.

— Skoro nie idziemy na kolację — mruczy w moje usta — obiecuję ci, że alternatywa będzie tego warta.

[*] Sweet Cheeks (ang.) — Słodkie Policzki — *przyp. tłum.*

[**] „Addicted to love” (ang.) — „Uzależniony od miłości” — *przyp. tłum.*

Rozdział 20

Saylor

— Powiesz mi w końcu, co my tu robimy? — Próbuję odegrać irytację i udawać, że wolałabym być w spa na manicure, ale prawdopodobnie wszyscy goście robią sobie teraz fryzury lub coś innego, więc nie, dziękuję, nie ma mowy, żebym tam poszła. Zresztą od kiedy przejmuję się wyglądem paznokci? Jediną osobą, na jakiej staram się zrobić wrażenie, jest Hayes, a ponieważ to on prowadzi mnie za rękę po plaży, która jest równie nieskalana, co piękna, nie sądzę, żeby potrzebne mi były jakiegokolwiek zabiegi kosmetyczne.

Hayes staje i odwraca się do mnie. Serce niemal przestaje mi bić, gdy widzę jego szeroki uśmiech. Uwielbiam jego ciepły wyraz twarzy i chociaż ciekawi mnie cel naszej przechadzki, mam wielką ochotę poddać się požądaniu i namiętnie go pocałować.

Ta myśl wydaje mi się bardzo dziwna. Mitch nie znosił publicznego okazywania czułości i tolerował wyłącznie grzeczne buziaczki w usta lub objęcie ramieniem. Z czasem do tego przywykłam. Byłam uległa. Ale stojąc tu z Hayesem, nagle uświadamiam sobie, jak bardzo mi tego brakowało. Okazywanie sobie czułości jest bardzo ważne dla związanych ze sobą osób. *I ma dla mnie duże znaczenie.*

Chociaż więc nie jesteśmy w związku, a ja odepchnęłam na bok wszelkie myśli dotyczące tego, co z nami będzie jutro, gdy skończy się weekend, postanawiam podążyć za impulsem. Bez ogródek podchodzę bliżej, zarzucam Hayesowi ręce na szyję i przywieram do jego ust.

Przekazuję mu mnóstwo emocji, ale nie do końca wiem, jak poprowadzić ten pocałunek. Jest uroczy i subtelny, lecz jednocześnie bardzo uwodzicielski. Zaskoczyłam nim Hayesa, ale po kilku sekundach czuję na nagiej skórze pleców jego dłonie, przyciągające mnie bliżej, a on poddaje się pragnieniom moich ust.

Po zakończeniu pocałunku pyta z uroczo zmieszonym uśmiechem:

— A to z jakiej okazji?

— Pomyślałam, że powinniśmy nadal robić to, co satysfakcjonujące, żeby nie mieć poczucia winy w związku z przegapieniem wczorajszej kolacji.

Parska głośnym śmiechem.

— Po wczoraj... i po dzisiejszym poranku, Ships, nie sądzę, żebyś mieli powody do poczucia winy, bo ja jestem cholernie usatysfakcjonowany.

Przytula mnie i całuje w czubek głowy, a potem chwyta za rękę i wznawia naszą wędrówkę po piasku. Idę za nim ochoczo, zamyślona nad tym nieoczekiwanym rozwojem wydarzeń. Niesamowity seks na blacie. Powolny i delikatny seks na szezlongu, gdzie pozwolił mi przejąć kontrolę i swoimi dosadnymi tekstami doprowadził mój umysł i ciało do istnego szaleństwa, jeszcze zanim doszliśmy do orgazmu. Wyzwanie, by wskoczyć nago do oceanu, które rzucił na żarty, ale dobrze wiedział, że to zrobię. Dołączył zresztą do mnie. Wspaniale było tak pluskać się razem w ciepłej wodzie w świetle księżyca. Bez

żadnej presji. Bez żadnych słów. A rano jego wprawne palce obudziły mnie masażem ramion i zsuwały się coraz niżej i niżej, aż dotarły między uda. Kochaliśmy się leniwie, bez żadnego pośpiechu. Tylko ja, on i dziesięć lat takich chwil do nadrobienia.

Otrząsam się z tych myśli. Muszę się skupić na rozgrzanym piasku pod nagimi stopami, na muskającym twarz wietrze i ciepłe słońca na skórze. Nie powinnam myśleć o nadrabianiu czasu lub tym, że gdy to nadgonimy, będziemy mieli przed sobą przyszłość.

Bo żadne z nas nie poruszyło jeszcze tego tematu. Nie mieliśmy na to czasu, bo byliśmy zbyt zajęci cieszeniem się sobą nawzajem. Uśmiecham się więc, gdy mówi, że *jest cholernie usatysfakcjonowany*. Czy to źle, że czuję się zadowolona z siebie?

— Powiesz mi w końcu...? — Milknę, bo zauważam, że do Hayesa macha miejscowy człowiek, który stoi na plaży jakieś sześć metrów od nas. Obok niego leży koc z wyłożonym sprzętem do nurkowania, a na wodzie w pobliżu kołysze się przycumowany katamaran.

Hayes odwraca się do mnie z szerokim uśmiechem.

— Mówiłaś, że chcesz pływać z żółwiami, więc... — Wzrusza ramionami. — Będziemy pływać z żółwiami.

— Zartujesz? — Krew zaczyna pulsować z ekscytacji w moich żyłach, gdy patrzę na Hayesa z zaskoczeniem i podziwem.

— Nie.

— Jak ty... jak to w ogóle możliwe? — pytam, zastanawiając się nad tym, czy tego ranka była chociaż jedna chwila, gdy nie byliśmy razem, żeby mógł to zorganizować.

— Cóż mogę powiedzieć? — Kłania się przesadnie. — Jestem *Panem Kapitanem*.

— Boże, miej nas w opiece — śmieję się, ale tak naprawdę bardzo mi się to podoba. Rzucam mu się na szyję i szepczę w usta tuż przed pocałunkiem: — Dziękuję, *Kapitanie*.

#

Od samego kołysania łódki powinnam już dawno drzemać. Co więcej, słońce grzeje mnie w twarz, a ja mam za sobą dwie godziny nurkowania w przepięknych wodach Rify Smitha i dwa kieliszki wina. *Ale nie zasypiam*. Nie ma mowy, żebym zamknęła oczy.

Nie chcę zmarnować ani chwili tego czasu, który nam pozostał.

Dlatego opieram się na łokciach i obserwuję Hayesa przez lustrzane szkła okularów przeciwsłonecznych. Leży na siatce — lub trampolinie, jak ją nazywał — obok mnie. Ma zamknięte oczy, twarz ukrytą w cieniu grotu i dłonie podłożone pod głowę. Korzystam z okazji, żeby na niego popatrzeć i nauczyć się rysów jego profilu, mimo że znam je na pamięć.

— Znowu na mnie patrzysz? — pyta zasnym głosem, a na jego ustach pojawia się uśmiech.

— Jak zwykle.

— Cały czas to robiłaś. Siedzieliśmy w domku na drzewie, wokół nas fruwały robaczki świętojańskie, a ty zamiast obserwować niebo, gapiałaś się na mnie.

Ciepło mi się robi na to wspomnienie. Pamiętam, jak go to irytowało.

— Przygotowywałam cię do przyszłej kariery.

— Bardzo śmieszne — mruczy i odwraca głowę w moją stronę.

— Zdarza mi się. — Wyciąga dłoń i klepie mnie w nogę, a ja natychmiast się odchylam.

— Uważaj sobie, Ships, bo przewieszę cię przez burtę, żebyś miała nogi w wodzie.

— Nie! — chichoczę z udawanym przerażeniem. — Wciąż nie mogę w to uwierzyć! — Wzdrygam się na wspomnienie o tym, jak podczas nurkowania mała rybka skubnęła jeden z moich jaskrawo pomalowanych paznokciu u stóp. Musiała uznać je za coś do jedzenia. Nie bolało, ale przeraziłam się na śmierć. Oczywiście wynurzyłam się z wrzaskiem, a Hayes tak się śmiał, że zniknął pod powierzchnią.

— Widzisz? Dzięki mnie nie skubały ci przynajmniej dłoni. Całe szczęście, że cię dzisiaj porwałem i uratowałem przed wielogodzinnymi torturami w salonie kosmetycznym.

— Mój ty bohaterze — udaję omdlenie i przewracam oczami, czego nie widzi, ale na pewno się domyśla.

— Jasne, że nim jestem. Przecież widziałaś mnie w getrach, co?

— O Boże. Błagam. Co za ego. — Odchylam się i opieram na łokciach, a nasze śmiechy splatają się ze sobą. To kojące. *To my.*

Nagle Hayes przestaje się śmiać.

— Nie wiedziałem wtedy, wiesz — mówi z powagą w głosie.

— Czego nie wiedziałeś? — *Nie nadążam.*

— Gdy odchodziłem, nie wiedziałem, że nie wrócę.

Nie wiem, jakiej reakcji oczekuje ode mnie po tak nieoczekiwanym wyznaniu, nie mogę jednak zaprzeczyć, że przez chwilę zapominam o oddychaniu.

— To przeszłość — mruczę, zdeterminowana, by trzymać się tego, co sobie obiecałam przed przyjazdem. Że mu wybaczam i że nie chcę marnować czasu na coś, czego nie da się zmienić.

— Wiem, że to przeszłość, Say, ale chciałbym, żebyś to zrozumiała. Wyjechałem na weekend do Hollywood jako zarozumiały dzieciak z marzeniami w oczach, który nie miał szans dostać życiowej roli na pierwszym przesłuchaniu.

— Ale dostał — szepczę, przypominając sobie, jak pierwszy raz zauważyłam szept przyjaciółek, które odwracały wzrok za każdym razem, gdy patrzyłam w ich stronę. Dopiero gdy skonfrontowałam się z Ryderem, dowiedziałam się, że Hayes dostał poważną rolę i na razie nie wróci. Krzyczałam, wrzeszczałam i błagałam Rydera, żeby mi wyjaśnił, dlaczego nie powiedział mi prawdy. Stwierdził, że tak bardzo wychudłam, że nie miał serca mi tego zrobić, gdy w końcu znowu zaczęłam się uśmiechać. Bał się otwierania świeżo zasklepionych ran i tego, że cały cykl zacznie się od nowa.

— Owszem. — Potakuje nieznacznie i chociaż jego oczy są ukryte za przyciemnianymi szklami okularów, mam przemożne wrażenie, że patrzy uważnie w moje, żeby sprawdzić, czy nie przeszkadza mi wywoływanie takich wspomnień. — Poszedłem na casting cały w nerwach, żeby móc sobie powiedzieć, że starałem się, jak mogłem, ale to nie dla mnie, i byłem w ciężkim szoku, gdy się okazało, że dostałem rolę.

Zapada cisza, w której walczę z powracającym bolesnym rozbiciem. Żalem. Samotnością. Bólem.

Cisza.

— Zostawiłaś mi wiadomość.

— Zostawiłam ci mnóstwo wiadomości. — Nie potrafię pohamować poczucia odtrącenia w głosie.

— Wiem. Odsłuchałem każdą z nich, Saylor. Niezliczoną ilość razy. Tak bardzo tęskniłem za domem, co w moim przypadku oznaczało ciebie, Rydera i nasze codzienne zajęcia... ale głównie ciebie. W każdym razie jedna z twoich wiadomości mnie załamała. Byłem na granicy spakowania się i powrotu. Nigdy nie zapomnę tego, jak wtedy mówiłaś. Jakbyś starała się być silna, ale to nieznaczne falowanie w twoim głosie doprowadzało mnie do rozpacz.

Zostawiłam mu chyba z milion wiadomości o pełnym spektrum emocji, począwszy od smutku, poprzez płacz i błaganie, aż po furię i wściekłość, ale doskonale wiem, o którą wiadomość mu chodzi. O tę ostatnią, w której się poddałam i powiedziałam, że jeśli mnie już nie chciał, mógł przynajmniej mieć odwagę mi to powiedzieć.

Przygryzam wewnątrz policzka, zaskoczona powrotem bólu, z którym jak sądziłam, już się uporałam.

— Dlaczego nie zadzwoniłeś? — pytam cicho, żeby ukryć wciąż żywe poczucie skrzywdzenia.

Hayes podnosi się do pozycji siedzącej i przez chwilę patrzy w dłonie. W końcu spogląda na mnie.

— Bo to była moja jedyna szansa, żeby się stąd wydostać. Uciec od ojca, jego picia i agresji oraz od mamy i jej akceptacji takiego stanu rzeczy. Wszyscy widzieli we mnie syna Dale'a Whitleya. Dzieciaka, który nie miał przed sobą żadnych perspektyw i do niczego się nie...

— Ja nie.

— Wiem i między innymi dlatego mnie to dobijało. Nie oczekuję, że zrozumiesz moje motywacje lub że przebacysz mi to, co zrobiłem. Do licha, patrząc wstecz, doskonale rozumiem, jak bardzo to spieprzyłem. Ale poza tobą, Ryderem i twoimi rodzicami nie spotkało mnie w życiu nic dobrego. Boże, jak ja za tobą tęskniłem. Spałem w jakimś gównianym mieszkaniu, zbierałem do kieszeni jedzenie z cateringu na planie, bo nie było mnie na nie stać, i nikogo nie znałem... wiedziałem jednak, że jeśli z tobą pogadam, usłyszę twój głos i twój płacz przez telefon, to rzucę wszystko i wrócę. Szaleńczo za tobą tęskniłem. Czuję się paskudnie, że nie miałem odwagi powiedzieć ci w tamten weekend, że jest szansa, iż nie wrócę.

— Pojechałabym z tobą. — Boże, ile nocy spędziłam na planach spakowania rzeczy i pojechania do Los Angeles, żeby go odnaleźć? W swojej naiwności nie miałam pojęcia o tym, jak duże jest to miasto i jak trudne byłoby to zadanie.

— Wiem, że byś pojechała. Ale co byś robiła? Zrezygnowała z pójścia do koledżu? Bezczylnie obserwowała, jak realizuję swoje marzenia, rezygnując przy tym ze swoich? Nie mogłem ci tego zrobić. Zaslugaowałaś na pieprzony księżyc i gwiazdy, Say. *Nadal zasługujesz*. Nie mogłem kazać ci siedzieć w tej mojej klitce przez cały dzień i martwić się o swoje bezpieczeństwo, gdy ja pracowałem osiemnaście godzin na dobę. Nienawidziłbym się za to, a ty miałabyś do mnie o to żal.

— I dlatego umyłeś ręce i poszedłeś na łatwiznę — mówię cicho, świadoma tego,

jak się czułam niemal przez rok po jego odejściu. Chociaż, gdy teraz o tym myślę, być może nigdy nie odzyskałam tej bez troski, którą kiedyś w sobie miałam.

— Wcale nie było mi łatwo. Przez ani jeden dzień. — Zaciska pięści i potrząsa głową. — Gdybyś tylko wiedziała, jak bardzo tęskniłem za wszystkim, co z tobą związane, gdy wracałem do domu i padałem na łóżko z wycieńczenia.

Jego słowa otwierają dawne rany. Wzbudzają we mnie myśli o nim, samotnym w wielkim mieście. Szkoda mi go, ale powinien też wiedzieć, przez co ja przeszłam.

— Chodziłam zagubiona przez ponad rok. Wszystko robiliśmy razem. Byłeś moją pierwszą miłością. Moim pierwszym wszystkim. I tak po prostu odszedłeś i odciąłeś się. — Odwracam wzrok w stronę wody. W stronę widocznych w oddali fajek do nurkowania. Słyszę śmiech kogoś, kto zobaczył żółwie, i myślę sobie, że na pewno wydawałam się równie podekscytowana, gdy się wynurzałam. — Czekałam na ciebie. Powiedziałam ci w tej ostatniej wiadomości, że nie będę czekać, ale kłamałam. Czekałam na ciebie trzy lata. Przez trzy lata łudzenia się, że każde zdjęcie w tabloidzie przedstawiające ciebie z jakąś śliczną aktorką jest sfabrykowane, a niewinna randka w restauracji źle zinterpretowana. Mówisz, że tęskniłeś, a mimo to widziałam coś zupełnie innego. Na pewno nie wyglądało to na tęsknotę, Hayes.

— Saylor.

— Nie. W porządku. Wiem, że powiedziałam w ostatniej wiadomości, że nie będę czekać, ale czekałam.

— Powiedziałas mi też, że zawsze będziesz mnie kochać.

I wciąż kocham.

Odruchowa myśl. Nie cierpię jej i jednocześnie mi się podoba. Wyrzucam ją jednak z głowy, żeby nie powiedzieć tego na głos, ale trudno mi się po niej pozbierać.

Wyczuwam pytanie, które ma na końcu języka. Chce wiedzieć, czy moje wyznanie sprzed dziesięciu lat wciąż jest prawdziwe. Moje gardło jest jednak tak bardzo zaciśnięte od emocji, a atmosfera między nami tak gęsta od wspólnej historii, że wiem, iż nie powinnam się odzywać.

Dlatego milczymy uparcie, wpatrując się w siebie przez ochronne szkła okularów przeciwsłonecznych. Jakaś część mnie chciałaby zobaczyć teraz jego oczy. Ale inna jest przerażona tym, co mogłaby w nich zobaczyć.

Pozostańmy więc w ukryciu.

— Przyszedłem do twojego domu. — Jego wyznanie jest dla mnie szokiem. Otwieram ze zdumienia usta i czuję ściskanie w sercu. — Moja mama w końcu rozstała się z ojcem. Powiedziała, że mój wyjazd dał jej do myślenia, i postanowiła go wykopać. Wmawiałem sobie, że przyjeżdżam, by pomóc jej w tej nowej sytuacji. I owszem, pomogłem... ale tak naprawdę chciałem zobaczyć się z tobą.

— To dlaczego tego nie zrobiłeś? — Wciąż cierpiąca osiemnastoletnia częśćka mojej duszy wie, że gdyby to zrobił, zdruzgotałoby mnie to na nowo. Otworzyłoby zagojone rany. Konsekwencje takiego spotkania byłyby bardzo dotkliwe.

— Zrobiłem, ale otworzył mi Ryder. I przywalił mi z pięści, zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć. — Chichocze na to wspomnienie i pociera szczękę, a ja robię wielkie oczy. Jakaś część mnie chwali w duchu Rydera za to, że stanął w moje obronie.

— *Co?*

— Tak było. Chyba jeszcze nigdy nie widziałem go tak wkurzonego. Zmył mi głowę, w pełni zasłużenie. Powiedział, że w końcu zaczęłaś jeść. I że znowu zaczniesz być sobą — szepcze, a jego głos odzwierciedla to, jak ciężko było mu słuchać o skutkach jego odejścia. O ciemności, w jakiej żyłam. Jaką się otaczałam i w jakiej byłam pogrążona. — Stwierdził też, że cię nie kochałem, bo przecież nie mógłbym ci czegoś takiego zrobić. Ale jeśli naprawdę cię kochałem, to mam odejść i zostawić cię w spokoju. Wiedział, że zafascynowały mnie atrakcje wielkiego miasta i że po weekendzie znowu bym cię opuścił, a ty musiałybyś przechodzić przez wszystko od nowa.

Jego wyznanie zawisa ciężko w przestrzeni między nami. Odruchowo mam ochotę wkurzyć się na Rydera. Za to, że odebrał mi możliwość samodzielnego podjęcia decyzji. Jednocześnie jednak starał się mnie chronić, co w tamtym czasie było mi bardzo potrzebne. Dość rzadko zdarza się, że w wieku kilkunastu lat wiesz, że osoba, z którą się spotykasz, to twoja bratnia dusza, a tak było ze mną i Hayesem. Równie rzadko prawdopodobnie zdarza się tak przenikliwy brat.

Pociągam łyk wody i pozwalam, by słowa osiadły głębiej. Dociera do mnie, że naprawdę mnie kochał. Pokazał to, *gdy* odszedł po raz drugi.

Przypominają mi się słowa, które usłyszałam od niego niedawno. *Nie pozwól nikomu odebrać ci twojej pasji*. I wiem, że ma rację. Wiem, że gdyby nie zniknął, nie odszedł i pozwolił, bym go zatrzymała, byłabym odpowiedzialna za odebranie mu jego pasji. Przez mój egoizm świat nie poznałby jego niewiarygodnego talentu. Talentu, który zostałby zmarnowany.

— Cieszę się, że zaryzykowałaś, Hayes — mówię cicho, lecz zdecydowanie, i widzę, jak widocznie wzdrygnął się po tych słowach.

— Nie musisz tak mówić, Saylor. — Zaciska usta i patrzy na mnie, przechylając głowę.

— Owszem muszę. Gdybyś został lub gdybym cię zatrzymała... straciłbyś szansę na realizację swojej pasji.

Kiwa głową kilka razy. Zastanawia się nad czymś.

— Zabawne jest to, że im jestem starszy, tym bardziej się przekonuję, że nie trzeba się ograniczać do jednej pasji. I żadna z nich nie musi być ważniejsza od innych. Mogą się uzupełniać.

Ciekawe, co przez to rozumie?

Przypomina mi się Ryder. Jego ultimatum. I drugie odejście Hayesa.

On mnie kochał. Gdy cierpiałam i byłam przekonana, że przestałam go interesować, on mnie kochał.

Bezwiednie zastanawiam się nad tym, czy tym razem nasze rozstanie będzie wyglądało podobnie? Że mnie kocha, ale musi podążać za swoją pasją? Czy może raczej *kochał* mnie, czas nas zmienił i nic już między nami nie ma?

Nie potrafię przestać o tym myśleć.

Bo przecież jest tutaj. Rzucił wszystko w tym swoim zwariowanym życiu, żeby tu ze mną przyjechać.

Czy to o czymś nie świadczy?

Rozdział 21

Saylor

— Rozluźnij się — mówi Hayes łagodnym głosem. Ciepło jego oddechu daje mi ukojenie, gdy zaczyna się marsz weselny. — Wyglądasz ślicznie. Jesteś śliczna. I to zdecydowanie jego strata i mój zysk, że siedzisz tu ze mną.

Biorę głęboki oddech i wtulam się w niego nieco bardziej dla wsparcia psychicznego. Stoimy w ostatnim rzędzie siedzeń, bo tylko tam chciałam siedzieć, żeby uniknąć Mitcha przed ceremonią. Jesteśmy skierowani w stronę przejścia i czekamy na pannę młodą.

Gdy się pojawia, wszyscy robią głośne „ach”, bo tak pięknie wygląda, a ja robię głośne „ach” z zaskoczenia.

Nie powinno mnie to szokować, biorąc pod uwagę całą sytuację, ale opada mi szczęka, gdy widzę, że jej suknia jest *niemal identyczna* z tą, którą wybrałam. A gdy dodam do tego zgodne z moimi decyzjami dominujące barwy i kwiaty, nie mogę oprzeć się egoistycznemu wrażeniu, że cała ta impreza ma na celu utrzyć mi nosa, prezentując to, co mogłam mieć. Stąd w ogóle to zaproszenie.

Czy Mitch naprawdę jest aż tak mściwy? Przecież ani razu nie poprosił, żebym się jeszcze zastanowiła i nie powiedział, że wciąż mnie kocha. Z jego ust nie padło ani jedno słowo protestu.

Nagle wszystko wraca. Przypominam sobie, jak spojrzałam Mitchowi w oczy i powiedziałam, że odchodzę, spakowałam się i część rzeczy przeniosłam do brata, a on tylko stał.

— *Przykro mi Mitch. Nie mogę tego zrobić.*

— *Czego? — Wygląda na rozdrażnionego. Musiałam przerwać mu jakieś mistrzostwa golfa czy coś.*

— *Wyjść za ciebie. — O, teraz mam jego uwagę. Patrzy na mnie podejrzliwie i ściąga usta z niedowierzaniem.*

— *Co ty do cholery mówisz?*

— *To, co słyszałeś. — Mój głos jest spokojny, chociaż w środku kotłuje się istny huragan nerwów. — To nie wypali. Już od dłuższego czasu nam się nie układa. Nie będę w stanie dać ci szczęścia. — A ty nie masz pojęcia lub cię to nie obchodzi, co uszczęśliwia mnie.*

Chichot Mitcha rozrywa duszącą ciszę.

— *Żartujesz, prawda? Dostałaś pietra czy jak to się tam mówi?*

Zwilżam usta. Przeszępuję z nogi na nogę, ale jestem zdecydowana. Zmuszam się do tego, by nie odwrócić wzroku.

— *Nie, nie dostałam. Między nami koniec.*

Najbardziej zapamiętałam szok malujący się na jego twarzy. Jakby nie mieściło mu się w głowie, że w ogóle mogłam brać pod uwagę odejście od niego. A potem w miejsce

szoku pojawił się gniew. *Wstręt. Irytacja, jakbym zmarnowała jego czas.*

— *Niewyście za mnie będzie twoją największą życiową pomyłką. Wiesz o tym, prawda?*

Żartujesz, prawda? Mam ochotę odpowiedzieć, ale gryzę się w język. Skupiam się na tym, żeby nasze rozstanie było na tyle cywilizowane, na ile się da.

— *Jeśli tak chcesz to widzieć.*

— *Nie. Ja to wiem. — Robi krok w tył. Potrząsa głową. Spogląda na mnie, jakbym oszalała, z pompatycznym uśmiechem na ustach. — Zostaw swoje klucze na blacie, gdy będziesz wychodziła. Mam nadzieję, że babeczki zapewnią ci odrobinę ciepła w nocy, ale wątpię.*

Po tych słowach odwraca się i odchodzi. Wraca do mistrzostw golfa lub polerowania dziewiątego kija czy czegośkolwiek innego, o co tak bardzo się troszczył. Bo z pewnością nie troszczył się o mnie, a jego reakcja — a raczej jej brak — tylko tego dowiodła.

Nie wydawał się wściekły. Ani zaskoczony. Raczej urażony. Poczulałam się, jakby wyrzucił mnie z pracy, a nie jakbyśmy zakończyli wieloletni związek.

Po co więc wysłał mi to głupie zaproszenie na ślub, skoro wtedy niespecjalnie się tym przejął?

Tok mojego rozumowania przerywa pojawienie się Sarah Pocieszycielki w moim polu widzenia. Co prawda są to tylko plecy, ale i tak nie mogę oderwać wzroku. Z niecierpliwością zastanawiam się, czy to prawda i czy naprawdę jesteśmy podobne.

Goście w rzędach przed nami trochę mi zasłaniają i gdy w końcu mamy usiąść, ja robię to chyba ostatnia, bo chcę w końcu się przyjrzeć. Mitch, jak zawsze przystojny i szykowny, wygląda na zdenerwowanego, ale w taki sposób, że mógłby to zauważyć tylko ktoś, kto zna go od dawna. Nieustannie rozprostowuje palce. Chichocze jakby bez przekonania. No ale cóż, wiele osób denerwuje się przed ślubem.

Sarah podchodzi do swojego miejsca pod pnącymi się roślinami, odwraca się do Mitcha i w końcu widzę jej twarz.

Zaskoczone mruknięcie Hayesa oznacza, że nie mam przewidywań. Albo Mitch ma swój ulubiony typ blondynki z niebieskimi oczami, albo przez niewiarygodny zbieg okoliczności Sarah Taylor mogłaby być moją utraconą w dzieciństwie siostrą.

Siadam na krawędzi krzesła i mrugam, jakbym nie wierzyła w to, co widzę. No ale czy nie taka jest istota tego przedstawienia? Dobrze, że Hayes gładzi mnie po plecach, żebym pamiętała o spokoju.

Nie jestem pewna, jak się z tym czuję. Mam w sobie burzę emocji, które przetaczają się przeze mnie jedna po drugiej. Żołądek skręca mi się od patrzenia na życie, które oddaję innej osobie. *Które jest mi odbierane przez inną osobę.* Być może ona w pełni na to zasługuje. Z drugiej strony, może po prostu taki status społeczny i poziom życia był jej celem i jeśli ceną było oddanie kontroli nad weselem mamie Mitcha, zgodziła się, żeby zdobyć to, czego pragnie. *W przeciwieństwie do mnie.*

Patrzę na Mitcha i jego pewne i zdecydowane ruchy. Nieco się uspokoił, więc przyglądam się jego twarzy i dłoniom, czekając na ukłucie żalu. Potężnego, zwalającego z nóg żalu, że odchodząc od niego, popełniłam największy błąd w życiu. Bo wciąż go

kocham.

Nic takiego nie następuje. *Nawet w najmniejszym stopniu.*

Jednym z dwóch powodów mojego pojawienia się na tym przyjęciu było to, że chciałam poczuć, iż postąpiłam właściwie. I siedząc tu jako gość weselny, prawdopodobnie zaproszony wyłącznie dla żartu, czuję, że tego właśnie jestem pewna.

Zastanawiam się, na ile wpływ na to ma siedzący obok mnie mężczyzna. Jego słowa utwierdziły mnie w niektórych przekonaniach i chociaż o tym nie wie, pomógł mi odkrywać swoje zupełnie inne oblicze. Tę beztroską, spontaniczną dziewczynę, którą kiedyś byłam.

Przyglądam się także jej, bo wiem, że to jedyna okazja, żeby to zrobić, nie ryzykując bycia uznaną za niegrzeczną. W końcu jest panną młodą, więc wszyscy na nią patrzą.

Włosy w podobnym odcieniu jak moje. Nienaganny makijaż i podobna sylwetka. Wydaje się pewna siebie. Szczęśliwa. Zakochana. Olśniewająca. Stylowa. Ponadczasowa.

I tak patrzę, jak mężczyzna, z którym byłam przez sześć lat, żeni się z kobietą poznaną mniej niż dziewięć miesięcy temu.

A może poznali się przed moim odejściem? Może czekała w ukryciu i rzuciła się po nagrodę, gdy tylko dowiedziała się o naszym rozstaniu? Albo, co gorsza, może spotykali się za moimi plecami i stąd tak obojętna reakcja Mitcha na moje odejście? Z każdą sekundą w mojej głowie pojawiają się coraz bardziej nieprawdopodobne scenariusze. Ale niezależnie od tego, co spłodzi moja niespokojna wyobraźnia, jedna rzecz pozostaje bez zmian.

Gdy patrzę na Mitcha, nie czuję nic.

#

— Jesteś okropnie cicha. — Hayes ma rękę na oparciu mojego krzesła, dzięki czemu może trzymać dłoń na moim przeciwnym ramieniu. Stuka mnie delikatnie kolanem. Drobne przypomnienie o tym, że jest przy mnie. Trudno jednak byłoby o tym zapomnieć. Mnóstwo gości obserwuje nas ukradkiem lub robi potajemnie zdjęcia telefonem, więc chyba wszyscy wiedzą, że Hayes Whitley tu jest. Złośliwa część mnie zastanawia się, w ilu aparatach zostawionych na stolikach dla gości są zdjęcia Hayesa. *Ze mną.*

Nie umyka mi ironia tej sytuacji. Hayesowi chyba też nie, sądząc po tym, jak szczerze poświęcał swój czas na zdjęcia i autografy, gdy czekaliśmy na zakończenie sesji fotograficznej po ceremonii.

Która swoją drogą na pewno odbyła się na wybranej przeze mnie zamkniętej plaży, pod palmami. Dlaczegoż by nie? Dobrze dla nich, że na wyspie przez cały rok panują dość jednolite temperatury, bo gdyby zmieniła się pora roku, Sarah Pocieszycielka mogłaby być zmuszona do podjęcia samodzielnej decyzji.

Zauważam też szepty, które urywają się, gdy przechodzę, oraz ukradkowe spojrzenia kobiet, które uważają, że są ode mnie lepsze. Muszę jednak przyznać, że przyglądają się uważniej, gdy Hayes kładzie dłoń na moim biodrze lub odsuwa dla mnie krzesło. Zmuszam się do patrzenia im w oczy mimo dręczącego mnie niepokoju. Dobrze

wiem, że rozmawiają o mnie i obgadują mnie.

Pewność siebie, Ships, jak brzmi powtarzany przez Hayesa refren.

Ale i tak jestem nerwowa. Cały czas czekam, aż wejdzie ochrona i każe mi wyjść, bo nie jestem zaproszona. Właśnie z tego powodu Hayes ma zaproszenie w kieszeni marynarki. *Na wszelki wypadek*. A do tego wciąż nie mogę wyjść z szoku, widząc na żywo efekt swoich metodycznych przygotowań zrealizowanych dla kogoś innego, nie dla mnie.

— Zamyśliłam się — odpowiadam cicho i po raz kolejny oglądam kwiaty, obrusy i wystrój pomieszczenia.

— Nad czym?

— Nad tym, jak Sztywna Urszula sprzedała to Sarah Poczyszycielce. Bo co, powiedziała jej, że hotel zaoferował całościowy pakiet, w którym wszystko było już ustalone... i Sarah po prostu się zgodziła? — *Która kobieta z radością zaakceptuje wesele zorganizowane dla innej panny młodej? I przez inną pannę młodą*. — A może Sarah jest tak szaleńczo zakochana, że zgodziła się na wszystkie propozycje matki, żeby nie robić piekła, bo przekonała się już, jaka z niej maniaczka kontroli?

— Hm. — Kiwa głową i całuje mnie w skroń. Podoba mi się ten gest i wywoływane przez niego uczucia, ale zastanawiam się, czy Hayes zrobił to tylko na pokaz, czy dlatego, że tego chciał. — Nie mam pojęcia.

— Wiesz, chociaż teraz czuję się głupio, że do tego dopuściłam, potrafię strawić podobieństwa naszych sukni. Do licha, nawet ja miałam chwilę słabości i uległam niezmiernie przekonującej argumentacji pani Layton o tym, jak bardzo wyjątkowe byłoby ubranie współczesnej wersji sukni ślubnej, w której ona poślubiła ojca Mitcha. Poprosiła nawet projektanta o dostarczenie kilku szaf podobnie wyglądających sukien, z których miałam wybrać. I wybrałam. Piękną suknię. Ale uznałam, że na tym kończy się podporządkowywanie jej żądaniom.

Kolejny sygnał ze strony Hayesa, że słucha, i kolejny pocałunek w skroń.

Podoba mi się, że pozwala mi się wygadać i wyrzucić z siebie to wszystko. Że daje mi komfort *pogrążenia się po łokcie w cieście*, którego teraz potrzebuję, lecz nie mam szans dostać się do kuchni lub w pobliże miksera.

Ten facet naprawdę mnie rozumie.

Odwracam się do niego, bo nagle zainteresował się naszym otoczeniem.

— Coś się stało?

— Nie. Tutaj ogólnie panują jakieś dziwne wibracje... ale to nie nasze wesele, więc czy mamy prawo się wypowiadać?

Nie nasze wesele. Wiem, że nie miał na myśli tego, co usłyszałam, ale jego słowa i tak pobudziły moją wyobraźnię. Przez głowę przebiegają mi obrazy i pomysły dotyczące naszego wesela. Raczej prostota niż pompa. Na powietrzu, pod domkiem na drzewie, z dekoracjami w stylu shabby chic[*] i słojami z podgrzewaczami do herbaty w środku, żeby zrobić klimat.

— Ships?

— Tak. Przepraszam. — Pokrywam się rumieńcem, przyłapaną na myślach, których nie powinnam mieć. — Dziwne wibracje? Prawdopodobnie dlatego, że my tu jesteśmy.

— Nieee. Nie odwracaj się teraz, ale moim zdaniem bardziej chodzi tu o mamę Mitcha, która patrzy z wściekłością, jak siedzisz z drinkiem w dłoni i uśmiechem na twarzy. Jestem przekonany, że Mitch nie powiedział jej, że cię zaprosili.

— Ale przecież musiała o tym wiedzieć. To jest zamknięty ośrodek. Przecież nie ukrywaliśmy się w willi przez cały czas.

— Może po prostu jest jędzą — stwierdza w zadumie, przykładając butelkę piwa do ust z zadziornym uśmiechem, który wdziera się głęboko w moje wnętrze.

Prycham w odpowiedzi.

— Powiedz mi coś, czego nie wiem.

— *Jesteś niesamowita.* — Dwa słowa. I tyle. Ale wypowiada je z takim przekonaniem, podziwem, czcią i absolutną powagą na twarzy, że nie potrafię oderwać od niego wzroku, a moje serce przestaje na chwilę bić.

— A ty jesteś śmieszny. — Ale nie potrafię powstrzymać uśmiechu, który rozrasta się do imponujących rozmiarów. *Jesteś niesamowita.* Próbuję zasłonić śmiechem niepokój związany z komplementem, ale Hayes jest nieubłagany.

— Nie, mówię poważnie. — Nachyla się bliżej i skubie ustami moje ucho. Jego głos jest niski i balansuje na granicy szeptu, więc mimo że otacza nas pewnie z setka gości, słyszę go tylko ja. — Niewiele kobiet na twoim miejscu odważyłoby się tu pojawić. A nawet gdyby, niewiele osób domyśla się, że nie ma to zbyt wiele wspólnego z tobą. Chodzi wyłącznie o twoją firmę. I o to, że nie chcesz zawieść Rydera. Jestem z ciebie dumny, Ships. Dumny, że weszłaś tu z uniesioną głową i szczerym uśmiechem na twarzy, chociaż wiem, że wiele z tych osób przeklinasz pod nosem.

Chichoczę i przykładam skroń do jego czoła. Wiem, co chce mi przekazać, ale wiem, że jestem tu i potrafiłam wkroczyć na przyjęcie z taką pewnością tylko dlatego, że spędziliśmy wcześniej ze sobą tyle czasu.

— Nie poradziłabym sobie bez ciebie. Dziękuję.

— Nie zgadzam się. Radziłaś sobie beze mnie przez długi czas.

W jego słowach pobrzmiewa poczucie winy. Przypominają mi o tym, jak to jest bez niego. Tym razem nie czuję jednak gniewu ani żalu nad przeszłością. Wiem, że *wrócił* do mnie, ale odszedł, gdy sobie uzmysłowił, że koniec końców znowu by mnie skrzywdził.

Patrzemy sobie w oczy. Wokół panuje hałas, ale gdy Hayes zbliża się i przyciska usta do moich ust, wszystko inne przestaje istnieć. Urywki komentarzy podsłuchanych przy wejściu do ubikacji po ceremonii oraz słowa w rodzaju *wstyd*, *wichrzycielka* i *śmieć* wyparowują z mojej głowy bez śladu. Jest tylko ten pocałunek oraz ukojenie, ciepło i spokój, jaki mi daje.

Pocałunek się kończy, a z nim mój niepokój. Po raz kolejny Hayes mnie uspokoił. Otwieram oczy, patrzę przez jego ramię i ku swojemu zdumieniu trafiam prosto na spojrzenie Mitcha.

Stoi na przeciwległym końcu sali bankietowej, jeśli tak można ją nazwać. Przyjęcie ma miejsce w zaokrąglonym pomieszczeniu, którego połowa jest częścią obiektu, a druga połowa to zadaszony taras z widokiem na ocean. Mitch stoi w miejscu, w którym otwarta część styka się z tą wewnętrzną, i patrzy na salę przed ogłoszeniem przez DJ-a początku

imprezy.

Jego wzrok pali mnie w płucach i wymazuje wszystkie słowa, które miałam na końcu języka, ale nie potrafię odwrócić oczu. W jego spojrzeniu jest ból. Gniew. I coś jeszcze... zraniona duma? A może *tęsknota*?

Natychmiast odrzucam tę myśl. Nie podoba mi się to, że jestem tak zadufana w sobie, żeby sądzić, iż Mitch, który przed chwilą — dosłownie kilka minut temu — poślubił Sarah, rozgląda się po przyjęciu i żałuje, że fotografowana za nim małżonka nie jest mną.

— On cię nadal kocha.

Przestrasza mnie szept Hayesa, ale nie wykonuję żadnego ruchu. Nie chcę o tym myśleć. Wolę udawać, że ja tego nie widziałam.

Odrywam wzrok od Mitcha i spoglądam na Hayesa z wymuszonym uśmiechem. Skręca mnie w żołądku na myśl, jak okropnie byłoby być Sarah i zauważyć tę wymianę spojrzeń między Mitchem a mną. Bo chociaż dostrzegam ślad melancholii, którą to ja powinnam czuć w związku z naszym zerwaniem, to jego domniemane uczucie do mnie jest nieodwzajemnione.

Czego nie mogę powiedzieć, gdy patrzę na Hayesa. Mój uśmiech i odczuwane przeze mnie emocje są zawsze szczere. Niewymuszone.

— Nie, wcale nie — zaprzeczam. W oczach Hayesa na ułamek sekundy pojawia się jakiś przebłysk. Chyba niedowierzania lub ulgi. Tak czy siak przykuwa to moją uwagę, bo dlaczego miałyby się tak poczuć. Chcę go o to zapytać, ale przerywa mi stukanie w mikrofon.

DJ ogłasza rozpoczęcie przyjęcia i puszcza muzykę. Odpowiada mu aplauz ze strony gości, Mitch i Sarah natychmiast ruszają na parkiet do pierwszego tańca, a ja bezwiednie zastanawiam się, jak się z tym czuję.

W końcu nadeszła ta chwila, dla której zdobyłam się na całą tę podróż, lecz to, czego chciałam dowieść, nie wydaje mi się już aż tak bardzo istotne. Dostajemy kolejne posiłki i obserwujemy kolejne typowe elementy przyjęcia weselnego, a ja przez cały czas nie umiem rozgryźć przyczyn tej nagłej zmiany zdania. *Moja duma? Moja cukiernia?*

Wszystko sprowadza się do Hayesa. To on jest przyczyną tego wszystkiego i wyjaśnieniem mojej przeszłości. To przez niego uznałam, że Mitch nie jest dla mnie dobrym wyborem na męża. To jego dłonie i słowa wzbudzają we mnie obezwładniające fale emocji, jakich nigdy wcześniej nie doświadczyłam, i nie sądziłam, że w ogóle mogę doświadczyć. A przede wszystkim to przez niego uświadomiłam sobie, że mam prawo chcieć więcej we wszystkich aspektach.

Czuję, że zaczynam nowy rozdział swojego życia. Zupełnie inny, taki, w którym mam potrzeby, pragnienia, marzenia i pasję. I chociaż chciałabym w przyszłości się tym z kimś dzielić, to wiem, że świadomość tego, co daje mi szczęście, jest równie ważna, jak uszczęśliwianie swojego partnera.

[*] Shabby chic — w wolnym tłumaczeniu „stary szyk”; styl urządzania wnętrz wykorzystujący stare lub celowo postarzone meble — *przyp. tłum.*

Rozdział 22

Saylor

Patrzę, jak Mitch i Sarah zajmują miejsca przy głównym stole. *Podsluchuję wypowiedane szeptem swoje imię i słowo „ladacznica”*. Słucham ich przemówień, w których wyznają sobie wzajemną miłość.

Muszę przestać podśmiewywać się z ich czułych słówek. Delikatny kuksaniec od Hayesa mówi mi, że on odnosi to samo wrażenie. Bo przecież jeszcze nie tak dawno temu Mitch wyznawał tę samą miłość mnie.

Do moich uszu dociera szept przy stoliku za mną, że jestem łowcą majątków. Że rzuciłam Mitcha dla Hayesa, bo ten był sławniejszy i bogatszy.

Zjadam starannie wybrany przeze mnie posiłek, który miał zadowolić Mitcha preferującego owoce morza i moje uwielbienie dla steków.

Grzeczne konwersacje z gośćmi przy naszym stoliku. Wszyscy jesteście odrzutkami, którzy nie pasowali do żadnej z pozostałych grup. Mimo to, gdy się odzywam, patrzą na mnie podejrzliwie. Mają ściągnięte usta. Oceniają mnie na podstawie plotek. Ale oczywiście uśmiechają się szeroko, gdy Hayes coś do nich mówi.

Wszyscy uderzają widelcami o talerze, żądając pocałunku nowożeńców.

Szydercze uśmiechy i przewracanie oczami, gdy śmieję się głośno z jednej z wielu rzeczy, które Hayes szepcze mi do ucha, żebym nie odpływała. I żeby mnie uspokoić. Bo chociaż zostałam zaproszona, to według nich nie mam prawa się dobrze bawić.

To myślenie jest tak paradoksalne, że wręcz trudno to sobie wyobrazić. Czy ci ludzie nie wiedzą, że gdybym nie odeszła, nie świętowałiby dzisiaj szczęśliwego zjednoczenia Mitcha i Sarah? Odeszłam. Mitch się z tym pogodził i jest szczęśliwy. Sarah jest szczęśliwa. Ale mam wrażenie, że czegoś tu brakuje. *Na przykład tego, że oni też powinni się z tym pogodzić.*

Ja i Hayes przebywamy w zupełnie innych światach. On nie zna tu nikogo, lecz wszyscy zachowują się tak, jakby go znali, i chcą z nim rozmawiać. Ja znam tu mnóstwo osób, lecz wszyscy zachowują się tak, jakby mnie nie znali, i za każdym razem, gdy łapię ich spojrzenie, odwracają wzrok i zajmują się czymś innym.

Czuję się jak parias. Zbijają mnie z tropu urywki podsłuchanych komentarzy: *dziwka, rozbijaczka rodzin, wszystko pasuje, wszystko ma teraz sens, jak śmiała?* Ale ignoruję je. Nie mam innego wyjścia. Wiedziałam, że ludzie będą zaskoczeni moją obecnością. Wiedziałam, że wywołam pewną niepożądaną animozję jako biedulka, która odrzuciła Mitcha, a tym samym ich i ich bardziej niż elitarny status życiowy.

Ukrywam uklucia wywołane przez ich słowa. Uśmiecham się mimo palących w gardle łez. Przyjmuję z wdzięcznością pocałunki w skroń od Hayesa. Śmieję się w głos, gdy mówi coś zabawnego przy naszym stole odrzutków, żeby te wszystkie osądzające mnie osoby wiedziały, że wcale nie jest mi gorzej, chociaż tak naprawdę mam ochotę uciec do willi.

Zastanawia mnie to, że przebyli taki szmat drogi, żeby bawić się na weselu, a zamiast tego skupiają się na mojej obecności.

Spodziewałam się pewnej dozy jadu, ale nie sądziłam, że Hayes będzie to aż tak przeżywał. Zjeża się za każdym razem, gdy milkniemy i wychwytyjemy jakieś zjadliwe słowa ze stolika numer dziesięć. Czuję, jak zaciska palce na moich udach, gdy zauważa dwie kobiety w obrzydliwych sukniach, które wybuchają głośnym śmiechem, patrząc na mnie bezczelnie, żebym wiedziała, że jestem tematem ich dysputy. Widzę, jak zaciska zęby, gdy ludzie potrząsają głowami na mój widok, jakby żal było na mnie patrzeć.

Muszę jednak przyznać, że ma prawdziwy dar. Doskonale wykorzystuje swoje umiejętności aktorskie, uśmiechając się z ożywieniem i machając do obrzydliwie ubranych kobiet, żeby wiedziały, że je słyszał. Albo gdy odmawia autografu kobiecie z dziesiątki, bo *to dzień Mitcha i Sarah, i jesteście tu, żeby go z nimi celebrować*.

Ale i tak się bawimy. Gramy w „Co będzie dalej?”. Polega to na tym, że ja zgaduję co się wydarzy, żeby sprawdzić, jak dobrze pamiętam swój plan ślubu.

Za każdym razem, gdy mi się udaje, pociągamy łyk swoich napojów. To nasz sposób na rozluźnienie. Dzięki temu mamy coś, czego nie ma tutaj nikt inny.

Śmiejemy się z przygotowań do krojenia tortu — co trafnie przewidziałam — a kiedy odwracam wzrok od Hayesa, trafiam na spojrzenia Sarah i Mitcha, którzy obchodząc wszystkie stoliki i witając się z gośćmi, dotarli w końcu do nas.

— Saylor. — Głos Mitcha jest cichy. Poważny. Sarah bawi się palcami z przyklejonym na twarzy uśmiechem, niepewna tego, jak ma się zachować w obecności byłej narzeczonej swojego męża. Rozumiem ją, bo czuję dokładnie ten sam dyskomfort.

Wiem, że patrzy teraz na nas milion oczu. Wszyscy czekają na wyrzuty ze strony byłej, lecz ja robię coś zupełnie innego.

Wstaję.

— Cześć, Mitch — mówię. Wyciągam dłoń do mojej następczyni. — Miło mi cię poznać, Sarah. Wyglądasz absolutnie olśniewająco. *Ta suknia?* Jest boska. Dziękuję wam za zaproszenie.

Przez krótką chwilę zapada cisza. Jakby Sarah zastanawiała się, jak goście odbiorą przyjęcie przez nią mojej dłoni. Dobre maniery biorą jednak górę i wyciąga dłoń. Jej uścisk jest delikatny. Nieśmiały.

— Dziękuję wam za przybycie. Wasza obecność tutaj była dla mnie bardzo ważna.

— Och. — Chyba udało mi się ukryć zaskoczenie. Zerkam na Mitcha, który ma na ustach uśmiech, lecz jego twarz wyraża niepokój i irytację.

— Wiesz — dodaje Sarah przyciszonym głosem i nachyla się do mnie. — Rozstaliście się dość nagle. Szczęśliwie dla mnie, bo potem Mitch znalazł mnie. Wydaje mi się jednak, że macie jakieś nierozwiązane sprawy, które wymagają zamknięcia. Trzeba je rozwiązać, bo chciałabym, żeby po tym przyjęciu Mitch miał czystą kartę. *Żeby zakończył ten rozdział*. Kocham tego mężczyznę całym sercem, ale mam dość snującego się między nami twojego cienia.

Nie potrafię nic wykrztusić. Robię wielkie oczy i gorączkowo myślę o tym, że zbyt nisko oceniłam Sarah jako pozbawioną kręgosłupa i uległą. Domyślam się, że to ona trzyma rękę na wszystkim. *Łącznie z planem własnego ślubu*.

Coś mi mówi, że jest taką samą manipulatką jak Sztywna Urszula.

— Och. — To chyba moja domyślna odpowiedź w tej interakcji. Mrugam gwałtownie i zerkam na Mitcha, który wydaje się być równie niezadowolony z tej sytuacji, jak ja. Nie ma to, jak trafić na świecznik. — Uhm. — Przeszuję z nogi na nogę, unoszę podbródek i wyprostowuję się. Chcę, żeby wszyscy obserwujący wiedzieli, że wcale nie czuję się onieśmielona. — Nie lepiej byłoby to zrobić innym razem zamiast na waszym ślubie? Nie chcę odbierać...

— Chciałam to zrobić na próbnej kolacji. Nie bez powodu was na nią zaprosiliśmy, ale, jak się wydaje, byliście tego wieczoru... — chrząka, szukając właściwych słów — *zajęci czymś innym*. — Uśmiecha się sztywno i zerka na Hayesa, żeby potwierdzić swoje domysły. Wiem, że strzela na ślepo, ale czuję, że trochę się zarumieniłam pod wpływem jej domniemań.

— Hayes Whitley. Ten, który zajął ją czymś innym. — Hayes wyciąga do niej dłoń. Podoba mi się, że bez mrugnienia powieką i zawahania w głosie pokazał jej swoją dominację. — Wspaniała ceremonia. Świetnie dobrane szczegóły wystroju. Musieliście mieć niesamowitego specjalistę od wesel.

Kaszlę, żeby ukryć parsknięcie po tej uprzejmie wyrażonej obrazie.

Mięsień szczęki Mitcha zaczyna drgać. Nie wiem, czy to przez to, że Hayes mnie zajmował, czy przez to, że właśnie rzucił przynętę jego świeżo poślubionej żonie, żeby sprawdzić, czy przypisze sobie zasługę zaplanowania ślubu... *którego nie zaplanowała*.

Sarah wbija w Hayesa swoje jasnoniebieskie oczy i zastanawia się, jak przyjąć jego słowa. Jako szczerłość czy szyderstwo.

— Panie i panowie, nadeszła ta chwila. Kto się tego podejmie? Pani czy pan Layton? Tak, czas na zabawę z tortem, a raczej na jego pokrojenie.

Słowa prowadzącego wywołują burzę nerwowych rozmów, jakby goście nie byli pewni, jak przebiegła krótka pogawędka naszej czwórki. Matka Mitcha zaczyna klaskać i dołączają do niej pozostali goście, zachęcając Sarah i Mitcha do podejścia do stołu z tortem.

I odejścia ode mnie.

Sarah uśmiecha się wymuszenie i patrzy mi prosto w oczy.

— Proszę, porozmawiaj z nim. Dla mojego dobra — nalega cicho, po czym bierze Mitcha pod ramię i rusza w stronę stolika z tortem, a jej uśmiech znowu staje się szczerzy.

— Cóż, kto by pomyślał? Wygląda na to, że Golfowy Chłopczyk poślubił swoją matkę — mruczy Hayes pod nosem. Tym razem parskam głośno, bo trafił w sedno.

Nie mam czasu zastanawiać się nad wydarzeniami z ostatnich pięciu minut, bo Hayes splata palce z moimi i ciągnie mnie, żebym usiadła obok niego.

— Trudno ją za to winić — rzuca w zadumie, gdy jeden z gości z naszego stolika podchodzi po swojego drinka i wraca oglądać krojenie tortu.

— Dlaczego? — pytam, chociaż przeczuwam, co może mieć na myśli. Ja też chciałabym, żeby mój małżonek poświęcał mi całą swoją uwagę, ale nie wiem, czy posunęłabym się w tym celu tak daleko, jak ona.

— *Nielatwo o tobie zapomnieć, Saylor Rodgers*.

Odpowiedź Hayesa dźwięczy mi w głowie jeszcze na długo po skończeniu tortu.

Siedzimy grzecznie przy swoim stoliku, czekając, aż minie odpowiednia ilość czasu, żebyśmy mogli się stąd urwać. Jeśli wyjdziemy zbyt wcześnie, goście pomyślą, że przejęłam się konwersacją z Mitchem i Sarah. W pewnym sensie utknęliśmy, ale wraz z wypitym alkoholem komentarze stają się coraz bardziej rozmyte.

— Chodź — Hayes wyciąga do mnie dłoń. — Skoro utknęliśmy na tym cholernym przyjęciu, równie dobrze możemy się trochę zabawić.

Początkowo wlekę się dość opornie, gdy ciągnie mnie na parkiet, ale uświadamiam sobie, że ma rację. Jesteśmy zaproszonymi gośćmi, którzy nie zrobili nic złego. Dlaczego nie mielibyśmy cieszyć się sobą zamiast obserwować innych ze swoich krzeseł? Z każdym krokiem mam coraz większą pewność siebie. Głowy odwracają się w naszą stronę. Drinki zatrzymują się w połowie drogi do ust. Łokcie kuksają sąsiadów, żeby także zobaczyli, co też zamierzamy zrobić.

Patrzcie na pannę młodą i pana młodego. Są znacznie bardziej interesujący. I to dla nich tu przyszliście.

Wchodzimy na zatłoczony parkiet w takt wolnej klasyki. Mam chwilę zawahania, bo dociera do mnie, że nie potrafię robić niczego poza ubijaniem kapusty rodem z potańcówek w szkole średniej. Bo przecież ile razy w dorosłym życiu wychodzi się gdzieś, gdzie można nauczyć się innego tańca?

— Pozwól mi prowadzić — szepcze Hayes, po czym przyciąga mnie do siebie i zaczyna się poruszać. Początkowo wydaje mi się, że tańczy po swojemu, szybko jednak zauważam wyraźny schemat w jego krokach oraz jednoznaczny rytm i tempo.

Odchylam głowę, żeby spojrzeć mu w oczy i go o to zapytać, ale łapię wzrokiem jego uśmiech, który rozmiękcza mi serce. Tu, na parkiecie. Z byłym narzeczoną i jego żoną na boku i pod ostrzałem krytycznych spojrzeń.

— Dylan Jax. Middleman's Move. Musiałem się tego nauczyć...

— Do tej sceny, w której uwodzisz żonę swojego przeciwnika — dokańczam za niego, bo dość dobrze pamiętam ten film. Poza złożoną fabułą i szokującym zwrotem akcji zawierał kilka dość namiętnych scen. Całkiem możliwe, że obejrzałam je kilka razy — albo sto.

Hayes uśmiecha się szeroko, a jego oczy błyszczą z dumy.

— Widzisz? Oglądałaś moje filmy. Wiedziałem.

Odchylam głowę i zaczynam się śmiać. Tak łatwo mi to przychodzi w jego towarzystwie. Tak łatwo mi się przy nim rozluźnić.

— Tylko ten jeden — kłamię.

— Jasne. Już ci uwierzę — mówi i obraca mnie, żebym nie zdążyła odpowiedzieć w żaden inny sposób poza śmiechem. Zaczyna się jakaś bardziej współczesna piosenka. Seksowna. Nostalgiczna. Rozluźniam się i nie przejmuję tym, czy nie mieszam Hayesowi w jego precyzyjnie rytmicznych krokach. Po prostu poruszam się razem z nim. Przy nim.

Dzięki niemu wydaje się to proste. Wszystko. To, jak okazuje swój urok otaczającym nas palantom. To, jak pomaga mi się rozluźnić w tej niezręcznej sytuacji. To, jak wywołuje mój śmiech i sprawia, że czuję się seksowna i podziwiana.

Stara miłość nie rdzewieje.

Ale muszę przyznać, że nigdy nie uważałam, że moja miłość do niego kiedykolwiek

zardzewiała.

Nasze ciała poruszają się synchronicznie.

— Wiesz, o czym cały czas myślę?

Pyta tak zwyczajnie, że odpowiadam równie niezobowiązująco:

— Hm?

— Myślę, że powinnaś się rozluźnić?

— Co ty nie powiesz? A jak miałabym to zrobić? — pytam nieśmiało. Moje ciało wyczuwa sugestię zawartą w tonie jego głosu.

Hayes nachyla się i mówi mi prosto do ucha:

— Muszę wydostać cię z tej sukienki.

— Tak?

— Tak. Wyglądasz w niej seksownie jak diabli, ale jednak jest nieco sztywna.

Formalna. Niewygodna.

Obraca mnie i przyciąga z powrotem do siebie. Pierś przy piersi. Tańczymy dalej.

— W jaki sposób wydostanie się z tej sukienki miałyby mnie rozluźnić? — pytam, a on ociera się udem między moimi nogami, dając zapowiedź tego, co nastąpi.

— Bo wtedy mógłbym cię zakosztować, Saylor. Przejechać językiem po twojej szparce. Rozpalić cię do białości. Sprawić, że zaczniesz błagać.

Mój chichot jest napięty. Zdesperowany. Oszukańczy.

— Nie będę błagać.

Obraca mnie. Wyłapuję jego zadziorny uśmiech i łąduję z powrotem w jego ramionach.

— Uwierz mi, będziesz. — Całuje mnie w usta z taką namiętnością, że moje wnętrze błaga o jeszcze, gdy kończy.

— Taki jesteś pewny siebie?

— Zdumiewające, co kobieta jest gotowa powiedzieć, gdy mężczyzna pieści językiem całą jej cipkę.

Zasycha mi w ustach. Między nogami wręcz odwrotnie. Zawarta w jego słowach mroczna obietnica uwodzi każdą cząstkę mojego ciała. Hayes obraca mnie znowu i uświadamiam sobie, że otaczają nas rzędy krytycznych oczu.

— Czyżby?

— Uhm. — Nawet *ten* odgłos brzmi w jego ustach uwodzicielsko.

— A co takiego mówią?

— O, tak. *Zerznij mnie*. Wytrzymujesz dłużej niż ja. *Mocniej*. Jest taki duży. *Jesteś Bogiem*.

Nie mogę powstrzymać śmiechu z namiętnego, pozbawionego tchu głosu, jakim wypowiada te słowa. Wiem, że śmieje się sam z siebie i uwielbiam to, że jest wystarczająco pewny swoich umiejętności łóżkowych, żeby móc sobie na to pozwolić.

— Serio?

— Jak najbardziej. — Śmieje się. — Ale to nie po tym mężczyzna poznaje, że zrobił to dobrze. *Słowa są tanie*. Liczą się czyny.

— To po czym poznaje, że zrobił to dobrze?

Obraca mnie i przyciąga do siebie. Przez te kilka sekund rozłąki jestem w pełni

gotowa na ciepło jego ciała. Zbliży usta do mojego ucha tak, że łaskocze mnie jego oddech.

— Mężczyzna wie, że zrobił to dobrze, gdy kobieta go odpycha, mówi, żeby przestał ją lizać i błaga o jego członka.

Ten płomień, który tlił się we mnie przez całą konwersację — do licha, kogo ja próbuję oszukać, przez cały czas, od chwili, gdy Hayes wyszedł z pokoju w garniturze, w którym wygląda oszalamiająco przystojnie — właśnie rozniecił się mocniej.

— *Ach.*

Hayes chichocze mi w ucho. Czuję w piersi wibracje jego śmiechu. Rozkoszuję się jego udem ocierającym się między moimi nogami.

— Nadal uważasz, że nie będziesz błagać, Saylor?

— Słowa są tanie, Whitley. Liczą się czyny.

#

— *Hayes Whitley? Poważnie, Say? To dla niego mnie zostawiłaś? — Słyszę za plecami przesycony goryczą głos Mitcha. Przestrasza mnie jego nagłość, ale staram się tego nie okazać.*

Przez głowę przebiega mi mnóstwo odpowiedzi.

Ożeniłeś się po zaledwie ośmiu miesiącach?

Z Sarah, kserokopią mnie?

Nadal jesteś dupkiem, co?

Chciałabym, żeby tak było.

Wybieram jednak światlejszą ścieżkę. Trzydzieści sekund jego obecności w pełni utwierdza mnie w słuszności mojej decyzji. Absolutnie go nie kocham i nie wierzę, że zmarnowałam na niego sześć lat życia.

Dlatego nie dementuję jego założeń. Niech myśli, co chce, o obecności Hayesa i jak do niej doszło. To nie kłamstwo, tylko uchylenie się od odpowiedzi.

— Zawsze miałaś o niego żal, prawda? — szepczę, uznając to za najlepszy sposób rozegrania tej sytuacji, w pełni świadoma nagłego przesunięcia uwagi imprezy w naszą stronę mimo głośniejszej muzyki.

Przypominają mi się rzadkie sytuacje, gdy Mitch widział Hayesa w telewizji lub na okładce magazynu i rzucał jakiś zjadliwy komentarz. Krytykował go. Bez powodu, tylko dlatego, że Hayes miał mnie pierwszy. Jaskiniowa moralność w czystej postaci i wrażliwe ego Mitcha w najgorszej formie.

— Wygląda na to, że miałem do tego prawo, co? Kocham Sarah. Szczerze. Ale jej nadawanie o prześladowającym nas twoim cieniu doprowadzało mnie do szaleństwa, dlatego podszedłem do ciebie teraz, żeby dać jej to, o co mnie prosi.

— Moim cieniu?

— Tak. Mówi, że wciąż jesteś wszędzie, mimo że cię nie ma.

— To dlatego, że związałeś się z nią, zanim z sypialni wywietrzał zapach moich perfum. — Nawet nie próbuję ukrywać kaśliwości w swoim głosie.

— To ty odeszłaś.

— Owszem, odeszłam — mówię bez najmniejszych wyrzutów sumienia. *Dlaczego*

miałabym je mieć, skoro dał mi jasno do zrozumienia, że jest mu to obojętne? A teraz jest już po ślubie.

Zapada ciężkie milczenie. Pociągam łyk wina i odwracam się w stronę drzwi, żeby sprawdzić, czy Hayes wraca już z toalety. Poprawiam się na krześle.

— Jeśli chcesz się pozbyć mojego cienia, to chyba powinienes zorganizować sobie własne wesele, a nie wykorzystywać nasze. — Odwracam się w jego stronę i unoszę brwi. — Odrobina oryginalności sprawia, że dziewczyna czuje się znacznie bezpieczniej.

— To skomplikowane. — Przeszczępnę z nogi na nogę, spogląda w swoje piwo, po czym podnosi wzrok na mnie. — Wiesz, jaka jest moja matka.

— Owszem, wiem. — Nie zmienił się. Nigdy się nie zmieni. Łudziłam się, że moje odejście uświadomi mu, że chociaż kocha mamę i chce ją zadowolić, to powinien na pierwszym miejscu stawiać żonę, a nie ją. — Pozwól, że powiem ci, jak widzę to oczami osoby, która była w tej samej sytuacji co Sarah. Twoja mama nie może kontrolować twojego małżeństwa, Mitch. A dałeś jej do tego zielone światło, gdy pozwoliłeś, by zajęła się całym ślubem. Zabawne jest to, że byłeś tak zajęty golfem ze swoimi kolegami i tak mało interesowałeś się szczegółami mojego planu, że nie masz pojęcia o tym, iż twoje dzisiejsze wesele jest dokładnie takie samo jak to zaplanowane przeze mnie. *Dla nas*. Na pewno zauważyłeś, że miejsce i zaproszenia się nie zmieniły, ale czy zwróciłeś uwagę na wszystko inne? Dominujące barwy, ozdoby, kwiaty? Wszystko wybrane przeze mnie. I Sarah po prostu ochoczo to zaakceptowała?

Wyraz jego twarzy przechodzi z niedowierzania w gniew. Znam go na tyle dobrze, że mimo tej wściekłości nie skonfrontuje się z matką w tej kwestii. Boże uchowaj, wręcz będzie jej bronił. Widzę, że szykuje się do wyładowania swojego gniewu na mnie.

Zgaduję, że nie zna powiedzenia: *Nie strzelaj do posłańca*.

— Nie masz prawa wygłaszać żadnych opinii, Saylor. Nie masz prawa krytykować, oceniać ani mówić niczego poza *dziękuję za zaproszenie, Mitch*.

Dupek. Gryzę się w język. Postanawiam nie angażować się w konflikt, mimo że wolałabym wykrzyczeć i wyrzucić mu całą gorycz, jaką do niego czuję. Żeby wszyscy poznali prawdziwy powód naszego rozstania.

— Po co w ogóle przyjechałaś, Saylor? Po co się pojawiłaś? Żeby utrzyć mi nosa swoim wielkim hollywoodzkim gwiazdorem?

Gdybym nie wiedziała, że go to dręczy, pogarda w jego głosie powiedziała by mi wszystko.

— Czy to czasem nie ja powinnam zapytać o to ciebie, Mitch? Po co mnie zaprosiłeś? Wiem, że powiesz, że to Sarah, ale jakaś częśćka ciebie chciała, żebym przyjechała i zobaczyła, co mogłam mieć. I żebyś mógł utrzyć *mi* nosa tym wszystkim.

Ignoruję jego pytanie, ale mam to gdzieś, bo cieszę się, że w końcu powiedziałam na głos to, co myślę i nad czym zastanawiałam się od momentu otwarcia koperty z zaproszeniem.

On też ignoruje moje pytanie. Nie przeszkadza mi to. Nie przejmuję się też niezręczną ciszą. Oboje zastanawiamy się nad następnym krokiem w rozmontowywaniu czegoś, co nie miało prawa przetrwać.

— Zawsze chodziło o niego, prawda? — *Tak, prawda*. Nie wypowiadam tych słów.

Wbijam wzrok w palce bawiące się nóżką kieliszka z winem, a Mitch ciągnie dalej: — To jego chciałaś, mimo że cię skrzywdził i odszedł. A to ja pomagałem ci się pozbierać po śmierci rodziców. Nie on. I co? Przez cały czas, gdy byliśmy razem, ty na niego czekałaś? Pragnęłaś go. Myślałaś, że mogę go zastąpić. Ale, jak widać po waszym zachowaniu, wrócił i czekanie się skończyło. Rzuciłaś mnie. Wybrałaś jego. Wygrał...

Nigdy nie postrzegalam w taki sposób swojego związku z Mitchem. Ani relacji z Hayesem. Moja podświadomość była przeciążona bólem i urazą, którą pozostawił po sobie Hayes. Poza tym Mitch pojawił się dopiero niemal cztery lata po odejściu Hayesa. Mimo to, słysząc Mitcha, uświadamiam sobie, że być może ma rację, chociaż nigdy w życiu sama bym na to nie wpadła.

— To cień Hayesa zniszczył nasz związek, Saylor. A Sarah prosiła mnie o skonfrontowanie się z tobą, żeby twój cień nie zniszczył mojego małżeństwa. Myślałem, że gada od rzeczy. Takie nerwowy trajkot panny młodej. Ale gdy zobaczyłem cię tu z nim... uświadomiłem sobie, że Sarah ma rację.

Czy on właśnie przyznał, że wciąż mnie kocha?

Cholera. Cholera. Po trzykroć cholera.

Wzdycham głęboko. Jego pogardliwe, lecz szczere słowa są nieco zbyt trafne. Kiwam nieznacznie głową, żeby wiedział, że go wysłuchałam. Nie chcę potwierdzić jego słów, bo czułabym, że oddam mu kontrolę nad tą sytuacją między nami, która wydaje się kompletnie niekontrolowana.

— Czego ode mnie oczekujesz, żeby pozbyć się mojego cienia, Mitch? — Staram się brzmieć rzeczowo. Chcę dać mu to, czego potrzebuje, żeby mógł żyć długo i szczęśliwie z Sarah i począwszy od teraz, trzymać się w stu procentach z dala od mojego życia.

Mitch chrząka i patrzy mi prosto w oczy.

— Muszę wiedzieć, czy kiedykolwiek mieliśmy szansę, czy że raczej od początku ciążyła nad nami klątwa czekania na powrót Hayesa.

— Czy to ma jeszcze jakiegokolwiek znaczenie? — Wzruszam ramionami, ale nie podoba mi się jego spojrzenie, bo zaczynam się zastanawiać, w jakim stopniu wciąż coś do mnie czuje, podczas gdy powinien w stu procentach skupiać się na kobiecie, której właśnie dał coś więcej niż tylko swoje nazwisko. Wiem, że nawet jeśli powiem mu prawdę, i tak w nią nie uwierzy.

— Tak.

— Nigdy nie chodziło o Hayesa, Mitch. Odeszłam, bo chociaż cię kochałam, nie wytrwałabym w tej miłości z powodu coraz większego rozgoryczenia. Bo ty kochałeś tylko taką *mnie*, jaką chciałeś ze mnie zrobić: wyrafinowaną, niepracującą, niepiekącą i nieprowadzącą samochodu, chyba że po to, żeby zrobić ci przyjemność. Nie można zawierać związku małżeńskiego, kochając efekt swoich wysiłków zmierzających do zmiany swojego małżonka w kogoś innego. Związek małżeński powinien bazować na bezgranicznej miłości do partnera takiego, jakim jest, ze świadomością, że będziecie się nawzajem rozwijać i zmieniać. A ty nigdy tak na mnie nie patrzyłeś. Ty i twoja mama chcieliście zmienić mnie w kogoś innego, żebym pasowała do standardów wyznaczanych przez wasze kręgi społeczne. Im bliżej ślubu, tym coraz wyraźniej sobie to

uzmysławiałam. Subtelne komentarze o tym, że moja praca nie licuje z nazwiskiem Laytonów. Sugestie w postaci podłożonych mi do szafy ubrań za tysiące dolarów, żebym wiedziała, jak *według ciebie* powinnam się ubierać i wyglądać. Fabrykowane przez ciebie wspólne plany, gdy miałam do wykonania poważne zamówienie, oraz awantury, jakie mi wtedy robiłeś, żebym poczuła, że cię zawiodłam. Więc nie, Mitch, moje odejście nie miało nic wspólnego z Hayesem i wynikało wyłącznie ze mnie. Z tego, czego pragnę od życia i kim jestem. Kochałam cię, Mitch, *swego czasu*. Ale ta miłość przerodziła się w zgorzknienie i urazę.

Robi wielkie oczy i jest tak spięty, że doskonale widzę, że się ze mną nie zgadza. Wiem, że zamierza polemizować, lecz ja mam tego dość. Dość rozmowy z nim i jego wesela.

— *Kochałam?* W czasie przeszłym?

Patrzę na niego i uświadamiam sobie, że w ogóle mnie nie usłyszał. On nie chce mnie *wysłuchać*. Nie powinno mnie to dziwić, skoro zachowywał się tak samo, gdy byliśmy razem.

Wiem, co powinnam zrobić. Powiem nieprawdę, bo to ja muszę odegrać tutaj rolę czarnego charakteru. Dopieć mu, żeby Sarah miała szansę na szczęśliwe małżeństwo z tym emocjonalnie zahamowanym facetem, którego *kocha*.

— Tak. *Kochałam*. Przestałam cię kochać dawno temu, Mitch. — Potrząsam głową, wykrzywiam usta i zaczynam się bawić kosmykiem włosów. Staram się zagrać to najlepiej, jak potrafię. Wykorzystuję zdenerwowanie wynikające z konieczności okłamania go, by nasycić emocjami swoje słowa. — Kłamałam. Przykro mi. Hayes wrócił kilka miesięcy przed naszym ślubem. Przypadkiem na niego wpadłam i to, co do niego poczułam, Mitch, było zupełnie inne i znacznie silniejsze niż to, co czułam do ciebie. No i... próbowałam to zignorować. Jego zignorować. Próbowałam wyrzucić go z głowy i skupić się na tobie i naszym ślubie, ale nie byłam w stanie. On kochał to, czego ty we mnie nie lubiłeś. On uwielbiał to, co ty chciałeś we mnie zmienić. Uświadomiłam sobie, że nawet jeśli nie wyjdzie mi z Hayesem, nie mogę poślubić kogoś, kto nie akceptuje we mnie tych elementów.

W jego oczach jest ból. I zraniona duma. A ja uświadamiam sobie, że chociaż okłamałam go w kwestii kolejności wydarzeń, cała reszta była zgodna z prawdą.

— Więc to jednak prawda — wypowiada to pytanie jak zdanie twierdzące, jakby nie chciał, żebym odpowiadała. Ton jego głosu jest zrezygnowany. I pełen niedowierzania.

— Co jest prawdą?

Potrząsa głową i chichocze pod nosem, jakby sugerował, że powinnam wiedzieć, do czego nawiązuje.

— Pozwól, że o coś zapytam. — Obniża głos i przymruża powieki. — Co będzie, gdy obudzisz się pewnego dnia i Hayes zniknie? Bo *on odejdzie*, Saylor. Już raz cię zostawił. Przecież wiesz o nim i o jego dziewczynie, którą zdradził i od której odszedł. Na jakiej podstawie sądzisz, że jesteś tak wyjątkowa, iż przy tobie zostanie? Bo przykro mi to mówić, ale nie jesteś. Jesteś niczym w porównaniu z życiem celebryty, jakie wiesz. I najwyraźniej tego potrzebuje, bo już raz wybrał je zamiast ciebie, więc z całą

pewnością zrobi tak ponownie. On to Hollywood, a ty to... ty. Skoro wtedy byłaś zdruzgotana, jak się poczujesz, gdy znowu to zrobi, a ty będziesz miała świadomość, że poświęciłaś dla niego wszystko?

Pali mnie w gardle od emocji wzbudzonych przez jego słowa. Docierają głęboko w zakamarki umysłu, które próbowałam uspić, żeby nie myśleć o tym, *co będzie dalej*, po zakończeniu weekendu. Ale stojący przede mną Mitcha i dźwięczące mi w uszach jego słowa wzbudzają we mnie strach, gdyż w sercu wciąż mam cień poprzedniego zdruzgotania.

Nie mogę jednak pokazać mu dręczących mnie podskórnie obaw.

— Wybacz, muszę skorzystać z toalety — mówię, po czym wstaję i chrząkam. — Wszystkiego najlepszego dla ciebie i Sarah.

I pewnym krokiem wychodzę z sali.

Nie miałam wcześniej racji. Bo dopiero teraz — *wychodząc* — muszę grać najlepiej, jak potrafię.

Rozdział 23

Hayes

Tu chodzi o Saylor Rodgers.

Przypominam to sobie po raz kolejny, bo mam dość odgrywania grzecznego chłopca. Nie chce mi się już stać tu z głupkowatym uśmiechem na twarzy. Cały czas podchodzą do mnie ludzie z prośbą o fotkę, chociaż nie mieli oporów, by przez cały wieczór szeptać niepochlebne komentarze pod adresem kobiety, którą kocham.

Kolejne zdjęcie.

Kocham?

Błysk flesza pali mnie w oczy. Uśmiecham się nieco szerzej.

Serio, Whitley? Kochasz?

Uścisk dłoni.

Kocham.

Podziękowanie za komplement. Kolejny autograf.

W ten czy inny sposób zawsze chodziło o nią. Czyż nie?

Kolejny autograf. Kolejny uścisk, na który nie mam ochoty.

Tak. Kocham.

Uśmiech dla Saylor. Żeby się od niej odwalili.

Miłość. Phi. Kto by pomyślał?

Wymuszony uśmiech. Grzeczne wymówienie się koniecznością poszukania swojej partnerki.

I co zamierzasz z tym zrobić?

Udaje mi się uniknąć kolejnego uścisku i śladu szminki na policzku ze strony jakiejś zbyt mocno uperfumowanej kobiety.

Oczywiście, gdy wchodzę na główną salę, nigdzie nie widać Saylor. Myślę gorączkowo o tym objawieniu, chociaż wcale nie powinienem nim być zaskoczony. Jak mogłem się od razu nie domyślić, że wciąż ją kocham, gdy zobaczyłem ją w jej cukierni, zadziorną i niepokorną, z niebieskim lukrem we włosach?

Nie ma jej przy barze. Ani przy stoliku. Cholera. Nie powinienem zostawiać jej samej. Nie powinienem jej wierzyć w jej zapewnienia, że da sobie radę.

Dostrzegam jednego z gości z naszego stolika.

— Hej, widziałeś może Saylor?

— Parę minut temu wychodziła na zewnątrz. Tuż przed tym, nim zaczęło grzmieć.

— Dzięki — mruczę i ruszam w tym kierunku. Przy wejściu na patio wita mnie grzmot. Jest ciemno, a w powietrzu pachnie deszczem.

— Ona nadal mnie kocha, wiesz? — Słyszę za sobą głos Mitcha.

Zatrzymuję się. Nie cierpię tego ukłucia w środku pod wpływem jego słów, ale nie wierzę mu nawet przez chwilę. Nie ma mowy, żeby go kochała. Ale czyż nie zastanawiałem się nad tym przed przyjazdem tutaj? Przypominam sobie, jak

wymamrotała jego imię przez sen i wyraz jej twarzy, gdy zobaczyła go na drugim końcu sali. Czyżbym źle ją odczytał? Jej twarz wyrażała wtedy wstręt czy może coś innego?

Pieprzyć go i jego kłamstwa, którymi próbuje wzbudzić we mnie wątpliwości.

— Zawsze lubiłeś ściemniać, Layton. — Odwracam się do niego. Zauważam papierosa w jednej dłoni i szklankę brandy w drugiej.

Tym *zajmuje się po weselu szczęśliwy małżonek? Piciem i paleniem... w pojedynkę?*

Robię krok w jego stronę, zastanawiając się, jak to rozegrać, żeby nie dać mu do zrozumienia, że dopiekł mi tym komentarzem.

— Wyszła. Nie mogła tego znieść.

Zaciąga się papierosem, a ja uświadamiam sobie, że powiedział lub zrobił coś, co wytrąciło ją z równowagi. Każda cząstka mnie pragnie ją odnaleźć i upewnić się, że nic jej nie jest, ale wiem, że jest twarda. Poza tym jest coś, co chciałem zrobić od chwili, gdy ponad sześć lat temu dowiedziałem się od Rydera, że Saylor spotyka się z Mitchem. Muszę mu powiedzieć, co o nim myślę.

— Stresujące jest przebywanie w jednym pomieszczeniu z dwiema kobietami, z których jedną powinieneś kochać, ale nie jesteś pewien swoich uczuć, a drugą *wciąż* kochasz, lecz ona nie odwzajemnia twoich uczuć, prawda? To dlatego wróciłeś do palenia? Nerwy cię zjadają, co Mitchy?

Opieram się biodrem o poręcz. Nie mam zamiaru się wycofać po jego podejściu. Ta ciota nie onieśmielała mnie w szkole średniej, więc tym bardziej nie dam się zastraszyć temu bzdurnemu pokazowi dominacji.

— Pieprzę cię — mówi cicho. Wściekle. Jadowicie.

— Dziękuję, ale nie. Słyszałem, że egoistyczny z ciebie kochaś. — Wykrzywiam usta i unoszę brwi.

— Założę się, że dokładnie tak ją traktujesz.

Nie chwytam przynęty, chociaż z przyjemnością podszedłbym bliżej i przyłożył mu porządnie w zęby. Żeby go ustawić za to, jakim był kiedyś dupkiem, i za to, że teraz jest jeszcze gorszym.

— Chciałbyś wiedzieć, co, Layton? — odpowiadam zdystansowanym tonem i chichoczę protekcyjnie, a mój wzrok odbija w jego stronę te same słowa, które mi powiedział: *pieprzę cię*.

W jego oczach na ułamek sekundy pojawia się ból, co utwierdza mnie w tym, co i tak już wiedziałem. *On wciąż ją kocha*. Czuję przelotne ukłucie zazdrości, bo ten palant nie zasługuje na przywilej darzenia ją miłością.

— Nie zostaniesz z nią. Znowu złamiesz jej serce, tak jak zrobiłeś z tą jak jej tam.

Tą jak jej tam? Przypomina mi się pytanie zadane mi wcześniej przez Saylor. Pozwoliłem jej uwierzyć w plotki na temat Jenny, które nie mają nic wspólnego z prawdą. A Saylor wierzyła we mnie na tyle, że odpuściła, chociaż jej nie odpowiedziałem. Z całą pewnością nie bez znaczenia jest to, że tak łatwo tutaj odciąć się od zewnętrznego świata.

— Chyba zapomniałeś, że nie masz prawa wypowiadać się na temat tego, co robi lub czego nie robi Saylor. Nic, co dotyczy mnie i Saylor jako pary... nie jest już twoim pieprzonym interesem. Straciłeś to prawo w chwili, gdy pozwoliłeś jej odejść bez walki.

Z całą pewnością nie potrafięś usatysfakcjonować swojej narzeczonej. Miejmy nadzieję, że z żoną pójdzie ci lepiej. Wygląda jednak na to, że w dzisiejszy wieczór więcej czasu zamartwiasz się o swoją byłą dziewczynę niż o żonę. Twoja przyszłość nie maluje się zbyt różowo.

Po tych słowach rozluźniam pięści i przestaję marnować oddech na kogoś, kto na to nie zasługuje.

Muszę znaleźć Saylor. Pilnie. Nie podoba mi się to, że pierwsze stwierdzenie Mitcha tak mnie dotknęło. Nie podoba mi się, że chociaż nigdy nie brakuje mi pewności, w kwestii Saylor nagle czuję się niepewnie. A niepewność zabija wszystko, co piękne.

A Saylor jest moją pięknoscią.

Muszę jakoś uśmierzyć niepokój dotyczący przyczyny jej urwania się z imprezy, więc przypominam sobie o tym, jak przez ostatnie kilka dni smakowałem jej usta, czułem reakcje jej ciała i widziałem w jej oczach niewypowiedzianą głębię uczuć do mnie.

Nie ma mowy, żeby nadal kochała Mitcha.

Pośpiesznie opuszczam przyjęcie. Nie podoba mi się pytanie, które chcę jej zadać, ale wiem, że muszę to zrobić. Ona z kolei powinna mnie spytać o sytuację z Jenną, a ja jej o tym opowiem. Musimy oczyścić atmosferę, żebyśmy mogli pójść dalej z ujawnioną przeszłością.

Spanikowany przeczesuję wyspę. Próbuję rozgryźć, gdzie mogła pójść i dlaczego nie wróciła. Nad głową przetaczają mi się grzmoty, zapowiadając to, co za chwilę nastąpi.

Willa. Tam powinna być, ale gdy przechodzę obok otwartego na ocean prześwitu w roślinności, zauważam ją. Trzyma się poręczy, a wiatr z łopotem owija jej sukienkę wokół nóg.

Przysięgam na Boga, że serce staje mi na moment. Chciałbym myśleć, że to pod wpływem wcześniejszego objawienia — że ją kocham i kochałem przez te wszystkie lata — ale jej widok jeszcze bardziej mnie w tym utwierdza, chociaż przez tak długi czas skrętnie ukrywałem przed sobą to przekonanie.

Jakaś część mnie zastanawia się jednak, czy to ukłucie w piersi nie wynika czasem ze strachu. A co, jeśli ona wybiegła, bo po rozmowie z Mitchem uświadomiła sobie, że sześć lat to szmat czasu, po którym niełatwo o kims zapomnieć? I że wciąż go kocha, tak jak on ją, mimo że się ożenił z inną.

Bzdury. Znam ją dłużej. Kochałem ją mocniej. Traktowałem ją lepiej.

Ale odszedłeś, Whitley. Ty też o nią nie walczyłeś.

Błyska od strony wybrzeża.

— Wciąż go kochasz, prawda? — Nie chciałem, żeby to były moje pierwsze słowa, ale nie mogę się powstrzymać. Muszę usłyszeć jej zaprzeczenie, żeby pozbyć się niepewności.

Tej samej niepewności, z którą kazałem jej żyć przez te wszystkie dni, gdy zastanawiała się, czy wrócić. Bo nie oddzwoniłem. Nie odpowiedziałem. Zmusiłem ją do zastanawiania się nad tym, czy mi na niej zależało.

Wzdryga się po moim pytaniu, a potem powoli odwraca do mnie, lecz wyraz jej twarzy jest ukryty w mroku.

Ale odszedłeś.

— Co? — Wydaje się zaskoczona. A może zirytowana?
Nad nami przetaczają się błyskawice.

— Kochasz go, Saylor?

Pierwsza kropla deszczu spada na mój policzek.

Odszedłeś.

— Nie. Nie kocham go, Hayes.

Nie zacznij się bawić włosami, Saylor. Nie pokazuj mi, że kłamiesz. Obserwuję jej dłonie. Czekam na ich ruch, który ją zdradzi.

Zaczyna padać. Krople na liściach. Na chodnikach. Na piasku. Nieliczne, ale widoczne.

One zmyją brud.

Dłonie Saylor się nie poruszają.

— Nie?

Wyplucze całą przeszłość.

Wybuch śmiechem. Potrząsa głową.

— Jesteś zabawny, wiesz o tym? — Przebłysk temperamentu. I niedowierzania.

Oczyści nas. Pozwoli zacząć od nowa.

— To o co chodzi, Saylor? — Podchodzę bliżej, bo muszę się dowiedzieć, co się tutaj dzieje. — Co cię tak wytrąciło z równowagi.

Grzmoty wstrząsają powietrzem i kroplami deszczu. Elektryzują je.

Patrzemy sobie prosto w oczy. Otwieram i zamykam usta, bo mam ochotę ją popędzić, ale się pohamowuję. Podchodzę jeszcze bliżej i kładę dłoń na jej policzku. Czuję deszcz na jej skórze i jego zapach w powietrzu.

— Bo nie chcę, żeby to się skończyło.

— Co się skończyło?

Grzmot i sekundę później błysk. Idealne odzwierciedlenie moich uczuć, gdy czekam na jej odpowiedź. Uczuć, które we mnie wzbudza.

— *To.* — Cisza. Pewna siebie. Mruga rzęsami od deszczu i znowu spogląda mi w oczy.

Jestem jak oniemiały. Grzmot i błysk zderzają się ze sobą.

— To?

Muskam kciukiem jej wargi, gdy deszcz przybiera na sile.

— Ty. Ja. Ten weekend. — Każde słowo jest niespieszne. Przemyślane. Jakby bała się, że zaprzeczę. Odsuwa się i przechodzi kilka kroków, a potem potrząsa głową i odwraca się do mnie.

— Saylor. — Mój głos ginie w przetaczającym się grzmocie.

— Do licha. Ja cię kocham. — Nadzieja, miłość, strach, akceptacja, pokora, pragnienie i pożądanie wzbierają we mnie po tych słowach. Saylor wyrzuca ramiona w górę. Przemoczona sukienka przykleja się do jej ciała. — Zawsze cię kochałam, Hayesie Whitleyu. Gdy miałam dziesięć lat, nogi jak patyki i aparat korekcyjny. Gdy miałam czternaście lat, siedziałam w domku na drzewie i zazdrościłam dziewczynom ze szkoły średniej, które chwaliły się całowaniem z tobą. A potem sama się z tobą całowałam i nienawidziłam ich za to, że też to miały, ale nie potrafiłam cię o nic obwiniać. Nawet gdy

odszedłeś... wciąż cię kochałam. — Głos jej się łamie. Szczerość emocji w jej głosie porusza mnie w zupełnie nieznanym sposobie, chociaż byłem przekonany, że poruszyła już we mnie wszystko.

Stoję oniemiały. Oddziela nas woal deszczu, a mimo to czuję z nią silniejszą więź niż kiedykolwiek. Chcę odpowiedzieć, lecz ona potrząsa głową i przerywa mi gestem dłoni.

Piorun uderza nad oceanem, rozświetlając dzikość jej oczu.

— Nie. Daj mi skończyć. Muszę powiedzieć ci wszystko, co mam do powiedzenia. Mitch stwierdził, że twój cień przez cały czas snuł się między nami. I że dlatego nam nie wyszło. Zawsze między nami był. Odparłam, że to bzdura. Kłamstwo. Ale wiesz co? Miał rację. Zawsze między nami byłeś, Hayes. W moich snach. W moich myślach. W moich nadziejach. Permanentnie wytatuowany w moim sercu.

Rozdział 24

Saylor

Hayes stoi przede mną bez ruchu, a jedynym przejawem jego emocji jest pulsujący mięsień szczęki. Nieznacznie przechyla głowę, jakby chciał się upewnić, czy dobrze zrozumiał to, co powiedziałam. Dostrzegam w nim ulgę. Nadzieję. Pożądanie. *Miłość*. Ma przyklejone do głowy włosy i przemoczoną koszulę. Robi krok w moją stronę i patrzy mi uważnie w oczy. Jeszcze nigdy nie wyglądał tak przystojnie.

Kładzie dłoń na moim policzku, rozpalając na nowo naszą więź.

— Saylor. — W jednym słowie wypowiedzianym tym jego głębokim głosem kryje się tak wiele emocji.

Wysłałam tu, bo musiałam odetchnąć. Słowa Mitcha nieco zbyt trafnie opisywały obawy i wątpliwości, które wciąż drzemią gdzieś w moim wnętrzu. A teraz pojawia się Hayes i jego twarz wyraża dokładnie ten sam tumult, jaki mam w środku. Jakby tym właśnie dla mnie był: burzą, która może mnie zdruzgotać.

To moja jedyna szansa na wyłożenie wszystkich kart na stół, bo jeśli tego nie zrobię, a on odejdzie, zawsze będę się zastanawiała, czy zrobiłam wszystko, co mogłam, żeby go zatrzymać.

— Kochałam cię, Hayes. Wtedy. Teraz. I zawsze będę. Panicznie boję się tego, co będzie, gdy stąd wyjedziemy. Gdy wsiądziemy każde do swojego samolotu, polecimy do naszych oddzielnych światów i znowu znikniesz z mojego życia.

Nie odpowiada. Jego ciało jest zbyt napięte od emocji. Reaguje w jedyny sposób, w jaki potrafi teraz wyrazić swoje uczucia i *pokazać* mi, co wzbudza w nim moje wyznanie.

Wpija się we mnie ustami synchronicznie z błyskiem nad głową. To ostry pocałunek. Mocny. Rozpaczliwy. Przesycony pożądaniem.

Nie opieram się. Wchodzę w to całą sobą. Ustami, dłońmi i sercem. Jesteśmy przemoczeni do szpiku kości, wokół nas szaleje burza, lecz nam udało się wyciszyć nasz wewnętrzny sztorm.

— Boże, tak, Ships. — Moje imię ulatuje z szalejącym wiatrem, a Hayes wraca do moich ust i bierze to, czego pragnie. To, co mu daję. Moje ciało, bo wszystko inne już dawno mu oddałam, chociaż sobie tego nie uświadamiałam.

Poruszamy się jak desperaci. Żądza i determinacja napędzają nasze działania. Nasze pragnienia. Naszą potrzebę zjednoczenia się. Przypieczętowania końca zamętu, które dręczył nas przez ostatnie dziesięć lat.

Nie zważamy na to, gdzie jesteśmy. Ani na deszcz i chłoszczący nas wiatr. Widzimy tylko siebie. Liczy się tu i teraz. Hayes swoimi zaborczymi ustami wyraża swoje emocje, wypełnia mnie nimi i zatapia w nich, a ja nie mam ochoty się wynurzać.

Odskakujemy od siebie po nieoczekiwanym błysku. Dysząc obrzucamy się złaknionymi spojrzeniami i uśmiechamy się nieśmiało, lecz zmysłowo, bo nasze libida

wołają o jeszcze.

— Musimy iść do siebie — mówi spiętym głosem, a jego postawa idealnie odzwierciedla samokontrolę trzymającą się na ostatniej nitce. Ma rozpięte kilka pierwszych guzików koszuli, a erekcja napina eleganckie spodnie.

— Musimy — przytakuję, ale zamiast ruszyć w stronę willi, zbliżam się do niego. Chwytam go za przemoczoną koszulę i przyciągam do siebie, żeby znowu go pocałować. Tym razem robię to wolno, uwodzicielsko, kusząco. Nie słyszę jego gardłowych westchnień, ale na dłoniach i ustach czuję ich wibracje, które prowokują mnie do starań, by wywołać kolejne.

Hayes zsuwa ręce na moje biodra i chwyta mnie za pośladki, a ja przeciągam swoje po jego ramionach i obejmuję go za szyję. Jak na komendę unosi mnie, a ja owijam się nogami wokół jego pasa. Bez słowa rusza, nie przerywając naszego długiego, niespiesznego pocałunku. Wykorzystuję swoją pozycję, w której nasze ciała idealnie do siebie pasują, i składam pocałunki wzdłuż krawędzi jego szczęki.

Pochłaniają mnie doznania. Smak soli i deszczu. Zapach jego wody kolońskiej. Ciężkie westchnienia. Jego dłonie zaciskające się na moich pośladkach, gdy obejmuję go nogami ciaśniej, dzięki czemu z każdym krokiem po ścieżce prowadzącej do willi jego erekcja ociera się dokładnie tam, gdzie pragnę ją czuć.

Mam wrażenie, że dotarcie do drzwi zajmuje nam całą wieczność. Kiedy w końcu nam się to udaje, Hayes nie opuszczając mnie na ziemię, zaczyna grzebać w kieszeniach w poszukiwaniu klucza.

Moje ciało wibruje z niecierpliwości i palącego pożądania. Ale nie ma klucza, tylko zamknięte drzwi i szept:

— Nie wytrzymam już ani chwili dłużej.

Po tych słowach Hayes rusza ze mną prywatną ścieżką prowadzącą na tył willi.

Mam zamknięte oczy, a usta przyciśnięte do jego karku. Czuję, że wchodzi po jakichś schodach, otwiera drzwi do ganku osłoniętego z obu stron grubym listowiem, po czym nachyla się i kładzie mnie na podwójnym szezlongu.

W chwili, gdy pozbywa się ciężaru mojego ciała, jego samokontrola przestaje istnieć.

Przepada bez śladu.

Chwyta mnie za kostki nóg i przyciąga na brzeg. Podwija mi się sukienka, nogi opadają na ziemię, a plecy zsuwają się z oparcia. Zaczynam się śmiać, bo uwielbiam tę jego stronę. To, że *mnie pragnie i musi mnie mieć*.

Nim zdążę spojrzeć mu w oczy, zsuwa się w dół i przeciąga językiem wzdłuż cienkiego materiału majtek. Krzyczę pod wpływem tego upajająco stłumionego doznania w rozpaczliwym błaganiu o jeszcze, a on kładzie dłonie na moich udach, rozchyła je szerzej i robi to jeszcze raz. Jego język naciska na moje majtki, zjeżdża w dół, a potem wraca z powrotem, żeby popieścić łechtaczkę.

Odchylam głowę i chwytam go za włosy. Wyrывa mi się jęk. Wyginam biodra, żeby miał lepszy dostęp, bo tekstura materiału w połączeniu z wilgotnym ciepłem jego języka wywołują zupełnie nieznanne doznania, które doszczętnie wypłukują z mojej głowy wszelkie myśli.

— Pachniesz tak cholernie dobrze, Say. Niemożliwie — mruczy, a ciepło jego oddechu zapowiada to, czego jeszcze nie dostaję. Całe moje ciało wibruje z pożądania pod wpływem jego komplementu i wspomnienia obietnic złożonych wcześniej na parkiecie tanecznym.

— Hayes. — Chwytam go mocniej za włosy i próbuję podnieść mu głowę, żeby powiedzieć, że nie obchodzi mnie żadna gra wstępna, bo całowanie w deszczu rozpało mnie do czerwoności. No i to, że otworzyłam swoje serce, a on rzucił się na mnie zamiast do ucieczki.

Rozpaczliwie go pragnę.

Potrzebuję.

W sobie.

W tej chwili.

Ale on nie chce mi oddać kontroli. Otrząsa się z mojego uchwytu, pocierając przy tym nosem mój najwrażliwszy punkcik między nogami. Wyrywa mi się głośny jęk, bo nie mogę już wytrzymać.

— Jeszcze nie, Saylor. Nie bój się. Zerznę cię, porządnie i ostro. Obiecuję, że zasłużę na każdy pieprzony jęk, jaki z siebie wydajesz. Tak będzie jednak dopiero wtedy, gdy wylizę każdy smakowity zakamarek między twoimi udami. Posmakuję cię. Poczuję cię. Zawładnę tobą. — Jego niski chichot wibruje w przestrzeni. Uśmiecha się sugestywnie, a ja wiercę się pod wpływem palców, którymi niespiesznie przeciąga wzdłuż materiału majtek. Lecz gdy poddaję się doznaniom, zatrzymuje się i czeka, aż rozluźnią się moje mięśnie i nieco uspokoją przesycone doznaniem zakończenia nerwowe. A potem zaczyna od nowa. — Ale ponieważ słowa są tanie, najwyższy czas udowodnić je działaniami. Trzymaj się, Ships. Czeka cię ostra jazda.

Mój odruchowy uśmiech zostaje szybko wyparty przez jęk. Pomysł, że nie będę błagać, stopniowo upada. Moja umiejętność formowania zrozumiałych myśli znika w chwili, gdy Hayes jedną dłonią odchyła mi majtki, a drugą rozchyła mnie między nogami. A potem jego usta. Gorący i wprawny język na moim najwrażliwszym punkciku doprowadza mnie do szaleństwa. Szarpie konwulsyjnie biodrami, zaciskam pięści i przygryzam dolną wargę. W chwili, gdy rozpędzam się w podnieceniu tak bardzo, że niemal ocieram się o punkt bez powrotu, Hayes przestaje i zsuwa język w dół, w moją wilgoć. Wkłada go do środka. Kusi. Drażni. Prowokuje do błagania.

Jestem tak przytłoczona nawałem doznań — szalejącą wokół nas burzą i rozchelstaniem pożądaniem w moim wnętrzu — że nie sędzę, iż byłabym w stanie wykrztusić jakiegokolwiek słowa, nawet gdybym próbowała.

Język i palce stopniowo wzbudzają we mnie coraz większe pożądanie. Zaciskam dłonie coraz mocniej, oddycham coraz ciężiej, a postanowienie, że nie będę błagać znika wraz z pierwszą falą przetaczającego się przeze mnie orgazmu.

— Hayes. Hayes. Tak. Nie. O Boże. Przestań. — Ale wbrew swoim słowom trzymam jego głowę między udami i zatracam się w subtelnych muśnięciach jego języka, którymi nieznacznie podsycam szalejący we mnie sztorm orgazmu.

Słyszę jego chichot. A raczej czuję wibrację na swoich hiperwrażliwych zakończeniach nerwowych i wiercę się, żeby się od niego odsunąć. Lecz on nie puszczając

moich, bioder unosi głowę, a na jego błyszczących od mojego podniecenia wargach widnieje szeroki uśmiech.

— Chciałbym napawać się twoim błaganiem.

Osuwa się na kolana między moimi nogami i patrząc na mnie pożądliwie, dodaje ochrypłym głosem:

— I będę się nim napawał, Saylor.

Rozszarpuje koszulę, której guziki rozsypują się po tarasie. Podziwiam jego bicepsy i kusząco wypracowane mięśnie brzucha, gdy odlepia z siebie przemoczony materiał.

— Oj, będę.

Sięga dłońmi do pasa. Słyszę odgłos rozpinania rozporka. Widzę charakterystyczny ruch dłoni poruszającej się wzdłuż członka.

— Ale zerznięcie cię jest teraz ważniejsze.

Zwilżam usta w oczekiwaniu. Oczy Hayesa jeszcze bardziej ciemnieją od pożądania, gdy pociera główką w dół i w górę po mojej nabrzmiałej wilgoci. Bezwiednie jęczę, a pragnienie sięga zenitu.

Wokół nas słychać bezlitosny wiatr, lecz Hayes przerywa i spogląda mi prosto w oczy. Dopiero, gdy nasze spojrzenia się krzyżują, powoli wchodzi do środka. Opinam go mięśniami przytłoczona obezwładniającą przyjemnością wzbudzaną przez wsuwający się członek.

Jęk Hayesa, gdy dociera do końca, jest niesamowicie seksowny. Jak wszystko, co z nim związane. Sposób, w jaki odchyła głowę, rozchyła usta i zaciska dłonie na moich udach.

Zaczyna się poruszać. Pierwsze wysunięcie i gwałtowny powrót rozsyłają ten słodki, rozkoszny ból po całym ciele. Wiem, że Hayes jest równie pochłonięty jak ja. Zatracony w tej chwili. W uczuciu zjednoczenia. W każdym cholernym doznaniu, jakie sobie dajemy.

Od początku narzuca mordercze tempo. W jego ruchach nie ma żadnego wahania. Z jego ust nie wydobywa się nic poza moim imieniem. Jest skupiony wyłącznie na końcu gry.

Czas jest pocięty światłem błyskawic. Urywki chwil, w których sylwetka Hayesa wyłania się ze spowijających nas ciemności.

Ma naprężone ramiona. Ścisza mnie mocno. Wbija się ostro z zaciśniętymi ustami i wzrokiem utkwionym w miejscu naszego zjednoczenia.

Obserwowanie go jest erotyczne. Seksowne. Dodaje mi pewności.

— Tak. Boże, tak, Say. Powiedz mi „tak” — jęczy, wbijając się we mnie dziko. Patrzę jak zahipnotyzowana na wchłaniający go orgazm. Nigdy nie zapomnę wyrazu jego twarzy i złamanego głosu, którym wypowiedział moje imię.

Powiedz mi „tak”.

„Tak” na co? Na niego? Na to, że jesteśmy tu razem? Na wspólną przyszłość?

Powoli wysuwa się ze mnie i przytula mnie, a ja myślę tylko o tym, że chciałabym, żeby chodziło mu o to ostatnie.

Bo po wszystkim, co między nami zaszło, jak mogłabym odpowiedzieć inaczej niż

„tak”? W krótkim czasie sprawił, że poczułam się pewna siebie, adorowana, akceptowana i *kochana*.

Wzbudził we mnie wszystko, czego Mitch nie potrafił. Nie był w stanie.

Jestem wyczerpana emocjonalnie. *Usatysfakcjonowana. Wskrzyszona.*

Ten dzień przyniósł tak wiele emocji. Tak wiele sprzecznych emocji. I tak wiele wyznań.

Ale to? Hayes pyta mnie — nie, błaga *mnie* — bym powiedziała „tak”?

Jestem przytłoczona.

Zdominowana.

Jego.

Może miał rację. Słowa bywają tanie, ale on z całą pewnością dowiódł ich swoimi działaniami.

Udzielam więc jedynej odpowiedzi, jaką od zawsze dla niego mam.

— Tak.

Rozdział 25

Saylor

Już po burzy.

To moja pierwsza myśl po przebudzeniu, gdy czuję na policzkach ciepło słońca wpadającego przez odsłonięte okna. Zapomnieliśmy je wczoraj zasłonić. Padliśmy do łóżek po północnej przekasce. I kolejnej rundzie nieziemskiego seksu.

Pan Kapitan zdecydowanie wie, jak poprowadzić swój okręt do ekstazy.

Tłumię chichot ze swojej nedorzecznie żenującej myśli i wtulam się głębiej w ciepło leżącego obok mnie Hayesa. Upajam się ciężarem jego ramienia na moim biodrze, zaborczością jego dłoni na moim brzuchu i trudną do niezauważenia poranną erekcją, która napiera na mój bok od tyłu. Wszystko w nim wydaje mi się spełnieniem mojej wizji nieba.

Wtedy przypomina mi się, co oznacza ten poranek. To nasz ostatni dzień. Wzdycham i zamykam oczy, starając się zapamiętać to uczucie i cieszyć się nim mimo nagłego przerażenia, które kładzie się cieniem na tych naszych ostatnich godzinach razem.

Przypominam sobie wczorajszy wieczór. Mitch i Sarah są dziwni. Nie rozumiem ich relacji i niecodziennej potrzeby skonfrontowania się ze mną akurat na swoim weselu. Lepiej pomyślę o Hayesie. Cały czas mnie rozbawiał i rozluźniał mimo nieustannej krytyki i złośliwych uwag ze strony gości. Nasz *taniec*. Ech. Podniecający taniec, który był jak zapowiedź tego, czego pragnę, lecz nie mogę jeszcze mieć. Moje wyznanie w trakcie burzy z piorunami i jego długie, niespieszne i wilgotne pocałunki, które mogłyby trwać całą noc.

Chociaż nie, kłamię. Bo to, co stało się później, było po prostu niewiarygodne.

Dlaczego więc tylko mnie dręczą takie myśli? I takie obawy? Wiem, że jego zdaniem słowa są tanie, a wszystkiego dowodzą działania, ale bezwiednie zaczynam się zastanawiać nad tym, czy jego podejście bliżej, żeby mnie pocałować, nie było czasem sposobem na to, by nie musiał roztrząsać własnych uczuć. Wzbudza to we mnie panikę. Tłumię ją razem z niepożądaną myślą, że być może Hayes wcale nie czuje tego co ja. *Powiedziałam mu, że go kocham i że zawsze go kochałam.*

Nie rób tego, Saylor. Całą noc pokazywał ci, co do ciebie czuje. Poprzez troskliwość, oddanie i namiętność. Trzymam się tej myśli, przypominając sobie, że nigdy nie był zbyt wylewny w tej kwestii.

Zatopiona w jego bezpiecznym ciepłe uświadamiam sobie, że muszę zaakceptować to, co może mi dać w sposób, w jaki potrafi to okazać.

Czas mija. Chłonę każdą sekundę. Zatracam się w emocjach. Akceptacji. Nadziei na coś więcej, na coś lepszego, niż kiedykolwiek sobie wyobrażaliśmy, i celowo ignoruję szczegóły ewentualnej realizacji takich marzeń.

Zauważam jego przebudzenie. Wychwytyuję przelotne napięcie mięśni i zakłócenie rytmu jego oddechu. Ale Hayes milczy.

Leżymy w ciszy po zakończonej burzy i deszczu, który wyplukał z nas brudy przeszłości. Ocean przynosi delikatną bryzę, a nasze serca próbują odnaleźć się w nowej sytuacji. Są nieco bardziej spełnione. I, na co liczę, nieco mniej zdruzgotane.

— Mógłbym kupić nam dom w połowie drogi między naszymi miastami.

Muszę wykrzesać całą swoją siłę woli, by nie odwrócić się do niego z otwartymi ze zdumienia ustami, tak bardzo szokują mnie jego słowa. Zaskakuje mnie to, że posunął się w myśleniu tak daleko, podczas gdy ja bałam się liczyć na cokolwiek więcej niż *ostatni dzień*.

Powoli nabieram powietrza i wypuszczam je, żeby okiełznać nadzieję, która właśnie wypłynęła na powierzchnię.

— Nie mogłabym cię o to prosić — mówię, chociaż całe moje ciało krzyczy *TAK, zrób to, proszę*. Wszystko, co zwiększy nasze szanse w konfrontacji z bezlitosnymi statystykami dotyczącymi trwałości związków na odległość. — Sam mi powiedziałeś, że zdarza ci się pracować niedorzecznie długo. Nie mogłabym skazywać cię na to, żeby po takim dniu czekała cię jeszcze godzinna jazda samochodem. A powiedzmy sobie szczerze, Los Angeles jest tak tragicznie zakorkowane, że dojazd do domu prawdopodobnie trwałby jeszcze dłużej.

— Ale ja chciałbym go kupić, Saylor.

Na moje wyznanie miłości nie odpowiedział co prawda, że mnie kocha, ale te słowa znaczą dokładnie to samo.

— Wiem.

— To byłby kompromis dla nas obojga. Moglibyśmy robić to, co kochamy, a jednocześnie pracować nad tym, żeby *nam* się udało. Wiem, że uwielbiasz swoją cukiernię, ale w ten sposób nabrałabyś nieco dystansu i oddzieliłabyś życie osobiste od zawodowego... na tyle, na ile to w ogóle możliwe w twoim przypadku. — Chichocze w tył mojej głowy, a ciepło jego oddechu sprawia, że dostaję gęsiej skórki. — A ja miałbym miejsce, do którego mógłbym uciekać przed blichtrzem Hollywood i jego niekończącymi się ściemami. Miałbym szanse na prowadzenie zwykłego, codziennego życia.

— Przecież uwielbiasz ten blichtr i blask — drażnię się.

— Ale wyłącznie twój.

— Ależ z ciebie czaruś, panie Whitley.

Milkniemy i zatapiamy się w myślach o tym, co jeszcze nas czeka. Nasze oddechy się wyrównują. Zastanawiam się, jak się zmusimy do rozstania na lotnisku po tym, gdy odnaleźliśmy się na nowo. To tak, jakby ktoś pożyczył Ci puchatą kurtkę w mroźny dzień, pozwolił nią otulić i uwierzyć w jej ciepło, a potem wrócił ją odebrać.

— Rozgryziemy to, Ships — szepcze, trafnie odczytując tok mojego rozumowania. — W końcu znamy się nie od wczoraj. Zapominasz o tym, jak dobrze cię znałem w tamtych czasach, gdy zadzierałaś nosa.

— Chrzań się. — Przewracam oczami i śmieję się, ale z przyjemnością przyjmuję uścisk jego dłoni, przyciągających mnie bliżej. Ale obawy wracają mimo jego żartobliwego komentarza. Bo leżenie w jego ramionach to jedno, a rozdzielenie się z nim to coś zupełnie innego.

— Powiedz coś. Powiedz, co się dzieje w tym twoim pięknym, skomplikowanym,

upartym i kreatywnym umyśle.

— Ja tylko po cichu boję się tego, co będzie dalej — szepczę.

— Cóż, pomyślmy. Dalej będzie to, że pojutrze mam przesłuchanie w Nowym Jorku. Do filmu, z którego scenę ćwiczyłem z tobą. Reżyser i kierownik obsady stwierdzą na tej podstawie, czy nadaję się do tej roli. Na razie nie są do końca przekonani, czy ją udźwignę, bo dotychczas grałem zupełnie inne role. Ale ja właśnie dlatego jej chcę. Tak więc będzie wyglądała moja najbliższa przyszłość. Wybiorę się tam. Zagram wyśmienicie i zdobędę rolę. A ty? Ty wrócisz do domu i sprawdzisz, czy po weselu coś się poprawiło w interesach. Jeśli nie, to wymyślimy inne sposoby na ściągnięcie klientów do twoich drzwi. Cukiernia to twoje marzenie, więc zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby ją rozkręcić.

Kilkakrotne użycie formy „my” zupełnie mnie rozkleja. Czuję w gardle palące łzy, a w sercu wzbiera nadzieja na to, że może nam się uda.

— Co? — dopytuje, gdy nie odpowiadam. Nie potrafię, bo jestem zbyt przytłoczona emocjami wzbudzonymi przez jego słowa. — Uważasz, że całostronicowa kolorowa reklama przedstawiająca mnie nago z tacką twoich babeczek tuż nad moim członkiem nie zwiększy rozpoznawalności i sprzedaży?

Nie potrafię powstrzymać parsknięcia, gdy wyobrażam sobie ten obraz.

— Tylko pod warunkiem, że strategicznie rozmieścimy mączne ślady rąk na twoim ciele dla większego efektu.

— Zawsze byłaś gotowa poświęcać się dla sprawy.

— Ciężka praca, ale ktoś musi.

— Hm. Nie mam nic przeciwko. Twoje dłonie na mnie są zawsze mile widziane.

— Wtulam się pupą jeszcze bardziej, a kłująca mnie erekcja rozbudza wszystkie jeszcze uśpione zakamarki.

— Uhm — szepczę. Ciekawe, jak to możliwe, że wciąż go pragnę po tak potężnej dawce seksu, jaką sobie wczoraj zafundowaliśmy.

— Widzisz? Wymyślimy wszystko na bieżąco. Będziemy codziennie do siebie pisać i ze sobą rozmawiać. Będziemy szczerzy ze sobą, gdy coś się nie uda, bo dobrze wiemy, że alternatywa, czyli nie bycie ze sobą, nie wchodzi w rachubę. A co weekend będziemy sypiać na zmianę to u mnie, to u ciebie, aż znajdziemy coś bardziej trwałego, co nam się spodoba.

— Dlaczego w twoich ustach wydaje się to takie łatwe?

— Łatwe? *W żadnym wypadku*, Saylor. Nie tylko ty jesteś teraz w euforii i masz wrażenie, jakby po raz pierwszy od dziesięciu lat ktoś cię znowu zrozumiał. Nie myśl sobie, że skoro jestem facetem, to będzie mi łatwo patrzeć, jak wsiadasz do samolotu. Znasz mnie. Nie jestem zbyt dobry w słowach. W ich wypowiedaniu lub rozumieniu. Nigdy nie byłem. Dlatego uwierz mi w to, co mówię. To ja kiedyś odszedłem, Saylor. To ja spieprzyłem i pozbawiłem nas możliwości przeżywania tego przez ostatnie dziesięć lat. Więc na pewno nie będzie to dla mnie łatwe. Ale biorąc pod uwagę alternatywę, czyli brak ciebie w moim życiu, zdecydowanie warto zaryzykować.

Moje serce z trudem bije, bo jest tak obezwładnione miłością do niego. Próbuję się obrócić, bo chcę spojrzeć mu w oczy.

— Nie. Nie odwracaj się. — Hayes trzyma mnie mocno, żebym tego nie zrobiła.

— Dlaczego?

— Wiesz, poranny oddech.

— Mówisz poważnie? — Typowy facet. Najpierw rzuca te przytłaczające wyznania prosto z serca, żeby chwilę później mówić o porannym oddechu.

— Śmiertelnie poważnie. Rozpaczliwie potrzebuję umyć zęby, ale jest mi z tobą tak dobrze, gdy przyciskasz się do mnie tyłkiem, że nie chcę na razie wstawać.

— Jakbyś musiał się przejmować porannym oddechem — pryham.

— Co to niby miało oznaczać?

— Cóż, panie „jestem hollywoodzkim bogiem”. Nawet z najbardziej cuchnącym oddechem świata mógłbyś mieć kobiety na pęczki. Wystarczy, że staniesz przed dziewczyną bez koszuli, a ona zemdleje z wrażenia. I to wcale nie z powodu twojego porannego oddechu.

— Kpisz sobie ze mnie — mówi, łaskocząc mnie w żebra, a ja próbuję mu się wyrwać.

— Nie, nie kpię. Nigdy nie brakowało ci pewności siebie.

Jego palce zatrzymują się na mojej piersi. Przykłada czoło do tyłu mojej głowy i wyznaje:

— Owszem, brakowało.

— Kiedy?

— Wczoraj.

Po raz kolejny jego słowa nie tylko mnie zaskakują, lecz dowodzą jego dojrzałości i chęci dopuszczenia mnie do swojego wnętrza.

— Dlaczego?

Śmieje się bardziej do siebie niż do mnie, po czym milknie. Daję mu czas na odpowiedź.

— Myślałem, że uciekłaś z przyjęcia, bo to było dla ciebie zbyt wiele. Sądziłem, że żałowałaś swojej decyzji. I że wciąż kochasz Mitcha. — Wczorajszy strach wyraźnie przebija się w jego głosie.

— Och, Hayes. Jesteś stuknięty.

— Może, ale sprowokowały mnie do tego wczorajsze zdarzenia i to, że poprzedniej nocy wypowiedziałaś jego imię przez sen.

— Imię Mitcha? O czym ty mówisz?

— Wyszeptалаś imię Mitcha po naszym pierwszym seksie.

Próbuję sobie przypomnieć, czy miałam ostatnio jakiś sen o Mitchu, ale nic takiego nie przychodzi mi do głowy.

— Zaręczam ci, że jedyne sny, jakie miewam o Mitchu, to takie, w których wyrzucam go ze swojego życia. — Potrząsam głową i dociera do mnie, co tak naprawdę Hayes mi wyznał. Dodaję więc głosem pełnym zadumy: — Jak mogłeś pomyśleć, że wciąż go kocham po tym wszystkim, co przeżyliśmy razem w ten weekend?

— Bo wiem, jak to jest zobaczyć dawną miłość i poczuć, jakby ktoś przywalił ci w brzuch. Wiem, jak to jest żałować wszystkiego, co się tej osobie zrobiło, i jednocześnie utwierdzić się w swoich uczuciach do niej. Bo tak się poczułem tego pierwszego dnia,

gdy wszedłem do Sweet Cheeks. — Przerywa, a ja uśmiecham się nieznacznie, bo poczułam wtedy dokładnie to samo. — Wczoraj się wystraszyłem, bo nie mogłem cię znaleźć. A potem zobaczyłem cię, ty powiedziałaś, co powiedziałaś, i to było... było jak uderzenie pioruna.

— Cóż za zbieg okoliczności — chichoczę. Uwielbiam to oblicze Hayesa Whitleya, który potrafi wyrażać swoje emocje znacznie lepiej niż jego nastoletnia wersja.

— Cicho. — Następuje poruszenie na łóżku i obrywam miękką poduszką w głowę.

Wiercę się, żeby się uwolnić. Wśród śmiechów i chichotów łapię drugą poduszkę i zaczynam nią dziko wymachiwać. Klęczymy naprzeciw siebie i okładamy się poduszkami. Każde trafienie w ciało wywołuje równie energiczny wybuch śmiechu oraz żartobliwe złożeczenia i groźby.

— Lepiej za bardzo się nie zbliżaj — piszczę, ale on łapie moją poduszkę, wydaje okrzyk zwycięstwa i kładzie mnie na materacu. Przygważdża mi dłonie po bokach i uśmiecha się szeroko. — Myślałam, że mam trzymać się z dala od ciebie, panie Poranny Oddech.

Jego oczy rozświetlają się tak jak jego uśmiech.

— Miałaś. — Wzrusza ramionami. — Ale potem sobie ze mnie żartowałaś.

— I co zamierzasz z tym zrobić? — Unoszę brwi i uśmiecham się wyzywająco.

Wędruje spojrzeniem w dół, przyglądając się uważnie mojemu ciału. Tak dobrze się bawiliśmy, że zupełnie nie pomyślałam o tym, iż wciąż jesteśmy nadzy, bo tak wczoraj zasnęliśmy. W końcu Hayes wraca z tej wędrownki, a w jego spojrzeniu zaczyna tlić się ogień pożądania.

— Przychodzi mi do głowy mnóstwo rzeczy, które mógłbym *zrobić*.

Bardzo chętnie zagram z nim w tę grę.

— Nie ma mowy. Jestem brudna i muszę wziąć prysznic — mówię i próbuję się wyrwać.

Śmieje się głośno.

— To nasz czwarty dzień, a ty już odmawiasz mi seksu? Odbierasz mi wszelką nadzieję dotyczącą naszego życia seksualnego za dziesięć lat.

Słyszę jego ripostę, a pod wpływem aluzji do przyszłości serce na chwilę przestaje mi bić, ale nie podejmuję polemiki. Pożądanie mąci mi w myślach i podsuwa inne słowa. Błyskam nieśmiałym uśmiechem, mrugam powiekami i rozkładam nogi, żeby mógł zobaczyć różową skórę na dole.

— Hm... Jest kilka pozycji, w których nie będziesz zionął mi swoim paskudnym oddechem w twarz.

— Doprawdy? Miejmy nadzieję, że te pozycje wygładzą twoje rozczochrane włosy, żeby nie zakłócały mi dobrych wibracji.

— Twoich wibracji, *panie „jesteś Bogiem”*? — Śmieję się, cytując jego słowa z wczoraj. Uwielbiam jego rozrywkowe oblicze.

— Sama je poczułaś, zwłaszcza, że wczoraj posunęłaś się do błagań.

Uderzam go poduszką, która była pod ręką.

— Wcale nie.

— Dobrze, rozczochrana panno.

Znam doskonały sposób na wygranie tej bitwy. Wiem, jak zamknąć mu usta i uzyskać dokładnie to, czego pragnę. *Jego we mnie*. Na moich ustach rozkwita leniwy uśmiech.

— Najlepiej pomogłoby moim włosom, gdybyś owinął je wokół swojej dłoni, a potem...

Przerywam z jękiem, bo Hayes w ułamku sekundy przewraca mnie na brzuch. Czuję na pośladkach jego grubą i ciężką męskość. Chwyta mnie za włosy — tak jak powiedziałam — i przejmuje kontrolę, przeciągając językiem wzdłuż mojego kręgosłupa.

— Podoba mi się twój sposób myślenia, Ships.

Rozdział 26

Saylor

Powłóczę nogami, bo nie mogę się pogodzić z tym, że nasz czas w tym miejscu powoli dobiega końca. Wkrótce będziemy musieli na nowo przyzwyczajać się do prawdziwego życia i znaleźć nową normalność, jeśli chcemy, żeby to wypaliło.

Przypomina mi się poranek. Przytulanie. Seks pod prysznicem. Wspólna kawa na tarasie. Ostatnia kąpiel w oceanie przed willą. Spacer za rękę po plaży. Wykorzystaliśmy każdą możliwą chwilę razem, w końcu jednak musieliśmy zająć się pakowaniem.

— Widzisz? Udało nam się. Odcieśliśmy się od świata na cały weekend. Oto nagroda: twój telefon, madame. — Podnoszę wzrok na Hayesa, który wyciąga do mnie dłoń z telefonem i uświadamiam sobie, że ma rację. Tak bardzo wciągnęłam się w relację z nim, że zupełnie zapomniałam o DeeDee walczącej z cukiernią i innych codziennych troskach.

Uśmiecham się, co wydaje się moją stałą reakcją na jego widok.

— Łatwo przy tobie zapomnieć o całym świecie, Hayes — mówię, odbierając swój telefon, i przy okazji muskam go palcami po dłoni.

— Nie bądź smutna. — Przyciąga mnie do siebie i mocno przytula. — Rozgryziemy to. Uda nam się. Obiecuję.

Słowa są tanie. Dlaczego przypominają mi się akurat te słowa? Wątpliwości zatruwają mi serce i ściskają za gardło, bo wiem, że ten czas bezpowrotnie się kończy.

— Wiem. Musimy je włączać?

Gładzi mnie dłonią po plecach i odpowiada:

— *Niestety.* Dowiedziałem się, że ponowne włączenie do sieci może potrwać z minutę lub dwie. Więc mamy przynajmniej tyle.

— Zgaduję, że powinniśmy jak najlepiej wykorzystać te minuty?

— Zdecydowanie.

Całuje mnie najczulej jak to możliwe. W sposób, od którego podkulają się palce u nóg, a ciało zaczyna płonąć w najśrodszy sposób. Zatracamy się w tym pocałunku, w sobie nawzajem i w słodko-gorzkich emocjach tej chwili.

Z innego pomieszczenia dobiega dzwonek telefonu Hayesa. Spinamy się, a Hayes ciężko wzdycha.

— Proszę, już się zaczyna. — Chichocze w moje usta, po czym całuje mnie jeszcze raz, stuka palcem w czubek mojego nosa i wychodzi po telefon.

Patrzę za nim, a potem opadam na krawędź łóżka, kompletnie oczarowana jego osobą i jednocześnie przygnębiona koniecznością opuszczenia tego rajku bez niego.

Cieszę się jednak z tego czasu, w którym udało nam się naprawić stare błędy i nieoczekiwanie wzmocnić łączącą nas wiele lat temu więź. Mam wrażenie, że dzięki temu łatwiej było mi odnaleźć tę dawną, beztroską Saylor.

Niechętnie włączam telefon i kładę się na łóżku. Nie dziwi mnie, że Hayes wisi na

telefonie. Przez korytarz dobiegają do mnie strzępki jego rozmowy. Nie słyszę dokładnie tego, co mówi, ale wydaje się dość pobudzony. To straszne, że wystarczyło zaledwie kilka minut, by rzeczywistość wróciła w całość swej rozpiętości.

Nie jestem gotowa na powrót do realnego świata i zrujnowanie naszej idylli w raju.

W chwili, gdy przychodzi mi do głowy ta myśl, mój telefon zaczyna jak zwariowany sygnalizować wiadomość za wiadomością. Zaciskam mocno powieki, próbując to zignorować, w końcu jednak wpadam w niepokój, bo strumień sygnałów nie ma końca.

Coś musiało się stać. Dostrzegam na ekranie mnóstwo wiadomości od DeeDee, a ich początkowe fragmenty utwierdzają mnie w tym przeczuciu. Panikuję.

DeeDee: Przykro mi, że tak się stało. Piekarnik...

Nieznany numer: Może wywiad?

DeeDee: Nie chcę cię martwić tym, co się dzieje, ale...

Numer zastrzeżony: Chciałbym zaproponować artykuł o pani w magazynie...

Ryder: Zabiję go...

DeeDee: Piekę w domu, dopóki Ryder czegoś nie wymyśli...

Ryder: Próbuję to jakoś opanować...

DeeDee: Cholerny piekarnik znowu nawalił, może powinnam...

Zrywam się na równe nogi, wybieram numer DeeDee i czekam na połączenie. Nie mogę przeczytać wiadomości, bo mam telefon przy uchu, więc próbuję wywnioskować coś z tych fragmentów, które zobaczyłam. Dlaczego Ryder chce zabić Mitcha? Czy piekarnik zupełnie padł? Wywiad? Artykuł? Może teoria Rydera i Hayesa była prawdziwa.

Ale to niemożliwe. Wesele było wczoraj. Fala nie odwróciłaby się tak szybko.

— Saylor?

— Dee! Strasznie cię przepraszam. Miałam wyłączony telefon. Co się dzieje?

— Przepraszam. Nie chciałam... nie powinnam dzwonić po tym wszystkim, co zaszło...

— Co z piekarnikiem? — dopytuję. Dee wydaje się zdenerwowana, a ponieważ wiem, że w takich sytuacjach trajkocze, ucinam to, bo chcę przejść do rzeczy. Mój umysł natychmiast przestawia się z raju na rzeczywistość. Na *moją* normalność.

— Padł. Dostaliśmy zamówienie na dużą imprezę urodzinową i w połowie realizacji zaczął się dymić, pojawił się ogień i...

— Ogień? — pytam piskliwym, spanikowanym głosem.

— Nic się nie stało. Ryder mi pomógł. Piekę w domu w nocy, żeby rano wszystkie witryny były pełne.

Nie mogę uwierzyć, że zniknęłam dosłownie na chwilę, a tyle się wydarzyło.

— Dee... — Nie wiem, co powiedzieć. Serce i rozsądek ścierają się ze sobą w kwestii kolejnych działań. Wybieram sprawdzoną ścieżkę, która będzie w moim życiu niezależnie od dalszych zdarzeń. — Strasznie mi głupio. Włóczę się tu po tropikalnym raju, a ty musisz sobie z tym wszystkim radzić. Jadę na lotnisko i spróbuję złapać wcześniejszy lot, żeby... nie wiem... nie czuć takiej bezradności i wyrzutów sumienia z powodu tego, że zostawiłam cię w takiej sytuacji.

— Kilka godzin i tak nic nie zmieni. Ryder świetnie się spisał. Pomógł mi z

piekarnikiem i z tym tłumem przed wejściem, który czeka na twój powrót.

— Jakim tłumem? — Zatrzymuję się na moment. O czym ona u licha mówi?

— Nie przejmuj się tym. Ryder opanował sytuację. Sama masz wystarczająco dużo na głowie, więc cieszę się, że chociaż w tym mogliśmy ci pomóc.

— Chwileczkę! Co to za ludzie przed wejściem?

— Reporterzy.

Reporterzy?

— Jacy reporterzy?

— Ci, którzy dowiedzieli się o tobie i Hayesie.

He? Dlaczego reporterzy mieliby interesować się mną i Hayesem? A, rozumiem. Ja mogę sobie widzieć w Hayesie chłopca, który zabrał mi ciastka po szkole, ale dla reszty świata on jest celebrytą. Celebrytą, który obnosił się w ośrodku ze swoim nazwiskiem, żeby mi pomóc. Zwróciłam uwagę na gości hotelowych podchodzących po autografy i zdjęcia, ale byłam tak pochłonięta relacją z nim, że nie zastanawiałam się nad konsekwencjami tego, że jest osobą publiczną.

Jak mogłam o tym nie pomyśleć? O zewnętrznym świecie i zainteresowaniu, jakie Hayes na mnie ściągnie? Albo o tym, jak łatwo wrzucić zdjęcie do mediów społecznościowych i udostępnić tysiącom osób?

A sądząc po słowach DeeDee, ktoś zrobił dokładnie coś takiego. Tymczasem ja byłam skupiona na maksymalnym wykorzystaniu każdej chwili z Hayesem. Rozwiązywałam problemy z przeszłości, chłonełam go i koniec końców zakochałam się w nim jeszcze bardziej, niż wydawało mi się możliwe.

Cóż za brutalne przypomnienie o tym, że miłość jest w stanie zaślepić mnie na rzeczywistość.

— Okej... hm... muszę to wszystko przemyśleć. Właśnie skończyłam się pakować i spróbuję złapać jakiś wcześniejszy lot i... — Przerывam, skubię przegrodę nosa i walczę ze łzami frustracji. — Trzymaj się. Wrócę najszybciej, jak się da.

Rozłączam się i zmuszam się do głębokiego oddechu. Nie chcę mieć wyrzutów sumienia z powodu tego weekendu z dala od cukierni, w trakcie którego nie musiałam myśleć o pracy, zepsutym piekarniku i marginesie zysku. Przypominam sobie, że zasłużyłam na odpoczynek po całej tej ciężkiej pracy.

Poza tym zamknęłam rozdział życia z Mitchem i otworzyłam kolejny, pełen nowych możliwości, z Hayesem. Jak mogłabym sobie to wypominać?

Ale reporterzy? Poważnie? Zapewne muszę do tego przywyknąć? Plusy? Może dzięki temu cukiernia zyska darmowy rozgłos.

— Nie obchodzi mnie to, Benji. Jaja sobie ze mnie robisz? Myślałeś, że nie będę miał nic przeciwko? Od kiedy masz prawo podejmować takie decyzje bez mojego zdania?

Głos Hayesa przerywa ciszę. Podskakuję na odgłos uderzenia w blat. O, o.

— Czy ty rozumiesz, co zrobiłeś? Temu, co od nie wiem jak dawna staram się odzyskać? Nie, nie chcę słuchać wyjaśnień. Pieprzyć pieniądze. Pieprzyć umowę poufności. Nie rozumiesz tego? Nie ma to dla mnie znaczenia. Żadna z tych rzeczy nie ma dla mnie znaczenia, skoro wszystko zepsułeś... Ja tylko... Ja nie mogę... Wiesz co? Lepiej się rozłączę, zanim powiem coś, czego będę żałował... Tak. Wątpię w to.

Czekam w pokoju i zastanawiam się, co mogło go tak zdenerwować. Zaaferowana cukiernią waham się, czy zejść na dół i spytać, czy wszystko w porządku.

Okazja do tego jednak przepada, bo do moich uszu znowu dobiega jego głos.

— Odbierz ten pieprzony telefon. — Słyszę, jak chodzi po drewnianej podłodze. Dziesięć kroków, przerwa, dziesięć kroków z powrotem.

Jego głos jest stłumiony. Chyba wypowiada jakieś imię, ale gdziekolwiek zaszedł, nie słyszę go stamtąd wyraźnie. Głęboko w środku jakaś część mnie zaczyna się bać tego, co się stało.

— Nie wystarczy już problemów, których narobiłaś? — Wyraźnie wyczuwam jego gniew. Brzmi tak groźnie, że współczuję osobie, z którą rozmawia. W jego chichocie sarkazm miesza się z furią. — Szarada skończona. Nie mam zamiaru tego ciągnąć... Nie. To bzdury, dobrze o tym wiesz... Staralem się być miły. Chciałem ci pomóc. Pomóc zachować twarz moim kosztem... I wiesz co? Mam tego dość. Mam dość twoich nieustannych kłamstw wynikających z pragnienia zdobycia uwagi. Wyłączyłem telefon na kilka dni, nie odpowiadałem, a ty zrobiłaś coś takiego? Pieprzyć pieniądze. Pieprzyć film... Mój wizerunek? Gównu mnie obchodzi *mój wizerunek*. Nie zgodziłbym się na to, gdyby mnie obchodził. Ale wiesz co? Obchodzi mnie ona. I wszystko, co jej dotyczy... Nie. Wykorzystałaś ją. Tak jak i mnie. Ale ją wykorzystałaś bez pytania. Bez zastanowienia się nad tym, jak bardzo namieszasz jej w życiu swoim *przypadkowym* wyznaniem, rzuconym po to, by ocalić własną skórę. Rzuciłaś ją sępom na pożarcie, żeby chronić swój samolubny tyłek.

Jego głos jest z każdym słowem coraz bardziej podniesiony, wściekły i sfrustrowany, a ja mogę tylko czekać przy ścianie korytarza w miejscu, do którego doszłam. Mam nadzieję, że Hayes przez pobyt tutaj nie przegapił czegoś ważnego związanego z filmem, premierą czy czymkolwiek innym, co jest ważne dla aktorów.

Jednocześnie jednak intuicja podpowiada mi, że ta konwersacja ma coś wspólnego ze mną. Nie wiem, jak to możliwe, ale tak czuję.

— Cóż, nie udało się. *Jest tragicznie...* Zrobiłaś to bez pozwolenia. Niby przypadkiem to skomentowałaś. Pozwoliłaś ludziom uwierzyć w to, w co chcieli uwierzyć, i nie pomyślałaś o nikim poza sobą. Typowe, co? Za mało ci było zainteresowania, więc poszłaś i... NIE! — Jego grzmiący głos niesie się echem po całej willi, odbijając się od podłóg i korytarzy. — Kochałem cię, Jenno. Ale to? Właśnie dlatego z tobą skończyłem. Właśnie dlatego mam dość sprzedawania własnej duszy, by chronić twoje tajemnice i przy okazji spieprzyć sobie życie. Mam gdzieś umowę o poufności. Niech sobie to wyciągną. Niech mnie pozwą. Przekonasz się, czy mnie to obchodzi...

Hayes mówi dalej, ale przestaję go słyszeć, bo w głowie huczą mi słowa *kocham cię, Jenno*. A może powiedział *kochałem*? Nie daje mi to spokoju. Te dwa słowa, których mi nie powiedział.

Kocham cię, Jenno.

Ale jej potrafił to powiedzieć.

Bezwiednie ruszam do przodu. Moje serce jest tak wezbrane, że już dziesięć minut temu miałam wrażenie, iż wybuchnie, a teraz czuję, że za chwilę doznam implozji.

Rozdział 27

Hayes

W moich żyłach pulsuje wściekłość, jakiej chyba jeszcze nie czułem. Tak pobudzony byłem chyba tylko wtedy na farmie Schillinga, gdy zobaczyłem, jak Danny Middleton próbuje się dobierać do Saylor.

Wszystko sprowadza się do Saylor, czyż nie?

Jenna bredzi coś w słuchawce, ale nie chce mi się tego słuchać. Nie mam ochoty na kolejną dawkę jej egoistycznych kłamstw. Nie mogę uwierzyć, że kiedyś coś dla mnie znaczyła.

Teraz jest dla mnie niczym. Niczym prócz powodu, który może skłonić Saylor do odejścia ode mnie.

Pomyśleć tylko, że sam wpadłem na tak głupi pomysł. Podpisałem tę pieprzoną klauzulę poufności i skazałem się na ściemy Jenny. Ostatecznie okazało się to bez sensu, bo ona i tak wystawiła mnie do wiatru.

— Musiałam to zrobić. Wszędzie czaili się reporterzy i musiałam rzucić im kilka wskazówek, żeby się odczepili.

Kilka wskazówek? Chyba raczej słowa *oto Saylor, rozbijaczka związków* podane na pieprzonej srebrnej tacy.

— Kochałem cię, Jenna. Ale to? Właśnie dlatego z tobą skończyłem. Właśnie dlatego mam dość sprzedawania własnej duszy, by chronić twoje tajemnice i przy okazji spieprzyć sobie życie.

— Nie mówisz serio. — W jej głosie słychać panikę. — A co z moim ojcem? Co z filmem? Podpisałeś...

— Mam gdzieś umowę o poufności. Niech sobie to wyciągną. Niech mnie pozwą. Przekonasz się, czy mnie to obchodzi... — Chodzę po pokoju z dłońią na karku i gorączkowo próbuję coś wymyślić.

— NIE! Proszę, nie mogę już tego naprawić, ale wynagrodzę ci to...

Odwracam się, żeby ruszyć z powrotem w stronę kuchni i staję twarzą w twarz z Saylor. Ma upięte na czubku głowy włosy, rozchylone usta i zarumienione policzki.

Ale w jej oczach dostrzegam ocean bólu.

O cholera. Ona wie.

— Saylor. — Rzucam telefon na blat, nie zastanawiając się nad tym, czy Jenna nadal wypluwa z siebie swoje ściemniane wykręty.

— *Kocham cię, Jenno?*

Niech mnie. Nie mogło być inaczej. Ze wszystkiego, co powiedziałem, najwyraźniej usłyszała właśnie to. Prawdopodobnie zdążyła już wytłumaczyć sobie to zupełnie inaczej, niż miałem na myśli. Nie daję mi czasu na odpowiedź na swoje niewypowiedziane pytania. Wyprostowuje się i przyjmuje obronną postawę.

A to oznacza bliski wybuch gniewu.

— To nie tak, jak myślisz. Pozwól mi wyjaśnić. — Nie byłem pewien, które z tych dwóch zdań powinienem powiedzieć najpierw, więc mówię oba, jak najszybciej, bo muszę to powstrzymać, zanim się rozkręci.

— Nie tak jak myślę? — Splata ręce na klatce piersiowej. Przesłępuje z nogi na nogę. Zaciska usta. — Staram się zachować spokój, Hayes, i nie wyciągać pochopnych wniosków, ale nie jest mi łatwo. Może powinieneś mi wyjaśnić, co cię tak wzburzyło. Dlaczego mówisz o wizerunku i robieniu czegoś dla kogoś i brzmisz, jakbyś miał na myśli mnie...? I dlaczego powiedziałeś Jennie, że ją kochasz, chociaż mam *szczerą* nadzieję, że się przesłyszałam i powiedziałeś *kochałem*?

— Jenna jest toksyczna. — Zaczynam w jedyny sposób, w jaki mogę, bo mam wrażenie, że między mną i Saylor zapanował arktyczny chłód, który śmiertelnie mnie przeraża, a nie mam czasu do stracenia. — Ostatnie półtorej roku spędziła w głównej mierze na odwykach narkotykowych. — Saylor robi wielkie oczy. Dzięki Bogu jest zaskoczona, bo to znacznie lepsze, niż widzieć w jej oczach ból, który był w nich jeszcze kilka sekund temu. — To powszechnie znany hollywoodzki sekret. Wszyscy o tym wiedzą, ale nikt nie odważy się obmawiać córki Paula Dixona i jej małego problemu z proszkiem do pudrowania noska. Cholera, ja się zorientowałem dopiero po sześciu miesiącach spotykania się z nią. Pracowaliśmy niedorzecznie długo na planie filmu *The Grifter* i byłem albo zbyt zmęczony, albo zbyt zaaferowany, żeby zwrócić uwagę na sygnały alarmowe.

Przypominam sobie, jak to się zaczęło. Ranki, w które nie zjawiała się na planie. Niekończące się wykręty. Nietypowe wahania nastrojów.

— Starłem się okazywać jej cierpliwość. Myślałem, że mogę jej pomóc. Nie wiem. — Wzdycham. Przeczesuję dłonią włosy. Nie umiem się uspokoić. — To było balansowanie na krawędzi, ale lubiłem ją. Fajnie było mieć kogoś, kto rozumie presję tej pracy. Na pewno pomagało nam też to, że kręciliśmy na wyjeździe w Vancouver, więc zasadniczo mieliśmy do towarzystwa tylko siebie.

— Jak to się wiąże z terażniejszością? I z tym, co powiedziałeś? Myślałam, że zerwaliście kilka miesięcy temu.

Chichoczę z pogardą dla samego siebie, która idealnie odzwierciedla głupotę tego, że się na to zgodziłem.

— Dla kogoś z zewnątrz tak było, ale w rzeczywistości zerwaliśmy znacznie wcześniej. — Saylor potrząsa głową, próbując zrozumieć coś, czego nawet ja nie rozumiem. — Po skończeniu zdjęć wróciliśmy do Los Angeles i Jenna zupełnie przestała się kontrolować. Obrzuciła mięsem reżysera, zwolniła swojego agenta i publicznie obu obmawiała. Wbiła się na plan filmu realizowanego przez jej ojca, oskarżyła go o wszelkiego rodzaju niewypowiedziany szajs i generalnie narobiła mu straszego wstydu. Co gorsza, wkurzyła studio swoim wywiadem, w którym krytykowała film i decyzje, jakie w związku z nim podjęto. I nagle film, z którego wytwórnia zamierzała zrobić letni przebój kinowy, zaczął mieć złą prasę. Skutki jej działań były dosłownie oplakane. Musieliśmy zorganizować interwencję, która skończyła się osadzeniem jej w ośrodku odwykowym. Nie miałem wtedy pojęcia, że to już jej trzeci lub czwarty raz w ciągu tyluż lat.

— Pamiętam złą prasę dotyczącą filmu. Ale nie miałam pojęcia o tym wszystkim...

— Nikt nie miał. Wkurzyła wytwórnię. Wkurzyła sponsorów i producentów, którzy przekazali wytwórni spory kapitał inwestycyjny, żeby zasilić budżet filmu. Był to jeden z najdroższych filmów w historii wytwórni, więc góra była gotowa podjąć wszelkie konieczne kroki, żeby nie przekreślać szans na sukces jeszcze przed wejściem filmu do kin. Ale jej wywiad był szeroko komentowany. Jenna stała się nieprzewidywalna i w wytwórni zaczęto się zastanawiać, czy warto ryzykować budżet na marketing, skoro aktorka grająca główną rolę robiła wszystko, żeby zniszczyć film. Dyskutowano nad zawieszeniem go lub wysłaniem prosto do Netflixu, ale wtedy wszyscy by za to polecieli. Część sponsorów groziła wycofaniem swoich funduszy z projektu, jeśli wytwórnia nie zapanuje nad wygłupami Jenny. Nie miałem pojęcia, że niektórzy z nich znali jej historię, bo obracali się w tych samych kręgach co jej ojciec. Z tego powodu zażądali dołączenia do jej kontraktu aneksu, o którym prawie nikt nie wiedział. Ja też. — Potrząsam głową z frustracji. Pamiętam swoją wściekłość, gdy mi to wyjawiono. To było dzień po tym, jak Jenna trafiła na odwyk. — Z aneksu wynikało, że jeśli Jenna wróci do nałogu, zgodzi się na konfiskatę zaliczki i wszelkich dochodów z filmu. Jak się okazało, w pewnym sensie także moich. Delikatnie mówiąc, byłem ślepy, szczególnie że ona wróciła do nałogu. W wytwórni zaczęto w panice zastanawiać się nad tym, jak ukryć przed sponsorami fakt złamania kontraktu przez Jennę.

— Najważniejszy jest wizerunek — mruczy Saylor z wyraźnym zainteresowaniem i szeroko otwartymi oczami, po czym siada na najwyższym stopniu schodów. Przynajmniej mam jeszcze jej uwagę.

— Cóż, ludzie od pieniędzy też tak myśleli. Kluczowe było jednak ukrycie „wakacji” Jenny w ośrodku odwykowym. Gdyby sponsorzy się dowiedzieli o złamaniu zapisów kontraktu, wycofaliby resztę funduszy, co oznaczałoby słabszy marketing i obcięcie wszystkiego... w tym naszych wypłat do momentu wypuszczenia filmu i otrzymania zysku z biletów.

— Tak przecież nie można.

Parskam śmiechem. Uwielbiam jej naiwne wyobrażenie o tej branży. Przez większość czasu żałuję, że sam już tak nie potrafię.

— Może i odniosłem sukces i wyrobiłem sobie nazwisko, Say, ale ludzie od pieniędzy... oni mają znacznie większą kontrolę nad moim światem, niż się wydaje. Dają pieniądze wytwórniom, a ponieważ to oni ponoszą całe ryzyko, aktor musi nie tylko zagrać, lecz także spełnić wymagania związane z promocją i public relations. To oni trzymają wszystkie asy. Dlatego dzień po wyjeździe Jenny na odwyk zostałem wezwany na spotkanie, na którym wyjawiono mi szczegóły jej kontraktu i konsekwencje, jakie poniesiemy zarówno ona, jak i ja, jeśli sponsorzy dowiedzą się o jej powrocie do nałogu. *Niezłe gównno.* Przeraziło mnie to. Moi prawnicy próbowali znaleźć lukę prawną w moim kontrakcie i żądali wyjaśnienia, dlaczego nie poinformowano mnie o tym przed rozpoczęciem zdjęć. Jednocześnie prawnicy Jenny błagali mnie o cierpliwość, żeby nie pogrzebać filmu. To był koszmar, z którego nie dało się wyplatać, nie ryzykując poważnego nadszarpnięcia istotnych relacji biznesowych i zmarnowania całej włożonej w film ciężkiej pracy. W trakcie tego chaosu ludzie z wytwórni poprosili mnie i wszystkie

osoby, które cokolwiek wiedziały, o podpisaniu umowy poufności. Nie chcieli, żeby to się rozniosło i zmniejszyło szanse na wypuszczenie filmu. Liczyli na stworzenie hitu kinowego, który podratowałby nieco ich zyski, nieustannie topniejące przez rozwijające się Netflix, Apple TV i świat streamingu internetowego. Uznali, że jeśli uda nam się ukryć odwyk Jenny i utrzymać jej nienaganny wizerunek, wszystko skończy się dobrze. Wygrzebali jakieś stare zdjęcia przedstawiające nas jako parę i podrzucali różne historie do magazynu plotkarskiego „Page Six”. Najróżniejsze bzdury, byle nie wyszło, że Jenna jest na odwyku. W oczach opinii publicznej mieliśmy nadal być zakochanymi gwiazdoram, zarówno na ekranie, jak i poza nim. A po premierze, która miała być miesiąc później, mieliśmy zerwać nasz udawany związek.

— Chwileczkę. Wytwórnia poprosiła was o udawanie pary, żeby ratować jej wizerunek? — Saylor sprawia wrażenie osłupiałej. Dokładnie tak się czuję przez większość czasu w tej branży.

— Tak. Ale ona nie dopilnowała, by jej nos był czysty. Kilka miesięcy temu wdała się w kolejną scysję z ojcem, który zasadniczo się jej wyrzekł, dopóki ona czegoś z sobą nie zrobi. Dostrzegał objawy i wiedział, że ona znowu bierze, więc jak sądzę, chciał jej okazać surową miłość. Jenna przyszła do mnie do domu z płaczem i wpadła w histerię, gdy zobaczyła Tessę. — Przypominam sobie tę scenę. Nieprzewidywalność i szalony temperament Jenny, która próbowała zaatakować najpierw Tessę, a potem mnie. Rzuciła przedmiotami. Tłukła je. — Wtedy do mnie dotarło, że jest ze mną w niezdrowy sposób związana i że muszę zacząć się od niej dystansować. Sprawiała wrażenie, jakby wierzyła w te wszystkie ściemniane historie z prasy brukowej o naszym szczęśliwym pożyciu. Przeraziło mnie to, Say. Uświadomiłem sobie, że my, czyli ja i ludzie z wytwórni, wybraliśmy całkowicie zły sposób rozwiązania tej sytuacji. I nie wiem, czy to z powodu presji ultimatum ojca, czy dlatego, że w końcu dotarła do niej fikcyjność naszego związku, ale próbowała popełnić samobójstwo po tym, jak ją wyrzuciłem.

— Hayes. — Współczucie w jej głosie daje mi nadzieję, że nie wpadnie w furję, gdy dowie się, jak została wplątana w całą tę historię. No ale...

— Tak. Paskudna sprawa. — Przypominam sobie ten telefon. I tę huśtawkę emocji od niedowierzania do poczucia winy, gdy nie wiedziałem jeszcze, czy z tego wyjdzie. — Oczywiście natychmiast uznałem, że to ja ponoszę odpowiedzialność jako kropla, która przelała czarę goryczy, bo wyrzuciłem ją z domu. Pierwsze kilka dni było nie do zniesienia. Nie mam pojęcia, jakim cudem informacja o jej próbie samobójczej nie przeciekła do prasy. Ani ile trzeba było łapówek i umów poufności ze strony jej agenta, menedżera lub cholernej wytwórni, żeby wszystkich uciszyć. Ale się udało. Niestety, gdy dwa dni później ją odwiedziłem, ktoś zobaczył, jak wchodzę do szpitala, i zaczął węszyć. Nie wiem, jak to się stało, ale wytwórnia o wszystkim się dowiedziała i specjalista od PR bez mojej wiedzy postanowił odwrócić uwagę od Jenny poprzez skierowanie jej na mnie.

— Bajka o zdradzie — mówi to w taki sposób, jakby nigdy nie wierzyła w jej prawdziwość, mimo że o to pytała, co przynosi mi nieznaczną ulgę.

Miejmy nadzieję, że to uczucie przetrwa. *Cholera. Dlaczego ja w ogóle się na to zgodziłem?*

— Właśnie. Historia o mojej zdradzie. Zaręczam ci, że gdy rano zobaczyłem tytuły

w tabloidach i zorientowałem się, co się stało, miałem ochotę zabić wszystkich w wytwórni. Rzuciałem groźby i wściekałem się, ale historia żyła już własnym życiem i nie dało się jej zatrzymać. Co miałem zrobić? Scenę? Wyznać prasie, a tym samym także sponsorom, że to część kłamstw wytwórni, mających zamaskować problemy narkotykowe i próbę samobójczą Jenny? W tamtym punkcie byłem w to tak samo zagrzebany jak Jenna.

— I dokładnie o to chodziło ludziom z wytwórni.

— Bingo. Dałem się podejść jak dziecko. Ale skąd mój agent i ja mieliśmy wiedzieć, że Jenna połknie butelkę tabletek, żeby ze sobą skończyć? Mój dwudziestomilionowy kontrakt był uzależniony od mojej emocjonalnie rozchwianej byłej dziewczyny. Zostałem wykiwany na wszelkie możliwe sposoby i nie mogłem obwinić nikogo poza sobą. — Patrzę na Saylor i szukam w jej oczach krytyki, ale jej nie znajduję. — Więc owszem, pozwoliłem działowi PR i prasie przedstawić Jennę jako damę w opałach, która musi odpocząć od Hollywood po tym, jak ją zdradziłem i poniżyłem. Dlatego ignorowałem w wywiadach pytania o to, co między nami zaszło. Uznałem, że im mniej powiem, tym lepiej. Wychodziłem przez to na dupka, ale wolałem to niż produkowanie kolejnych kłamstw.

— Oczywiście kobiety wybaczą dupkom, bo uwielbiają urok niegrzecznego chłopca, ale nie wybaczą kobietom, tylko je szkalują.

— Nigdy nie patrzyłem na to w ten sposób, ale w sumie tak właśnie jest. — Wzdycham ciężko i nie cierpię się za to, że ona za chwilę pozna na własnej skórze dotkliwość takiego szkalowania.

— Czyli nie powiedziałaś *kocham cię*, tylko...

Próbuje mnie skłonić, żebym dokończył, bo chce usłyszeć to, co zdradzają jej oczy. Ale rozumiem ją. Gdybym był na jej miejscu, prawdopodobnie czułbym się tak samo. Ha. Kogo ja oszukuję? Wściekłbym się i żądał wyjaśnień. A ona stoi cierpliwie, słucha moich usprawiedliwień i nie ma pojęcia, że kobieta, o której mówię, właśnie poważnie namieszała w jej życiu.

— Ona jest strasznie chwiejna i nie chciałem jej drażnić. Dlatego powiedziałem, że ją *kochałem*. Bo muszę przyznać, że im dłużej trwa ta szarada, tym bardziej sceptycznie podchodzę do jej pobudek. Początkowo myślałem, że naprawdę chciała umrzeć, ale teraz? To specjalne traktowanie na odwyku i cała uwaga, jaką zdobyła, każą mi myśleć, że ona sama to wszystko nakręca. Może nie mogła znieść spadku zainteresowania mediów i dlatego zrobiła numer pod tytułem „próba samobójcza”? Ale oczywiście dałem się nabrać na jej grę. I teraz wzrok wszystkich jest skierowany na nią, wszyscy ją pocieszają i zwracają na nią uwagę. A ja coraz bardziej jestem przekonany, że zostałem nabity w butelkę.

— Dlaczego się na to zgodziłeś?

— Bo jestem głupi? — Śmieję się głucho, pocierając dłonią twarz i potrząsam głową. Myślę o niedorzeczności całej tej sytuacji i tym, jak cholernie wspaniała jest Saylor. — Bo byłem wtedy tak głęboko w to uwikłany, że ponosiłem taką samą odpowiedzialność za tuszowanie tej sprawy jak ona. Może po prostu było mi jej szkoda. Wiesz, życia pod presją dziedzictwa Paula Dixona i jego półki z Oscarami. A może po

prostu nieco narcystycznie uważam, że to bardzo dobry film. Chyba najlepszy, w jakim dotychczas zagrałem, a Jenna... poza ekranem jest w rozsypce, ale na ekranie okazała się pieprzonym geniuszem. Całym sercem zgadzam się z decydentami z wytwórni, że ten film ma potencjał stania się przebojem. No i oczywiście uzależniony od rozwoju sprawy dwudziestomilionowy czek też nie jest bez znaczenia. Pomyślałem sobie: niech tylko film wejdzie do kin, i umyłam ręce i zrywam z nią wszelkie stosunki.

— Ale skąd oni wiedzieli, że stworzony przez nich twój wizerunek nie zaszkodzi promocji filmu?

— Nie wiedzieli, ale zarezerwowali mi już odpowiedni czas w mediach przez najbliższy miesiąc, żebym pokazywał się jako uśmiechnięty i miły facet, za którego wszyscy mnie uważali. Facet, który uprzejmie odmawia komentowania niejasności związanych ze swoim mocno upublicznionym zerwaniem na zasadzie: *jestem dżentelmenem, a to moje prywatne sprawy.*

— Polityka firmy.

— Owszem.

— Nie do wiary. Masz pełne prawo do wściekłości. Nie mogę pojąć, że wytwórnia była w stanie... miała czelność zmusić cię... do tego wszystkiego. — Ściąga usta i spogląda na mnie z niedowierzaniem. Przechodzą mnie ciarki, gdy czekam na pytanie, które ma wypisane na całej twarzy. Pytanie, na które wolałbym nie odpowiadać. — Co się w takim razie stało teraz, że jesteś tak poruszony?

Saylor

Oczywiście czuję ulgę po wyjaśnieniu kwestii *kochałem cię, Jenno*, ale niełatwo przetrwać to wszystko, co usłyszałam. Jak to możliwe, że ludziom uchodzą płazem takie kłamstwa i oszustwa? Rozumiem oczekiwania studia, by film okazał się sukcesem, ale zszarganie z tego powodu reputacji Hayesa wydaje mi się nieuczciwe. Rzecz jasna, Hayes dał się wykorzystać, żeby odwrócić uwagę od Jenny, bo nie chce zmarnować pracy włożonej w film i stracić swojej wypłaty.

Rozumiem to wszystko, dlatego więc mam wrażenie, że w tej historii kryje się coś jeszcze? Zerkam w lewo na granitowy blat kuchenny, na którym dwa dni temu uprawialiśmy miłość w tumanach mąki i cukru. Czułam wtedy euforię. Lecz teraz? Teraz czuję się zagubiona i niepewna. Jakby mój świat miał się za chwilę rozpaść, chociaż pobyt tu z Hayesem sprawił, że po raz pierwszy od wielu miesięcy czułam, że odzyskuję grunt pod nogami.

Niepokój przybiera na sile, gdy spoglądam Hayesowi w oczy. Zrezygnowany żal połączony z niepewną trwogą, który ma wypisany na całej twarzy, każe mi sądzić, że nie spodoba mi się odpowiedź na zadane przed chwilą pytanie. *Znam ten wyraz twarzy.* Odwraca wzrok w stronę okna i pociera dłonią kark i ramię.

Nie tylko ja zdradzam się jakimś gestem.

Zazwyczaj robił coś takiego, gdy pozwalał sobie na opuszczenie gardy i opowiadał mi o siniakach zauważonych przez niego na ciele mamy lub o głośnych uderzeniach o ścianę, które budziły go czasem w nocy.

Nie radzi sobie. Coś się stało. Tylko co?

— Mój agent uznał, że dobrze byłoby wykorzystać tę wycieczkę w celu zdobycia odrobiny dobrej prasy.

Przechodzi mnie dreszcz niepokoju.

— Co rozumiesz przez *tę wycieczkę*? — Jestem na tyle bystra, żeby się domyślić, ale staram się trzymać emocje w ryzach i wolę zapytać zamiast domniemywać. To dla mnie coś nowego. Już samo to uświadamia mi, jak bardzo zależy mi na Hayesie i na tym, żeby nam wyszło.

Cierpliwość nigdy nie była moją mocną stroną, lecz teraz staram się wykrzesać jej z siebie tyle, ile to możliwe.

Hayes bierze głęboki wdech, robi krok w moją stronę i wyjaśnia:

— Wiesz, *Hayes Whitley naprawdę jest tym miłym facetem, za jakiego go uważaliście. Przykro nam, że nie mógł być na waszej premierze, ale w tej chwili przebywa poza granicami kraju, bo wybrał się z przyjaciółką z dzieciństwa na wesele.* Chodziło o tego rodzaju prasę.

Wysłuchuję go do końca i zastanawiam się, czy powinnam czuć się obrażona, czy po prostu to przyjąć. Ale niezależnie od wybranej przeze mnie reakcji nie wiem, jaki to

ma związek z tym, co tak go wzburzyło.

— Okej — mówię, przeciągając to słowo. — Chodziło o zrobienie z ciebie znowu miłego chłopca. Trzeba odwrócić uwagę od wizerunku zdradzającego partnera, zanim zaczną się konferencje związane z filmem, prawda? — Potakuję nieznacznie przez cały czas, próbując poskładać te fragmenty w całość i odkryć to, co mi umyka.

— Mniej więcej. — Patrzy mi w oczy. Badawczo. Wzbudza moją podejrzliwość.

— Mam rozumieć, że zaoferowałeś swoje towarzystwo z tym celem na myśli czy zaoferowałeś swoje towarzystwo i skoro się zgodziłam, to postanowiliście zrealizować przy okazji także ten cel? — Nie podoba mi się, że muszę o to pytać. *Nie podoba mi się*, że to wszystko mogło być oszustwem i że bezinteresowny akt wcale nie był bezinteresowny.

— Moja propozycja towarzyszenia ci, Say, ma związek wyłącznie z tobą i w ogóle nie była powiązana z jakąkolwiek reputacją. Chcę, żebyś to wiedziała i żebyś mi uwierzyła, okej?

Nieoczekiwana błagalność jego tonu zbija mnie z tropu. A jeszcze bardziej pobrzmiewająca w nim nutka desperacji.

Przytakuję. Daję mu do zrozumienia, że rozumiem, ale czuję się coraz bardziej zaniepokojona.

— Co się stało, Hayes? — Teraz to ja brzmię błagalnie.

— Musisz mi uwierzyć, że nie miałem z tym nic wspólnego. W ogóle o tym nie wiedziałem. Mój telefon był wyłączony aż do teraz i...

— Po prostu mi powiedz. — Serce łomocze mi w piersi. Nierówne staccato, które nagle zaczyna pulsować mi w uszach.

— Jenna wycięła jeden ze swoich kłamliwych i egoistycznych numerów. — Kładzie dłoń na karku i pociąga w dół. Na jego twarzy maluje się żal.

— Co *ona* zrobiła? — dopytuję złowieszczo spokojnym szeptem, lecz mam wrażenie, że tama lada moment pęknie.

— W pierwszy dzień naszego pobytu tutaj dzwoniła do mnie bez przerwy, a potem wysyłała wiadomości tekstowe, bo wkurzyła się, że jej nie odwiedzę, jakby uważała, że powinienem być u niej na każde zawołanie. Miałem jej tak serdecznie dość, że wyłączyłem telefon.

— To dlatego wzięłeś mi mój. — Przypominam sobie wyraz jego twarzy. Z jaką determinacją prosił o oddanie mu telefonu.

— Tak. Bałem się, że jej ściemy zepsują nam ten wspólny czas. Narobiła mi już wystarczająco dużo problemów i chciałem po prostu spędzić tutaj czas. Z tobą. Wiem, że nie potrafisz zapomnieć o pracy, i wołałem, żeby Jenna nie przeszkodziła mi w tym, co zamierzałem uzyskać w ten weekend.

— A co zamierzałeś uzyskać w ten weekend? — Ciekawość każe mi dopytać.

— Pierwotnie chodziło o naprawienie naszych stosunków. Odbudowanie przyjaźni. Powiedziałem sobie, że jesteś poza moim zasięgiem, bo żyjemy w zupełnie innych światach, a ty niedawno skończyłaś wieloletni związek. — Wzrusza ramionami ze zmieszonym uśmiechem. — Ale nie jestem aż tak dobrym aktorem, Ships. Nawet w swój najlepszy dzień nie byłbym w stanie przekonać samego siebie, że wystarczy mi twoja

przyjaźń.

Uśmiecham się bezwiednie mimo panującego między nami napięcia związanego z niewypowiedzianymi prawdami.

— Ja powiedziałam sobie, że musimy się pocałować, żeby mieć to już za sobą i o tym zapomnieć. I że potem będziemy mogli znowu być przyjaciółmi.

— Nie sądzę, że uda mi się o tobie zapomnieć, Saylor — mówi z determinacją. Szczerze. Ale troska w jego spojrzeniu każe mi wrócić z romantycznego tralalądu do prawdy o tym, co się stało.

— Co się stało, Hayes? — naciskam.

— Po włączeniu telefonu dostałem chyba z milion wiadomości. Prasa wiedziała, że jestem w tym ośrodku. Nic dziwnego, skoro rzucałem swoim nazwiskiem na lewo i prawo, żeby duppek Mitch i jego rodzina wiedzieli, kto jest twoim partnerem.

— Okej. — Przytakuję. Próbuję wyobrazić sobie najgorszy scenariusz. — Czyli prasa dowiedziała się o twojej obecności tutaj. Ale czego mi nie mówisz?

Bierze powolny oddech. Odwraca wzrok na chwilę, po czym spogląda na mnie.

— Oni zrobili zdjęcia.

Przez głowę przebiegają mi obrazki z naszego pobytu. Klienci w barze lub na basenie, ukradkiem fotografujący Hayesa, a przy okazji też mnie. Nie jestem zachwycona, że prawdopodobnie będę na tych fotografiach, ale nie jest to koniec świata.

— No dobrze, ale czego dowodzą te zdjęcia? Że wybrałaś się z przyjaciółką z młodości na przyjęcie weselne? To chyba nic złego, prawda?

— Saylor. — Przeczesuje dłonią włosy. Przesłupuje z nogi na nogę. Mężczyzna, który zawsze był pewny siebie, nagle zupełnie przestał taki być.

— Hayes — mówię ostrzegawczo. *Po prostu powiedz.*

— Niektóre zdjęcia przedstawiają nas w ośrodku. Ale są też takie z oceanu z tamtej nocy.

Łączę kropki. Wyprostowuję się.

— Gdy pływaliśmy nago? — pytam z niepokojem. Przewijam w myślach cały wieczór, próbując przypomnieć sobie poziom mojej nagości w wodzie i na plaży.

Hayes przytakuje. Patrzy na mnie uważnie, oceniając moją reakcję.

— Są niewyraźne i wiem, że na wszystkich jesteś w stroju kąpielowym... ale patrząc na nie, trudno to stwierdzić. Jest też parę zdjęć z naszej babeczkowej wojny wśród zieleni. Ale to nie o nie...

— O mój Boże. Wczoraj w nocy. Ktoś zrobił nam zdjęcia wczoraj w nocy na tarasie za willą...

— Nie. Nie. Z tego, co mi wiadomo, nie ma takich zdjęć. — Oddycham z ulgą, bo nie chciałabym, żeby fotki naszego seksu rozeszły się wirusowo w internecie. — Nie sądzę też, żeby fotografujący nas ludzie byli skłonni do wychodzenia na burzę, jeśli nie wiedzieli, do czego między nami dojdzie.

— Hayes. — Znowu jego imię. Pytanie. Stwierdzenie. Ucieleśnienie kotłujących się we mnie emocji, których nie potrafię wyrazić.

— Gdyby ktoś zrobił nam wczoraj w nocy zdjęcia, już dawno zostałyby sprzedane i zalewałyby internet, a ja składałbym pozwy sądowe. Nic takiego nie ma miejsca, więc

sądzę, że możemy odetchnąć.

— Okej — mówię ostrożnie, bo potrzebuję więcej czasu, żeby rozgryźć, co mi umyka w całościowym obrazie sytuacji. Pierwsza myśl jest taka, że parę zdjęć przedstawiających mnie i Hayesa w tym ośrodku to żadna sensacja. Jesteśmy dorosłymi, którzy zdecydowanie zbyt dobrze bawią się w raju. I co z tego. — Cóż, może te zdjęcia to dobra rzecz. Wytwórnica chciała odbudować twój wizerunek i teraz fani mogą zobaczyć cię poza Hollywood ze słodką i grzeczną cukierniczką. Chyba nie można zrobić nic bardziej swojskiego i domowego, co?

— Oni sfabrykowali historię, Say.

— Co znaczy *sfabrykowali historię*? — Groza niczym stalowe kowadło przyciska mi żołądek. Miażdży go.

— Jenna powiedziała, że skontaktował się z nią reporter, który węszył w poszukiwaniu przyczyn jej nieobecności w typowych dla niej kręgach towarzyskich. Spytał o prawdziwość plotki mówiącej o jej pobycie w ośrodku The Meadows. Ciekawiło go też, dlaczego tam trafiła. Jenna stwierdziła, że spanikowała, i powiedziała mu, że odwiedzała przyjaciółkę, lecz reporter jej nie uwierzył. Dlatego... postanowiła odwrócić uwagę od siebie.

— *Co takiego zrobiła?* — Zamykam oczy, zwieszam głowę i czekam na dalszy ciąg. Przychodzi mi do głowy kilka scenariuszy, ale żaden z nich nie jest pozytywny. Boję się tego, co za chwilę usłyszę.

— Udała, że wyznaje prawdę. Zrobiła z siebie ofiarę i powiedziała, że wyjechałem na wakacje z kobietą, z którą ją zdradzałem. Stwierdziła, że trafiła do ośrodka, bo nie mogła sobie poradzić z depresją wywołaną przez nasz romans.

— *Co?* — wykrztuszam to słowo ze śmiechem, jakbym chciała sobie wmówić, że to żart. Hayes nie może mówić serio. Bo to by oznaczało, że nie mogę już myśleć *phi, do internetu trafiło kilka zdjęć, na których Hayes świetnie się bawi ze mną, przyjaciółką z dzieciństwa*. Te niewinne fotki pod wpływem szkalujących sugestii Jenny Dixon nabierają zupełnie innego znaczenia. Teraz jestem dziwką, która rozbiła najfajniejszą hollywoodzką parę. *Jasny gwint*. — Co?

— Przykro mi. — *Ton* jego głosu i sposób, w jaki to mówi, rozwiewają moje wątpliwości w kwestii powagi sytuacji.

Patrzę na Hayesa, ale mam wrażenie, że go nie widzę. Mrugam kilka razy, jakby miało mi to pomóc w zrozumieniu tego wszystkiego. Zauważam jego zrezygnowaną postawę i już wiem wszystko. *Jest gorzej, niż myślałam*. Ziemia się zapada, gdy uderza mnie ta nagła świadomość. Przez głowę przebiegają mi setki zdjęć w tabloidach z każdą kobietą, z jaką Hayes miał do czynienia od publicznego zerwania z Jenną. Mogę sobie tylko wyobrażać okropieństwa wypisywane na mój temat. Bezlitosne i okrutne hollywoodzkie dramatyzowanie.

Pomyśleć tylko, że tym razem mają prawdziwe zdjęcia na poparcie swoich plotek. Z nami, przemykającymi gdzieś chyłkiem po nocy, jakbyśmy szli na sekretne rendez-vous, chociaż my tylko cieszyliśmy się chwilą i pływaniem bez ubrań. Mogę sobie tylko wyobrażać te podpisy.

Wiem, że powinnam coś czuć. Gniew, niedowierzanie, poczucie zagubienia,

bezbronność i całą paletę tego typu emocji. Mimo to gdy patrzę na Hayesa i próbuję to wszystko pojąć, jestem kompletnie odrętwiała. Chciałabym wrócić do wymarzonego świata, w jakim przebywałam jeszcze kilka minut temu, gdzie jedynym problemem był zepsuty piekarnik, a ja zastanawiałam się, czy to, do czego doszło z Hayesem, wydarzyło się naprawdę, lecz wiedziałam, że wszystko będzie dobrze.

Byłam o krok od szczęśliwego zakończenia z jedynym chłopcem i mężczyzną, jakiego kiedykolwiek tak naprawdę kochałam.

Teraz jednak moją wyobraźnię zupełnie zdominowały potencjalne konsekwencje. Zniszczenia. Moje imię utaplane w błocie, żeby jakaś śliczna samolubna gwiazdeczka zdobyła zainteresowanie, którego potrzebuje, by zaspokoić swoje niewyobrażalnie przerośnięte ego.

Myślałam, że konsekwencje odejścia od Mitcha były dramatyczne. Nie podobała mi się etykieta *dziewczyny z biednych dzielnic, która rzuciła Idealnego Mitcha Laytona*. Ale to ma zasięg globalny. Tym razem jestem dziwką, która zniszczyła hollywoodzki obrazek idealnej pary.

W obu przypadkach byłam niewinna.

— Powiedz coś.

Nie potrafię. Jedyną reakcją, na jaką potrafię się zdobyć, jest potrząsanie głową, bo wciąż nie mogę uwierzyć, że kobieta może w taki sposób rzucić inną kobietę na pastwę wilków.

Przypominają mi się komentarze z wczorajszego przyjęcia. Z ust Mitcha. I innych gości.

O mój Boże. O mój Boże. Oni wszyscy o tym wiedzieli.

Wiedzieli o tym i w to wierzyli. A ta rozmowa z DeeDee? Jak wspomniała o tłumie przed cukiernią. I przepraszała za przeszkadzanie mi w kontekście tego, co się dzieje. *Nie miałam pojęcia, o czym mówi.*

SMS od Rydera. On miał na myśli zabicie Hayesa. *Nie Mitcha.*

A te prośby o wywiad?

Myślałam, że ktoś zamierza napisać o mojej cukierni, a w rzeczywistości ci pismacy tylko czekają, żeby przekręcić każde moje słowo i zrobić ze mnie jeszcze większą dziwkę i rozbijaczkę związków.

— Muszę wracać do domu — mówię, wstając. Odwracam się od Hayesa i ruszam w głąb korytarza. To nie jego wina. Wiem o tym. Czuję to głęboko w sercu, ale w tej chwili muszę zająć się jedyną rzeczą, która jeszcze jest dla mnie ważna. Wrócić do jedyne miejsca, w którym czuję się bezpiecznie.

Ryder. Pieczenie. Moje wybawienie.

— Saylor. — Słyszę jego kroki za sobą. W jego głosie błaganie splata się z zatroskaniem. — Porozmawiaj ze mną. Proszę.

— Muszę wrócić do domu. — Wrzucam do torby wszystko, co jeszcze zostało. Kostium kąpielowy, który zdjęłam w tamtą noc na plaży. Magnesik z żółwiem, wręczony mi przez Hayesa po nurkowaniu. Tunikę, którą kupiłam, bo Hayes stwierdził, że wyglądam w niej ślicznie. Jego koszulkę, w którą ubrałam się dziś rano, bo pachniała nim.

Walczę z pragnieniem wrzucenia jej do torby. *Chcę, żeby przy mnie był.* Ale rzucam

nią w niego. Stoi w drzwiach z miną zbitego psa, błagając mnie, bym coś powiedziała. *Nie chcę, żeby cokolwiek mi o nim przypominało.* I nie mogę z nim porozmawiać, bo nie wiem, co powiedzieć. Czuję się *zbezczeszczona*. A on łapie koszulkę i po raz kolejny wypowiada moje imię.

Pałają mnie łzy, lecz wysusza je płomień gniewu. Gniewu, którego nie mam na kim wyładować poza Hayesem.

— Czyli wybrałam się tu, żeby poprawić swój wizerunek w oczach porąbanych osób z kręgu Laytonów, którzy w ogóle mnie nie obchodzili, ale miałam nadzieję zwiększyć w ten sposób szanse swojej firmy na przetrwanie, a skończyłam jako rozbijająca związki dziwka w oczach *mas*. *To się nazywa osiągnięcie postawionych celów.*

Wzdycha. Z rezygnacją. Z przygnębieniem. Jego wzrok wyraża szczery ból obserwowania moich cierpień spowodowanych przez *jego* popieprzony świat.

— Tak. Nie. *Tak*. — Przytakuje. Niechętnie, bo wolałby móc zaprzeczyć. — Przepraszam, Ships.

Z jakiegoś powodu to moje przezwisko przeważa szalę.

— Nie nazywaj mnie tak! — wrzeszczę na niego z całych sił. — Wykorzystałeś mnie. Wiedziałeś to wszystko i mnie wykorzystałeś. Podrzuciłeś mi bilety. Zaoferowałeś swoje towarzystwo. Zaprosiłeś mnie w sam środek swojego bałaganu, nie ostrzegając mnie przed tym, co się dzieje w twoim życiu. — Głos mi się łamie. Ten weekend już wcześniej był istnym huraganem emocji. Ale to? — Jesteś współwinny, bo nic mi nie powiedziałeś.

— Musisz mi uwierzyć, że nie sądziłem, iż do tego dojdzie. Spodziewałem się paru wzmianek w prasie o tym, że towarzyszę dawnej przyjaciółce na przyjęciu weselnym w tym raj. Gdziekolwiek się pojawia, ludzie robią mi zdjęcia. Nie spodziewałem się tego, Say. Skąd miałem wiedzieć, że gdy wyłączę telefon, Jenna z tym swoim przerośniętym ego poczuje się zignorowana i postanowi wyładować się na *tobie*? Nie mogłem tego przewidzieć.

Przełykam gulę w gardle. Wiem, że ma rację... ale to nie uśmierza mojego gniewu.

— Ona rzuciła mnie, moją reputację i moją firmę na pożarcie rekinom. Gdy rozmawiałam z DeeDee, sądziłam, że reporterzy przed wejściem do cukierni mają gorszy dzień, bo nic się nie dzieje, i chcą wyciągnąć ode mnie jakieś stare brudy na twój temat. Jakieś niewinne rzeczy, gdy byliśmy dziećmi, czy coś. Urocze opowiadki. A gdy zobaczyłam wiadomości z prośbą o wywiad, myślałam, że chcą opisać cukiernię, żeby pokazać bliżej kobietę, która jest dla ciebie na tyle ważna, że wybrałeś się z nią na przyjęcie weselne. Powinnam się od razu domyślić, że coś jest nie tak, skoro Ryder napisał, że cię zabije. Powinnam wywnioskować z tego wszystko, a tymczasem byłam tak głupia, że patrzyłam na to oczarowanym przez ciebie wzrokiem.

— Nie rób tego, Saylor.

Robi krok w moją stronę, a ja robię krok do tyłu. Nie chcę być teraz dotykana. Nie chcę być rozpieszczana. Chcę zostać sama, żeby na spokojnie przemyśleć, jak się z tym czuję. Wiem, że on czuje, że go odcinam, ale nie robię tego celowo. Po prostu tego teraz potrzebuję, żeby to wszystko przetrwać, chociaż na razie nie mam pojęcia, jak kiepsko wygląda ta historia poza granicami tropikalnego raj.

— Zachowała się jak prawdziwa kobieta z klasą — mówię zjadliwie. Z bólem w głosie. Oskarżycielsko, chociaż to nie jego powinnam oskarżać.

— Say, ona prawdo...

— Nie broń jej — przerywam mu cichym, ostrzegawczym tonem.

— Po tym, co zrobiła, jest ostatnią osobą, jaką miałbym ochotę bronić — odpowiada pośpiesznie i patrzy na mnie z powagą.

— Jak ty możesz żyć w takim świecie, Hayes? — W moich oczach wzbierają łzy. Czuję ból w piersi, bo uświadamiam sobie, że właśnie do tego świata musiałabym wkroczyć, gdyby ułożyło mi się z Hayesem.

— Trzeba się z tym pogodzić... nigdy się tym nie przejmowałem w takim stopniu jak teraz.

Odwracam się do swojej torby podróżnej i szloch więźnie mi w gardle. Chcę wrócić do normalnego życia, które wydaje się teraz tak odległe. Jak ta sytuacja wpłynie na moje życie? Z tego, co mówiła DeeDee, nie wygląda to zbyt różowo.

Czy chcę żyć w świecie, w którym można źle zinterpretować zdjęcia i zniszczyć komuś reputację wyłącznie na podstawie plotki? Kłamstwa? Błędne rozumienia sytuacji?

— Przystaniesz się pakować i spojrzysz na chwilę na mnie?

— Nie. Muszę wracać do domu. — To łatwiejsze niż patrzenie w jego przygnębione oczy i skonfrontowanie się z obezwładniającym mnie przerażeniem. Obudziłam się pełna nadziei na przyszłość, a teraz nie wiem nawet, czy jestem w stanie żyć w jego świecie.

— Saylor. — Kładzie mi dłonie na ramionach. Próbuje je strząsnąć, lecz on nie puszcza. — Nie odwracaj się ode mnie. Przeszliśmy razem zbyt wiele, żebyś miała się teraz ode mnie odcinać.

Zna mnie na tyle, żeby wiedzieć, co myślę. Wnioskuje to z nutki strachu w jego głosie — tego samego strachu, który odbija się echem w moim sercu. Uważa mnie za silną, ale nie sądzę, żebym była odpowiednio silna na coś takiego.

— Nie odcinam się. Ja tylko... — Zwieszam głowę i walczę z całych sił, by opanować łzy frustracji. — Ja tylko chcę wrócić do domu. Potrzebuję czasu, żeby przemyśleć to na spokojnie, Hayes. Muszę poukładać ten chaos, jaki prawdopodobnie zapanował w moim życiu.

— Odwróć się do mnie. — Nie żeby dawał mi wybór. Odwraca mnie i podnosi mój podbródek, żebym spojrzała mu w oczy. — Wiem, że jesteś zdenerwowana. Wściekła. Masz pełne prawo tak czuć. *Ja też*. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby to naprawić. Cokolwiek będzie konieczne. Ale wiem też, że nie mam kontroli nad tym, w co ludzie wierzą, a w co nie. Dlatego ważne jest to, co my wiemy. I w co wierzymy.

Potakuję nieznacznie, żeby wiedział, że zrozumiałam. Zarówno jego słowa, jak i to, co widzę w jego oczach — że sądzi, iż zostałam od niego odstraszona. Jakaś część mnie tak właśnie czuje. Nie wiem tylko jeszcze w jakim stopniu.

— W cukierni rozpadł się piekarnik. Muszę wrócić, przejrzeć modele, które będą pasowały w jego miejsce, sprawdzić ceny i sposoby płatności, i... po prostu muszę tam wrócić. — Nie umiem pociągnąć tego kłamstwa, bo dobrze znam odpowiedzi na te

kwestie. W rzeczywistości potrzebuję przestrzeni, by pomyśleć. I odetchnąć.

— Wracam z tobą. Udzielę wywiadu i opowiem naszą historię. Że zjednoczyliśmy się po latach. Wyprostuję to. Każę tym draniom odwołać te pomówienia. — Wiem, że mówi poważnie, lecz jednocześnie mam świadomość, że nie jest w stanie odwrócić tego, co się stało, bo musiałby przyjąć postawę obronną. A taka postawa nigdy się nie sprawdza. *W końcu przyleciałam tu, żeby jej uniknąć.*

— To nic nie zmieni. Wiesz o tym. Pomówienia trafiły do druku, więc wszyscy już w nie wierzą.

— Ale to lepsze, niż nie robić nic. Udzielę tylu wywiadów, ile będzie trzeba, żeby ludzie uwierzyli w moje słowa. Musimy tylko wymyślić, co zrobimy teraz.

Patrzę na niego zażawionymi oczami i staram się mówić z przekonaniem.

— Nie ma nad czym myśleć. Ja wrócę do domu, żeby rozwiązać problemy z cukiernią, a ty wrócisz do Nowego Jorku, bo masz jutro przesłuchanie. Nie chcę, żebyś stracił rolę przez to, że się nie zjawisz. Nie potrzebuję pocieszania, Hayes. Całe dorosłe życie radzę sobie bez ciebie, więc nie musisz teraz trzymać mnie za rękę. — Nie podoba mi się przebłysk gniewu w jego oczach po tych słowach, ale taka jest prawda. A odgłos zasuwania torby w cichym pokoju tylko wzmacnia mój przekaz. — Jadę teraz na lotnisko. Spróbuję złapać wcześniejszy lot, żeby jak najszybciej zająć się sprawami Sweet Cheeks.

— Jadę z tobą.

— Nie. — Parskam, ale mój śmiech nie ma w sobie ani krzty radości. — Chcę pojechać sama. Jeśli wyjedziesz pospiesznie razem ze mną, wszyscy pomyślą, że jesteśmy zdenerwowani i próbujemy coś zatuszować. Ktoś skomentuje, że nie było cię na przesłuchaniu. Zaczną się domysły dotyczące przyczyn. A ostatnie, czego teraz potrzebujemy, to dawanie im pożywki dla dalszych kłamstw.

— Gównu mnie obchodzą ich kłamstwa — wykrzykuje, a jego głos niesie się echem po całym pokoju. Emanuje wściekłością i jest nasycony emocjami.

— Wiem, Hayes. Ale proszę cię... być może ty do tego przywykłeś... ale *ja nie*. To wszystko jest dla mnie nowe. Pozwól mi pojechać samej. Pozwól mi jeszcze przez chwilę być nikim. Potrzebuję czasu, żeby to przerobić. Poukładać. Wrócić do domu, do swojej przestrzeni i...

— Dlaczego brzmisz, jakbyś się ze mną żegnała, Saylor? — Jego dłonie na moich policzkach nie pozwalają mi odwrócić wzroku.

— Wcale tak nie jest. Ale nie jestem pewna, czy potrafię przetrwać w twoim świecie, Hayes.

Całuje mnie w usta. To czuły i prosty pocałunek, lecz nasycony takimi emocjami, że po moim policzku spływa pojedyncza łza. Ból rozrywa mi serce. Jestem skołowaciała. Każda cząstka mnie boi się odejść i więcej nie zobaczyć Hayesa. I już nigdy nie poczuć tego, co mieliśmy w ten weekend.

Wyraźnie widzę w jego oczach miłość. Opiera czoło o moje i nasze oddechy się splatają. Zamykamy oczy. Nasze serca rozumieją, że za chwilę zostaną złamane.

— Proszę, nie rób tego, Say.

Po moim policzku spływa druga łza. *Kocham cię, Ships*. Moje serce pragnie usłyszeć od niego te słowa. Daj mi coś trwałego, co da mi oparcie, gdy zrobię, co muszę

zrobić.

Odejdę.

Ale on ich nie wypowiada.

— Potrzebuję trochę czasu, żeby zastanowić się, czy potrafię. Żegnaj, Hayes.

Saylor

Lot do domu był treningiem cichego płaczu, tak by nie zauważyli tego inni pasażerowie. Zdjęcia i nagłówki w tabloidach wystawionych na stojakach na lotnisku były paskudne. Co jeden, to bardziej krzywdzący. Zdjęcie za zdjęciem. Nagłówek za nagłówkiem. Kłamstwo za kłamstwem.

Czułam się, jakbym słuchała komentarzy z przyjęcia weselnego przez megafon. Zapętlonych. Każdy kolejny gorszy od poprzedniego.

Ale chociaż miałam ochotę kupić wszystkie egzemplarze, żeby nikt inny ich nie zobaczył, a potem przeczytać każdy artykuł na mój temat, żebym wiedziała, z czym muszę się zmierzyć, nie zrobiłam tego. Usiadłam w kącie zasłoniętym przez kontener na śmieci, zsunęłam niżej baseballówkę i przeczytałam te artykuły na telefonie, korzystając z paskudnego lotniskowego Wi-Fi.

Z przyjemnością (wstaw dowolny sarkazm) zauważyłam, że w jednym z artykułów ze swoją opinią zaoferowała się pani Layton. Porzucony narzeczony Mitch także nie omieszkął wrzucić swoich trzech groszy. Kto by pomyślał, że schemat relacji z Hayesem okaże się podobny do moich poprzednich związków i problemów, jakie miałam? Mitch podejrzewał, że zdradzam go na boku, i nie był zaskoczony, gdy okazało się to prawdą.

Oznacza to, że *moje* zdrady zniszczyły nie tylko związek Hayesa i Jenny, lecz także mój. *Oczywiście w żadnym artykule nie skupiano się na Hayesie. Wymierzone w niego ostrze krytyki jest teraz skierowane we mnie.*

We mnie, do cholery.

Każde kolejne artykuły są coraz bardziej kreatywne i oszczercze. Wychodzę w nich na paskudną osobę, która rozbiła związek ochrzczony przez opinię publiczną mianem hollywoodzkiej pary.

Siedząc na lotnisku, czułam się niewiarygodnie samotna i bezbronna. Oddałabym wszystko za możliwość zadzwonienia do mamy, która na pewno powiedziałaby mi kojącym głosem, że prędzej czy później wszystko dobrze się skończy. Kazałaby mi wyrzucić te tabloidy do kontenera, obok którego siedzę, i zapewniłaby, że nikt na lotnisku się na mnie nie gapi. Pocieszyłaby mnie i szepnęła, że nic nie zdarza się bez przyczyny, ale nie zawsze od razu jesteśmy w stanie dostrzec tę przyczynę. Potem tato wzięłby od niej słuchawkę i powiedział jeden z tych swoich beznadziejnych i starych dowcipów, żeby mnie rozśmieszyć. Przypomniałby mi, że wszyscy faceci są idiotami i dlatego Bóg stworzył kobiety.

Boże, jak ja za nimi tęsknię.

Zamiast tego zadzwoniłam do Rydera. Wysłuchałam jego wściekłych narzekań na te wszystkie artykuły, chociaż miałam ochotę zatkać uszy i wyłączyć wszelki hałas.

Ale nic — ani tabloidy, ani uczucie, że zawiodłam Rydera, ani strach przed upadkiem Sweet Cheeks ze względu na bojkot ze strony klientów — nie było bardziej

przejmujące od wyrazu twarzy Hayesa, gdy odprowadzał mnie do taksówki na lotnisko. Która oczywiście podjechała od strony wejścia dla obsługi, bo główne wejście było okupowane przez fotografów.

Żadne opublikowane zdjęcia sekretnych kochanków i towarzyszące im podłe kłamstwa nie wywołały jednak takiego bólu serca, jak pożegnalny, słodko-gorzki pocałunek z Hayesem. Nie potrafiłam powstrzymać łez i nic nie było w stanie ukoić dominującego uczucia pustki przy pożegnaniu.

Wciąż mam w pamięci wyszeptaną przez Hayesa obietnicę, że *wszystko naprawi*. Powiedział, że popełniam błąd, odchodząc od niego, zamiast zmierzyć się z tym we dwoje. Jego zdaniem powinnam polecieć z nim do Nowego Jorku na parę dni, gdzie udzielilibyśmy wspólnego wywiadu, żeby pokazać ludziom to, co naprawdę jest między nami.

Postanowiłam jednak odejść, mimo że czuję ból w klatce piersiowej przy każdym oddechu. Tak bardzo tęsknię za Hayesem.

Ale tęsknota wcale nie łagodzi wstrząsu spowodowanego tą całą sytuacją.

Leciałam na tę wyspę jako niewinna była sympatia z czasów liceum, a po czterech dniach wracam do domu jako niewierna, znienawidzona przez cały świat ladacznica.

Dlatego muszę się zdystansować. Potrzebuję własnego łóżka. Własnej przestrzeni. Własnych myśli. Wypełnionych jego osobą, ale własnych. Bez jego dominującej osobowości i słów w rodzaju *przywykniesz do takich kłamstw, kłamstwa umierają z braku zainteresowania* lub *nauczysz się je ignorować*. Bo ja nie chcę tak żyć. Nie chcę być tak znieczulona na świat, że gdy usłyszę lub zobaczę kłamstwo, nie będę zwracać na nie uwagi, żeby móc w ogóle normalnie funkcjonować.

Wiem, że to nie wina Hayesa, ale wiem, że to na nim bym wyładowywała swoją złość. Bo świadomość, że to nie jego wina, nie zmniejsza upokorzenia związanego z okropieństwami na mój temat w prasie, na portalach społecznościowych, Twitterze i Snapchacie. Nie sprawia też, że znikają okrutne komentarze o tym, że jestem strasznie brzydka w porównaniu z nieskazitelną Jenną Dixon. Albo że Hayes musiał być ślepy, żeby wybrać mnie, zwykłą cukierniczkę, zamiast słynnej gwiazdy. I że prawdopodobnie muszę być w ciąży, bo w żadnym innym wypadku nie zostałyby ze mną, mając do wyboru ją.

Ta świadomość nie uśmierza też strachu, który co jakiś czas wpełza na skraj mojego umysłu. Jeśli w Hollywood wizerunek jest wszystkim, jeśli dla ratowania tego cennego zasobu wytwórnicy potrafią zmusić aktora, żeby udawał związek z innym aktorem, i jeśli masy nie zaakceptują mnie jako sympatii Hayesa, bo mam etykietkę rozbijaczki związków, to jakim cudem nasz związek ma przetrwać?

I bez tego związku są wystarczająco trudne. Szczególnie te świeże. Tymczasem my od początku musimy się mierzyć z taką presją. Panikę wzbudza we mnie konieczność uważania na każde słowo, bo wszystko można przekręcić i opublikować. Nie chcę być dla Hayesa ciężarem.

Nie potrzebuję w życiu takiego dodatkowego stresu.

Pod wpływem presji pęka nawet najsilniejsza osoba i z całą pewnością odnosi się to także do związków.

Pozwól mu samemu o tym zdecydować, Saylor.

Wiem, że niesprawiedliwie jest wyciągać te wszystkie wnioski bez uwzględniania zdania Hayesa, ale po prostu nie jestem w stanie się teraz na to zdobyć. Nawet czytanie jego nieustannie napływających wiadomości nie jest łatwe. Tęsknię za nim. Kocham go. Chcę po prostu mieć pewność, że jestem w stanie wejść z nim w relację z otwartym umysłem i odpowiednią siłą wewnętrzną, bo muszę w razie katastrofy czuć się na tyle pewnie, aby być dla Hayesa taką osobą, jakiej potrzebuje w swoim szalonym świecie.

Zaciskam mocno powieki i szczypię się w przegrodę nosa, gdy taksówka zjeżdża z autostrady. Za dużo o tym myślę. W sumie tylko o tym myślałam, gdy nie byłam zajęta atakiem łez ani nękana nieustannymi wątpliwościami, mimo że wołałabym mieć siłę, żeby *wierzyć w nas*.

Skręcamy w State Street. Zazwyczaj pustawa droga jest dziś wypełniona samochodami. Parking przy centrum handlowym po prawej stronie od Sweet Cheeks pęka w szwach.

Pewnie to jakaś impreza lub warsztaty w szkole. Wzruszam ramionami i wzdycham z ulgą, gdy widzę znajomą markizę w różowe i białe pasy nad moją cukiernią. Na parkingu stoi czerwony samochód Ford Escape DeeDee i wiem, że na górze czeka na mnie moje własne łóżko.

Puste.

Bez Hayesa.

Nie podoba mi się ta myśl.

Gdy wjeżdżamy na parking, mój wzrok przykuwa świeżo postawiona tabliczka z napisem *Nieupoważnionym wstęp wzbroniony*. Jestem tak zaaferowana płaceniem taksówkarzowi kartą kredytową, że kompletnie nie zauważam tego, co dzieje się na zewnątrz. Otwieram drzwi i ku swojemu zdziwieniu wpadam na grupę mężczyzn z aparatami, którzy wołają mnie po nazwisku.

Przez chwilę stoję jak oniemiała i mrugam powiekami. Chyba trwa to kilka sekund, bo mój wyczerpany emocjonalnie umysł nie jest w stanie od razu poskładać tego wszystkiego. Lecz w tej alternatywnej rzeczywistości, w której głównym odgłosem jest klikanie migawki, sekundy ciągną się jak minuty.

Klik, klik, klik.

Saylor, tedy proszę. Czy to prawda?

Jakie to uczucie wykraść Jennie Dixon najbardziej pożądanego kawalera w Hollywood?

Klik, klik, klik.

Zamierzasz przenieść cukiernię do Hollywood?

Czy to prawda, że on jest z tobą tylko dlatego, że jesteś w ciąży?

Klik, klik, klik.

Dlaczego zrobiłaś to Jennie?

Czy on jest tak dobry w łóżku, jak głoszą plotki?

Klik, klik, klik.

Nim zdążę mrugnąć DeeDee pojawia się przed wejściem i chwyta mnie za rękę. Przejmuje kontrolę, odbiera mój bagaż od kierowcy, wprowadza mnie do cukierni —

mojej cukierni — i zamyka za mną drzwi.

Myślałam, że hałas ucichnie. Że urwą się krzyki i błyski fleszy tak jasnych, że mam wrażenie, iż one także na mnie krzyczą. Ale nie. Teraz są stłumione. Na zewnątrz wciąż panuje chaos, ale tutaj jest mniej dotkliwy.

Rozglądam się i zauważam ludzi przy stolikach. Z filiżankami kawy, pustymi opakowaniami po babeczkach i notatnikami. *Klienci*.

— Może i płacą za to, co jedzą, ale nie ufaj im. To jedni z *nich* — wyjaśnia Dee, wskazując podbródkiem fotografów na zewnątrz, którzy celują obiektywami przez szybę wystawową, przy której stoję. — Ryder stwierdził, że nawet jeśli są dupkami, to z przyjemnością przyjmujemy ich pieniądze.

Patrzę na nią. Zszokowana. Przytłoczona. Zastanawiam się, skąd wiedzieli, że się zjawię, skoro planowo miałam przylecieć dopiero za dwie godziny.

Nagle mnie olśniewa.

To bez znaczenia.

Oni po prostu czekali.

Żeby wyszarpać coś o mnie.

Zdobyć nowe ujęcie i sprzedać je komuś, kto wymyśli na jego podstawie nowe kłamstwa.

Cholera.

Witaj w domu, Saylor.

Rozdział 30

Hayes

— Nic mnie to nie obchodzi. Umów mnie na wywiad na wyłączność. Zrób wszystko, co trzeba, żeby to naprawić, albo złamię umowę poufności i zaryzykuję... Jeśli nie dostanę pieniędzy, to ty też ich nie dostaniesz. — Patrzę przez okno na miasto w dole i przygryzam wnętrze policzka. Wiem, że te słowa trafią do Benjiego, mojego agenta, który niedawno zaciągnął spory kredyt hipoteczny na zakup domu przy ulicy Laurel Canyon[*].

— Hayes...

Zgrzytam zębami, słysząc jego pojednawczy ton. Benji całym sobą próbuje mnie przekonać, że *to się rozejdzie po kościach*. Ale on nie widział wyrazu jej twarzy ani tego, jak zakryła dłonią usta, gdy zatrzymała się przed stojakiem na gazety na lotnisku i przejrzała oszczercze nagłówki, przed którymi mnie ostrzegął. Nie krył się w cieniu i nie obserwował ukradkiem, jak jego ukochana ociera łzy, gdy dotyka tabloidów, jakby miała nadzieję, że to tylko złudzenie, a potem przegląda zawartość, żeby przeczytać, co o niej napisano.

Bo owszem, pojechałem za nią na lotnisko. Śledziłbym ją przez całą drogę do domu, gdybym mógł, ale jej samolot był pełny. Ani łapówka, ani status celebryty nie były w stanie załatwić mi miejsca. Ale wyjątkowo grzecznie próbowałem się wykłócić, zważywszy na kłębiącą się w moim wnętrzu rebelię. Ważniejsze było jednak, by nie zwracać jeszcze większej uwagi paparazzich na Saylor. Nie było mowy, żebym pozwolił jej pojechać na lotnisko i samotnie zmierzyć się z ewentualnym szturmem fotografów. Musiałem być w pobliżu, na wszelki wypadek.

Dobijało mnie jednak obserwowanie, jak kryje się za kontenerem na śmieci, prawdopodobnie czytając artykuły w telefonie. Wściekałem się, że poświęca jakąkolwiek uwagę tym kalumniom.

Do diabła, gdy tak podglądałem ją zakamuflowany za pomocą okularów przeciwsłonecznych i czapki typu beanie, miałem przemożną ochotę podejść do niej i nie dać jej pieprzonego wyboru w kwestii mojego towarzystwa. Mogłem wyczarterować prywatny samolot, gdyby była taka potrzeba, żeby wydostać się z tej pieprzonej wyspy razem, bo już raz ją straciłem i boję się znowu ryzykować.

Ostatnio słusznie odszedłem. Miałem ku temu powody. Ale tym razem? *Nie ma mowy*.

To jej spojrzenie. Wystraszone. Przeraziły ją pieprzone ujemne strony bycia gwiazdą Hollywood. Taki status daje olbrzymie przywileje, ale nic na tym świecie nie jest za darmo. A gorsze od patrzenia na jej odejście i pozwolenia, by samotnie zmierzyła się z tą bestią, byłoby tylko to, że ją stracę.

Dlatego kręciłem się po przeciwległym końcu niewielkiego terminala. Chciałem usiąść obok niej i przemówić do rozsądku jej upartej jak osioł duszy, zamiast tego jednak

zrobiłem coś znacznie trudniejszego: obserwowałem z ukrycia ukochaną kobietę ze świadomością, że cierpi i że nie mogę nic z tym zrobić prócz złorzeczenia pod nosem.

Bo owszem, *kocham ją*.

Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

Wystarczająco ciężko było wsadzić ją do taksówki i pocałować na pożegnanie. Ugryźć się w język, żeby nie powiedzieć słów, które, zważywszy na okoliczności, nie miałyby teraz dla niej żadnego znaczenia. Wyznanie miłości po raz drugi powinno być wyjątkowe, a nie wymuszone lękiem przed straceniem jej na zawsze.

Ale spieprzyłem to. *Poważnie*.

Uświadomiłem sobie to dopiero wtedy, gdy jej samolot oderwał się już od ziemi. Słyszała, jak mówiłem te słowa do Jenny. A *jej* tego nie powiedziałem. I nie mam tego jak naprawić, mogę jedynie zasłużyć na kolejną szansę powiedzenia jej tego twarzą w twarz.

Teraz jednak jestem tutaj.

W Nowym Jorku, w moim domu, daleko od Los Angeles i o wiele za daleko od niej. Dlatego muszę polegać na Benjiminie, bo to przez niego zgodziłem się podpisać tę pieprzoną umowę poufności. Za jego cichą namową. Przekonywał mnie, że Jenna nie ośmieli się niczego znowu spieprzyć, bo ma niezbyt dobrą sytuację finansową i potrzebuje zastrzyku pieniędzy, jaką dałby jej film. Kolejne wyprawy do zamkniętego, sekretnego ośrodka odwykowego w Arizonie, pełnego ogrodów zen, jogi i najlepszych terapeutów, jakich można wynająć, całkiem sporo ją kosztowały.

— Słuchaj stary. Zawsze szanowałem twoje opinie. I biorę pełną odpowiedzialność za sytuację z Jenną, ale umyka ci pełny obraz sytuacji. Gównu mnie obchodzi. — Każde kolejne słowo coraz bardziej mnie rozjusza. — Mój wizerunek. Film. I to wszystko. To ma być naprawione, i to, do cholery, na wczoraj.

W telefonie zapada cisza. Chyba do niego trafiłem. Rozumie, że to nie są żadne pieprzone żarty.

— Słyszę, co chcesz mi przekazać, i to *bardzo wyraźnie*, ale nikt nie będzie cię słuchał. Jesteś zbyt dobrym aktorem, Whitley. Przekonałeś wszystkich, że jesteś z Jenną. A potem swoim milczeniem wpisałeś się w schemat niegrzecznego oblubieńca i każdy facet zastanawiał się, gdzie znalazłeś lepszą dupeczkę od Jenny Dixon. Natomiast kobietom owszem, nie podobała się twoja domniemana zdrada, lecz jednocześnie odchylały kołdry i zapraszająco klepały materace swoich łóżek. Nigdy nie wypadłeś z roli. Nie mówiłeś o tym. Nie...

— Bo za twoją radą podpisałem tę cholerną umowę poufności — cedzę przez zaciśnięte zęby.

— Miałeś jaja w imadle, człowieku, a wytwórnia zachowała się jak klasyczny pomocnik czarnego charakteru. Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Nie miałeś wyboru. Wiesz jednak równie dobrze, jak ja, że zasypanie świata wywiadami w żaden sposób nie powstrzyma nagonki na Saylor.

Wiem, i wcale mi się to nie podoba. Cholernie.

Odruchowo zaciskam pięści. Zgrzytam zębami. Czuję się równie bezsilny, jak wczoraj, gdy weszła do samolotu i zniknęła mi z oczu.

— Dogadaj się z Kathy. Wymyśl, jak skoordynować telekonferencję z Givensem, Seacrestem i Cooperem. W wytwórni chcą, żebym był ich marionetką? Zatańczę do ich muzyki i nagłośnię film, a przy okazji wyrównam rachunki z Jenną i pokażę, gdzie w tym pieprzonym równaniu jest miejsce dla Saylor. Życzą sobie rozgłosu przed premierą? Dam im taki rozgłos, jakiego się nie spodziewają.

— Uważaj, Hayes. Ocierasz się o granicę. Pilnuj, żeby jej nie przekroczyć. — Wyraźnie wyczuwam jego frustrację. Wzdycha ciężko na drugim końcu. Prawdopodobnie spróbuje ostrzec mnie po raz kolejny. — Rozumiem twoją frustrację. Wiem, że chciałbyś wykrzyczeć z dachów prawdę o Saylor, ale uwierz mi, że najlepszy plan działania w tej chwili to siedzieć cicho i czekać. To się rozejdzie po kościach.

— Masz rację. *Prawdopodobnie. Ale rozejdzie się po kościach* dla Saylor oznacza coś zupełnie innego niż dla mnie. Wiesz, jak to jest, gdy po raz pierwszy otwierasz drzwi samochodu i ktoś wpycha ci obiektyw w twarz? Albo gdy słyszysz gdzieś w krzakach kliknięcie migawki i dopiero po chwili dostrzegasz odbicie słońca w obiektywie? To cholernie przerażające, jeśli nie jesteś uzależnionym od zainteresowania mediów aktorem. A ona na pewno nie podpada pod tę kategorię.

— To się rozejdzie po kościach, Hayes. — Tym razem w jego głosie słychać współczucie, ale dla mnie to wciąż za mało.

Rozłączam się bez słowa. Siadam i patrzę na światła miasta pode mną. Zastanawiam się, ile osób tam w dole czytało dziś o Saylor. Ciekawe, czy uwierzyli w te kłamstwa. Ale ciekawsze jest to, dlaczego w ogóle interesuje ich, z kim się spotykam.

Biorę piwo za szyjkę i wypijam do dna. Jestem wyczerpany, ale nie umiem zasnąć. Patrzę bezmyślnie w telefon i odruchowo wybieram kciukiem wiadomości, na wypadek gdybym przegapił SMS-a od niej.

Nic nie przyszło.

Witaj w Hollywood, chłopcze, gdzie spełniają się sny, lecz ten najbardziej upragniony nie odpisze na twojego SMS-a, bo boi się konsekwencji spełnienia się tych snów.

Do licha.

Rozejdzie się po kościach. Jasne, że się rozejdzie. Pytanie tylko, czy nastąpi to w łagodny sposób, czy raczej przetoczy się jak huragan.

#

To przez ciebie, skurwielu. Wymyśl coś, żeby to naprawić. Wszystko. Jeśli jeszcze raz złamiesz jej serce, nie ręczę za siebie, gdy się następnym razem spotkamy. Głos Rydera na poczcie głosowej brzmi ostrzegawczo. I groźnie... Zresztą trudno, żeby nie brzmiał. Mimo to uśmiecham się bezwiednie, bo to jedyna dzisiejsza wiadomość, na jaką zasłużyłem.

Przesłuchanie było do dupy. Nie dlatego, że nie znałem swoich kwestii lub nie umiałem wczuć się w postać, lecz przez tę cholerną scenę. Tę, którą ćwiczyłem z Saylor. Która rozpałała mnie do białości, wzbudziła niepokój i dla nas obu okazała się zbyt prawdziwa. Zbyt trafnie opisywała naszą historię.

Zrobiłbym wszystko, żeby dostać jeszcze jedną szansę. Dokładnie jak w tym

cholernym scenariuszu.

Dlatego przesłuchanie było do dupy. Przynajmniej dla mnie.

Bo wszyscy inni uważali, że trafiłem w sedno. Emocje. Uczucia. Cała postawa... Tyle że ja *nie grałem*.

Ale zdobycie roli jest dla mnie bez znaczenia, bo nie mogłem do niej zadzwonić i podzielić się dobrą wieścią.

Oczywiście od tego momentu mój dzień poszedł się jechać. Na przykład wtedy, gdy czekałem w kolejce w Starbucksie i złapałem kątem oka zdjęcie Saylor w gazetach rozsypanych na stoliku. Wysiadała z taksówki przed Sweet Cheeks z torebką w dłoni i miała oczy jak spodki. Powiedzieć, że jej twarz wyrażała bezbrzeżny szok i strach byłoby niedomówieniem.

Ale moje wiadomości pozostają bez odpowiedzi. Saylor milczy. Niemożliwie mnie to frustruje, a do tego czuję się, jakbym miał serce w imadle, które zaciska się coraz bardziej z każdą minutą bez odzewu z jej strony.

Potem telefon od Tessy. Ochrzan za to, że nie zabrałem jej gdzieś, gdzie porobiono by nam zdjęcia, żeby miała takie zainteresowanie mediów, jakim cieszy się Saylor. *Bo żaden rozgłos nie jest zły, prawda, Hayes?* A jej naprawdę przydałoby się trochę rozgłosu i zdjęć ze mną, żeby podbić swoją widoczność. Co za popieprzony kompas moralny. Ona — *bezдушna, zarozumiała jędza* — umiera z braku uwagi, a Say w ogóle tego nie chce.

Ale podziwiam ją. Nie mogę jej negocjować tylko za to, że jest inna.

Później kolejny telefon od Benjiego i od mojej specjalistki od PR, Kathy. Obietnice, że wywiady są już umówione. Że dyskutują jeszcze nad proponowaną lokalizacją. I subtelne przypomnienie stawki, jaką ryzykujemy.

Tak. *To Saylor jest moją stawką*. Powodem. Przyczyną. Celem mojej gry. Nic innego się nie liczy.

Oczywiście Jenna zapadła się pod ziemię. Zaginiona w akcji. Ta drobna luka informacyjna mnie dobija. Cóż za ironia: osoba, która spowodowała całą tę burzę bzdur, rzucając złośliwe oszczerstwa na temat Saylor, nie odbiera telefonu, gdy chcę się z nią skontaktować. I nie wiadomo, gdzie przebywa.

Znajdę ją i przekonam, żeby na tyle, na ile może, wyznała mediom prawdę o nas. Że nasz związek skończył się za obustronnym porozumieniem, a nie z powodu mojej zdrady. I że nie spotykałem się z Saylor, gdy do tego doszło.

Jeśli nie, ja im to powiem. A żeby było dramatyczniej, dorzucę parę szczegółów, dzięki którym historia będzie bardziej soczysta dla odbiorców. Takich jak narkotyki lub próby samobójcze.

Proste.

Jeśli ją znajdę.

Ale bardziej ucieszyłbym się, gdyby Saylor odebrała ten cholerny telefon, gdy do niej dzwonię. Ale ona nie odbiera, więc muszę znaleźć inny sposób, by do niej dotrzeć. Przebić się do niej.

Przekonać ją, że mój świat nie jest aż taki zły, jeśli będziemy mierzyć się z nim razem.

Cholernie za nią tęsknię.

Pragnę przy niej być.

Przytulić ją, gdy cierpi.

Dobija mnie to, że nie mogę tego zrobić.

[*] Laurel Canyon — jedna z najbardziej ekskluzywnych ulic na zboczach Hollywood, zamieszkiwana głównie przez gwiazdy filmowe i muzyków — *przyp. tłum.*

Rozdział 31

Saylor

Zatraciłam się w cieście.

Brzmi to niedorzecznie, ale tak jest. Mam ciasto na włosach, na fartuchu i na policzkach. Na blacie kuchennym walają się puszki, składniki i przybory kuchenne. W mieszkaniu pachnie jak w cukierni. Brzęczy minutnik. Na stole za mną wibruje komórka, którą ignoruję.

W tym chaosie w końcu mogę pomyśleć. Zastanowić się spokojnie nad tym, który piekarnik z dwóch prospektów leżących na kanapie wybrać i jak poradzić sobie z miesięcznymi ratami. Nie muszę patrzeć na brata, który potrząsa głową i pyta, jak mogło do tego dojść, chociaż dobrze wie, że nie miałam na to żadnego wpływu. Nie muszę przejmować się upokorzeniem wynikającym z nowej dawki kłamstw, jakie trafiły do druku. O tym, że *podobno* podebrałam Mitchowi pieniądze — bez jego wiedzy — żeby otworzyć wymarzoną cukiernię, po czym rzuciłam go przed ołtarzem.

Cholerne kłamstwa. Półprawdy będące pożywką mas.

Patrzę na bukiet czarnych róż w wazonie na stoliku. Uroczy prezent od fanki Hayesa, która odgrażała mi się za odbicie go Jennie. Te róże są symbolem milionów komentarzy w mediach społecznościowych, które przejrzałam dziś rano, bo uznałam, że nie ma się co mazać i trzeba sprawdzić, jak bardzo jest źle. Cóż, ludzie są okrutni. Dlatego zatrzymałam kwiaty — mimo nalegań Rydera, by je wyrzucić — żeby przypominały mi o szaleństwie, z jakim musiałabym się pogodzić, gdy będę z Hayesem. *Jeśli z nim będę.*

Obudziłam się rano w jego koszulce, którą wsunął mi ukradkiem do torby podróżnej i która wciąż miała na sobie ślad jego zapachu. A potem się przebrałam i zaczęłam piec, żeby uniknąć swojej nowej, niechcianej rzeczywistości. I co istotniejsze, oddać się temu pustemu bólowi, który przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny wypalił mi dziurę w sercu.

Nie mogę się nadziwić, że chociaż na wyspie Turks i Caicos spędziłam z Hayesem zaledwie cztery dni, mam wrażenie, jakby to było całe życie. Bo serce pamięta to, co umysł postanowił wymazać. Odnowiliśmy łączącą nas więź, chociaż żadne z nas nie poruszyło tego tematu. Unikaliśmy nadmiernego myślenia, bo to wszystko wydawało się po prostu dobre.

Czy było tak dlatego, że spędziliśmy razem dosłownie pół życia, więc nie potrzebowaliśmy okresu przejściowego? A może nasze serca uznały, że pierwsza miłość zasługuje na drugą szansę?

Ze wszystkich myśli, które kotłują mi się w głowie, mój umysł wciąż powraca właśnie do tej.

Przez otwartą klatkę schodową przebija się hałas reporterów z dołu i przerywa mój tok myślenia. Drzwi są otwarte, bo znoszę babeczki na dół, żeby szybciej wystygły w witrynach chłodniczych przed lukrowaniem. I zaczynam cały proces od nowa, zza kulis,

a DeeDee i Ryder zajmują się klientami. Których jest dwukrotnie więcej od czasu, gdy wróciłam z *sekretnego rendez-vous* z Hayesem.

Siedzę więc u góry. Z dala od wścibskich oczu i szalonych domysłów wysnuwanych przez palantów z aparatami. Z dala od gapiów, którzy nagle poczuli pragnienie kupienia babeczki, chociaż wcześniej przechodzili obok obojętnie.

I piekę. Z powodu zwiększonego zapotrzebowania. Żeby zatracić się w myślach. Żeby zwalczyć tęsknotę za Hayesem. Żeby zapomnieć, że jeśli postanowię z nim być, tych dwudziestu paru reporterów na zewnątrz może już mnie nie opuścić.

Dzień się przeciąga. Biorę prysznic po dwunastej rundzie od rana i zmuszam się do makijażu i założenia normalnie wyglądających ciuchów, żeby udowodnić sobie, że potrafię funkcjonować bez Hayesa w pobliżu.

Ale czuję się kiepsko. Trzymam jego koszulkę przy nosie i wdycham jego zapach. Tęsknię przez to bardziej, a jednocześnie wzbudza to we mnie niezrozumiały spokój.

W sumie nie wiem, dlaczego zagrałam upartą kartą i nie rozmawiam z nim. *Jestem uparta, czy raczej odporna?* Gdybym z nim pogadała, całe to szaleństwo wokół nas przestałoby istnieć i widziałabym tylko jego. *Nas.*

Może to dobrze. Może to oznacza, że tylko jego potrzebuję, bo gdy jestem z nim, zewnętrzny hałas nie ma dla mnie znaczenia.

Ale nie da się żyć, trzymając kochanka na smyczy. Co będzie, gdy on wyjedzie na kilka tygodni na plan zdjęciowy lub będzie tak zajęty pracą, że będziemy się widywać tylko przy zasypianiu? Stracę wtedy swoje klapki na oczy. Nie będę miała Hayesa dla osłony przed kłamstwami. *O tym, że jak ktoś raz zdradzi, to już zawsze będzie zdradzał.* Dam sobie z tym radę? Dam sobie radę z ciekawskimi reporterami, którzy przychodzą do Sweet Cheeks w poszukiwaniu jakichś smaczków dotyczących Hayesa Whitleya? *Lub mnie?*

I do licha, ta jego wzmianka od niechcienia, że będziemy razem za dziesięć lat, nie znaczy, że faktycznie będziemy. Dlaczego więc zamartwiam się wiecznością, skoro nie potrafię dać mu nawet dzisiejszego dnia? Czy nie powinnam przeżywać po jednym dniu naraz i zobaczyć, dokąd nas to doprowadzi?

— O mój Boże — jęczę i potrząsam głową. Stałam się jedną z tych rozlazłych, niezdecydowanych kobiet. A przecież zarzekałam się, że nie chcę taka być. Patrząc na to z zewnątrz, kazałabym sobie wziąć się w garść i nie robić problemu z tego, że mam mężczyznę, który mnie kocha i wbrew zewnętrznym trudnościom chce spróbować być ze mną.

Dam sobie jeszcze kilka dni, żeby sprawdzić, jak długo trwają takie zainteresowanie i chaos. To dziwne, że tak długo żyłam bez Hayesa, lecz teraz, po tym krótkim czasie razem, jego nieobecność wzbudza we mnie uczucia pustki, smutku i samotności. Przechodziłam już przez to i już nigdy więcej nie chcę się tak czuć.

To coś więcej niż tylko tęsknota. To świadomość, że bez niego jestem niekompletna, jakbym miała tylko połowę duszy.

— Saylor. Powinnaś tu zejść — woła mnie Ryder z dołu. Każda cząstka mnie wzdryga się na tę myśl.

— O co chodzi?

— Chodź na dół, musisz to zobaczyć na własne oczy.

Zrezygnowana, lecz zadowolona, że zadbałam o wygląd, zbiegam truchtem po schodach. Moja postura jest defensywna, a nastrój beznadziejny.

— Ry? Co to jest? — pytam, gdy wychodzę z za załomu korytarza i niemal wpadam od tyłu na tęgiego jegomościa, stojącego między schodami na górę a przestrzenią kuchenną. Facet mruży przeprosiny pod nosem, a ja uświadamiam sobie, co przesuwa razem z innym mężczyzną.

— Co to jest? — Spoglądam na Rydera, który stoi po drugiej stronie przesuwanego na właściwe miejsce nowiutkiego, błyszczącego, inoksowego obiektu pożądania każdego cukiernika.

— To piekarnik Baxter Rotating Rack Oven.

— Wiem, co to jest. — Śmieję się nerwowo i jak zahipnotyzowana wpatruję się w swój wymarzony piekarnik. — Nie wiem tylko, jak to się stało, że dostarczyli go pod niewłaściwy adres.

Przesuwający go mężczyźni zatrzymują się po tych słowach, a jeden z nich wyciąga z tylnej kieszeni dokumenty.

— O tutaj jest napisane: dla pani Saylor Rodgers, Sweet Cheeks CupCakery, z dopiskiem wielkimi literami *opłacone w całości*.

Oniemiała spoglądam na Rydera, który wzrusza ramionami z nieznacznym uśmiechem na ustach i przymruża powieki, jakby zastanawiał się, skąd ta paczka przyszła. Jakaś częśćka mnie zna odpowiedź na to pytanie bez sprawdzania w dokumentach. A gdy to robię, utwierdzam się w przekonaniu, że miałam rację. Pamiętam ten podpis z czasów, gdy w szkole średniej znajdowałam go na swoich pracach domowych, gdzie był umieszczany, by mnie wkurzyć. Obok nazwiska jest też odręczna notatka.

Będzie się kłóciła lub próbowała odmówić przyjęcia. Proszę jej nie słuchać!

Hayes

Ja go uduszę.

Zgrzytam zębami i wzdycham z frustracją, ale usta mnie zdradzają, bo ich kąciki zaczynają unosić się w górę. Odwracam się do Rydera.

— Wiedziałeś?

— Nie, ale patrząc na wyraz twojej twarzy, domyślam się, kto to przysłał.

— Palant — mówię bez entuzjazmu i jakiegokolwiek przekonania. Bo jak mogłabym tak myśleć, skoro Hayes właśnie kupił mi Ferrari wśród piekarników?

— Hm. Zdecydowanie palant — mruży Ryder i potrząsa głową, uśmiechając się półgębkiem.

— To chyba jego metoda na przekonanie mnie, żebym do niego zadzwoniła, co?

#

Każdy sygnał w słuchawce zdaje się trwać wieczność. Jestem zirytowana, wdzięczna, zagubiona i przytłoczona tym, że chociaż odepchnęłam Hayesa, dostałam od niego prezent o wartości samochodu.

— *Ships?*

— To zbyt wiele. Dziękuję, ale nie mogę tego przyjąć.

— W takim razie ja nie mogę przyjąć tego, że potrzebujesz czasu i zdystansowania się ode mnie.

Jego słowa rozgrzewają mnie od środka. Te części mojej duszy, które za nim tęsknią. Te, które obawiają się tak silnej miłości. Te, które obawiają się nieznanego.

I te, które pragną się przekonać, czy on uważa, że warto o mnie walczyć.

Najwyraźniej moje westchnienie uzmysławia mu, że to dla mnie trudne, bo pozwala, by na chwilę zapadło milczenie. Zna mnie na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że potrzebuję czasu na zastanowienie się nad naszą rozłąką, co wzbudza we mnie jeszcze większą tęsknotę.

— Minęło zaledwie czterdzieści osiem godzin, a ja za tobą tęsknię — mówię wprost. Łamiący się głos odzwierciedla moje rozterki, żniwo tęsknoty i to, jak trudno było mi się do niej przyznać.

— Wiem. Ja też. Dzisiaj już ze sto razy kupowałem w myślach bilet lotniczy do domu.

— Nie mogę przyjąć piekarnika, Hayes. To zbyt wiele.

— Ale prosiłaś o czas, więc staram się ci go dać, chociaż dobija mnie to, że nie mogę być przy tobie — dodaje, zupełnie ignorując moją wzmiankę o piekarniku.

— Hayes, nie słuchasz mnie.

— Słucham. Ja po prostu świadomie to *ignoruję*.

Uśmiecham się bezwiednie, bo natychmiast przypominam sobie swoją frustrację, gdy używał tego argumentu w naszych nastoletnich rozmowach.

— Wiem, że się uśmiechasz, Ships. Słyszę to w słuchawce.

— Być może.

— Założę się też, że pocierasz prawe ucho, tak jak zawsze, gdy chcesz coś powiedzieć, ale nie wiesz jak.

Niemal odruchowo odrywam dłoń od ucha. Nie cierpię go za to, że tak mnie zna, a jednocześnie go za to Kocham. Czy to nie wspaniałe, że w całym tym chaosie wciąż go Kocham?

— Być może.

— To oznacza, że mam rację, bo zawsze odpowiadasz w ten sposób, gdy nie chcesz czegoś przyznać.

— Być może — mówi równocześnie ze mną i obaj wybuchamy śmiechem.

— Widzisz? Znam cię, Saylor Rodgers. Wiem o tobie wszystko. I chciałbym spędzać czas na uczeniu się tego, co ominęło mnie przez te dziesięć lat.

W moich oczach wzbierają łzy. Nie mogę uwierzyć, że zadzwoniłam z zamiarem przekonania go, iż nie może kupować mi nowego piekarnika, a tymczasem to on przekonał mnie, że zna mnie na wylot.

— Jesteś tam?

— Tak.

— Marszczysz ten swój piegowaty nosek? Wkurzasz się, że facet, w którym jesteś szaleńczo zakochana i któremu powiedziałaś, że *potrzebujesz trochę przestrzeni*, za

pomocą zwykłej rozmowy sprawił, że zapomniałaś o chaosie ostatnich dni?

Zamykam oczy i opadam plecami na ścianę. Jego słowa trafiają w te miejsca w moim sercu, które przez ostatnie kilka dni były dręczone obawami. Głupimi, bo on ma rację. W kilka minut pokazał mi, że gdy jestem z nim, *dam sobie radę* ze wszystkim innym.

— Hayes. — *Kocham cię. Przepraszam. Tęsknię. Masz rację.*

Ale nic więcej nie dodaję. Może dlatego, że jestem przerażona. Może dlatego, że to, co czuję, jest tak cholernie silne, że boję się za tym podążyć, nawet jeśli każda cząstka mojej duszy krzyczy „cała naprzód”. Może dlatego nie potrafię mu powiedzieć, żeby przyleciał do mnie najszybciej, jak się da.

— Okej — mruczy i chichocze w sposób, który jest jednocześnie uwodzicielski i rozczulający. — Zgadza się na wszystko, co teraz pomyślałaś, lecz nie powiedziałaś tego na głos. Ale nie. *Jeszcze nie teraz.* Powiedziałaś, że potrzebujesz przestrzeni. *Czasu.* Sekund. Minut. Godzin. Więc ci je dam, Saylor. Dokładnie dziesięć dni. Dwieście czterdzieści godzin, w trakcie których nie będziesz mogła ze mną rozmawiać. — Przerzywa na chwilę. — Czternaście tysięcy czterysta minut. Tak, *nie śmieję się*, musiałem to obliczyć na kalkulatorze. Udowodnię ci, że nie możesz beze mnie żyć. Że artykuły i wzmianki w tabloidach nic nie znaczą. I że opinię publiczną da się zmienić, gdy się mocno postarasz.

— Nie musisz...

— Owszem, *muszę*. To w takim samym stopniu moja wina jak Jenny. Miałem sporo czasu na myślenie, skoro pewna osoba nie odbierała moich telefonów, i doszedłem do wniosku, że być może to ja do tego doprowadziłem. Może sprowokowałem Jennę, żeby coś jej udowodnić. Może w swoim egoizmie byłem tak skupiony na skutecznym uciszeniu jej, że bym mógł cię uwieść i sprawdzić, jak to jest pójść z tobą znowu do łóżka, że nie zastanawiałem się nad jej odwetem. Dlatego przepraszam cię, Saylor. Spieprzyłem. Dałem się zmanipulować zarówno wytwórni, jak i Jennie. Wybacz więc, że przejmuję kontrolę w kwestii nas, ale w tym przypadku nie mogę sobie pozwolić na ryzyko. Zagram swoimi najsilniejszymi kartami... mam tylko nadzieję, że nie okażą się dla ciebie zbyt mocne.

Czuję się, jakbym nie oddychała przez całą jego przemowę. Pali mnie w klatce piersiowej, a serce wzbiera nadzieją. W głowie mam gonitwę myśli, a policzki bolą mnie od uśmiechu. *Hayes Whitley właśnie powiedział, że mnie kocha.* Nie użył dokładnie tych dwóch magicznych słów, ale i tak to powiedział.

— A co jeśli ja już wiem...?

— Nie. Nie mów tego. Słowa są tanie. Liczą się czyny. Dziesięć dni, Saylor. Za dziesięć dni będę cię słuchał tak długo, jak zechcesz. Do tego czasu jednak przygotuj się na milczenie, bo po zakończeniu tej rozmowy zacznie się pierwszy dzień.

Śmieję się z ulgą. Moje serce jest zadowolone. To zupełnie coś innego niż dwa dni temu, gdy czułam się zagubiona, dezorientowana, obnażona i zdradzona. Oboje potrzebowaliśmy tego czasu, żeby ocenić, czy to było coś prawdziwego. Niezmiernie mnie cieszy, że doszliśmy do tego samego wniosku. *Że chcemy spróbować bycia razem.* Ale i tak nie mogę się oprzeć:

— A co jeśli twoje najlepsze karty nie wystarczą, żeby mnie zdobyć? — Wiem, że wyczuwa żartobliwość mojego głosu i że rzucam mu wyzwanie.

— Wystarczą, złotko. Poczekaj, to się przekonasz.

— Niełatwo mnie zadowolić.

Śmieje się w sposób, który rozgrzewa moją duszę i sprawia, że czuję się nieco pewniej w tym otaczającym nas chaosie.

— Wtedy będziemy musieli sięgnąć po urazowe babeczki.

Rozdział 32

Hayes

OSIEM DNI DO KOŃCA

TWITTER

@SweetChks Czy ktoś może mi powiedzieć, ilu jest ludzi na świecie?
#UrazowaBabeczka #10Dni #ShipsAhoy #SłowaSąTanie
#

— Pan Dixon?

— Hayes? Co mogę dla ciebie zrobić? — Głęboki baryton ojca Jenny wibruje w słuchawce.

— Przepraszam, że ci przeszkadzam, Paul.

— Chodzi o Jennę? — W jego głosie pobrzmiwa troska i trwoga, a ja przypominam sobie, że ostatnio dzwoniłem do niego, gdy dowiedziałem się o próbie samobójczej jego córki.

— Nic jej nie jest, ale to z jej powodu dzwonię.

— Słucham.

— Wiesz może, gdzie się ukrywa? Próbowałem się z nią skontaktować, ale nie odbiera moich telefonów. — Przerywam na chwilę, po czym gładko wypowiadam przygotowane kłamstwo. — Chodzi o terminy spotkań prasowych związanych z filmem *The Grifter*.

— Nie musisz kłamać, Hayes. Rzuciła cię na pożarcie wilkom z zazdrości, że znalazłeś sobie kogoś innego. Prawdopodobnie próbowała odstraszyć od ciebie tę kobietę. Typowe egoistyczne zagranie Jenny. Przykro mi z tego powodu. Jej zachowanie jest niewybaczalne i nie jestem z niej dumny. — Szokują mnie jego słowa. Wygląda na to, że jest tak samo zmęczony jej numerami jak ja. — Ostatnio, gdy miałem z nią kontakt, była w Malibu.

— Dzięki, Paul.

Rozdział 33

Saylor

OSIEM DNI DO KOŃCA

Zignoruj je.

Nie daj się rozproszyć.

Zmuszam się do skupienia na pomysśle, który obudził mnie w nocy i sprawił, że do rana gapiłam się w sufit, opracowując całą koncepcję.

Ekran komórki rozbłyska. I znowu odrywam wzrok od dekorowanej babeczki, żeby sprawdzić ten niekończący się strumień powiadomień.

Przestańcie mnie rozpraszać.

Odkładam strzykawkę z lukrem i biorę telefon. Nie mam takiej siły woli, żeby powstrzymać się przed czytaniem odpowiedzi na tweet Hayesa z dzisiejszego ranka. Nie wiem, po co pytał o populację świata i jaki to ma związek ze mną, ale dzięki temu łatwiej mi iść przez dzień.

@MindiSocksLou

@SweetChks @HayesWhitOffcl Siedem miliardów #DziękiGoogle Co to jest #UrazowaBabeczka? Kocham cię, Hayes!

Skup się, Saylor.

Na nowym pomysśle. Na tym, jaka kombinacja smaków najlepiej wyrazi tę ideę. Na tym, że ten przebłysk kreatywności skłonił mnie do zejścia z mieszkania, w którym ukrywałam się przed wścibskimi oczami, do pracowniczej części cukierni.

Co prawda ograniczam się na razie do tej części, ale przynajmniej zesłałam.

Znowu błyska powiadomienie.

Rozproszenie działa.

@BookLoverJeniB

@SweetChks @HayesWhitOffcl Bazylion. Dlaczego pytasz? #UrazowaBabeczka?

Mam ręce z lukru, próbując na kolejnych babeczkach zrealizować swoją wizję. Jestem wybredna i na jeden zostawiony projekt wyrzucam dziesięć, bo *chcę to zrobić dobrze*.

Poza tym funkcjonowanie w trybie kreatywności mnie wciąga i zapominam o tęsknocie za Hayesem i tym, jak bardzo frustruje mnie te jego cholerne dziesięć dni.

Kreatywność pomaga mi zabić czas pozostały do następnego spotkania.

Błysk ekranu.

Tym razem staram się uniknąć ubrudzenia go lukrem, gdy sięgam po telefon.

@TBartly86

@HayesWhitOffcl Rzuć @SweetChks i ożeń się ze mną. Lepiej całuję.
#UrazowaBabeczka? Odpowiedź: populacja 7 miliardów.

W trakcie mojej pracy dzwonek nad drzwiami wciąż obwieszcza nowych klientów. Najwyraźniej zainteresowanie jeszcze nie wygasło. Mimo powieszzonej przy wejściu tabliczki z przekreślonym aparatem fotograficznym wciąż przychodzą fotografowie, którzy kupują babeczkę i siadają przy stoliku z nadzieją, że pojawię się za ladą i będą mogli ukradkiem zrobić mi zdjęcie telefonem. Pojawiają się też fanki Hayesa, które kupując babeczkę, rozglądają się na boki na wypadek, gdyby pojawił się ich ulubieniec.

Marnują czas. Gdyby były rzetelnymi stalkerkami, wiedziałyby o jego nedorzecznej dziesięciodniowej zabawie.

Oczywiście tweety nadal przychodzą.

@Hollywood732

@HayesWhitOffcl @SweetChks 6,9 miliarda. To podchwytliwe pytanie?

— Podejrzenie tu cicho u ciebie.

Ryder. Uśmiecham się, bo wiem, że zarywa swoją pracę w ciągu dnia, żeby mi pomóc (czyli żeby mieć na mnie braterskie oko), i nadrabia zaległości wieczorem.

— Bawię się pewnym pomysłem — mruczę i odchodzę krok w tył, żeby obejrzeć swoje dzieło krytycznym wzrokiem.

— Hm. Wróciłaś do kuchni... Czy to oznacza, że zbyt trudno oprzeć się nowemu piekarnikowi, czy że rozmawiałaś z Hayesem i wszystko sobie wyjaśniliście? — Obserwuje mnie uważnie, czekając na odpowiedź.

— Nie dał mi wyboru. — Wzruszam ramionami. Nie walczę z uśmiechem, bo czuję się lepiej bez tego ogromnego napięcia w klatce piersiowej.

— Nie dał? — Unosi brwi i kiwa głową.

— Nie. I tym razem nie musiałeś nawet przemawiać mu do rozsądku pięścią.

— Staralem się ciebie chronić. — Patrzy na mnie ostrożnie, niepewny, czy gniewam się za to, że się wtrącił te wszystkie lata temu.

— Wiem. — Myślę o tym, co jeszcze mogłabym mu powiedzieć. Że jestem dużą dziewczynką i potrafię sama podejmować decyzje. I że może to przez jego interwencję nie zesłaliśmy się ponownie. Milczę jednak. Może nie potrafilibyśmy docenić tej odnowionej więzi, gdybyśmy nie mieli innych doświadczeń do porównania.

— O co chodzi z tym jego porannym tweetem? — Tym razem ja jestem zaskoczona, bo dziwi mnie, że zwrócił na to uwagę. — Na marginesie, sprawdzałem twoje strony społecznościowe. Rozgłos to dobra rzecz, bo może się przełożyć na sprzedaż, a ty zyskałaś dziś kilka tysięcy nowych obserwujących.

Ha. Zawsze się o mnie troszczy. *I zawsze myśli biznesowo.*

— Nie wiem. Hayes chyba próbuje mnie zdobyć.

— Myślę, że już to zrobił.

Chcę odpowiedzieć *być może*, ale zamykam usta, gdy zauważam, że Ryder z przechyloną głową przygląda się stojącym przede mną ozdobionym babeczkom.

Ogarnia mnie nerwowość, gdy oddalam się jeszcze trochę i próbuję spojrzeć na nie jego oczami. Pierwsza z brzegu wygląda, jakby jej polewa była zszyta nicią, a nad szwem ma napis kursywą „Ta do zjedzenia”. Jej sąsiadka jest polukrowana na podobieństwo

potłuczonego szkła i nosi napis: „Ta do rzucenia”. Następna para ma podobny schemat kolorystyczny, tylko w ciemniejszym odcieniu. Na pierwszej babeczce, bez ozdób, jest napisane: „Ta do zniszczenia”, a na jej sąsiadce „Niech mnie całuje w tyłek”, z literami wewnątrz konturu ust.

— Niesamowite. Dla kogo?

— Dla mnie.

— Dla ciebie? — Wygląda na zdezorientowanego. — Myślałem, że między wami jest coraz lepiej.

Śmieję się i przytakuję. A potem mówię mu o urazowych babeczkach Hayesa. Że rozwalanie ich było bardzo oczyszczające i zabawne. I że Hayes powiedział, że jeśli nie uda mu się mnie zdobyć swoim urokiem, sięgnie po ostateczną broń, którą będzie kolejna babeczkowa wojna.

— I tyle. — Wzruszam ramionami. — Przez niego zaczęłam myśleć o tych babeczkach. I czy ludzie faktycznie kupowałyby je dla swoich przyjaciół i przyjaciółek przeżywających rozstanie z partnerem. Dlatego robię jedną do zjedzenia i jedną do zmiżdżenia. Pudełko byłoby podzielone na pół, a wszystkie babeczki musiałyby mieć jakieś urocze napisy. To idealna terapia: *czekolada plus agresja*.

Ryder nie uśmiecha się po moim żarciku, lecz przykładą palec do ust w zamyśleniu, a ja nagle uświadamiam sobie niedorzeczność tego pomysłu. Nie wiem, jak mogłam sądzić, że ktokolwiek to kupi.

— To tylko pomysł. Prawdopodobnie i tak nigdy by...

— Te drugie miałyby taką samą wielkość? Czy byłyby mniejsze, skoro i tak je rozwalasz? Podaj więcej konkretów.

— Ty i te twoje konkrety — mruczę, przewracając oczami, ale nieco się rozluźniam, skoro nie odrzucił tego pomysłu z marszu. — Nie dotarłam jeszcze tak daleko. Podejrzewam, że te do rozwalenia mogłyby być mniejsze, ale musielibyśmy wtedy zrobić specjalnie przystosowane wkłady do pudełek, co wiązałoby się z dodatkowym kosztem. Nie zastanawiałam się nad tym aż tak dokładnie, Ryder. Na razie pracowałam nad kreatywną stroną tego pomysłu. Ale wiesz co? Nieważne.

— Sądzę, że to genialne, Saylor. — *Naprawdę?*

— Serio?

— Absolutnie.

Patrzę na niego. Z oczami jak spodki. Zszokowana. W poczuciu spełnienia.

— Łał.

— Musimy teraz pomyśleć nad marketingiem, żeby wieść się rozniosła.

Wpatrujemy się sobie w oczy, a ja jeszcze nigdy nie czułam się mu tak wdzięczna za to, że jest moim bratem, jak w tej chwili. Zawsze mnie chronił, ale po śmierci rodziców wziął na siebie więcej, niż sądziłam, że jest w stanie. Łączyła nas więź typu *my kontra świat*. Był przy moim boku i stanowił najważniejsze wsparcie we wszystkich moich wzlotach i upadkach, radościach i smutkach.

Wiem, że miałam Mitcha, który pomagał mi otrząsnąć się z żałoby, ale to Ryder był moją opoką.

I nadal jest.

Jakaś cząstka mojej duszy wie, że rodzice uśmiechają się teraz do nas z góry, co budzi we mnie nadzieję, że może w końcu wszystko się zacznie układać.

#

Ekran się rozświecila.

Strumień rozproszeń wciąż napływa.

Jestem tak pochłonięta dopracowywaniem detali na babeczkach, że nie od razu sprawdzam telefon. Gdy w końcu to robię, muszę zdrapać lukier z ekranu, żeby przeczytać tweeta.

I w końcu dostać odpowiedź.

@HayesWhitOffcl

Lud przemówił. Na świecie jest 7 miliardów osób.

A JA WYBRAŁEM CIEBIE @SweetChks

TYLKO CIEBIE

#UrazowaBabeczka #LicząSięCzyny

Wow. Bez dwóch zdań jest to wyznanie w stu czterdziestu znakach lub mniej. Ten facet zdecydowanie wie, jak przykuć moją uwagę.

Tak, Hayes, liczą się czyny.

Hayes

SZEŚĆ DNI DO KOŃCA

FACEBOOK

Hej @SweetChsk... Oddaję wszystko, co skradłem Ci przez te wszystkie lata... Co mogę mieć na myśli? #UrazoweBabeczki #DzieńCzwarty
#

— Hayes.

— Trudno cię namierzyć. — Nie próbuję ukryć jadu w głosie i ogólnego *pieprz się*, jakie z niego emanuje. Jenna poprawia się na szezlongu, na którym wygrzewa się w słońcu, nieco bardziej eksponując rowek między piersiami. — Widzę, że rekonwalescencja była dla ciebie dość *ciężka*.

Wyłapuję cień jej uśmiešku, lecz ułamek sekundy później wydyma usta i przyjmuje swoją maskę przygnębionej ofiary.

— Nawet sobie nie wyobrażasz, Hayes. Tak dobrze cię widzieć. Dziękuję, że przyjechałeś sprawdzić, co u mnie. Może usiądziesz?

Chwyta mnie za dłoń i ciągnie w swoją stronę, a ja gapię się na nią zdumiony. *Czy ona naprawdę sądzi, że kupuję te jej ściemy?*

Przez chwilę kwestionuję swoją zdolność oceny czyjegoś charakteru. Jakim cudem mogłem kiedyś widzieć w niej cokolwiek innego niż to, kim naprawdę jest? Uzależnioną od zainteresowania mediów ćpunką, która jest gotowa wykorzystać dla swoich celów każdego człowieka i każdą sytuację.

— To nie wizyta towarzyska, Jenno. Przyszedłem do ciebie, bo jesteś zbyt tchórzliwa, żeby odebrać telefon i zmierzyć się z syfem, do jakiego doprowadziłaś.

— Och, Hayes. — Wydaje z siebie ten sztuczny chichot, który brzmi dla mnie jak skrobanie paznokciami po tablicy. — Wyluzuj. Nikt już o tym nie mówi.

Zaciskam pięści, próbując powstrzymać się przed chwyceniem tego wysokiego kieliszka ginu obok niej i roztrzaskaniem go, żeby zdobyć jej uwagę. Jakaś częśćka mnie wolałaby jednak, żeby Jenna nie traktowała mnie zbyt poważnie. Jeśli mnie wydyma mimo szczerzego ostrzeżenia, z przyjemnością rozwiążę tę sytuację na swój sposób.

— Oto co masz zrobić. W następną środę wsiądziesz do samochodu, który po ciebie wyśle. Zawiezie cię do cukierni Saylor. Wejdiesz do środka i przeprosisz ją, twarzą w twarz. *I będziesz miła*. Następnie wrócisz do części kawiarnianej, gdzie zorganizuję konferencję prasową. Siądziesz obok mnie i wyjaśnisz mediom, kiedy i dlaczego

zerwaliśmy. Powiesz, że nikt nikogo nie zdradzał i że po prostu okazało się, że do siebie nie pasujemy. Następnie publicznie przeprosisz za to, że przez ciebie prasa uznała, że zerwaliśmy z powodu Saylor, a ty nie skorygowałaś tej nieprawdy.

— Chyba żartujesz. Nie mogę tego zrobić. Ludzie pomyślą, że kłamałam i...

— Ty KŁAMAŁAŚ — krzyczę i znowu mam przemożną chęć złapać ten kieliszek.

— Wydaje mi się, że mam wtedy fryzjera.

Po prostu nie do wiary.

— Odwołaj to.

— Nie.

— Odwołaj to — powtarzam, ściągam okulary i kucam, żebyśmy spojrzeli sobie w oczy. Żeby wiedziała, iż moja groźba jest jak najbardziej poważna. — Albo sam udzielę wywiadu i wyjaśnię, jak trudno było kręcić ten film z powodu twojego uzależnienia, a potem przypadkiem wspomnę o twojej próbie samobójczej. Która w rzeczywistości była popisem reklamowym, bo jesteś tak zakochana w sobie, że uznałaś, iż ludzie za mało się tobą interesują. Wyjaśnię też, dlaczego ojciec się ciebie wyrzekł, że wytwórnia zagroziła wstrzymaniem wypłaty i że twoja kariera wisi na równie cienkim włosku, jak twoja ludzka przyzwoitość.

— Ty skurwielu — cedzi przez zęby, lecz ja w odpowiedzi błyskawicznie sarkastycznym uśmiechem. — Nie zrobiłbyś tego. A co z umową poufności? Naszymi wypłatami? Nie możesz tak po prostu...

— Owszem, mogę. Są na świecie rzeczy ważniejsze od pieniędzy, Jenno. Na przykład Saylor.

— Nie ośmieliłbyś się. — Jej dłonie drżą, a głos faluje z niedowierzania i gniewu.

— Sprawdź mnie, Jenna. — Unoszę brwi i zakładam okulary. Patrzę na nią przez chwilę, żeby wiedziała, że nie żartuję, po czym bez słowa odchodzę.

Do licha, ależ to było przyjemne.

Saylor

SZEŚĆ DNI DO KOŃCA

FACEBOOK

Hej @SweetChsk... Oddaję wszystko, co skradłem Ci przez te wszystkie lata... Co mogę mieć na myśli? #UrazoweBabeczki #10Dni

1. Czekoladowe ciasteczka

Patrzę na dostarczone przed chwilą do cukierni ogromniaste pudło ciasteczek czekoladowych. I to nie byle jakich — to ciasteczka *Chips Ahoy*. To wykorzystanie mojego nazwiska wraz ze wspomnieniem, jak Hayes po szkole podkradał mi ciastka, wywołuje mój uśmiech. Ten prezent jest tak przemyślany, że roztopia moje serce.

Frustruje mnie to, że nie odebrał mojego telefonu z podziękowaniami. Jediną jego reakcją był SMS mówiący, że jeszcze sześć dni. *Ugh*.

Poczułam się dzisiaj nieco pewniej i wyszłam na przód cukierni, żeby stanąć za ladą. Na moment ucichły wszystkie rozmowy, ale klienci musieli się zorientować, że to zauważalne, bo z zapalem zaczęli gadać głośniejszym niż przedtem, jakby w ten sposób nie było to oczywiste.

Rozmawiam z DeeDee o zdumiewającej sprzedaży w ten weekend, a czekający na zewnątrz fotografowie celują obiektywami przez szyby wystawowe. Z całą pewnością cieszą się, że mnie widzą po wielu dniach nudzenia się na śmierć. Mam tę przewagę, że mieszkam i pracuję w tym samym budynku, więc nie mogą liczyć na gwarantowany dojazd do pracy, jak w przypadku większości innych prześladowanych ludzi.

Układam na nowo towar w witrynach, bo muszę się czymś zająć, zanim przywyknę do bycia obserwowaną. To niemal tak, jakby myśleli, że lada moment pękne i przyznam się do wszystkich okropieństw, jakie wypisywano o mnie w ich magazynach.

#

Hej @SweetChsk... Oddaję wszystko, co skradłem Ci przez te wszystkie lata... Co mogę mieć na myśli? #UrazoweBabeczki #10Dni

1. Czekoladowe ciasteczka

2. Pocałunki

Wchodzący do cukierni kurier zupełnie mnie zaskoczył. Początkowo chciałam go wyprosić, bo uznałam, że to na pewno paparazzi, który udaje kuriera, żeby dostać się jakoś do środka (głupie, wiem, ale kto nie wpadłby w paranoję, gdyby ponad czterdzieści par oczu obserwowało każdy jego ruch), ale uświadomiłam sobie, że trzyma w dłoni paczkę, a nie torbę z aparatem.

Obserwuję jego wyjście. Paparazzi fotografują go jak szaleni, zupełnie jakby właśnie dostarczył tajną wiadomość od Hayesa. Otwieram paczkę i orientuję się, że tak jest w istocie.

Wnętrze jest podzielone na dwie części. Jedna jest wypełniona taką ilością czekoladek Hershey's Kisses, że zapach czekolady wręcz uderza mnie w nos. Druga część jest pusta, nie licząc przyklepionego taśmą do dna liściku:

Pudło jest w połowie puste. Potrzebuję miejsca, bo zamierzam skraść znacznie więcej Twoich pocałunków.

— XO Hayes

Serce staje mi na moment, a na twarzy pojawia się uśmiech. Robię to, co każdy zrobiłby na moim miejscu — wyciągam jedną z czekoladek, odpakowuję ją i zjadam, obserwując kłębiących się fotografów na zewnątrz. Przychodzi mi do głowy pewna myśl, ale ją odrzucam. Uznaję za głupią.

Wychodzę do części dla klientów, żeby powycierać stoliki. I gdy zauważam kilka pozostawionych tabloidów z moim zdjęciem na okładce i słyszę strzępki przechwałek o tym, kto i ile pieniędzy dostał za dane zdjęcie, dochodzę do wniosku, że może mój pomysł nie jest aż tak głupi.

— Dee, muszę na chwilę wrócić do kuchni.

Oczywiście na blacie w kuchni znajduję kolejne pudło. Kolejny przedmiot zwrócony przez Hayesa. Tym razem wiem, że DeeDee lub Ryder musieli maczać w tym palce, ale cieszę się, że Hayes zadał sobie tyle trudu.

Hej @SweetChsk... Oddaję wszystko, co skradłem Ci przez te wszystkie lata... Co mogę mieć na myśli? #UrazoweBabeczki #10Dni

1. Czekoladowe ciasteczka
2. Pocałunki
3. Czas

Otwieram pudło, a w środku jest klepsydra. Dotykam ją i nie mogę wyjść z podziwu, że Hayes wkłada tyle starań w te dziesięć dni.

Odwracam ją i obserwuję przesypujący się piasek. Zamyślam się, zahipnotyzowana tym widokiem. Nad tym, jak szybko mija czas. Nad Hayesem. Nad tym, że jeśli chodzi o niego, nie chcę już marnować czasu. Życie jest zbyt krótkie. Gdy piasek przesypuje się do końca, przez szkło klepsydry widać skończone już urazowe babeczki.

Przestań marnować czas, Saylor.

Zaczynam się śmiać, bo nagle wszystko układa się w całość. Paparazzi. Wykorzystują mnie dla pieniędzy. Chcą sprzedać zdjęcia ze mną. Dlaczego nie miałabym wykorzystać ich dokładnie w tym samym celu?

Zainspirowana biorę pudło idealnie udekorowanych urazowych babeczek i dumnym krokiem wychodzę z kuchni, przechodzę przez część kawiarnianą i po raz pierwszy od powrotu z wycieczki wychodzę przez przeszklone drzwi frontowe.

Wśród fotografów wybucha popłoch, gdy zauważają, że wyszłam na zewnątrz i zachowuję się jak kobieta z misją.

— Chcecie mojego oświadczenia? — wykrzykuję, a oni zaczynają pospiesznie

przestawiać aparaty w tryb filmowania, żeby nagrać to, co chcę powiedzieć. — Dam wam oświadczenie. Chcecie wiedzieć, jak się czuję z tym wszystkim, co zaszło? Jakie to uczucie być oskarżaną, oczernianą i obmawianą, chociaż nikt nie ma pojęcia, jaka jest prawda?

Z wyraźnym stuknięciem kładę pudło z babeczkami na jednym ze stolików przed cukiernią. Milknę na chwilę dla zwiększenia dramatyzmu i żeby mieć pewność, że mam ich uwagę i zdążyli znaleźć najlepsze ujęcie.

— Wkurza mnie to. Ale nie wymyślam kłamstw i nie rozpowszechniam ich, żeby poczuć się lepiej i zdobyć więcej zainteresowania. Nie dzwonię do dziennikarzy, żeby podsuwać im nieprawdziwe informacje o tym, gdzie znaleźć kolejne plotki, lub żeby rzucić jakąś kłamliwą wzmiankę. Nie. Bo gdybym tak zrobiła, zauważylibyście, że tak naprawdę nie mam nic do powiedzenia. Ale tak nie jest. Nie robię tak, bo mam w sobie więcej klasy. I dobrego wychowania. Zamiast tego piekę. Jem czekoladę. A gdy jestem wściekła, robię to.

Biorę babeczkę, przez chwilę prezentuję do kamer jej wierzch z napisem „Ta do rzucenia”, a następnie miażdżę ją dłońmi jak wtedy, w trakcie babeczkowej wojny z Hayesem. Fotografowie wzdrygają się, gdy w powietrze wznoszą się odłamki tego babeczkowego szrapnela.

Przypomina mi się widok okruchów na torsie Hayesa i to, jak pragnęłam je zlizać. To znacznie przyjemniejszy obraz niż tłumek paparazzich przede mną, ale dzięki temu łatwiej mi ich znieść.

— Wypiekam urazowe babeczki. Jedna jest po to, żeby zaspokoić swój czekoladowy nałóg... — Podnoszę tę z napisem „Ta do zjedzenia”. Odgryzam mały kawałek. A następnie w hałasie klikających migawek biorę kolejną z napisem „Ta do zniszczenia”. — A druga po to, by wyładować swoją frustrację i agresję. — Tym razem, gdy ją miażdżę, udaje mi się wydobyć z nich chichoty.

— Widzicie? — podsumowuję. — Nie dzieje się tu nic ciekawego, z czego można by wycisnąć jakieś zdjęcia do sprzedania, poza tym że robię urazowe babeczki i je rozwalam, ale to już sfotografowaliście. Jeśli jednak uda się wam je sprzedać, zadbajcie o nedorzeczne nagłówki w rodzaju: „Saylor Rodgers wariuje i rozwała babeczki, bo Hayes Whitley rzucił ją dla młodszej siostry Medusy”. Bo jeśli zamierzacie kłamać, to dlaczego nie mielibyście pójść na całość? Dlatego drukujcie, co wam się podoba. Mówcie, co chcecie. Ja znam prawdę. Hayes zna prawdę. Jenna także z całą pewnością zna prawdę. To wszystko. Ja będę dalej wypiekała babeczki. Może nawet zaoferuję wam parę w ramach rekompensaty za to, że nie daję wam nic wartego czasu antenowego i sprzedania. Wszyscy lubicie czekoladę? Świetnie. To się stąd nie ruszajcie.

Oblizuję lukier z palców, zerkam na pudło z pozostałymi babeczkami i postanawiam zostawić je na stole, żeby mogli się lepiej przyjrzeć i być może nawet zrobić parę fotek. Podejrzewam, że właśnie dlatego ustawiłam pudło tak, żeby najlepiej widoczna była para, którą chciałam wyeksponować. Na jednej znajduje się napis: *TAK, zawsze chodziło o NIEGO*, a na drugiej: *A NIE O CIEBIE, Golfowy Chłopcze*.

Tak. Te babeczki dają mi ciepło, palancie.

Bez zbędnych słów odwracam się od nich z zadowolonym uśmiechem, bo wiem,

że Mitch to zobaczy i zrozumie mój przekaz.

Gdy otwieram drzwi cukierni, czuję się dobrze po raz pierwszy od tamtego przebudzenia w ramionach Hayesa, zanim jeszcze wybuchł cały ten chaos.

Podnoszę wzrok i trafiam na spojrzenie Rydera. Jest zszokowany, ale uśmiecha się, a cała jego twarz wyraża dumę ze mnie.

— To było genialne, Say.

Wzruszam ramionami.

— Jeśli nie chcesz im dać tego, czego *oni* chcą, możesz im przynajmniej dać to, czego *ty* chcesz.

— Darmowy rozgłos zawsze na plusie.

— Dzięki, ale przez ostatnie parę dni mam tyle rozgłosu, że starczy mi na całe życie.

Ruszam na zaplecze, myję ręce i czuję się trochę pewniejsza siebie, bo przekonałam się, że konfrontacja z bestią nie jest aż tak straszna, jak mi się wydawało. Oczywiście wiem, że tłumek przed cukiernią jest niczym w porównaniu z szaleństwem, jakie obserwowałam wokół Hayesa, gdy wychodził z klubu, z premiery lub z innego miejsca, ale i tak jest lepiej, niż myślałam.

Małe kroczki. Jeden za drugim, prosto w ramiona Hayesa.

— Dla ciebie. — Wzdrygam się na głos Rydera. Wycieram ręce i patrzę podejrzliwie na paczkę, którą mi podaje.

Kładę ją na stole, ale gdy je otwieram, okazuje się *puste*.

W środku nie ma nic prócz namalowanego na papierze czerwonego serca. Podpis pod nim sprawia, że w oczach wzbierają mi łzy.

Sorry. Tego ci nie oddam. Hayes.

#

Hej @SweetChsk... Oddaję wszystko, co skradłem Ci przez te wszystkie lata... Co mogę mieć na myśli? #UrazoweBabeczki #10Dni

1. Czekoladowe ciasteczka
2. Pocałunki
3. Czas
4. Twoje serce

Gdyby możliwa była taka reakcja, jak omdlewanie, właśnie bym jej doświadczyła. Bo coś takiego znaczy dla mnie o wiele więcej niż kosztowny piekarnik.

Czytam post jeszcze raz z łomoczącym sercem, a gdy zerkam na tysiące komentarzy pod nim, zauważam pewną zmianę. Na początku wszystkie były beznadziejne. Oszczercze wobec mnie. Ale pod tym najnowszym postem są znacznie życzliwsze. W rodzaju *Zdobądź ją, Hayes!* lub *Jeśli jakaś kobieta wzbudza w tobie takie oddanie, to musi być miłość*.

Przełączam się na wiadomości — bo po każdym prezencie wysyłam mu SMS-a — i piszę: Możesz je zatrzymać, dopóki mam twoje. Dzięki za podarunki.

Rozdział 36

Hayes

CZTERY DNI DO KOŃCA

TWITTER

@HayesWhitOffcl

Przygotuj się na moje najsilniejsze karty @SweetChks. Masz mapę? Zgubiłem się w Twoich oczach. #10Dni #UrazowaBabeczka #Zdeterminowany
#

Po raz kolejny oglądam na TMZ filmik z Saylor, na którym wychodzi przed Sweet Cheeks z tymi swoimi genialnymi babeczkami. Jest taka niewinna i opanowana, lecz po krótkiej przemowie miażdży babeczki w dłoniach, kompletnie zaskakując paparazzich. Palant Mitch na pewno zauważy przytyk pod jego adresem. Saylor wygląda, jakby w ogóle nie przejmowała się skierowanymi w nią aparatami — jest pewna siebie i zabawna. Jakby niewiarygodne okrucieństwa zeszłego tygodnia w ogóle ją nie obesły.

Idealnie *ich* ustawiła. A gdy się odwraca, żeby wrócić do środka, przez ułamek sekundy widać cień jej zadowolonego uśmiechu, który mówi, że rozgryzła tę grę. Pyskata jak diabli, urocza i bez wątplenia już wkrótce moja.

Do licha, jak ja za nią tęsknię.

Nie rozmawialiśmy ze sobą dziesięć lat, więc nie rozumiem, dlaczego moje moratorium niemówienia do niej przez dziesięć dni tak mnie dobija?

Bo tym razem wiem, że to ma znaczenie. Tym razem nie mam zamiaru od niej odejść ani pozwolić, by ona odeszła. Podążyłem za marzeniami. Za pasją. Odniosłem sukces. Jakie to jednak ma znaczenie, jeśli ona nie będzie przy mnie pod koniec każdego dnia?

Żeby mnie pocałować.

Żeby się ze mną śmiać.

Żeby ubrudzić mąką blat.

Przeczesuję dłonią włosy, przeglądając przesłany mi harmonogram wywiadów, które zaczną się pojutrze, i sprawdzam listę rzeczy do zrobienia w związku z zaplanowanymi przeze mnie niespodziankami.

Mam nadzieję, że nie robię tego niepotrzebnie. Że to nierozmawianie, niewidywanie się i niecałowanie uświadomi jej, jak bardzo czuje się beze mnie samotna.

Okej, czas wrócić do wyszukiwania tandetnych tekstów na podryw do wrzucenia na Twittera.

Jeśli mam z siebie zrobić głupka, to lepiej, żebym ostatecznie zdobył tę dziewczynę.

Saylor

CZTERY DNI DO KOŃCA

TWITTER

@HayesWhitOffcl

@SweetChks, nie bolą cię nogi? Bo całą noc chodziłaś mi po głowie. #10Dni #UrazowaBabeczka #Zdeterminowany #NajlepszeKarty

Parskam na widok tego tweeta. Nie mogę się powstrzymać. Opieram się biodrem o stół rzeźniczy, przykrywam dłonią usta i się śmieję. Hayes jest niezmordowany. I uroczy.

Ma ponad milion obserwujących, lecz wrzuca żenujące teksty na podryw, jakby w ogóle go nie obchodziło, co ludzie o nim powiedzą. Może o to właśnie chodzi. Może chce mi pokazać, że się nie przejmuję, więc ja też nie powinnam.

Przeglądam swoje konto i ze zdziwieniem zauważam, że pozytywne opinie zaczynają przeważać. A dość liczne komentarze na temat incydentu babeczkowego są raczej w zabawnym niż krytycznym tonie.

— Jest uroczy, wiesz? — Podnoszę wzrok i zauważam stojącą w progu DeeDee, która wyraża na głos moje myśli. Trzyma w dłoni chusteczkę higieniczną i uśmiecha się do mnie. Nie wiem, czy to dlatego, że Hayes rozmiękczył mnie swoim humorem, ale patrzę na nią i uświadamiam sobie swoje niewiarygodne szczęście, że mam ją przy sobie i że pomaga mi uporać się z tym wszystkim: dba o cukiernię i opanowuje związany z Hayesem chaos. — Jego tweety, posty i w ogóle... po prostu urocze.

— Wiem. Z wszystkich znanych mi mężczyzn jest chyba najbardziej podobny do bohaterów twoich romansów, Dee.

— Serio? Pod każdym względem? — Unosi brwi i uśmiecha się nieśmiało, a ja przypominam sobie naszą rozmowę o facetach z powieści i gwarantowanych orgazmach.

— Tak. *Pod każdym względem.*

— *Do licha.* — Nie mówi nic więcej, a ja śmieję się w duchu, że moja odpowiedź odebrała na chwilę mowę nigdy niemilknącej Dee. — O czym to rozmawiałyśmy?

Chichoczę z jej zarumienionych policzków.

— O jego uroczych tweetach, postach i... *wszystkim.*

— Niewielu mężczyzn włożyłoby tyle wysiłku w zdobycie kobiety.

— Wiem. Jest strasznie zabawny.

— A ty cieszysz się każdym jego zagranieniem.

Przytakuję.

— To prawda. Chciałabym, żeby po prostu wziął telefon i zadzwonił do mnie. Już i tak mnie zdobył.

— Ale czy nie o to chodzi?

— Co masz na myśli?

— Zdobycie ciebie to jedno. Ale on teraz obwieszcza swój wybór całemu światu. Składa takie wyznanie, żebyś zapamiętała je na zawsze. I oni też.

Odzywa się telefon przy kasie. Dee patrzy na mnie przez chwilę, żeby upewnić się, że zrozumiałam jej przekaz. Zrozumiałam.

Jasno i wyraźnie.

#

@SweetChks, trudno mi oddychać, bo Twój widok zapiera mi dech w piersi
#10Dni #UrazowaBabeczka #Zdeterminowany

#

Nie ma mowy, żeby się nie przesłyszała. Przystaję ugniatać ciasto na stole masarskim i podchodzę do części kawiarnianej, gdzie DeeDee rozmawia z klientką.

— Mogę pani w czymś pomóc? — pytam.

Dee odwraca się do mnie i wysyła milczące podziękowanie za to, że przyszedłam.

— Tak. Jedna z koordynatorek Klubu szuka cukierni, która dostarczałaby swoje wyroby na poranną herbatę w trzeciej czwartek miesiąca. Jestem przekonana, że wasze babeczki przypadną jej do gustu. To idealne połączenie wyśmienitego smaku i wyglądu.

— Czy pani powiedziała „Klubu”? — Za pierwszym razem na zapleczu byłam gotowa przysiąc, że się przesłyszałam, za drugim razem usłyszałam to wyraźnie, ale muszę się upewnić i usłyszeć to jeszcze raz.

— Tak, kochanie. Wiesz, tego Klubu. — Poprawia włosy i uśmiecha się. — Przepraszam za wścibskość, ale czy nie jest pani spokrewniona z jedną z członkiń?

Po raz kolejny rozglądam się w poszukiwaniu ukrytej kamery. To musi być żart, prawda? Ale kamer brak. Jest tylko DeeDee, która zrobiła wielkie oczy i przygryza dolną wargę, próbując opanować śmiech.

Ta kobieta sądzi, że jestem spokrewniona z Sarah Pocieszycielką.

— Nie, nie jestem.

— Och, bo mogłaby pani być zaginioną siostrą świeżo upieczonej synowej naszej koordynatorki. Jesteście podobne jak dwie krople wody.

Kto by pomyślał.

Tłumię sarkastyczny śmiech, który rozpaczliwie próbuje się uwolnić, i staram się zachować cierpliwość oraz profesjonalizm w kontakcie z tą najwyraźniej nieświadomą klubowych dramatów klientką.

— Nie. Nie mam siostry.

— Cóż, to dobrze — szepcze, po czym przechyla się przez kontuar w moją stronę i klepie mnie po dłoni. — Synowa jest nieco... jak by to grzecznie ująć? Pretensjonalną manipulatorką?

— Może jężdżą? — podpowiadam jej, bo jest zbyt uprzejma, żeby wypowiedzieć to na głos. Rumieni się natychmiast, a jej nieznaczny uśmiech mówi mi wszystko, co chcę wiedzieć.

— Coś w tym rodzaju. Cała rodzina taka jest, skoro już o tym mowa. — Potrząsa obojętnie głową, porzucając temat. — Na czym to stanęliśmy? A, tak, na babeczkach dla Klubu. To dla pani spora okazja zdobyć takiego kontrahenta. Członkinie Klubu mają wiele cennych kontaktów, z których mogłyby pani skorzystać. A ja jestem na tyle pewna, że koordynatorce zasmakują te babeczki, że jestem skłonna pominąć degustację i od razu złożyć zamówienie na przyszłotygodniowe spotkanie.

Mój uśmiech powiększa się do niebotycznych rozmiarów, gdy pochylam się w jej stronę tak jak ona przed chwilą.

— Z przyjemnością podjęłabym to zlecenie, proszę jednak przekazać koordynatorce, że w tej chwili tonę w zamówieniach. Poza tym — wzruszam ramionami, starając się być grzeczną, gdyż ta kobieta wydaje się miła, co jest rzadkością wśród członkiń Klubu — sądzę, że moje babeczki mogłyby być nieco zbyt słodkie, jak na gusta członkiń. Ale dziękuję za propozycję.

— Cóż, moim zdaniem są wyśmienite. Szkoda. Nie omieszkam przekazać koordynatorce pani odpowiedzi.

— Bardzo proszę tak zrobić — odpowiadam najuprzejmiej, jak potrafię, a ona kiwa głową na pożegnanie i wychodzi. *Z pudłem babeczek w dłoniach.*

Żałuję, że nie mogę zobaczyć wyrazu twarzy Sztywnej Urszuli, gdy otrzyma moją wiadomość.

#

— Say, telefon do ciebie.

Mruczę w odpowiedzi, ale nie przerywam pracy nad wymyślnym lukrowym zdobieniem. Menedżer cateringu centrum konferencyjnego poprosił o próbki, żeby zdecydować, czy warto umieścić nas na liście preferowanych dostawców.

— Nie z Klubu.

— Ha, ha. Bardzo śmieszne. — Teraz ma moją uwagę. — Możesz poprosić o zostawienie wiadomości? Muszę...

— Nie. Myślę, że powinnaś to odebrać.

Podnoszę głowę. Dee patrzy na mnie z ostrożną ekscytacją, wyciągając telefon w moją stronę. Pod wpływem ciekawości prostuję się i biorę od niej telefon.

— Sweet Cheeks, Saylor z tej strony. W czym mogę pomóc?

— Dzień dobry. Jestem Sally Destin i dzwonię w imieniu organizacji Kalifornijskie Wsparcie Rozwodowe.

— Dzień dobry. — Patrzę na DeeDee, przymrużając powieki, bo znowu mam wrażenie, że ktoś ze mnie żartuje. — W czym mogę pomóc?

— Wyjaśniłam już to asystentce, która stwierdziła, że najlepiej będzie, gdy porozmawiam z właścicielką. Czy mam z nią przyjemność?

— Tak. Jestem Saylor. Jak mogę pani pomóc, Sally?

— Zastanawiałam się nad waszym zasięgiem dostaw i możliwościami produkcyjnymi. Działacie tylko lokalnie, czy w całej Kalifornii?

Biorę długopis i notatnik, żeby móc notować.

— Cóż, to zależy od wielkości zamówienia. Jeśli chodzi o kilkadziesiąt sztuk, to

tylko lokalnie, lecz jeśli mówimy o większym zamówieniu, to możemy dostarczyć je dalej.

— Znacznie większym. — Rozmówczynie chichocze, a ja zerkam na DeeDee, której uśmiech coraz bardziej się poszerza. — Jesteśmy organizacją, która prowadzi największą kalifornijską sieć grup wsparcia dla rozwodników. Mamy średnio pięć imprez tygodniowo w różnych miejscach, a w każdej bierze udział ponad sto osób.

— To całkiem sporo. Jak więc miałyby wyglądać moja rola?

— Widzieliśmy wczoraj filmik z tymi rozwodowymi babeczkami i chcielibyśmy złożyć regularne zamówienie.

Zaczynam gorączkowo analizować szczegóły. Znaleźć wiarygodnego dostawcę. Rozwiązać kwestię pakowania dużych ilości. Miliony możliwych opcji. Potrząsam głową z pełnym nadziei niedowierzaniem i w końcu rozumiem narastającą ekscytację DeeDee.

— Chodzi o urazowe babeczki?

— Tak, ale wolelibyśmy nazywać je *rozwodowymi babeczkami*. Albo *babeczkami po zerwaniu* czy *babeczkami na nowy początek*. — Chichocze do siebie. — Przepraszam, rozpędziłam się już w wymyślaniu nazwy. Możemy to ustalić później, gdy już uzgodnimy szczegóły stałego zamówienia. Myślę, że będziemy potrzebować około pięciuset sztuk tygodniowo. Po załatwieniu tej kwestii moglibyśmy nawiązać jakiegoś rodzaju partnerstwo polegające na tym, że gdy dołączy do nas nowa członkini, przesyłalibyśmy jej próbkę w ramach powitania w grupie czy coś takiego.

Ponad pięćset sztuk tygodniowo? Czy ja dobrze słyszałam? Jasny gwint.

Mrugam kilka razy z niedowierzaniem. Otwieram i zamykam usta, próbując odzyskać panowanie nad sobą.

— Ehm. Okej. Z przyjemnością nawiążę z wami współpracę i coś wymyślę. — Staram się brzmieć spokojnie, ale drżące dłonie zdradzają moją ekscytację. — Musiałabym poznać zasięg dostaw i ustalić z panią, co przekazać dalej... jak wyglądałyby szczegóły... i wtedy opracowałabym dla was konkretną ofertę.

— To wspaniale. Jestem w tej chwili na waszej stronie. Czy mogę przesłać informacje na podany tu adres mailowy?

— Tak. Jasne. Byłoby świetnie.

— Co jeszcze... zazwyczaj na każdej imprezie jest ktoś z centrali, więc gdyby któraś z imprez okazała się wykraczać poza wasz zasięg dostaw, może dałoby się zrobić tak, że dostarczylibyście zamówienie do głównej siedziby, a ktoś od nas przewiózłby je we właściwe miejsce. Tak tylko głośno myślę.

— Byłoby świetnie. Dziękuję, Sally. W takim razie czekam na informacje na maila.

— Mam nadzieję, że nie przekroczę granicy przyzwoitości, gdy przyznam, że przeszła pani w tym tygodniu przez niezły magiel. Powinna pani wiedzieć, że to, co zrobiła pani wczoraj z tym zmiążdżeniem babeczek przed kamerami, było bardzo inspirujące. To genialna idea. Już od dłuższego czasu szukaliśmy takiego pomysłu. Z przyjemnością przychyliam się do tego, żeby podpisać kontrakt z waszą firmą. To tylko kwestia czasu, gdy zaczną się do was zgłaszać inne organizacje, i wołałabym mieć zaklepane miejsce, zanim zaczną pani odrzucać zamówienia.

— Dziękuję. Naprawdę. Szczerze dziękuję. Nie mogę się doczekać naszej

współpracy.

Rozłączam się, patrzę na DeeDee z oczami jak spodki i obie równocześnie wydajemy z siebie pisk.

— Jasny gwint — szepczę.

#

@HayesWhitOffcl

@SweetChks, jesteś ratowniczką? Bo utonąłem w twoich oczach. #10Dni #UrazowaBabeczka #Zdeterminowany #NajlepszeKarty

#

— Nie żartowałaś, co? — pyta Ryder, odrywając wzrok od maila i spoglądając mi w oczy.

— Nie. Nie do wiary, prawda?

— To całkiem spora liczba babeczek. — Widzę, że w myślach oblicza przychody i analizuje ich wpływ na biznes. — Olbrzymia.

— No wiem. Mamy takie możliwości produkcyjne? — pytam ze świadomością, że będę musiała przełożyć spłatę długu wobec niego ze względu na konieczność zainwestowania w dodatkowe składniki. Przygryzam wargę, przekonana, że zaprzeczy.

— Jeśli nie mamy, dopilnujemy, żebyśmy mieli. — Patrzy na mnie w taki sposób, że przez chwilę nie mogę złapać tchu. Czuję się, jakbym patrzyła na ojca. Ma taki wyraz twarzy jak tato, gdy był ze mnie dumny. Każda cząstka mojej duszy obrasta w piórka pod wpływem tego niezachwianego wsparcia. — Rozwodowe babeczki. Kto by pomyślał?

— Wiem. Dzisiaj dostałam już na nie z dziesięć zamówień.

Te słowa przykuwają jego uwagę. Widzę, jak obracają się trybiki w jego głowie.

— Musimy jak najszybciej uaktualnić witrynę internetową. Zrobimy osobną podstronę poświęconą temu produktowi i zaczniemy szukać sposobu na sprzedanie franczyzy innym cukierniom, żeby zaspokoić rosnące zapotrzebowanie. Internetowa sprzedaż to przyszłość i jeśli uda nam się coś zdziałać na tym froncie, to...

— Hola. Przyhamuj trochę. — Śmieję się, lecz czuję identyczną ekscytację jak on.

— Takie grupy wsparcia dla rozwodników są w całym USA, Say. To mogłaby być twoja nisza.

— Nie wszystko naraz. — Przewracam oczami, lecz w duszy wzdycham z ulgą. Ten telefon może okazać się czynnikiem, który przeważy szalę losu cukierni w stronę sukcesu, a nie porażki.

— Możliwe, że jednak go nie zabiję — mruczy pod nosem Ryder, gdy wychodzę z pomieszczenia na zapleczu.

#

@HayesWhitOffcl

@SweetChks, jesteś aparatem fotograficznym? Bo za każdym razem, gdy na ciebie patrzę, to się uśmiecham #10Dni #UrazowaBabeczka #Zdeterminowana #NajlepszeKarty

Hayes

DWA DNI DO KOŃCA

— Stary, masz tu jakąś kawę?

Do licha, jestem zmęczony. I podekscytowany. Obawiam się czekającego mnie długiego dnia, ale cieszę się, że ją dziś zobaczę. Przechodzę po dywanie w korytarzu, na którym ćwiczyłem baseballowy ślizg i wchodzę do kuchni. Jest pomalowana na inny kolor, ale to nie wymazuje związanych z nią wspomnień. Pamiętam ten słoik z ciastkami, które wykradłem Saylor. Kredens na lewo od lodówki, gdzie pani Rodgers ukrywała słodycze, które podbieraliśmy, gdy myśleliśmy, że nas nie widzi. Wspólne posiłki i to, że na stole zawsze był dla mnie talerz, czy o to prosiłem, czy nie.

Ryder siedzi w tym samym miejscu co za dzieciaka, ale przy innym stole. Wygląda na równie zmiętego, jak ja. Podnosi wzrok i wskazuje na ekspres na blacie.

— Dzięki. — Nalewam sobie kawy, doprawiam ją, a potem siadam naprzeciw niego z myślą, że od tego miejsca to się zaczęło. *Moja miłość do Saylor*.

Siedzimy w komfortowym milczeniu. W takim, w jakim może siedzieć dwóch przyjaciół, którzy znają się od zawsze i bez słów próbują rozgryźć swoje uczucia w związku z obrotem spraw.

— Myślisz, że Jenna się pojawi? — Unosi brwi i popycha w moją stronę jeden z leżących na boku tabloidów, które przeglądał, żeby sprawdzić, czy hałas już się kończy.

— Jeśli wie, co dla niej dobre, to się pojawi.

— Hm.

— Czy mój dług jest już spłacony? — Chichoczę. Przypominam sobie tamte czasy. Kilka miesięcy po moim wyjeździe do Hollywood, gdy czekałem na rozpoczęcie zdjęć do filmu, Ryder pomógł mojej mamie, uporządkował chaos w jej finansach, gdy ojciec zaczął ją nękać po rozwodzie. Nie miałem wtedy kasy, żeby mu zapłacić, ale on i tak poprosił o przysługi tam gdzie trzeba i zrobił wszystko, żeby się nią zaopiekować. I mimo jego zaprzeczeń wiem, że z własnej kieszeni zapłacił za te przysługi.

— Doprowadź ją znowu do płaczu, to spuszcze ci łomot. Niezależnie od tego, jak bardzo jesteś sławny.

— Przyjąłem. — Potakuję. Przygryzam język i przygotowuję się mentalnie na nadchodzący dzień. — Saylor cokolwiek podejrzewa?

— Absolutnie nie.

Dobrze.

Tęsknię za nią.

Z pewnością nie będzie mi łatwo wytrwać przy swojej decyzji i *nie* odezwać się do

niej, kiedy ją zobaczę.

Rozdział 39

DWA DNI DO KOŃCA

TWITTER

@HayesWhitOffcl

@SweetChks nadal chcesz mieć tę naturalnych rozmiarów postać trzymającą tabliczkę z reklamą Twoich smakołyków? #10Dni #NajlepszeKarty #UrazoweBabeczki #Zniecierpliwiony

@SweetChks

@HayesWhitOffcl Pod warunkiem, że będę mogła zostawić mączne odciski dłoni. W odpowiednich miejscach. #TeżMamMocneKarty #10Dni #SłowaSąTanie

@HayesWhitOffcl

@SweetChks Niezłe zagranie wczoraj, jestem z Ciebie dumny. BTW, co jest dla Ciebie najważniejsze w kuchni? #GraTrwa #48Godzin #LicząSięDziałania

@SweetChks

@HayesWhitOffcl Granitowy blat na wyspie. Z mąką. I cukrem. #MmMmMniam Możemy zrezygnować z tych #2880Minut?

@HayesWhitOffcl

@SweetChks Dotrzymuję słowa. Czego spróbujesz, żeby mnie złamać? #Decyzje #DrugaPołówka #UwielbiamLukierWTwoichWłosach #BlatZMąki

@SweetChks

@HayesWhitOffcl Mam swoje sposoby, żeby zmusić Cię do mówienia. #NajlepszeKarty #DrugaPołówka

@HayesWhitOffcl

Lepiej się przygotuj @SweetChks, bo ja mam lepsze karty #HayesRządzi #ShipsPrzegrywa

Saylor

DWA DNI DO KOŃCA

Trudno być w złym nastroju, skoro przywitałam dzień twitterowym flirtem z Hayesem. Po raz pierwszy mi odpowiedział i chociaż to głupie, czuję się, jakbym dostała skrzydeł.

Całą noc pracowałam nad ofertą dla stowarzyszenia rozwodowego, którą przesłałam Ryderowi z prośbą o opinię i, gdy myślę o porannej wymianie tweetów z Hayesem i perspektywie rozmowy (oraz być może spotkania) z nim za czterdzieści osiem godzin po upływie tej idiotycznej dziesięciodniowej rozłąki, nie mogę się powstrzymać przed wrażeniem, że czeka mnie piękny dzień.

Niespiesznie piję kawę i przygotowuję się do pracy. Czuję ulgę i zadowolenie, co jest pożądane po chaosie ostatnich kilku miesięcy.

— Say? Powinnaś zejść na dół i to zobaczyć — woła DeeDee w stronę schodów, gdy kończę przygotowania. W jej głosie jest coś, co przypomina mi o pierwszej wizycie Hayesem w Sweet Cheeks.

Zamykam drzwi do mieszkania, zbiegam po schodach i zastaję poruszenie w części kawiarnianej. Mężczyźni w ciemnych ubraniach ze słuchawkami wpadają jeden na drugiego. Wszystkie stoliki i krzesła zostały przesunięte na bok. Poza jednym, na którym leży pudło moich najbardziej imponująco udekorowanych babeczek.

Co tu się, u licha, dzieje?

Thum fotografów na zewnątrz urósł dziesięciokrotnie. Wszyscy trzymają aparaty w gotowości, licząc na świetne ujęcie tego, co będzie się działo w środku.

— Co, do...? — Zaraz chyba mnie coś trafi. To, że mają na kurtkach logo jednej z największych sieci telewizyjnych, nie oznacza, że mogą sobie tak bez pytania wtarabaniać się do cukierni i się w niej panoszyć.

Wtedy zauważam wyraz twarzy DeeDee — szeroki uśmiech i wyraźnie widoczna ekscytacja — oraz Rydera, który stoi obok niej i wygląda na równie podekscytowanego, lecz jakby miał poczucie winy.

— Co tu się dzieje? — pytam oskarżycielskim tonem, kładąc dłonie na biodrach.

— Wytwórnia wynajęła to miejsce na dzisiaj. Pozwolili Hayesowi udzielić tu kilku wywiadów w związku ze zbliżającą się premierą — Ryder mówi to takim tonem, jakby chciał, żebym go ochrzaniła, ale ja usłyszałam tylko *Hayes* i *to miejsce* i serce skoczyło mi do gardła.

— On tu będzie?

— A nie chcesz, żeby był? — Uśmiech Rydera jest nieco bezczelny.

— Tak. Nie, to znaczy tak, może przyjść. — Nagle ogarnia mnie niedorzeczna

nerwowość. Przez głowę przebiega mi milion pytań i myśli, z których najgłośniejsza to *zobaczę dziś Hayesa*.

Nie myślę o oszalałych fotografach na zewnątrz, których okłamałam, mówiąc, że nie zobaczą tu niczego ciekawego. Nie zamartwiam się tym, czy oferta dla stowarzyszenia rozwodowego jest wystarczająco dobra. Nie jestem w stanie. Bo moje ciało i umysł są w pełni skupione na Hayesie Whitleyu i perspektywie ponownego spotkania.

Przez najbliższą godzinę obserwuję przygotowania do wywiadu. Poprawiam babeczki na wybranym przez ekipę stoliku. Zасыpuję brata tysiącem pytań o to, jak do tego doszło, ale oczywiście niewiele udaje mi się z niego wyciągnąć. Przewracam oczami, gdy DeeDee mówi, że do dzisiejszego ranka nie miała o niczym pojęcia. Jej słowa brzmią podejrzenie, zwłaszcza że wczoraj wyjątkowo dokładnie posprzątała.

Wciąż też zerkam na wejście, czekając z niecierpliwością na zobaczenie Hayesa. *To już tak długo. Tęsknię za nim.*

Fotografowie tłoczą się jak myszy, gdy na parking podjeżdża czarna limuzyna i wysiada z niej *ostatnia* osoba, jaką spodziewałabym się tu zobaczyć.

Przestaję bawić się włosami. Przestaję niecierpliwie przestępować z nogi na nogę. Buzujący we mnie płomień namiętności na myśl o zobaczeniu się znowu z Hayesem gaśnie bez śladu. Każda cząstka mnie zamarza na kamień, gdy na parkingu pojawia się Jenna Dixon.

Fotografowie wpadają w szal. Aparaty wyginają się w poszukiwaniu najlepszego ujęcia. A ona stoi jak na obrazku w tych swoich obcisłych spodniach, krótkim topie i z gładkimi włosami — prosta i wystudiowana, z idealnymi usteczkami wykrzywionymi w wyćwiczonym uśmiechu. Chłonie uwagę, jakby potrzebowała jej jak powietrza.

Od razu wzbudza moją niechęć.

— Co ona tu robi? — rzucam szyderczo, na tyle głośno, że członkowie ekipy filmowców chichoczą głośno, najwyraźniej w pełni świadomi całej sytuacji.

Chaos z zewnątrz wypełnia cukiernię, gdy Jenna otwiera drzwi i wchodzi do środka. Potem je zamyka i odgłosy ulegają stłumieniu.

Odnajduje mnie wzrokiem i spogląda mi prosto w oczy. Każda cząstka mnie woła, by ją stąd wyrzucić. Powiedzieć jej, żeby zabierała te swoje cholerne kłamstwa i wypieprzała z mojej cukierni, bo jest tu *niemile* widziana.

Co, do diaska, myślał sobie Hayes, organizując tu spotkanie z prasą, w którym ona weźmie udział? Czy on oszalał? Dobrze zna mój wybuchowy temperament. Chyba nie chciał, żebym zapewniła tabloidom kolejną pożywkę, na której będą mogły żerować.

W pomieszczeniu zapada cisza i mimo dzielącego nas dystansu rośnie napięcie. Nie chcę pierwsza odwrócić głowy. Ku memu zdziwieniu Jenna podchodzi do mnie. Stukanie jej obcasów na posadzce jest jedynym odgłosem, jaki słyszę.

— Jest tu jakieś miejsce, w którym mogłybyśmy porozmawiać na osobności? — Ma gardłowy głos. Powściągliwy. Zdystansowany.

Cała w nerwach, lecz świadoma obserwujących nas oczu odpowiadam bez namysłu:

— Pewnie. Tutaj z tyłu.

Wprowadzam ją do kuchni i wskazuję jej stół, gdyby chciała usiąść, po czym

patrzę na nią i zaczynam się niepokoić. Jenna ściąga usta i bawi się paskiem torebki. W skupieniu przygląda się lakierowi na swoich paznokciach, żeby tylko nie spojrzeć na mnie. Nietrudno wyczuć, że wcale nie ma ochoty tu być.

— Chciałam cię przeprosić za to, co powiedziałam. Nie chciałam wyrządzić ci krzywdy i...

Chrząkam po tym bezczelnym kłamstwie. Jenna przestępuje z nogi na nogę i rozgląda się po pomieszczeniu. Bolesny wyraz twarzy wynikający z konieczności wyrażenia przeprosin w inny sposób to dla mnie bezcenny widok.

Ale nie zamierzam spuścić z tonu.

Bo chociaż jej kłamstwa miały także pozytywne konsekwencje, to zmusiły mnie do zakwestionowania swoich uczuć do Hayesa. Z tego względu, a także z powodu tego wszystkiego, co Hayes przez nią przeszedł, wręcz cieszę się, widząc jej mękę.

W ogóle jej nie współczuję.

— Jeśli masz zamiar przeprosić, mogłabyś przynajmniej nie kłamać.

W jej spojrzeniu pojawia się przebłysk gniewu, szybko jednak zostaje okiełznany.

— Przepraszam, że sugerowałam, iż to przez ciebie Hayes ze mną zerwał — wypływa z siebie jak samolubne dziecko, które nie chce się przyznać, że zrobiło źle.

— I? — ponaglam ją. Nie wiem dlaczego, bo w ogóle nie interesuje mnie, co ma do powiedzenia, ale jestem ciekawa, jak skończy to zdanie. — I? — Mój telefon wibruje na blacie. Odgłos rozchodzi się w całym pomieszczeniu, lecz ja nie odrywam od niej wzroku. — I?

Jenna wzdycha rozpaczliwie i wbija wzrok we mnie.

— Przepraszam za kłopoty, które przeze mnie mieliście.

Wykrzywiam usta i patrzę na nią. Mam w kuchni prawdziwą hollywoodzką gwiazdę, ale *nigdy w życiu* nie zamieniłabym się z nią miejscami, nawet za całe pieniądze świata.

— Dziękuję.

Uznaję, że tylko tyle mogę jej dać. Bo chociaż nie jestem osobą, która skrywa urazę, nie mam też zamiaru bez namysłu przebaczać komuś, kto świadomie skrzywdził tych, których kocham.

Jenna odwraca się, wykonując włosami wymach godny reklamy szamponu, i wychodzi do części kawiarnianej. Dopiero gdy znika z moich oczu, opieram się o kontuar i pozwalam sobie na nerwowość, która po cichu opanowywała moje ciało przez całą tę interakcję. Biorę pokrzepiający oddech, każę sobie wziąć się w garść i cieszę się, że prawdopodobnie więcej jej nie zobaczę.

Mam jednak świadomość, że to musiało być dla niej trudne. Albo Hayes jej czymś zagroził... bo coś mi mówi, że nie przywykła do przeproszania.

Wibrujący telefon przypomina mi, że wcześniej, w trakcie tej niezręcznej rozmowy, też już dostałam wiadomość. Ku swojemu zadowoleniu odkrywam, że to od Hayesa.

Mam nadzieję, że w tej chwili płaszczy się przed Tobą, błagając o wybaczenie. Prawdopodobnie nie będzie to szczere, ale przepraszająca Jenna to samo w sobie jest cudem. I owszem — niespodzianka — będę tam dzisiaj. Udzielę kilku wywiadów.

Wyprostuję to, co jestem w stanie wyprostować. Nie oznacza to jednak anulowania mojej obietnicy. Żadnych rozmów. Powiedziałem dziesięć dni, Saylor, i to właśnie miałem na myśli.

Przez chwilę brakuje mi tchu, bo uświadamiam sobie, że skoro Hayes wie, że Jenna była w kuchni, to jest w cukierni. Wtedy docierają do mnie słowa jego wiadomości.

Nie zamierza ze mną pogadać? Będzie tu siedział przez cały dzień, dostępny dla wszystkich, wywołał szal u paparazzich zarówno pojawieniem się Jenny, jak i swoim wejściem, a mimo to się do mnie nie odezwie?

Prycham. Tak, jasne.

Muszę to zobaczyć na własne oczy, więc ruszam w stronę części kawiarnianej. Gdy przechodzę przez drzwi, na jego widok reaguje każda część mojego ciała. Serce. Oddech. Zakończenia nerwowe. Libido.

Ta reakcja wzmacnia się tysiącrotnie, gdy on odrywa wzrok od rozmówcy i spogląda mi prosto w oczy. Mam wrażenie, jakby z pomieszczenia wypompowano całe powietrze, lecz jednocześnie wydaje mi się, jakbym po raz pierwszy od dawna wzięła prawdziwy oddech. Hayes błyska szelmowskim uśmiechem, unosi brew i dyskretnie unosi podbródek. Mój Boże, toż to ucieleśnienie pożądania.

Niech go licho, bo przy nim moje ciało budzi się do życia. Pożadam. Pragnę. Łaknę wszystkiego, co z nim związane. Emocjonalnie i fizycznie. Jego uwagi. Śmiechu. Najbliższych dziesięciu minut. *Wieczności*.

Czas staje w miejscu przez te kilka sekund naszej wymiany spojrzeń i gdy w końcu Hayes odrywa ode mnie wzrok po skierowanym do niego pytaniu od człowieka ze słuchawkami, zastanawiam się, jak mogłam żyć *bez* tego uczucia. Owszem, aktualna sytuacja jest w najlepszym wypadku pochrzaniona, ale warto było to przeżyć dla tego uczucia. *On jest tego warty*. Trudno mi uwierzyć, że może nas łączyć tak silna i natychmiastowa więź.

Ale czy czasem nie łączy nas ona od zawsze?

Bo miłość jest jak magia. Możemy się zastanawiać nad tym, jak i kiedy do niej dochodzi, dlaczego przewraca nasz świat do góry nogami i jak mogliśmy bez niej żyć, gdy już nam się przytrafi. Ale to nie oznacza, że uzyskamy jakiegokolwiek odpowiedzi.

Czasem po prostu trzeba uwierzyć w nią i w ścieżki, którymi nas prowadzi.

Saylor

Obserwowanie go to istna tortura. Ale słuchanie jego śmiechu i wyłapywanie jego przelotnych spojrzeń przynosi mi ukojenie. A ten prąd, który mnie przechodzi, gdy na moment, nim Hayes odwróci się do prowadzącego, krzyżują się nasze spojrzenia, zwiększa moje poczucie pewności.

Pod wpływem jego obecności całe moje ciało jest jak podłączone do prądu. Każdy jego chichot wysyła strumień elektronów do mojego libido. Każdy uśmiech wywołuje dreszcze. Każde zwilżenie warg językiem wyzwala falę pożądania.

Postanawiam więc zająć się dzisiaj dekorowaniem babeczek w części kawiarnianej, bo nie chcę być z nim rozdzielona, gdy tu przebywa. Udaję obojętność, ale cały czas go obserwuję. Jest czarujący, uprzejmy i zabawny. Zwraca uwagę na pytania, zastanawia się, nim odpowie, i potrafi wzbudzić zainteresowanie. Przejmuje też prowadzenie, nie pozwalając Jennie zbyt dużo powiedzieć, lecz uśmiecha się grzecznie, gdy ona zabiera głos, poza sytuacją, gdy w końcu wypływa nieuniknione pytanie.

— Nie wykonywałbym swojej pracy sumiennie, gdybym miał was oboje przed sobą i nie zapytał o oświadczenie na temat waszej relacji w kontekście krążących od kilku tygodni plotek. Czy jest coś, co chcielibyście wyjaśnić w tej sprawie?

— Nie, to sprawa prywatna. — Gdyby nie to, że i tak słucham ich uważnie, ta odpowiedź Jenny z pewnością wzbudziłaby moje zainteresowanie.

Na twarzy Hayesa po raz pierwszy od początku wywiadu pojawia się irytacja. Zauważam opadnięcie jego maski i wychwytyuję nieszczerłość jego śmiechu.

— To prywatna sprawa, która stała się publiczna, więc ją wyjaśnię. — Unosi brwi. Patrzy wprost na prowadzącego. — Jenna i ja byliśmy razem. Zerwaliśmy dość dawno temu, zanim sprawa trafiła na forum. Nasz związek po prostu się wypalił. Nie zdradzałem jej i nie wymykałem się na tropikalną wyspę na sekretne rendez-vous z kochanką. Ale kilka miesięcy po tym rozstaniu istotnie wpadłem na ukochaną ze szkoły, której nie widziałem od niemal dziesięciu lat. Niedawno rozstała się ze swoim narzeczonym. Odnowiliśmy więź i okazało się, że wciąż coś nas łączy. Plotki o tym, że zdradzałem Jennę lub że moja aktualna sympatia zrobiła coś niesmacznego, to kompletne bzdury wymyślone przez kogoś, kto chciał drogo sprzedać swoje zdjęcia. — Hayes odrywa wzrok od dziennikarza, spogląda na Jennę i z zaciśniętymi zębami czeka, aż ona się do niego odwróci: — Prawda, Jenno?

Jenna przelżyka ślinę, a na jej twarzy maluje się wyraz absolutnej pogardy. Wygląda, jakby całym sercem pragnęła, żeby słowa Hayesa były nieprawdą, lecz mimo to przytakuje.

— Tak, to prawda.

— Dziękuję wam za szczerłość, ale chciałbym zadać jeszcze kilka pytań dotyczących czasu poszczególnych zdarzeń...

— Zostawmy to — przerywa mu Hayes z szerokim uśmiechem, po czym w mistrzowski sposób przekierowuje rozmowę z powrotem na film *The Grifter*. Po kilku pytaniach prowadzącego zerka mi w oczy przez ułamek sekundy i wraca do wywiadu. Dostrzegam jednak cień uśmiechu na jego ustach, który mówi *widzisz, mówilem, że to naprawię*.

I tak mija dzień. Z małymi przerwami na zmianę stacji telewizyjnej, w trakcie których Hayes rozmawia z Ryderem, a Jenna robi coś w telefonie. Potem następuje korekta makijażu i powrót przed kamery. Prowadzący się zmieniają, lecz pytania pozostają takie same.

Przyjmuję zamówienia telefoniczne. Ozdabiam kolejne babeczki. Ale nawet na moment nie schodzę z posterunku, na wypadek gdyby Hayes pękł i postanowił ze mną porozmawiać. W trakcie czwartego lub piątego wywiadu pojawia się nowa wiadomość w moim telefonie. Możesz się na mnie gapić cały dzień, ale i tak z tobą nie rozmawiam. Jeszcze 44 godziny.

Na co odpowiadam: A to nie jest rozmowa?

Zaczyna się kolejny wywiad. I kończy. Wymieniamy kolejne SMS-y. To nie rozmowa. Ja tylko wyjaśniam, jak będzie.

Wyjaśnia mi, jak będzie? W pewnym sensie mi się to podoba. Ale z drugiej strony nie cierpię go za to. Ripostuję: Okej. To ja też nie będę z Tobą rozmawiać. Jeszcze 43 godziny. Obserwuję, jak Hayes zasiada do kolejnego wywiadu, bierze komórkę ze stolika, pisze coś, po czym wsuwa ją do wewnętrznej kieszeni marynarki. W chwili, gdy prowadzący zadaje pierwsze pytanie, dostaję SMS. Dobrze wiedzieć, ale wątpię. Do końca dnia sprawię, że się do mnie odezwiesz.

Gdy podnoszę wzrok, Hayes ma na ustach cień uśmiechu. Jęczę z frustracji na tę jego milczącą prowokację. *Zarozumiały skurczybyk*.

Zdziwiłbyś się, jak bardzo potrafię nad sobą panować. W końcu nie przywaliłam Jennie, prawda? Widzisz? Panuję nad sobą.

Jak na kogoś, kto ze mną nie rozmawia, Hayes z całą pewnością się ze mną komunikuje. Wnioskuje z tego, że zobowiązanie milczenia jest dla niego taką samą torturą jak dla mnie.

Przypominam sobie nasz poranny twitterowy flirt i się uśmiecham.

Chce, żebym wyciągnęła najlepsze karty?

Jasne, że je wyciągnę.

#

— Idę na górę. Musiałam tam zostawić notatki do nowego przepisu.

— Okej — odpowiada DeeDee z niegasnącym uśmiechem na twarzy. Jest nieco oszołomiona obecnością gwiazd i zafascynowana wyczerpującym procesem promocji medialnej, która sprawia jednocześnie wrażenie monotonnego i przyjemnego. — Zostanę tu. Będę obserwować. Omdlewać. Nienawidząc cię skrycie za każdym razem, gdy on rzuca ci to spojrzenie mówiące *pragnę cię*.

Śmieję się z jej odpowiedzi w drodze na górę. Po kilku chwilach znajduję notes, wyciągam z lodówki butelkę wody, a gdy zamykam drzwi, po ich drugiej stronie stoi

Hayes.

Jego obecność jest niezaprzeczalna. Ma pociemniałe od pożądania źrenice i porusza palcami po bokach, jakby palił się do tego, żeby mnie dotknąć.

Czuję zapach jego wody kolońskiej, a jego widok rozbudza wszystkie zakończenia nerwowe w moim ciele. Twardnieją mi sutki. Napinam uda i czuję między nimi bolesne pragnienie. Otwieram usta, żeby powiedzieć: *Hej, tęskniłam za tobą, pieprzyć te czterdzieści parę godzin*, ale jego nieznaczny uśmiezek sprawia, że wyhamowuję.

Przypominam sobie o tym.

Powstrzymuję się.

On chce mi udowodnić, że nie dam rady.

Gryzę się w język. Hayes patrzy na mnie z rozbawionym zaciekawieniem, jakby milcząco pytał, czy pamiętam jeszcze, jak zarzekałam się w SMS-ie.

Toczymy tę wzrokową wojnę, chociaż ciała machają białymi flagami i chciałyby się poddać sobie nawzajem. Hayes unosi brew. Niewerbalna prowokacja. Odpowiadam zwilżeniem dolnej wargi i zsunięciem dłoni po szyi i między piersi.

Przestępuje z nogi na nogę, śledząc wzrokiem wędrówkę mojej dłoni w dół ciała. Tymczasem ja wyruszam wzrokiem na wędrówkę po jego ciele. Wybrzuszenie eleganckich spodni. Zaciśnięte dłonie przy biodrach. Gardłowy jęk, który odzwierciedla wszystko, co w tej chwili czuję: pragnienie, frustrację, pożądanie, upór i palącą potrzebę.

Mam nadzieję, że zabrałeś swoje najlepsze karty, Whitley.

Rozdział 42

Hayes

Chce grać w tę grę? Droczyć się ze mną? Kusić tym swoim *ja też nie będę z tobą rozmawiać*? O, jak bardzo chciałbym zastąpić jej dłoń w wędrówce wzdłuż jej ciała swoim językiem.

Nigdy nie stawaj na drodze człowiekowi z misją, a moją misją jest zdobycie Saylor. I wszystkiego, co z nią związane. W każdy możliwy w moim życiu sposób.

Włączając w to tę chwilę.

Ten jej SMS był jak iskra, którą udało się opanować. Ale ja planuję wykrzesać następną i tym razem doprowadzić do wybuchu dzikiego pożaru. Tyle że w swoim czasie i na moich warunkach.

Patrzy na mnie.

Nie rób tego, Hayes.

Proszące spojrzenie.

Masz maksymalnie dziesięć minut do następnego wywiadu.

Ściągnięte usta.

Wykrzesz iskrę, Whitley.

Twarde sutki pod koszulką. Zęby przygryzające dolną wargę.

Ale ona napisała. Rzuciła wyzwanie.

Jej ciało mnie wzywa.

Rozpal ogień.

Błaga mnie.

Powiedziała, że nic nie powie.

Rozchylone wargi. Ciężki oddech.

Owszem, powie.

Chrząkam i podejmuję decyzję. Wiem, jak bardzo będzie to dla mnie bolesne, ale i tak się na to cieszę.

Saylor opuszcza wzrok i patrzy na moją męskość, desperacko twardą dla niej. Zwilża językiem wargi. Bierze oddech i wraca spojrzeniem do moich oczu.

Unoszę brew. Coś jak *ja nic nie powiem, a ty?*

Ona w odpowiedzi unosi podbródek, co wywołuje wspomnienia o wyzwaniach rzucanych na polach za jej domem i jej upór, żeby mi coś udowodnić. Wtedy mnie to frustrowało. Ale teraz? Teraz, gdy stoi przede mną niczym ucieleśnienie kobiecości, seksowności, namiętności i żądry, jej upór wydaje mi się nieodparty.

Nie odrywamy od siebie wzroku. Toczymy wojnę — milczącą, lecz kipiącą od erotycznych wibracji.

Namiętności.

Żądry.

Tęsknoty.

Przez ułamek sekundy ważą się nasze losy, a siła woli zostaje poddana najwyższej próbie.

Podchodzę o krok bliżej. *Wykrzesz iskrę.*

Siła woli okazuje się zbyt słaba.

Wpadamy na siebie. Usta, zęby, dłonie i ciała. Jej jęk. Mój jęk. Jej paznokcie na moim ciele, moje palce na jej ciele.

Oboje pragniemy więcej. Jesteśmy absolutnie nienasyceni.

Przypieram ją do ściany. Nie mogę złapać tchu. Nie potrafię myśleć. Jest tylko ona. Jedyne czego pragnę, to więcej. Jedyne o czym myślę, to *moja*.

Ale nie mówię ani słowa. Ona też nie. Wciąż gramy w tę grę i toczymy milczącą wojnę.

Zaczyna majstrować przy moim pasku. Ujmuję w dłoń jej pierś. Wzdycha, gdy całuję ją w kark. Jezu Chryste. Ta kobieta smakuje jak niebo. Jak pieprzony narkotyk, którego nie mam zamiaru rzucić.

Zanurzam dłoń w jej spódniczkę, a ona rozpina mi rozporek. Przesuwam palcami przez pasek włosów na dole, rozchylam jej wargi i przeciągam palcami wzdłuż jej cipki.

To dopiero jest niebo. Jej ciepło. Jej wilgoć. Bez ostrzeżenia zanurzam palce w środku. Tak głęboko, jak się da.

Saylor wydaje z siebie jęk. Nie imię. Nie słowo. *Tylko jęk.*

A potem zaciska się wokół moich palców. Obejmuje je ciasno, zalewając wilgocią dłoń.

Nie ma mowy, żebym był w stanie się opanować. Pieprzyć plan. Pieprzyć wywiad. Niech poczekają.

Ale zamieram, gdy Saylor obejmuje dłonią mojego członka i zsuwa ją do nasady. Z palcami wciąż w jej wilgoci i z jej ciepłem na dłoniach — przegrałem.

Saylor wraca dłonią i przekręca ją nieznacznie pod koniec, pobudzając wszystkie zakończenia nerwowe główki w najlepszy możliwy sposób.

Zamykam oczy. Rozkoszuję się przyjemnością. Jęczę z ekstazy.

Wtedy słyszę jej chichot. Wiem, że ogrywa mnie w moją własną grę, ale muszę przyznać, że nie mam nic przeciwko. *Co mogę powiedzieć? Ta kobieta trzyma w dłoni mojego członka.* A ja nie byłem w niej od ośmiu dni.

Ośmiu.

Długich.

Dni.

Niech mnie.

Zgrzytam zębami, żeby się powstrzymać. Muszę jakoś pohamować tę przemożną chęć wykrzyknienia *jasny gwint, Saylor*, lecz ona z każdym ruchem coraz skuteczniej wymazuje mi z głowy wszelkie myśli.

Rusz się, Hayes.

Dłoń w stronę główki. Delikatny obrót nadgarstka. Zaciśnięcie palców. Drapnięcie paznokciami po jądrach.

Nie pozwól zmusić się do mówienia.

Odchylam głowę, ale nie wyciągam z niej swoich palców. Przypominają mi o tym,

co planuję zdobyć. Wziąć. Wykorzystać dla swoich celów.

Mój Boże. Ona ma mnie w garści.

Czuje, że się poprawia, a moje palce wysuwają się z jej wilgoci, lecz dopiero, gdy słyszę jej gardłowy śmiech, uświadamiam sobie, że opuszcza się na kolana.

Żeby wziąć mi w usta. Owinąć wargami moją męskość. Użyć języka. Zakosztować tego, co jej dam.

Za chwilę wygra tę wojnę.

Muszę wycofać się z tej niebezpiecznej pozycji. Dopuścić się świętokradztwa, czyli odrzucić pieśczoły ustami, które powaliłyby mnie na kolana. *I zmusiły do mówienia.* Bo gorące i wilgotne usta oraz wprawny język na męskim członku wymazują wszelką kontrolę nad tym, co mężczyzna mówi lub jak mocno trzyma kobietę za włosy.

Z bolesnym jękiem kładę dłoń na jej ramieniu i popycham ją na ścianę, żeby nie opadła na kolana. Podnosi wzrok i rzuca mi to swoje urocze pożądliwe spojrzenie. Uśmiecha się kpiąco. Na całej twarzy ma wypisaną determinację, by skłonić mnie do mówienia.

Przytrzymuję ją więc dłonią i nie odrywając od niej wzroku, wsuwam palce z powrotem do jej cipki. Muszę doprowadzić ją do szaleństwa. Palcami i kciukiem. W środku i na zewnątrz, na jej rozkoszonym punkciku. Muskam, uderzam, pocieram i przeciągam. Bez końca.

Przez cały ten czas patrzemy sobie w oczy. Saylor rozchyła usta. Napiera na moją dłoń. Zatapia palce w moje ramiona. Oddycha coraz ciężej.

Podkręcam tempo, gdy czuję, jak jej cipka zaczyna się wokół mnie zaciskać. Teraz albo nigdy. Dokładam pieśczołę tego punktu — wiem, że to lubi — który wysyła ją w otchłań rozkoszy.

— O Boże — jęczy.

Oto odgłos zwycięstwa. Udało mi się wzniecić pożar.

I natychmiast przerywam wszelkie pieśczoły.

Wyprostowuję się, a ona stoi bez tchu oparta plecami o ścianę, z dziką namiętnością w oczach, zarumienionymi policzkami i falującą klatką piersiową. Uśmiecham się, po czym od niechcienia spoglądam na zegarek i skupiam się na wepchnięciu twardego jak skała członka do spodni i zapięciu rozporka. *Ostrożnie.*

— Ty draniu — szepcze, a w jej głosie miesza się rozbawienie, frustracja i niedowierzenie.

Niech mnie, jeśli nie czuję tego samego, patrząc na nią. Przygryzam język i oddaję jej spojrzenie. Pragnę jej do bólu. Żegnaj się jednak skinieniem głowy i bez słowa wychodzę, zamykając za sobą drzwi.

Dwa razy w życiu odszedłem od Saylor. Ten pierwszy raz był brutalny, bo nie wróciłem. Ten drugi raz jest równie brutalny, ale przynajmniej *wiem*, że wrócę.

Odczekuję kilka chwil na schodach, żeby mój członek się uspokoił. Wyciągam telefon z kieszeni i wciąż wilgotnymi od jej namiętności palcami piszę do niej wiadomość.

Zwycięstwo jest słodkie, lecz ci, którzy je odnoszą, muszą być gotowi za to zapłacić.

Muszę przyznać, że cena jest bardzo wysoka, gdy odchodzę z jej zapachem na

palcach i smakiem w ustach.

Rozdział 43

Saylor

Twoje najlepsze karty są cholernie dobre, Ships. Niemal mnie pokonałaś. Ale moje są lepsze. Widzisz? Ja też potrafię się powstrzymać. Rewanż za jakieś 40 godzin?

Czytam wiadomość po raz setny wciąż napięta jak struna od jego dotyku i nie mogę pohamować uśmiechu. Jestem sfrustrowana seksualnie, ale zadowolona jak diabli, bo on mnie kocha. Nikt nie zadawałby sobie tyle trudu bez miłości.

Ty draniu.

Zastanawiam się przez chwilę, czy nie dokończyć na własną rękę. Przeżyć orgazm, którego mi nie dał. Ale wiem, że połowa przyjemności to zrobienie tego z nim. Dlatego siedzę w ciszy swojego pokoju, podczas gdy na zewnątrz kłębią się paparazzi, a w środku ekipa filmowa. Z propozycją biznesową dotyczącą kontraktu życia w skrzynce nadawczej, owładnięta myślami o mężczyźnie, o którym sądziłam, że już go nie odzyskam... zastanawiam się, jak to możliwe, żeby to było moje życie.

Tymczasem Hayes odpisuje.

Poczujesz się lepiej, gdy powiem, że wciąż czuję Twój zapach na palcach, co doprowadzało mnie do szaleństwa przez cały ostatni wywiad?

Nie, wcale nie czuję się lepiej. Moja kolej.

Poczujesz się lepiej, gdy powiem, że w trakcie tego wywiadu sama zadbałam o to, co Ty zaniedbałeś?

Teraz czuję się lepiej.

Obserwuję zegarek. Odczekuję równo trzy minuty, wyobrażając sobie, jak zgrzyta zębami, gdy myśli o tym, że doszłam bez niego. A potem dodaję:

Żartowałam. Widzisz? Najlepsze karty.

Saylor

ZERO DNI DO KOŃCA — wreszcie.

FACEBOOK

PYTANIE:

Gdzie byłeś, gdy po raz pierwszy uświadomiłeś sobie, że kochasz swoją połówkę?
#BadaniaDoRoliWFilmie #UnDeniable

Czytam ten post po raz kolejny i żałuję, że nie wiem nic więcej na temat fabuły filmu *Undeniable* i nie potrafię rozgryźć, na co Hayes próbuje naprowadzić swoich fanów. Jestem przekonana, że ma jakiś cel, nie wiem tylko jaki.

Kilka razy zaczynam pisać odpowiedź, ale za każdym razem wszystko kasuję. Cokolwiek napiszę, stanie się to publiczną pożywką, a ja wolałabym — na ile to możliwe — utrzymać prywatność naszego związku.

Czytam więc komentarze innych. Zabijam czas, czekając na to, co zaplanował dla nas Hayes. Sprawdzam konta na innych portalach i telefon, ale nic nie ma. Żadnego odliczania do końca. Żadnych oklepanych tekstów na podryw.

Nic.

Cisza radiowa.

A dokładnie dwa dni ciszy. Wyszedł z cukierni po ostatnim wywiadzie na późną kolację z pewnym znanym dziennikarzem. Oczywiście kiwnął tylko głową i uśmiechnął się na pożegnanie, zamykając za sobą drzwi.

Wszędzie są jednak jego ślady. Przekrzywiony abażur po naszym małym przytulanku. Zmieniony układ w części kawiarnianej, na który się zdecydowałam po zakończonych wywiadach. Nieobecność paparazzich przed wejściem, których zastąpiła kolejka osób czekających na zakup babeczek.

Kolejka. Po raz pierwszy.

Dlatego piekę jak szalona. Pomaga mi DeeDee wraz z przyjaciółką, którą przyprowadziła, żebyśmy wyrobiły się z zapotrzebowaniem. Takie problemy to mogę mieć.

Mimo to jakaś częśćka mnie wciąż się rozgląda w poszukiwaniu Hayesa, który obwieści, że minęło dziesięć dni, a ja będę mogła odpowiedzieć mu twierdząco na wszystkie jego pytania, jakiegokolwiek będą.

Powtarzam sobie, że to nic takiego. Zrobił już wystarczająco wiele i w tej chwili pragnę tylko jego. To jednak nie umniejsza frustracji. Do licha, jeśli nadal próbuje mi coś udowodnić, to ja już dawno temu zostałam przekonana. Damy radę paparazzim. Damy radę chaosowi. Otoczona dziennikarzami i chaosem nadal go pragnę. Nadal go potrzebuję.

Nadal go wybieram.

Praca nas pochłania. Klienci wciąż napływają niewygasłym strumieniem. Czas mija szybko, ale Hayes nigdy nie opuszcza moich myśli. Podnoszę głowę za każdym razem, gdy rozbrzmiewa dzwonek przy drzwiach, sięgam po telefon za każdym razem, gdy sygnalizuje wiadomość i obsesyjnie zastanawiam się nad tym, kiedy skończy się ta niedorzeczna wojna na przetrzymanie.

— Jasny gwint — mówi DeeDee, padając z wycieńczenia na jeden ze stołków, gdy po raz pierwszy dzisiaj mamy chwilę spokoju. — Ten dzień jest niewiarygodny!

Uśmiecham się, bo sama nie mogę w to uwierzyć. Dołączam do niej na sąsiednim stołku, chowam głowę w dłoniach i zamykam oczy na chwilę, żeby to wszystko przyswoić. Gdy się prostuję, DeeDee czyta coś na telefonie, a jej uśmiech stopniowo coraz bardziej się powiększa.

— O co chodzi? — pytam zaciekawiona, lecz wyczerpana, i nagle przypominam sobie, że Hayes nadal się nie odezwał.

Gdy Dee podnosi wzrok, ma w oczach łzy, które stoją w sprzeczności z szerokim uśmiechem.

— Masz — podaje mi swój telefon.

Spoglądam na ekran i zauważam nowy post na fanpage'u Hayesa. Tym razem skierowany do mnie.

ODPOWIEDŹ:

Uświadomiłem sobie, że kocham @SweetChks w tym domku na drzewie. Ona myślała, że wolę przebywać z wyluzowanymi dziewczynami ze starszych klas, podczas gdy ja pragnąłem oglądać z nią gwiazdy. A może to była tylko wymówka, żeby być blisko niej. Trzydzieści lat później uświadomiłem sobie to znowu, gdy weszliśmy tam w drodze do domu. Nigdy jednak jej tego nie powiedziałem. Do trzech razy sztuka. Ciekawe, czy ona wie, gdzie mnie znaleźć, żebym mógł jej to powiedzieć?

#ŻadneBadaniaDoRoli #PrawdziweŻycie #PrawdziwaMiłość #ShipsAhoy #Czekam

Podnoszę wzrok na DeeDee i czym prędzej zrywam się ze stołka i rzucam w poszukiwaniu kluczyków od samochodu.

#

Jest już ciemno, gdy biegnę ścieżką prowadzącą do starego domku na drzewie. Mijam dom i samochód Rydera na podjeździe. Jestem skupiona wyłącznie na dotarciu do Hayesa. Im bliżej jestem, tym bardziej się dziwię. Całość jest odmalowana, a spróchniałe szczeble wymienione na nowe.

Zbudowany przez mojego ojca domek wygląda lepiej niż kiedykolwiek, a ja nie mogę się powstrzymać przed uczuciem, że to właśnie Hayes miał go odnowić. W pewnym sensie, przyprawiając mnie tu, ojciec przekazał mnie Hayesowi z przykazaniem, że lepiej, żeby o mnie dbał.

Oniemiała stoję pod domkiem i przypatruję mu się przez chwilę. Przypomina mi się ten pierwszy raz, gdy Hayes wspiał się do mnie. Zabawne, że po tylu latach wciąż czuję te motylki w brzuchu. Które przybierają na sile z każdym szczeblem.

Drzwi otwierają się zanim ich dotykam i Hayes wyciąga dłoń, żeby mi pomóc na tym ostatnim fragmencie. Wciąga mnie do góry. To zabawne, że tym razem cieszę się z małych rozmiarów wnętrza, bo to oznacza, że gdziekolwiek usiądzie, zawsze będę go miała w zasięgu ręki.

— Hej — mówię i bez zbędnych wstępów przyciskam usta do jego ust. On oddaje mi pocałunek i spajamy się w rozdzierający duszę, podkulający palce u nóg, łagodny, lecz zaborczy, budzący pożądanie sposób. Hayes chwyta mnie dłonią za włosy, a ja gładzę go rękami po plecach i pragnę, żeby ten pocałunek nigdy się nie skończył.

A gdy się kończy — gdy jestem rozmiękczone i omdlewająca, a w moich żyłach krąży huragan emocji, które przed chwilą wyraziłam w tym spotkaniu warg — Hayes odchyła się, odgarnia mi kosmyk włosów z policzka i błyska tym nieśmiałym uśmiechem, zarezerwowanym wyłącznie dla mnie.

— Hej, Ships.

Mój uśmiech poszerza się do monstualnych rozmiarów.

— To już do mnie mówisz?

— Owszem, mam ci parę rzeczy do powiedzenia. — Wzrusza ramionami i muska czule moje usta. — Dzięki, że przyszedłeś.

— Dzięki, że mnie zaprosiłeś.

— Nie byłem pewien, czy przeczytasz post.

Śmieję się.

— Przez ciebie przez ostatnie dwa tygodnie zachowywałam się jak uzależniona od portali społecznościowych, chociaż nigdy mnie to nie kręciło. Wiesz, jest taki jeden chłopak, który mi się podoba... i który nie chce ze mną rozmawiać twarzą w twarz. Ale ponieważ rozmawiał ze mną przez internet, stałam się jedną z tych irytujących osób, które sprawdzają telefon co pięć sekund.

— Naprawdę? — Jego głos jest nieśmiały. A twarz wyraża udawaną niewinność.

— Uhm.

— Tylko go *lubisz*?

Ściągam usta. Marszczę nos. Udaję, że muszę to przemyśleć.

— Hm. Nie tylko. Kocham go.

Hayes błyska uśmiechem.

— P— Masz lukier we włosach. — Wyciąga dłoń i dotyka ich, po czym wraca spojrzeniem do moich oczu.

rzepraszam.

— Tylko taką cię chcę. Nie poznałaś się jeszcze na tym?

I te słowa.

Zwykła akceptacja tego, kim jestem, a wyzwala dziwne rzeczy w moim wnętrzu. A może po prostu ten mężczyzna na mnie tak działa.

Uśmiecham się do niego, wyciągam dłoń i splatam palce z jego palcami.

— Dziękuję.

— Nie. Nie musisz mi dziękować, Saylor. Nigdy nie powinnaś przeproszać za to, że jesteś sobą. Bo... jesteś piękna, bystra, seksowna, uparta, kreatywna, w gorącej wodzie kąpana, szalenie zabawna i spontaniczna. Uwielbiam każdą z tych cech oraz te

wszystkie, o których nie pamiętam do chwili, gdy je przejawiasz, i wtedy je sobie przypominam. — Uśmiecha się znowu i ściska moją dłoń. Serce mi puchnie. — Dziesięć lat temu odszedłem od ciebie, myśląc, że uda mi się o tobie zapomnieć. Że będę realizował marzenia i pójdę swoją ścieżką. Bo pierwsza miłość nie powinna być ostatnią. Boże, jak bardzo się myliłem. Jest coś w tym, że można się zakochać w kimś, z kim dorastasz. Znam wszystkie twoje skazy, Saylor. Twoje słabości. Twoje mocne strony. Obawy. Błędy. I kocham cię za każdą z tych rzeczy. To one sprawiają, że ty to ty. A zarazem sprawiają, że my to my.

— Hayes. — Jego imię jest jak pełne uczucia westchnienie.

— Nie. Ciii. Jestem aktorem, przejmuję teraz scenę. — Śmieję się z niego. Wiem, że żartuje i potakuję pojednawczo.

— O co chodzi z tymi aktorami i ich pragnieniem zdobycia uwagi?

— Śmieszne. Bardzo śmieszne — mówi kpiąco, po czym nachyla się i znowu mnie całuje. Tym razem wsuwa mi język między wargi i nieco pogłębia doznania. Ręce mu drżą, gdy obejmuje moją twarz i ten drobny znak zdradza mi wszystko, co potrzebuję wiedzieć. Jeśli się denerwuje, to *to* ma dla niego znaczenie, a ja jestem warta zachodu. — Nie chcę mieć z nikim innym tego, co mam z tobą. Naznaczyłaś mnie. Nie tylko moje serce swoją miłością i mój umysł swoimi słowami, lecz także duszę tym wszystkim, czym jesteś. Wszystkim, co chciałabyś osiągnąć. I wszystkim, co możemy mieć razem.

Przykłada mi palec do ust, gdy otwieram usta. Próbuję mu powiedzieć, że to zbyt wiele, że jest zbyt miły i że za bardzo mnie to przytłacza po tym, jak przez tak długi czas nie miałam nic prócz pustki bez niego. Jak jednak mogłabym mu przerwać, skoro moje serce czuje się tak pełne, moja dusza tak radosna, a ja nie pamiętam, żebym kiedykolwiek coś takiego przeżyła?

— Wiem, że to było dość nagle i spadło na nas znienacka. Kopnęło nas w tyłki w błyskach fleszy paparazzich. Ale to jest prawdziwe, Saylor. *My jesteśmy prawdziwi*. To najprawdziwsza rzecz, jaką miałem w życiu i w którą nauczyłem się wierzyć. — Zerka na nasze splecione palce, a potem wraca wzrokiem do moich oczu i uśmiecha się łagodnie. — Nie mogę ci obiecać, że to będzie łatwe, bo zakosztowałaś już mojego szalonego życia, ale mogę ci obiecać, że postaramy się, żeby to wypaliło. Wymyślimy jakiś sposób. Kupimy dom między naszymi pracami. Albo otworzymy drugą cukiernię w Hollywood. Kupimy helikopter, jeśli będzie potrzebny do dostarczania zamówień. Zrobię wszystko, co okaże się konieczne, bo nie chcę przeżyć ani jednego dnia więcej bez świadomości, że jesteś moja. Straciliśmy już zbyt dużo czasu i nie chcę go już marnować. To co powiesz, Ships? Chcesz spróbować ze mną na dłuższą metę?

Całe moje ciało drży od prawdy jego słów i szczerości jego spojrzenia. Patrzę na niego przez łzy i przypominam sobie chłopca z patykowatymi nogami i obsesją na punkcie *Star Wars*. Nasz pierwszy pocałunek i nerwy, gdy przeżywaliśmy nasz pierwszy raz razem. Te kilka sytuacji, w których przytulał mnie, gdy płakałam, i niezliczone chwile, kiedy śmialiśmy się tak bardzo, że bolały nas brzuchy. Przyglądam się mężczyźnie, na jakiego wyrósł — wyrozumiałego, zabawnego, przystojnego, inteligentnego, romantycznego — i nie mam wątpliwości, że nam się uda.

Jest moją bratnią duszą.

Tylko jedna miłość jest ważniejsza od tej pierwszej: *ta ostatnia*. Jak to możliwe, że w moim przypadku dzielę ją z tą samą osobą?

Z tą myślą nachylam się do niego i składam na jego ustach najśłodszy pocałunek. Przykładam czoło do jego czoła. Zamykam oczy. I czuję się jak w domu.

— Wiem, że według ciebie słowa są tanie, ale te, które przed chwilą powiedziałeś? One były bezcenne, Hayesie Whitley.

— Tak jak i ty. — Obejmuje mnie i mocno przytula.

— Jak dla mnie, próba na dłuższą metę brzmi spoko.

— To dobrze. Bo nie przyjmuję odmowy. Przygotowałem swoje najlepsze karty, a sama wiesz, jakie są mocne.

Mój śmiech wypełnia tę ciasną przestrzeń. W naszym świecie wyprostowało się tyle rzeczy jednocześnie.

— Jeśli chodzi o karty... zdaje mi się, że zaczęliśmy ostatnio rozgrywkę, którą trzeba dokończyć...

I tak, w świetle wschodzącego księżyca, w miejscu, w którym połączył nas pierwszy pocałunek, dajemy sobie znacznie więcej, dzieląc się miłością i nowymi perspektywami.

Epilog

Saylor

ROK PÓŹNIEJ

— Gdzie mnie prowadzisz? — Śmieję się, gdy czuję wiatr na policzkach, a grunt pod nogami staje się nierówny.

— Zobaczysz — mruczy Hayes. Mam na oczach chustę, ale on zakrywa je dodatkowo dłońmi, żeby mieć pewność, że nic nie podejrzę. — Mała niespodzianka urodzinowa jeszcze nikomu nie zaszkodziła.

Jechaliśmy tu całą wieczność. Chciałabym móc twierdzić, że mam dobrą orientację i wiem, gdzie pojechaliśmy, ale mogłabym tylko powiedzieć, że Hayes godzinami woził mnie po okolicy, żeby mnie zmylić, po czym przywiózł mnie z powrotem do naszego domu na Hollywood Hills. Staram się zachować cierpliwość. Próbuję się rozluźnić i spokojnie czekać na przygotowaną przez niego niespodziankę, więc zajmuję się myśleniem o dostawach, które muszę zamówić do cukierni w Brentwood. A gdy ustalam już wszystkie szczegóły, przechodzę do wysłanej przez DeeDee listy dla cukierni w oryginalnej lokalizacji na State Street, którą teraz prowadzi.

Przestań, Saylor. Ciesz się oczekiwaniem. Żyj tą chwilą. Kochaj swojego mężczyznę. Doceń, że Hayes nadal stara się być spontaniczny i umila ci życie takimi małymi przyjemnościami. Nadal stara się, żebyś była na pierwszym miejscu mimo wypełnionego po brzegi terminarza i niedorzecznych oczekiwań, jakie wszyscy wobec niego mają.

— Będziemy mieli pieska? — pytam z rozbawieniem, nawiązując do naszego wspólnego żartu o tym, że chociaż piesek jest na stałe, to wiele związków doprowadza do rozpadu, gdy partnerzy uświadomią sobie, jak trudno pogodzić dwie różne wizje wspólnego wychowywania jakiegoś stworzenia.

— Powiedziałem ci, że nie będziemy mieli pieska. Nie potrzebuję takich prób z tobą, Ships. Wiem, że się w tym sprawdzisz, gdy zdecydujemy się w końcu coś wspólnie wychować.

Parskam śmiechem i potykam się, ale Hayes mnie podtrzymuje.

— Na przykład żółwia morskiego?

— Jeśli jesteś gotowa nauczyć się składać jaja, to proszę bardzo. Możemy spłodzić żółwie morskie, chociaż ja myślałem raczej o jasnowłosej niebieskookiej dziewczynce.

— Och. Okej. — No i proszę, znowu roztopił mi serce i zamknął mi usta. Ten facet ma do tego jakiś talent.

A ja absolutnie na to nie narzekam.

— Jeszcze kilka kroków.

— Dobrze. — Doliczam do dziesięciu i zaczynam się zastanawiać, co według niego oznacza kilka, bo nie mogę już wytrzymać tego napięcia. Gdy tylko przychodzi mi to do głowy, Hayes każe mi się zatrzymać.

— To tutaj — obwieszca cicho, jakby starał się maksymalnie skoncentrować. Jak wtedy, gdy ćwiczy kwestie do roli. — Gotowa?

Chichoczę. Nagle oblatuje mnie strach. Dlaczego poczułam, że *drżą mu dłonie*?

— Tak.

Przestaję czuć ciepło jego ciała.

— No to możesz popatrzeć.

Powoli ściągam chustę, a przed moimi oczami ukazuje się widok, który zapiera mi dech w piersi. Otwieram usta, robię wielkie oczy i rozglądam się po otoczeniu.

Wszystko jest tak idealne, tak dobrane, że potrzebuję kilku chwil, żeby to wchłonąć.

Stoimy pod domkiem na drzewie, jest ciemno, a gałęzie drzewa są obwieszane słoikami z zapalonymi świeczkami modlitewnymi. Bajkowe ogniki błyskają między liśćmi i rozświetlają rozległą łąkę za drzewem. Są też kwiaty. Ulubione kwiaty mojej mamy — hortensje w różnych kolorach — wylewają się z galwanizowanych i patynowanych wazonów ozdobionych koronkami i kokardami. *Śliczne*.

Jestem przytłoczona i zachwycona, a gdy się odwracam, w oczach wzbierają mi łzy. Zauważam Rydera, DeeDee, mamę Hayesa i wielu naszych wspólnych znajomych z Santa Barbara i Los Angeles.

Mój umysł jest tak przeładowany tym oszałamiającym spektaklem moich marzeń, że początkowo zauważam tylko to, gdzie jesteśmy i co nas otacza. Dopiero po jakimś czasie, gdy przyswajam cały obraz, dociera do mnie powód.

To nie jest urodzinowe przyjęcie-niespodzianka. Nawet w najmniejszym stopniu.

Zakrywam dłonią usta. Robię jeszcze większe oczy, które zalewają się łzami, gdy spoglądam na stojącego przede mną Hayesa. *Skąd on wiedział, że o tym marzę?*

Bo zna mnie na wylot.

Zawsze mnie znał.

Nie, zawsze będzie mnie znał.

— Coś ty wymyślił, Hayes? — wykrztuszam z siebie szeptem.

W odpowiedzi uśmiecha się szerzej. Jest trochę zdenerwowany, ale z jego spojrzenia wiem, że to pozytywne zdenerwowanie. Takie, które oznacza, że *to jest ważne*.

Zerka na nieznaną mi kobietę po prawej, a ona reaguje skinieniem. Wtedy z absolutnym uwielbieniem w oczach podchodzi bliżej, a mnie przechodzą ciarki. Wyciąga rękę i bierze moją dłoń.

— Niespodzianka — szepcze, a każda cząstka mnie zakochuje się w nim po uszy na nowo.

— Czy to jest to, co myślę...? — Milknę i rozglądam się jeszcze raz. Trafiam wzrokiem na spojrzenie Rydera, który podchodzi do Hayesa i coś mu podaje. Uśmiecha się z taką miłością i dumą, że od razu domyślam się odpowiedzi.

— Przygotowałem scenę, Ships. Dobrze wiesz, jak my, aktorzy, lubimy być w centrum zainteresowania.

Wybucham śmiechem. Ręce drżą mi z niedowierzania, a umysł próbuje ogarnąć jakoś to wszystko, co zrobił Hayes.

— Zastanawiałem się nad tym, kiedy pierwszy raz się w tobie zakochałem, Saylor. Najpierw sądziłem, że to było wtedy, gdy zapukałem do twoich drzwi, spytałem, czy Ryder jest w domu, a ty przyglądałaś mi się podejrzliwie przez okulary. Miałaś na głowie koronę księżniczki, na plecach skorupę Wojowniczych Żółwi Ninja, a na nogach za duże o pięć rozmiarów szpilki twojej mamy.

Przerywa na chwilę, po czym kontynuuje:

— Potem przypomniałem sobie, jak w pierwszych latach szkoły średniej urywaliśmy się z lekcji i chodziliśmy nad jezioro. Byłaś jedyną dziewczyną, która wspinała się z nami na drzewo i bez namysłu skakała z najwyższej gałęzi do wody. Inni chłopcy uważali to za bardzo cool i pamiętam, jaki byłem dumny, że przyszłaś ze mną. Albo ta sytuacja, gdy Nick Ramos chełpił się, że żadna dziewczyna nie rzuci piłki tak, żeby go wyautować. A ty poprosiłaś Rydera i mnie, żebyśmy nauczyli cię rzucać trudne piłki, bo chciałaś zamknąć Nickowi usta. Twój ojciec pozwalał nam trenować na długo po zapaleniu się ulicznych latarni. To był niezapomniany widok, gdy Nick machnął kijem po raz trzeci po tym twoim tańcu na płycie i cała widownia oszalała, bo w końcu nauczyłaś go moresu.

Patrzę na Hayesa i zalewają mnie dawno zapomniane wspomnienia. Jestem tak oszołomiona, że stoję jak zahipnotyzowana i słucham.

— Jak widzisz, próbując sobie przypomnieć moment, gdy po raz pierwszy cię pokochałem, uświadomiłem sobie, że jest ich zbyt wiele, żeby wybrać jeden. Bo każdego dnia zakochiwałem się i wciąż zakochuję w czymś innym związanym z tobą, Ships. Nigdy nie przestałaś mnie zadziwiać. I cały czas zmuszasz mnie do zobaczenia cię w nowym świetle. Dlatego przyprowadziłem cię tu dzisiaj. Bo jesteś moją jedyną, Saylor. Zawsze byłaś tą jedyną, a ja nie chcę czekać kolejnego dnia z tym wyznaniem. Nie chcę marnować roku na uzgadnianie szczegółów przyszłego wesela. My tacy nie jesteśmy. My jesteśmy spontaniczni i bezpretensjonalni. Interesuje nas tylko to, co myślą o nas rodzina i przyjaciele... Nie chcę prosić cię o rękę, a potem czekać całą wieczność, aż oficjalnie staniesz się moja. Postanowiłem zrobić to wszystko za jednym zamachem, bo po co czekać? To najważniejsze, czego nauczyłem się od twoich rodziców: nie czekaj na odpowiednią okazję, żeby zrealizować swoje marzenia. A ty jesteś moim *marzeniem*, Saylor.

Odejmuje mi mowę, tak bardzo jestem skąpana w miłości i całkowicie zaskoczona jego słowami i tym pomysłem, więc robię jedyne, co mi pozostaje. Podchodzę bliżej i całuję go w usta. Goście zaczynają pohukiwać i wiwatować, a Hayes obejmuje mnie w pasie i przyciąga do siebie, przeciągając nieco pocałunek. W końcu odpycha mnie i chichocze.

— Niezła próba, ale ja jeszcze nie skończyłem.

Odstępuje ode mnie o krok, chrząka i kontynuuje z miłością w oczach:

— Saylor Rodgers, ślubuję ci, że do końca życia będę cię kochał tak jak wtedy, gdy zobaczyłem cię po raz pierwszy. Że będę cię traktował jak księżniczkę, którą dla mnie jesteś. Że będę szanował to, że jesteś twardzielką, która potrafi o siebie zadbać. I uwielbiał

za to, że chociaż stałaś się kobietą, wciąż masz w sobie tę małą dziewczynkę, która uwielbia się bawić.

Moje serce więcej nie zniesie. Jest tak pełne, że zaraz chyba pęknie. Łzy spływają mi po policzkach, zalewając uśmiech na ustach. Wrywa mi się szloch, gdy patrzę na tego niesamowitego mężczyznę, a on — także ze łzami w oczach — ściska moją dłoń i odwraca się w stronę domu na wzgórzu. Domu, w którym mama lub tato wychodzili na taras, żeby zawołać nas, gdy byliśmy w domku na drzewie. To był ich sposób na pokazanie nam, że nas obserwują, na wypadek gdybyśmy robili coś, czego nie powinniśmy robić, a co i tak prawdopodobnie robiliśmy. Hayes uśmiecha się łagodnie, spoglądając mi w oczy, i wiem, że też to wspominał.

Mam wrażenie, że rodzice są tu teraz z nami.

— Chcę mieć z tobą więcej wspomnień. Takich jak *pocałunek w trakcie burzy z piorunami, lukier w twoich włosach, cekiny w noc oscarową, pizza pepperoni z papryczkami jalapeños, siedzenie na podłodze ze śpiącym psem u naszych stóp i oglądanie filmów i obserwowanie chichoczących dzieciaków w łóżkach*. Jesteś moją wybranką, Saylor. Zawsze nią byłaś. I zawsze nią będziesz. Wiem, że nie potrzebujemy żadnego oficjalnego dokumentu lub obrączek, żeby przypominały nam, że do siebie należymy, bo zawsze to wiedzieliśmy i zawsze będziemy wiedzieli. Ale ta cząstka mnie, która przygląda ci się każdego ranka i jest dumna jak diabli, że jesteś moja, chce, żeby wszyscy inni także to wiedzieli. Dlatego sprowadziłem cię tu i wyznałem to wszystko, bo chcę zadać ci jedno proste pytanie. Powiesz „tak”?

Mrugam kilka razy, jakbym nie mogła uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Ale gdy spoglądam w dół i widzę, że Hayes wkłada mi obrączkę na palec, wiem, że to prawda. Obrączka błyszczy od wtopionych w nią brylantów i otaczających nas lampionów. Co ciekawsze jednak, zauważam, że on ma już na palcu obrączkę.

Przymrużam powieki i patrzę na niego podejrzliwie.

— Nie chciałem ryzykować.

— Widzę — odpowiadam, ale nie mam najmniejszych wątpliwości, że chcę z nim spędzić resztę życia. *Najdrobniejszych*. Patrzę na nasze złączone dłonie. Obrączki. Splecione palce. W końcu wracam spojrzeniem do jego oczu. — Hayesie Whitleyu, tak.

Zgromadzeni goście wiwatują dziko, a ja podchodzę bliżej i składam na ustach Hayesa pocałunek, w który przelewam całą miłość, jaką mam w sobie. Obejmuję go za szyję. On ujmuje moją twarz w dłonie. Nasze serca biją obok siebie jak jedno.

Odchyła głowę i spogląda na mnie wzrokiem przepelnionym miłością.

— Saylor Rodgers, ja też.

Całujemy się znowu, jakbyśmy byli dla siebie powietrzem, którym oddychamy. Przerzywa nam dopiero mój wybuch śmiechu.

Czyli tak smakuje wieczność.

— Tym razem naprawdę użyłeś najmocniejszych kart.

Hayes odrzuca głowę i wybucha śmiechem.

Z dała od blichtru i wielkich świateł, na polu, po którym biegaliśmy jako dzieci. Pod domkiem na drzewie, w którym po raz pierwszy się pocałowaliśmy. Na terenie, który kiedyś należał do moich rodziców i jest przepelniony ich niezaprzeczną miłością. W

otoczeniu najbliższych znajomych i rodziny, w świetle migoczących lampionów...

Poślubiłam swojego najlepszego przyjaciela.

Chłopca, który skradł mi czekoladowe ciastka.

I pocałunki.

I mój czas.

Moją miłość.

Jest moim jedynym.

Mężczyznę, który na zawsze posiadał moje serce.

Moim szczęśliwym zakończeniem.

KONIEC